



Niespokojne serca

AWANTURNICZY KWARTET

STEPHANIE
LAURENS



Stephanie Laurens

Niespokojne serca

Tłumaczenie:
Agnieszka Walulik

Jeden

Maj 1824

Londyn

Kapitan Robert Frobisher przechadzał się swobodnym krokiem po Park Lane, ciesząc wzrok widokiem falującego zielonego baldachimu ogromnych drzew porastających Hyde Park.

Poprzedniego dnia jego statek „Trójzab” wpłynął na wieczornej fali z Tamizy do londyńskiego portu. Rzucili kotwicę na stanowisku spółki Frobisher i Synowie w Dokach Świętej Katarzyny, a kiedy Robert wreszcie uporał się z całą towarzyszącą temu krzątaniną, było już za późno na jakiegokolwiek wizyty. Tego ranka stawił się więc w biurze kompanii przy Burr Street i gdy tylko dopełnił zwyczajowych formalności i zwolnił większość załogi na cały dzień, złapał dorożkę i udał się w stronę Mayfair. Zamiast jednak skierować się wprost do domu swojego brata Declana, kazał woźnicy wysadzić się na końcu Piccadilly, żeby nacieszyć się przez kilka minut zielenią. Tyle czasu spędzał na wpatrywaniu się w morze, że dobrze było od czasu do czasu przypomnieć sobie uroki suchego lądu.

Z ironicznym uśmiechem na ustach skręcił w Stanhope Street. Była dopiero dziesiąta rano – bardzo wczesna godzina na wizytę w rezydencji dżentelmena, Robert nie miał jednak

najmniejszych wątpliwości, że brat i jego świeżo poślubiona małżonka, urocza Edwina, powitają go z otwartymi ramionami.

Poranek był ładny, choć nieco chłodnawy. Szare chmury mknące po bladym niebie co chwila przesłaniały słońce.

Declan i Edwina mieszkali pod numerem dwudziestym szóstym. Spoglądając w dół ulicy, Robert ujrzał w oddali czarny powóz stojący przy krawężniku.

Złe przeczucie musnęło go chłodem po karku. Pora była wczesna, więc na krótkiej uliczce nie było jeszcze żadnych innych pojazdów.

Gdy podszedł nieco bliżej, wymachując niedbale laseczką, sługa czekający na stanowisku z tyłu powozu natychmiast zeskoczył na chodnik i pospiesznie otworzył drzwi pojazdu.

Dzientelmen, który wysiadł z niego z niedbałą gracją, był równie wysoki jak Robert i podobnie jak on szeroki w barach i szczupły. Czarne włosy okalały twarz o rysach wyraźnie wskazujących na wysoką pozycję społeczną.

Wolverstone. Czy też, mówiąc dokładniej, Jego Wysokość księżę Wolverstone, znany w przeszłości jako Dalziel.

Robert uznał, że skoro księżę wyraźnie zasadił się tu właśnie na niego, to zapewne znowu objął (przynajmniej tymczasowo) urząd dowódcy brytyjskich służb specjalnych poza wyspami.

Cyniczna, zblazowana część osobowości młodzieńca nieszczęśliwie się zdziwiła.

Jednak osobnik, który wysiadł z powozu – ze znacznie mniejszą elegancją – w ślad za Wolverstone'em, był, owszem,

niespodzianką. Ciężkawy i bardzo schludny, o wyglądzie człowieka drobiazgowego i nieco sztywnego, obciągnął kamizelkę i poprawił łańcuszek zegarka; długie doświadczenie w obcowaniu z ludźmi tego pokroju sprawiło, że Robert natychmiast rozpoznał w nim polityka. Nieznajomy wraz z Wolverstone'em zwrócili się w jego kierunku.

Robert podszedł bliżej, a wtedy Wolverstone skinął głową i wyciągnął dłoń.

- Frobisher.

Robert przełożył laseczkę do drugiej ręki. Uścisnął dłoń księcia, po czym przeniósł spojrzenie na jego towarzysza.

Wolverstone wskazał go pełnym gracji gestem.

- Pozwolisz, że przedstawię ci wicehrabiego Melville'a, Pierwszego Lorda Admiralicji.

Robert powstrzymał się przed uniesieniem brwi ze zdziwienia.

- Panie wicehrabio. - Skłonił głowę.

Co tu się, do diaska, szykuje?

Melville skinął mu oszczędnym ruchem głowy i wciągnął głęboko powietrze.

- Kapitanie Frobisher...

- Być może - przerwał mu Wolverstone - powinniśmy się przenieść do środka. - Utkwił spojrzenie ciemnych oczu w Robercie. - Twój brat nie zdziwi się na nasz widok, lecz z szacunku dla lady Edwiny uznaliśmy, że lepiej będzie poczekać na ciebie w powozie.

Pomyśleć, że wzgląd na Edwinę był w stanie nawet w tak drobny sposób wpłynąć na działania Wolverstone'a... Robert

z wysiłkiem zapanował nad uśmiechem. Jego bratowa była córką księcia i pochodziła z tej samej sfery, co Wolverstone, lecz młodzieniec poszedłby o zakład, że grono osób, których wygodą Dalziel raczyłby się przejmować, było bardzo niewielkie.

Zachęcony przez Wolverstone'a, jako pierwszy wszedł po stopniach na wąski ganek, czując, że z każdym krokiem narasta w nim ciekawość.

Była to jego pierwsza wizyta w tym domu, lecz kamerdyner, który otworzył mu drzwi, natychmiast go rozpoznał.

- Kapitan Frobisher - powiedział z promiennym uśmiechem.

Potem zauważył z tyłu pozostałych dwóch i jego twarz przybrała nieprzenikniony wyraz.

Orientując się, że sługa nie zna ani Wolverstone'a, ani Melville'a, Robert uśmiechnął się swobodnie.

- Zdaje się, że ci panowie to znajomi mojego brata.

Nie musiał już nic dodawać. Declan najwyraźniej usłyszał głosy przy wejściu, gdyż pojawił się w drzwiach po drugiej stronie holu.

- Robert! Co za miła niespodzianka! - wykrzyknął, podchodząc szybko z szerokim uśmiechem.

Pokleпали się wzajemnie po ramionach.

Nagle gospodarz zauważył Wolverstone'a i Melville'a i uśmiech zniknął z jego twarzy. Declan spojrzał na brata i w jego błękitnych oczach pojawiło się pytanie.

- Czekali na zewnątrz - wyjaśnił Robert.

- Ach. Rozumiem.

Robert nie potrafił wywnioskować z tonu tej odpowiedzi, czy

obecność pozostałych dwóch mężczyzn zwiastuje coś dobrego, czy złego.

Mimo to Declan z wielką uprzejmością powitał ich i uściskał im dłonie.

- Panowie - powiedział. Chwyając spojrzenie Wolverstone'a, dodał: - Może przejdziemy do salonu.

Ruchem ręki przepuścił wszystkich trzech do środka.

Wchodząc, Robert dosłyszał jeszcze pytanie kamerdynera:

- Czy mam poinformować jaśnie panią?

Declan bez wahania potwierdził.

Siadając w jednym z licznych foteli rozstawionych w przytulnym pokoju, Robert ze zdziwieniem pomyślał, że brat bez namysłu wezwał żonę na spotkanie o wyraźnie roboczym charakterze - choć nie potrafił się domyślić, o jakiego rodzaju robotę chodziło.

Ledwo gospodarz zdążył zaoferować gościom poczęstunek, którego wszyscy odmówili, drzwi się otworzyły i do środka wpłynęła Edwina. Wszyscy wstali, żeby ją powitać.

Ubrana w twarzową jedwabną suknię w chabrowe i białe prążki, Edwina sprawiała wrażenie szczęśliwej i uradowanej - promieniała nieskomplikowaną radością życia. Jej pierwszy uśmiech zarezerwowany był dla Declana, lecz zaraz potem zwróciła pogodne spojrzenie w kierunku szwagra i otworzyła ramiona.

- Robert!

Mimowolnie uśmiechnął się w odpowiedzi i pozwolił jej się uściskać.

- Edwino.

Spotkali się kilka razy, zarówno w jego, jak i jej rodzinnym domu, i Robert nie miał co do niej najmniejszych zastrzeżeń; od pierwszej chwili sprawiała wrażenie idealnej partnerki dla Declana. Odwzajemnił uścisk i posłusznie musnął wargami jej gładki policzek, który nadstawiła.

Edwina odsunęła się i popatrzyła szwagrowi w oczy.

- Jakże się cieszę, że cię widzę! Czy Declan mówił ci już, że zamierzamy zrobić z tego domu naszą londyńską bazę?

Prawie nie czekając na odpowiedź - i nie zwracając uwagi na szybkie spojrzenie, które Robert rzucił w kierunku Declana - zaczęła wypytywać o „Trójzab” i plany młodzieńca na ten dzień. Gdy Robert odpowiedział na pytania i rzekł, że nie przewiduje żadnych zajęć, oznajmiła, że w takim razie zje z nimi obiad i kolację.

Potem powitała Wolverstone'a i Melville'a. Swoboda, z jaką ich traktowała, wyraźnie świadczyła, że obaj byli jej znani.

Na jej łaskawe skinienie panowie znowu rozsiedli się w fotelach oraz na sofie i następne kilka minut upłynęło na rozmowie na tematy ogólne, prowadzonej oczywiście przez Edwinę.

Zauważając szybkie uśmiechy, jakie wymieniała z Declanem, Robert poczuł wyraźne ukłucie zazdrości. Nie żeby pragnął Edwiny; lubił ją, lecz miała zbyt silną osobowość jak na jego gust. Declan potrzebował takiej kobiety, żeby zrównoważyła jego charakter, lecz Robert miał zupełnie inną naturę.

Był rodzinnym dyplomatą, ostrożnym i rozważnym, podczas gdy trzech pozostałych braci cechowała zapalczywość.

- Dobrze więc. - Najwyraźniej usatysfakcjonowana

informacjami na temat zdrowia rodziny, jakie przekazał Wolverstone, Edwina złożyła ręce na kolanach. - Zważywszy na panów obecność, Declan i ja powinniśmy chyba opowiedzieć Robertowi, jak spędziliśmy ostatnie pięć tygodni, na czym polegała nasza misja i czego dowiedzieliśmy się we Freetown.

Misja? Freetown? Robert sądził, że podczas gdy on sam przebywał po drugiej stronie Atlantyku, Declan i Edwina spędzali czas w Londynie. Najwyraźniej się mylił.

Edwina spojrzała na Wolverstone'a, unosząc brew.

- Tak zapewne będzie najszybciej - rzekł książę, skłaniając głowę.

Rezygnacja w jego głosie nie umknęła uwadze Roberta.

Był pewien, że i Edwina ją zauważyła, lecz ona tylko uśmiechnęła się, po czym przeniosła jasne spojrzenie na Declana.

- Może ty zacznij - zaproponowała.

Wspólnie opowiedzieli Robertowi historię swojej zdumiewającej wyprawy.

Fakt, że Edwina zakradła się na statek i dołączyła do Declana w wyprawie na południe, nie stanowił w gruncie rzeczy wielkiej niespodzianki. Lecz niezwykła sytuacja we Freetown - i, co za tym idzie, niebezpieczeństwo, które tam nad nimi zawisło i nieoczekiwanie wyciągnęło szpony po Edwinę - to była opowieść, która całkowicie przykuła jego uwagę.

Zanim Edwina zakończyła relację, zapewniając, że w trakcie wydarzeń ostatniej nocy w kolonii nie poniosła żadnej trwałej

szkody, Robert nie miał już żadnych wątpliwości, dlatego Wolverstone i Melville zasadzili się na niego pod domem Declana.

Melville szybko potwierdził jego podejrzenia.

- Jak pan widzi, kapitanie Frobisher - rzekł, wzdychając z frustracją - rozpaczliwie potrzebny nam człowiek o podobnych do pana brata talentach, który mógłby jak najszybciej wyruszyć do Freetown i pociągnąć śledztwo.

Robert rzucił spojrzenie na Declana.

- Zakładam, że podpada to pod naszą... zwyczajową współpracę z rządem?

- Istotnie - potwierdził Wolverstone. - Niewielu jest takich, którzy nadawaliby się do tego zadania, i nikt spośród nich nie ma szybkiego statku gotowego do drogi.

Wytrzymałszy przez sekundę jego spojrzenie, Robert kiwnął głową.

- Dobrze więc.

Było to zadanie znacznie odbiegające od jego typowych misji, podczas których przewoził przez ocean dyplomatów - lub wszelkiego rodzaju dyplomatyczne tajemnice - lecz Robert widział, że jego pomoc jest naprawdę potrzebna, a sprawa bardzo pilna. No i bywał już wcześniej we Freetown.

Popatrzył na Declana.

- Czy dlatego właśnie nie czekały na mnie w biurze żadne nowe zlecenia?

To go zaskoczyło po powrocie. Zazwyczaj zapotrzebowanie na jego usługi było tak wielkie, że „Trójzab” rzadko stał w porcie dłużej niż kilka dni, a Royd i jego „Korsarz” wiele

razy musieli przejmować od niego część licznych zleceń.

Declan przytaknął.

- Wolverstone poinformował Royda, że po powrocie „Kormorana” rząd prawdopodobnie będzie potrzebował usług kolejnego z nas, a na szczęście ty miałeś akurat wracać. Dostałem od Royda wiadomość, jedna czeka też na ciebie w bibliotece. Zostaliśmy zwolnieni z naszych zwyczajnych zadań i mamy być do dyspozycji korony.

Robert skinął głową. Zastukał palcami w podłokietnik fotela, rozmyślając o wszystkich informacjach przekazanych przez Declana i Edwinę, suchych komentarzach Wolverstone'a oraz nielicznych uwagach Melville'a.

- No dobrze - rzekł. - Przekonajmy się, czy wszystko zrozumiałem. Zniknęło kolejno czterech oficerów na służbie, a ponadto co najmniej cztery młode kobiety i nieznana liczba innych mężczyzn. Do wszystkich zaginięć doszło na przestrzeni około czterech miesięcy. W tych kilku przypadkach, o których poinformowano gubernatora Holbrooka, zbagatelizował on sprawę, sądząc, że zaginięci ruszyli szukać szczęścia w dżungli lub gdzie indziej. Mniej więcej w tym samym czasie zniknęło także siedemnaścioro dzieci z biedoty, lecz Holbrook twierdzi, że to zwykłe dziecięce ucieczki i że nie ma się co dopatrywać w tym żadnych niepokojących działań. W tej chwili nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy Holbrook usiłuje wyciszyć te zniknięcia, ponieważ sam jest w nie uwikłany, czy też jego postępowanie wynika z jakichś zupełnie niewinnych pobudek. Wiemy jednak, że lady Holbrook niewątpliwie jest zamieszana

w sprawę i najprawdopodobniej nie zastanę jej w kolonii. Muszę więc sprawdzić, czy sam Holbrook wciąż trwa na stanowisku. Jeśli tak, możemy założyć, że jest niewinny. – Robert uniósł brew i spojrzał na Wolverstone'a. – Zgadza się?

Księżę przytaknął.

– Nie poznałem Holbrooka osobiście – dodał – ale z tego, czego zdołałem się dowiedzieć, nie sprawia wrażenia człowieka, który mógłby brać w tym udział. Może jednak należeć do tego typu urzędników, którzy nie podejmują działań, dopóki nie staną oko w oko z faktami i nie zmuszą ich do tego okoliczności.

Robert dodał tę informację do układanki, która powstawała w jego głowie, i mówił dalej:

– W przypadku zaginionych dorosłych mamy podstawy przypuszczać, że są oni na jakiejś zasadzie wybierani i że proces selekcji związany jest z udziałem w nabożeństwach miejscowego kapłana Obo Undoto. Nie wiemy natomiast, w jaki sposób giną dzieci, poza tym że nie ma to związku z kaznodzieją.

– Nie mamy nawet pewności, że dzieci porywane są przez tych samych ludzi i w tym samym celu co dorośli – wtrącił Declan.

– Lecz zważywszy na to, że poza mężczyznami giną także młode kobiety – dodała Edwina – istnieje prawdopodobieństwo, że wszyscy zaginioni, i dorośli, i dzieci, są w jakiś sposób... wykorzystywani. – Wysunęła podbródek. – Przez tych samych nikczemników.

– Bez względu na to, czy dzieci zabierane są w to samo

miejsce - kontynuował Robert - zarzuty kapłanki (a wszystkie jak dotąd okazały się uzasadnione, więc można założyć, że jest godna zaufania) wyraźnie wskazują, że poszukiwania należy zacząć od Undoto i jego nabożeństw.

Nikt nie zanegował tych słów. Po sekundzie namysłu Robert mówił dalej, zwracając się do Declana i Edwiny:

- Jeśli dobrze zrozumiałem, to za bezpieczne źródła informacji uważacie kapłankę wodun, Lashorię, wielebnego Hardwicke'a, a bardziej nawet jego żonę, starego marynarza o imieniu Sampson oraz Charlesa Babingtona.

Oboje pokiwali głowami.

- To potencjalni sojusznicy i mogą być skłonni do pomocy w zdobyciu dalszych informacji - powiedział Declan, po czym popatrzył bratu w oczy. - Zwłaszcza Babington. Moim zdaniem interesuje się jedną z zaginionych kobiet ze względów osobistych, ale nie miałem okazji dokładnie go wypytać. Dysponuje on jednak środkami, które mogą okazać się przydatne.

Melville odchrząknął.

- Jest jeszcze wiceadmirał Decker. Nie mamy powodu przypuszczać, że jest zamieszany w jakiegokolwiek pokątne działania w kolonii. - Spojrzał z niezadowoleniem na Declana, po czym zwrócił się do Roberta: - Dałem pańskiemu bratu list, który upoważniał go do zażądania wsparcia marynarki. Zdaje się, że jego treść była dość ogólnikowa, więc sądzę, że i pan będzie mógł z niego skorzystać.

- Decker był na morzu w trakcie mojego pobytu - wyjaśnił Declan. - Nadal mam ten list. Przekażę ci go - rzekł do

Roberta.

Robert nie dał się zwieść obojętnemu głosowi brata; jemu też nie było spieszno, żeby zwracać się o pomoc do Deckera. Więcej nawet, miał nadzieję, że podczas jego wizyty w kolonii wiceadmirał nadal będzie na morzu.

- W każdym razie - stwierdził Wolverstone - to ważne, abyś w trakcie swojego pobytu nie uczynił nic, co mogłoby zawiadomić przestępców o zainteresowaniu władz. Musimy chronić życie porwanych. Nikt z nas nie chce nawet wyobrazić sobie sytuacji, w której pošlemy misję ratunkową tylko po to, aby znalazła ciała. Nie możemy być pewni, kto z władz kolonii jest w to zamieszany ani komu można zaufać, dlatego wszystkie twoje działania muszą być tajne.

Robert skinął krótko głową. Im więcej słyszał i im więcej o tym myślał, tym bardziej utrzymanie sprawy w tajemnicy zdawało mu się najmądrzejszą strategią.

- Tak więc, kapitanie - podsumował energicznie Melville - musi pan udać się do Freetown, podążać tropem, który wytyczył pański brat, i dowiedzieć się wszystkiego o tym nikczemnym spisku.

Wyraz twarzy Pierwszego Lorda stanowił mieszankę buty i czegoś przypominającego błaganie. Polityk najwyraźniej nie czuł się swobodnie w sytuacji, nad którą nie miał żadnej kontroli.

Zanim jednak Robert zdążył odpowiedzieć, Wolverstone odezwał się cichym głosem:

- W zasadzie nie. - Popatrzył młodzieńcowi w oczy. - Nie możemy cię prosić, żebyś dowiedział się wszystkiego.

Kątem oka Robert zobaczył, jak na twarzy Melville'a pojawia się rozczarowanie. Pierwszy Lord wbił spojrzenie w księcia, który w tej kwestii zasadniczo był jego mentorem.

Jakby nie zdając sobie sprawy z urażonych uczuć wicehrabiego, Wolverstone ciągnął:

- Z tego, co powiedział twój brat i czego dowiedziałem się ostatnio od innych osób, wynika, że jeśli porywaczami są handlarze niewolników, to powinni mieć we Freetown jakiś obóz, gdzie przetrzymują więźniów, dopóki nie uzbierają tyłu, by przekazać ich zleceniodawcy. Obóz najprawdopodobniej znajduje się poza granicami kolonii, gdzieś w dżungli, może nawet dość daleko. - Tu Wolverstone spojrzał na Declana, który pokiwał głową z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Wracając spojrzeniem do Roberta, książę mówił dalej: - Oznacza to, że ukończenie misji w zaledwie dwóch etapach jest wysoce niemożliwe. Będziemy musieli podjąć jeszcze dalsze kroki, żeby zdobyć wszystkie konieczne informacje, nie zdradzając się jednocześnie przed porywaczami. Twój brat... a także lady Edwina - tu książę skinął głową w jej kierunku - dostarczyli nam pierwszych, kluczowych wskazówek. Odkryli, że nabożeństwa Undoto stanowią część planu porywaczy, i skierowali nas na trop handlarzy niewolników. Potwierdzili też, że w sprawę uwikłane są osoby wysoko postawione w kolonii. O tym nie wolno nam zapominać. Jeśli zamieszana była w to lady Holbrook, niemal z pewnością będą też inni.

Spojrzenie Wolverstone'a powędrowało do Melville'a, który mimo przygnębionej, a nawet naburmuszonej miny nie próbował się wtrącać.

- Dlatego więc - ciągnął książkę - twoja misja polegać będzie na potwierdzeniu związku handlarzy niewolników z Undoto i wysłedzeniu, gdzie znajduje się obóz. Oto twoje rozkazy. Masz znaleźć ich bazę, wrócić i złożyć raport. Nawet jeśli by cię kusilo, nie wolno ci podążyć za tropem. - Wolverstone na chwilę zamilkł. - Rozumiem, że najprawdopodobniej nie będzie ci łatwo zastosować się do tego polecenia. Ja sam nie znajduję w nim żadnej przyjemności. Ale jeśli mamy zaplanować operację ratunkową, musimy poznać położenie obozu. Jeśli pójdiesz dalej i sam dasz się schwytać... Mówiąc wprost, nie stać nas na to przez wzgląd na zaginionych. Jeśli ktoś cię uprowadzi, nie dowiemy się o tym aż do powrotu twojej załogi. A kiedy to się stanie, będziemy tak samo dalecy od rozwiązania sprawy jak teraz. Ani odrobinę nie zbliżymy się do informacji potrzebnych, żeby uratować porwanych.

Wolverstone zerknął na Melville'a i wrócił spojrzeniem do Roberta.

- Prowadzenie misji etapami może się wydawać dość żmudne, lecz zagwarantuje stałe postępy, a porwani zasługują z naszej strony na dołożenie wszelkich starań, żeby ich uwolnić.

Robert popatrzył w oczy księcia. Minęły dwie sekundy. Skinął głową.

- Znajdę obóz handlarzy i dostarczę wam tę informację.

Prosto. Bezpośrednio. Nie widział żadnych powodów, aby się spierać. Skoro musiał popłynąć z tą misją do Freetown, cieszył się, że wyznaczono mu tak jasny i konkretny cel.

Wolverstone skłonił głowę.

- Dziękuję. Zostawimy cię, abys mógł się przygotować.
Wicehrabia Melville wstał, a w ślad za nim cała reszta.

- Kiedy statek może być gotów do wypłynięcia? - spytał, wyciągając do Roberta rękę, którą ten uścisnął.

- Za kilka dni.

Podczas gdy wszyscy się żegnali i przemieszczali w stronę wyjścia, młodzieniec już zastanawiał się nad logistyką.

- Poślę „Trójzab” do Southampton - odezwał się - żeby zaopatrzyć go w tamtejszych składach. Sądzę, że w ciągu trzech dni powinienem móc postawić żagle.

Melville wydał z siebie krótkie „Hm!”, lecz nic nie powiedział. Po jego minie Robert wnosił, że Pierwszy Lord przejmuje się sytuacją we Freetown bardziej nawet niż Wolverstone.

Ale też na księciu nie spoczywał w tym wypadku ciężar odpowiedzialności, podczas gdy Melville... O ile Robert się orientował, ta sprawa mogła zaważyć na politycznej, a być może też towarzyskiej karierze Pierwszego Lorda Admiralicji.

Wrócił do salonu i zajął fotel naprzeciwko sofy. Po odprowadzeniu swoich nieoczekiwanych gości do drzwi Declan i Edwina dołączyli do niego.

Kiedy znowu usiedli, powiódł po nich wzrokiem.

- No dobrze. A teraz opowiedzcie mi resztę.

Jak się spodziewał, oboje mieli mu do powiedzenia o wiele więcej o mieszkańcach Freetown, o tych wszystkich, którzy odegrali choć niewielką rolę w ich śledztwie, o niebezpieczeństwach czyhających w dzielnicy biedoty, a także o wielu innych rzeczach, które mogły się okazać

przydatne, a nawet kluczowe, podczas pobytu w kolonii.

Mijały godziny, lecz żadne z nich nawet nie zwróciło na to uwagi.

Kiedy zegary wybiły pierwszą, przenieśli się do jadalni, aby kontynuować rozmowę przy obiedzie. Robert uśmiechnął się szeroko na widok wnoszonych półmisek.

- Dziękuję - zwrócił się do Edwiny. - Na statku nie karmią źle, ale miło zjeść przyzwoity posiłek, kiedy ma się okazję.

W końcu wrócili do salonu. Po omówieniu dogłębnie wszystkich faktów i wniosków przeszli do najważniejszej kwestii, czyli celu tych dziwnych porwań.

Robert rozparł się niedbale w fotelu, wyciągnął długie nogi, krzyżując je w kostkach, i oparł brodę o koniuszki złożonych palców.

- Mówiliście, że jako pierwszy zniknął Dixon. Jest on uznanym inżynierem, więc jeśli wybrano go przez wzgląd na te powszechnie znane talenty, faktycznie sugerowałoby to, że nasi złoczyńcy najprawdopodobniej zamierzają zbudować kopalnię.

Declan, wyciągnięty na sofie obok Edwiny, pokiwał głową.

- W każdym razie to byłoby najbardziej logiczne w tamtych warunkach.

- A co tam się wydobywa? - spytał Robert, patrząc w niebieskie oczy brata. Bardzo szanował jego znajomość surowców i warunków geograficznych. - Znasz te strony lepiej niż ja. Co byś podejrzewał?

- Złoto i diamenty - rzekł Declan, splatając palce z palcami Edwiny.

- Zakładam, że nie jedno i drugie naraz, więc co byś obstawiał?

- Jeśli miałbym iść o zakład, wybrałbym diamenty.

- Dlaczego?

Declan wyduł usta i spojrzał na Edwinę.

- Zastanawiałem się, dlaczego porywacze postanowili uprowadzać kobiety i dzieci; do czego mogły im być potrzebne? Dzieci często wykorzystuje się w kopalniach złota, żeby zbierały kawałki wykruszonej rudy. W kopalni diamentów przydałyby się do tego samego. Ale kobiety? W wydobywaniu złota nie odgrywają, o ile mi wiadomo, żadnej roli. Lecz przy diamentach? - Ściskając żonę za rękę, popatrzył na Roberta. - Diamenty w tych okolicach wymieszane są z inną rudą. Wykruszenie ich z kamienia to delikatna praca. Chodzi nie tyle o precyzję, ile po prostu o drobne palce. Młode kobiety o dobrym wzroku mogłyby czyścić nieociosany kruszec, żeby zmniejszyć rozmiar i wagę kamieni. Produkt końcowy nie traciłby w ten sposób na wartości, ale zajmowałby mniej miejsca i łatwiej byłoby go przemycić, chociażby pocztą. - Declan umilkł na chwilę. - Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że nasi porywacze wpadli na rudę diamentów i chcą wydobyć ich jak najwięcej, zanim ktoś inny się o tym dowie.

Później tego samego dnia w tawernie położonej przy wąskiej uliczce na zachodnim krańcu Water Street we Freetown - była to okolica uczęszczana przez pracowników biurowych,

sklepikarzy i inne, nieco uboższe warstwy - pewien osobnik, odziany znacznie zamożniej niż pozostali klienci, usiadł z kuflem piwa przy stole w dalekim kącie słabo oświetlonej sali.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł inny człowiek. Pierwszy mężczyzna podniósł wzrok. Przyglądał się, jak nowo przybyły, również odziany lepiej niż przeciętni bywalcy tawerny, kupuje piwo i rusza w kierunku jego stołu.

Skinęli sobie głowami, ale nic nie powiedzieli. Nowo przybyły przysunął sobie stółek i usiadł, po czym pociągnął z kufła. Do jego uszu dotarł dźwięk otwieranych drzwi, lecz zwrócony był plecami do wejścia, dlatego nie widział, kto wchodzi. Popatrzył na pierwszego mężczyznę.

- To on?

Tamten kiwnął głową.

Czekali w milczeniu. Przybyły zaopatrzył się w piwo, podszedł do nich, postawił kufel na porysowanym blacie i przyciągnął sobie stółek.

- Zetrzyj z twarzy tę nieszczęsną minę winowajcy - powiedział drugi mężczyzna, unosząc kufel i pociągając łyk piwa.

- Łatwo ci gadać. - Trzeci, młodszy od pozostałych, również się napił. - Wy nie pracujecie bezpośrednio pod swoimi wujami.

- Tu nas przecież nie zobaczy, prawda? - powiedział drugi. - Siedzi teraz w forcie. Na pewno w tej chwili skrzętnie sprawdza inwentarz.

- Boże... oby nie. - Najmłodszy mężczyzna aż się wzdrygnął.

- Ostatnie, czego nam trzeba, to, żeby się zorientował, ilu rzeczy brakuje.

Pierwszy, który dotąd przysłuchiwał się w milczeniu, uniósł brew.

- To raczej niemożliwe, prawda?

Młodszy westchnął.

- Nie, raczej nie. - Wbił spojrzenie w kufel. - Uważałem, żeby nic, co zabraliśmy, nie trafiło do ksiąg rachunkowych. Nie da się wykryć, że coś zniknęło, jeśli zgodnie z księgami nigdy tego nie było.

Pierwszy mężczyzna wygiął usta w chłodnym uśmiechu.

- Dobrze wiedzieć.

- To nieważne. - Drugi wbił spojrzenie w pierwszego. - Co to za gadanie o lady H? Słyszałem w kancelarii, że dała nogę.

Pierwszy mężczyzna zaczerwienił się pod opalenizną. Jego dłonie zacisnęły się na kuflu.

- Powiedziano mi, że wyjechała odwiedzić krewnych. O ile mi wiadomo, to może być prawda. Więc owszem, zniknęła, ale ponieważ nie ma pojęcia o moim udziale w operacji, nie uznała za stosowne mi się tłumaczyć. Rozpytałem trochę, oczywiście nie wprost, lecz podobno nawet Holbrook nie wie, kiedy wróci.

- Więc pewnie straciliśmy możliwość sprawdzania naszych potencjalnych ofiar? - Drugi mężczyzna zmarszczył brwi.

- Owszem - odpowiedział pierwszy - ale nie to mnie najbardziej martwi. - Przerwał, żeby napić się piwa, po czym odstawił kufel i mówił dalej: - Wczoraj słyszałem od Dubois, że Kale stracił dwóch z trzech ludzi, których wysłał do domu

gubernatora po jakąś damę wskazaną przez lady H.

Trzeci mężczyzna zrobił zdziwioną minę.

- Kiedy to było?

- Wedle moich rachunków piętnaście nocy temu. Trzy dni przed wyjazdem lady H. Spędziłem tamten wieczór na rozprawianiu się z depezbami, więc nic o tym wtedy nie słyszałem. - Pierwszy mężczyzna przerwał, po czym ciągnął odrobinę niepewnie: - O ile zdołałem się zorientować, chodziło o żonę Frobishera, lady Edwinę, która tamtego wieczoru przyszła się zobaczyć z lady H. Ale nie mogę być pewien, że to właśnie ją kazano zabrać Kale'owi, a nie widzę sensu w nadmiernym wypytywaniu pracowników gubernatora. Według Dubois Kale mówił, że kobieta, którą zabrali jego ludzie, była nieprzytomna, gdyż podano jej środek usypiający. Jedyne, co mógł powiedzieć ten, który przeżył, to, że miała złote włosy. Poszli jak zwykle we trzech, owinęli ją w dywan i wynieśli przez dzielnicę biedoty, ale zaatakowało ich czterech ludzi, podobno jacyś marynarze. Zabili dwóch z ludzi Kale'a i odbili kobietę. Ten trzeci uciekł, ale potem zawrócił i poszedł za nimi do portu. Widział, jak wsiadają do łódki i odpływają, ale w mroku nie mógł zobaczyć, do którego statku dobili.

Drugi mężczyzna nadal wpatrywał się w kufel ze zmarszczonym czołem.

- Jeśli dobrze pamiętam, statek Frobishera stał tamtej nocy w porcie. Następnego dnia już go nie było. Musieli wypłynąć z poranną falą.

Pierwszy prychnął.

- Mówiono, że to była ich... to jest Frobishera i lady Edwiny... no więc to była ich podróż poślubna. Podobno wybierali się w odwiedziny do krewnych w Kapsztadzie. Jeśli to prawda, to nawet jeżeli kobietą uśpioną przez lady H rzeczywiście była lady Edwina (a w takim razie Bóg jeden wie, po co ta durna baba w ogóle się na nią porwała), nie sądzę, żebyśmy usłyszeli jeszcze o tej sprawie.

Trzeci mężczyzna wbił w niego spojrzenie.

- Ale... przecież Frobisher na pewno złoży jakąś oficjalną skargę u Holbrooka.

Pierwszy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Bardzo wątpię. Lady Edwina to córka księcia, wysoko postawiona w londyńskim towarzystwie. Doprawdy nie wyobrażam sobie, żeby Frobisher chciał przyciągać uwagę do faktu, że jego małżonka znalazła się w rękach typów pokroju ludzi Kale'a, sama, w nocy, w ciemnej uliczce. Nie jest to informacja, którą chciałby rozpowszechniać o swojej żonie.

- To prawda. - Drugi mężczyzna pokiwał głową. - Odzyskał ją i wygląda na to, że nie stała się jej żadna krzywda. Na tym poprzestanie. - Przerwał, po czym dodał: - Gdyby Frobisher miał zamiar narobić rabanu, poszedłby i walnął pięścią w biurko Holbrooka, zamiast opuszczać miasto. Nie zrobił tego, więc zgadzam się... sprawa zamknięta. - Rzucił spojrzenie na trzeciego. - Nie ma się czym przejmować.

Pierwszy mężczyzna wsparł brodę na dłoni.

- Nie musimy się też chyba obawiać, że lady H komukolwiek nas wyda - rzekł. - Ma do stracenia o wiele więcej niż my. Jedynym powodem, dla którego zgodziła się na propozycję

Undoto, były pieniądze. Tylko na tym jej zależało. A jeśli naprawdę próbowała uspić i posłać do Kale'a lady Edwinę, to doskonale rozumiem, dlaczego wołała się ulotnić po jej ucieczce. Też bym tak zrobił. A jeżeli to wszystko prawda, to i dla nas lepiej, że się stąd zabrała... Lepiej, żeby jej tu nie było, kiedy ktoś zacznie zadawać niezręczne pytania na ten temat, o ile w ogóle do tego dojdzie.

- Ona i tak wie zbyt mało, żeby ściągnąć na nas kłopoty - mruknął drugi mężczyzna.

Pierwszy skinął głową.

- To prawda. Ale mogłaby wskazać Undoto albo Kale'a, a wtedy cała sprawa by się sypnęła... Nie. Ogólnie rzecz biorąc, powinniśmy się cieszyć, że zniknęła. Ale jeśli nie zamierza wracać, to musimy się zastanowić, kto ma na tyle duże rozeznanie, żeby ją zastąpić. - Spojrzał na pozostałych dwóch i uniósł brwi. - Macie jakiś pomysł, jak selekcjonować ofiary, żeby ich zniknięcie nikogo nie zaniepokoiło?

Odpowiedziało mu milczenie.

Wreszcie drugi mężczyzna przeczesał dłonią gęste czarne włosy.

- Odłóżmy na razie ten temat, ale miejmy oczy otwarte na wszelkie możliwości. Jak na razie Dubois ma dość ludzi.

- Lecz mówi, że będzie potrzebował więcej - zareplikował pierwszy. - Podobno Dixon ma wkrótce otworzyć drugi korytarz, a wtedy Dubois będzie potrzebował robotników, jeśli mamy zwiększyć obroty do poziomu obiecanego sponsorom.

- Więc ludzie będą mu potrzebni wkrótce, ale jeszcze nie w tej chwili. - Drugi pokiwał głową. - Na nic mu się nie

zdzadzą, dopóki drugi korytarz nie zostanie oczyszczony z kamieni.

Wszyscy trzej zamilkli.

- Mam nadzieję, że Dixonowi można zaufać - prychnął wreszcie drugi mężczyzna.

Pierwszy wygiął usta.

- Dubois jest przekonany, że Dixon zrobi dokładnie to, czego od niego chcemy, żeby pannie Frazier włos z głowy nie spadł.

Drugi uśmiechnął się szeroko.

- Muszę przyznać, że ten jego pomysł, aby szantażować mężczyzn bezpieczeństwem kobiet, był wręcz genialny.

Pierwszy burknął coś i odepchnął od siebie pusty kufel, mówiąc:

- O ile tylko nie zaczną myśleć na wyrost i nie zorientują się, że kiedy przestaną nam być potrzebni, wszyscy skończą tak samo.

Kiedy Robert wychodził „Trójzębem” z cieśniny Solent, daleko na wschodzie wstawał świt. Dzień był pochmurny i wietrzny, zielonoszare fale poszarpane, lecz wiatr wiał z północnego wschodu i idealnie sprzyjał żegludze, przynajmniej przy takim kursie, jaki obrali.

Robert wstał bardzo wcześnie i ustawił „Trójzab” tak, aby jako jeden z pierwszych wyszedł z portu na porannej fali. Mając przed dziobem otwartą przestrzeń, szybko nakazał wciągać kolejne żagle. Statki takie jak „Trójzab” pływały najlepiej na dużych prędkościach, pod pełnymi żaglami;

zaprojektowano je tak, aby mknęły po falach.

W zasięgu wzroku pojawiły się boje znaczące ujście Solentu, podskakujące i kołyszące się na wodzie. Robert skorygował kurs i gdy tylko w kanale La Manche uderzyły w nich pierwsze fale, skręcił kołem. Statek przechylił się, a on szybko zarządził zmiany. Jego załoga uwijała się jak w ukropie, aż wreszcie skorygowano ustawienie żagli i „Trójzab” wystrzelił na ciemniejsze wody kanału, obierając kurs, który na Atlantyku miał ich wyprowadzić prosto na południe.

Kiedy statek się ustabilizował, Robert sprawdził żagle i zadowolony oddał ster swojemu pierwszemu oficerowi, Jordanowi Latimerowi.

- Tylko nie popuszczaj. Zmienię cię na następnej wachcie. -
Miał ją objąć akurat wtedy, gdy skręca dalej na południe i rozpoczną najdłuższą część rejsu.

Latimer wyszczerzył się i zasalutował energicznie.

- Tak jest, kapitanie. Rozumiem, że się spieszymy?

Robert przytaknął.

- Wierz lub nie, ale „Kormoran” wyrobił się w drodze powrotnej w dwanaście dni.

- Dwanaście? - Na twarzy Latimera odmalowało się niedowierzanie.

- Royd pokrył kadłub jakimś nowym lakierem i podłubał coś przy sterze. Podobno płynąc pod pełnymi żaglami, zaoszczędzili prawie jedną szóstą czasu. Nawigator Declana doniósł, że nawet podróż z Aberdeen do Southampton trwała znacznie krócej.

Latimer pokręcił głową z podziwem.

- Szkoda, że przed wyruszeniem nie mieliśmy czasu oddać statku w ręce Royda i jego chłopaków. Nigdy się nie wyrobimy w dwanaście dni.

- Fakt. - Robert odwrócił się, żeby zejść na główny pokład. - Ale nie ma powodu, aby nie zdążyć w piętnaście, o ile nie będziemy ściągać żagli.

Dadzą radę, jeśli wiatr się utrzyma. Robert zszedł po drabince i przeszedł się wzdłuż sterburty, sprawdzając węzły, bloczki i osadzenie drzewców, nasłuchując skrzypienia żagli - słowem, doglądając wszelkich drobiazgów, żeby zyskać pewność, że wszystko na jego statku jest w najlepszym porządku.

Przy dziobie przystanął i obejrzał się na kilwater, jakby czuł załamanie fal i kąt nachylenia kadłuba. Nie dostrzegając nic niepokojącego, odwrócił się i spojrzął przed siebie, gdzie w oddali chmury ustępowały miejsca błękitowi nieba.

Przy odrobinie szczęścia na Atlantyku pogoda się poprawi i będą mogli wciągnąć jeszcze więcej żagli.

Statek szarpnął i Robert uchwycił się relingu. Pokład się wyprostował, a on oparł się o burzę i od niechcienia rozejrzał po morzu.

Jak się spodziewał, rejs z Londynu do Southampton i odpowiednie zaopatrzenie „Trójzębu” w firmowych składach zajęło im trzy dni. Jeśli dodać do tego kolejne czternaście na podróż, razem wyjdzie osiemnaście od momentu, gdy przyjął misję, do chwili, gdy zobaczy Freetown. Czternaście pełnych dni, zanim będzie mógł się zabrać do roboty.

Ku swojemu zdumieniu poczuł, że ogarnia go

zniecierpliwienie. Chciał jak najszybciej wykonać zadanie i o nim zapomnieć.

Trudno mu było powiedzieć dokładnie dlaczego, ale ostatniej nocy, kiedy leżał w łóżku – zimnym, samotnym i niespecjalnie ekscytującym – wreszcie pochwycił przebłysk przyczyny tych nietypowych i niepokojących emocji.

Po trzech dniach spędzonych w towarzystwie brata i jego żony zapragnął tego samego, co Declan znalazł u boku Edwiny – szczęścia i domu.

Dopóki nie ujrzał tego na własne oczy, dopóki sam nie posmakował nowego życia Declana, Robert nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko pragnienie założenia swojej rodziny zakorzeniło się w jego sercu.

Mówiąc wprost, zazdrościł bratu i chciał dla siebie tego samego, co tamten już miał.

Nie był do końca pewien, jaka ma być jego przyszła żona – nie miał jeszcze czasu porządnie się nad tym zastanowić – lecz uważał się za dyplomatę, mężczyznę o spokojniejszym charakterze niż Royd czy Declan, i sądził, że wybór życiowej towarzyszki powinien to odzwierciedlać.

Jednak wszystkie plany w tym zakresie należało odwiesić na kołek. Na pierwszym miejscu była misja.

I właśnie dlatego tak mu się spieszyło, żeby ją wykonać.

Odepchnął się od burty i ruszył w stronę zejściówki. Zeskoczył na dolny pokład i skierował się do swojej kabiny. Przestronna i wyposażona we wszystko, czego trzeba do wygodnego życia, zajmowała całą szerokość rufy.

Rozsiadając się w fotelu za dużym biurkiem, Robert

otworzył najniższą szufladę po prawej stronie i wyjął swój dziennik.

Prowadzenie dziennika było nawykiem, który przejął od matki. W czasach, gdy żeglowała z ojcem, codziennie zapisywała wydarzenia dnia. Zawsze znalazło się coś godnego odnotowania. Robert natrafił na te zapiski jeszcze jako chłopiec i przez kilka miesięcy czytał je od deski do deski. Znalezione w nich szczegółowe obserwacje na temat pokładowej rutyny wciąż kształtowały jego sposób myślenia; ich wpływ na jego rozumienie żeglugi jako stylu życia był wprost nieoceniony.

Tak więc sam również postanowił prowadzić dziennik. Może kiedy będzie miał synów, przeczytają go i także odkryją uroki życia na morzu.

Dzisiaj napisał o mroku panującym podczas zrzucania cum i odbijania od kei i o ogromnej mewie siodłatej, którą widział odpoczywającą na boi tuż za wyjściem z portu. Przerwał, po czym jego pióro zaczęło dalej skrobać po papierze. Pisał o niecierpliwości, z jaką wyglądał rozpoczęcia misji, i na czym ona polega.

Wreszcie zamaszystym ruchem postawił ostatnią kropkę.

Odłożył pióro i przeczytał to, co napisał. Atrament zdążył już wyschnąć. Robert niedbale przekartkował gęsto zapisane strony, zatrzymując się tu i tam, żeby przypomnieć sobie jakiś wpis.

Wreszcie przestał czytać i wpatrywał się tylko niewidzącym wzrokiem w tekst, a do jego umysłu powoli docierało, na co właściwie patrzy. Jego spojrzenie mimowolnie powędrowało

do przeszklonej szafki na ścianie rufowej: zawierała wszystkie wcześniejsze dzienniki ustawione starannie na jednej półce.

Kronika jego życia.

Niewiele w nim osiągnął.

W każdym razie w głębszym tego słowa znaczeniu.

Owszem, przyczynił się do wykonania dużej liczby zadań, które przyniosły konkretne korzyści jego krajowi. Większość stanowiły mniej lub bardziej dyplomatyczne misje. Gdy tylko dostał statek, zarezerwował dla siebie wszystkie tego typu zlecenia - był to sposób na odróżnienie się od Royda i Declana. Royd był od niego starszy o dwa lata, Declan zaś - o rok młodszy, lecz obaj mieli w sobie prawdziwą żyłkę do poszukiwania przygód, a w ich piersiach biły serca bukanierów. Żaden z nich nie protestowałby też przeciwko takiemu opisowi; jeśli już, cieszyliby się, że ludzie postrzegają ich w ten sposób.

Robert jednak, jako drugi w kolejności, postanowił obrać inną ścieżkę - również najeżoną niebezpieczeństwami, choć innego rodzaju.

Podczas gdy bracia nierzadko byli narażeni na udział w ulicznych burdach, jemu samemu groziło raczej trafienie do zagranicznego więzienia z powodu popełnienia niezamierzonego nietaktu przy kolacji.

Royd i Declan umieli wywijać szpadami i pięściami, Robert natomiast równie umiejętnie posługiwał się językiem.

Nie żeby nie dorównywał braciom na polu walki; mając taką rodzinę, musiał sobie radzić i pod tym względem. Była to

kwestia przetrwania.

Wspomnienia z dzieciństwa wywołały uśmiech na jego twarzy, lecz Robert szybko wrócił myślami do teraźniejszości i przyszłości.

Po chwili zatrzasnął dziennik i schował go do szuflady. Podniósł się i ruszył na pokład.

Jego życie było ostatnio tak nudne - może to i dobrze, że trafiło mu się zadanie inne niż zwykła dyplomatyczna misja. Jakaś odmiana, która wytrąci go z rutyny, zanim Robert zwróci myśli ku decyzjom, które zaważą na całej jego przyszłości.

Coś na odświeżenie przed tym, jak przyjmie największe wyzwanie swojego życia.

Wychodząc na pokład, poczuł podmuch wiatru i uniósł twarz ku ożywczej bryzie.

Odetchnął głęboko i rozejrzał się - morze rozciągało się w nieskończoność, jak zawsze wytyczając ścieżkę w przyszłość.

Tym razem jego droga była wyjątkowo jasna.

Popłynie do Freetown, dowie się, czego ma się dowiedzieć, wróci do Londynu i złoży raport - po czym weźmie się za szukanie żony.

Dwa

- Dzień dobry. - Panna Aileen Hopkins utkwiała uprzejme, acz zdecydowane spojrzenie w twarzy znudzonego urzędnika, który podszedł do drewnianego kontuaru oddzielającego petentów od pracowników Urzędu Attaché Morskiego.

Placówka ta, położona w pobliżu Kei Rządowej w porcie Freetown, była głównym punktem kontaktu z lądem dla załóg obsadzających okręty Eskadry Zachodnioafrykańskiej. Eskadra patrolowała morza na zachód od Freetown, egzekwując wprowadzony przez brytyjski rząd zakaz handlu niewolnikami.

- Tak, panienko? - Mimo pytania w oczach mężczyzny nie widać było ani śladu zainteresowania, nie mówiąc już o nieco posępnej obojętności na jego twarzy.

Aileen miała jednak zbyt duże doświadczenie w obchodzeniu się z biurokratami, żeby dać się zniechęcić.

- Chciałabym zapytać o mojego brata, porucznika Williama Hopkinsa.

Położyła na kontuarze czarną podróżną torebkę i złożyła na niej dłonie, starając się sprawiać wrażenie osoby, która nie da się zbyć byle czym.

Urzędnik popatrzył na nią i jego brwi z wolna zaczęły się marszczyć.

- Hopkins?

Spojrzał na dwóch kolegów, którzy siedzieli przy biurkach twarzami do ściany i ostentacyjnie udawali głuchotę, choć w tak małym biurze musieli wszystko słyszeć. Urzędnik przy ladzie jednak także nie należał do ludzi, których łatwo zniechęcić.

- Hej, Joe! - zawołał, a kiedy jeden z tamtych niechętnie uniósł głowę i obejrzał się, powtórzył: - Hopkins. Czy to nie ten młody, który zniknął Bóg wie gdzie?

Mężczyzna na krześle rzucił szybkie spojrzenie w stronę Aileen i kiwnął głową.

- Zgadza się. Będzie jakieś trzy miesiące.

- Zdaję sobie sprawę, że mój brat zaginął - powiedziała Aileen. Przybrała surowszy ton, nie potrafiąc zapanować nad irytacją. - Pragnę się natomiast dowiedzieć, dlaczego był wtedy na ładzie, a nie na pokładzie H.M.S. „Winchester”.

- Co do tego, panienko... - głos pierwszego urzędnika zrobił się zdecydowanie sztywniejszy - nie jesteśmy upoważnieni do udzielania informacji.

Aileen milczała przez chwilę, przyswajając te słowa, po czym odpowiedziała:

- Czy mam rozumieć, że zna pan powód, dla którego William... to jest porucznik Hopkins... był na ładzie wtedy, gdy powinien być na morzu?

Urzędnik wyprostował się i zeszywniał.

- Obawiam się, panienko, że pracownikom naszego urzędu nie wolno ujawniać poczynań oficerów marynarki.

- Nawet jeśli zaginą? - spytała Aileen, pozwalając, aby na jej twarzy odmalowało się niedowierzenie.

- Wszelkie pytania na temat operacji marynarki powinny być kierowane do admiralicji - oświadczył jeden z tych przy biurkach, nie oglądając się nawet w jej stronę.

Aileen zmrużyła oczy i wbiła wzrok w tył jego głowy. Kiedy nadal nie chciał się obejrzeć, stwierdziła dobitnie, lecz pozbawionym wyrazu głosem:

- Za moją ostatnią wizytą w admiralicji mieściła się ona w Londynie.

- Rzeczywiście, panienko - potwierdził ten przy kontuarze, a kiedy przeniosła na niego spojrzenie, popatrzył jej w oczy z obojętnym wyrazem twarzy. - Tam właśnie będzie musiała się panienska zwrócić.

Aileen nie przyjęła do wiadomości porażki.

- Chciałabym się widzieć z pana przełożonym.

Mężczyzna nawet nie mrugnął.

- Przykro mi, panienko. Nie ma go.

- A kiedy wróci?

- Obawiam się, że nie mogę tego powiedzieć, panienko.

- Jego poczynania też zapewne nie wolno panu ujawniać?

- Nie, panienko. Po prostu tego nie wiemy. - Po sekundzie urzędnik, być może widząc, że zaraz poniosą ją nerwy, podsunął: - Jest gdzieś na mieście. Jeśli będzie się panienska uważnie rozglądać, może panienska na niego wpadnie.

Aileen już miała na czubku języka wyzwiska, którymi chciała go obrzucić - jego, dwóch koleżków i samego attaché również. Zapytać w admiralicji? Toż to praktycznie na drugim końcu świata!

Przyszło jej do głowy, żeby podziękować, ale natychmiast

porzuciła ten pomysł. Nawet sarkastyczne podziękowanie nie przeszłoby jej przez gardło.

Czując wzbierający gniew - ten najgorszego rodzaju, zabarwiony strachem - rzuciła urzędnikowi mordercze spojrzenie, podniosła torebkę, obróciła się na pięcie i wymaszerowała z urzędu.

Stukając obcasami po grubych, spłowiałych deskach kei, gniewnym krokiem weszła po stopniach na zakurzoną ulicę. Furkocząc spódnicą, pospiesznie wspinała się na wzgórze w kierunku ruchliwej Water Street.

Kiedy już miała na nią wkroczyć, przystanęła i zmusiła się, żeby unieść głowę i odetchnąć głęboko.

Spowijał ją upał, duszny i parny.

W skroniach tętniła zapowiedź migreny.

I co teraz?

Przyjechała taki kawał drogi z Londynu, żeby się dowiedzieć, co się stało z Willem. To jasne, że marynarka nie zamierzała jej pomóc... Ale kiedy stwierdziła, że Will musiał być na łądzie z jakiegoś konkretnego powodu, w reakcji urzędnika było coś dziwnego...

Jej starsi bracia też służyli w marynarce. Aileen wiedziała, że obaj przebywali czasem na łądzie, wysyłani przez przełożonych w tajnych misjach.

Oczywiście i ona, i rodzice - a nawet pozostali bracia - dowiadawali się o wszystkim dopiero po fakcie.

Czy Willa też wysłano z jakąś tajną misją? Czy dlatego właśnie przebywał na łądzie? Na tyle długo, by ktoś zdążył go uprowadzić? Aileen zmarszczyła brwi. Po chwili zgarnęła

spódnicę i ruszyła dalej, skręcając w Water Street, główną ulicę kolonii. Musiała załatwić kilka sprawunków w tutejszych sklepach, a potem znaleźć powóz, który zawiezie ją do wynajętego pokoju na Tower Hill.

Nawet w trakcie zakupów nie potrafiła przestać rozmyślać nad podstawowymi pytaniami.

Kim byli porywacze Willa?

I jak mogła się tego dowiedzieć?

- Dzień dobry, panno Hopkins! Wcześniej panienka dziś wyszła!

Aileen zamknęła drzwi Stancji Pani Hoyt dla Eleganckich Dam i stanęła twarzą w twarz z właścicielką.

Pani Hoyt była pulchną, serdeczną wdową o kręconych rudych włosach i okrągłej twarzy. Słynęła z plotkarskiego języka i tego, że sprawami swoich pensjonariuszek przejmowała się jak własnymi. Obdarzyła Aileen promiennym uśmiechem znad sterty świeżo wypranej pościeli, którą trzymała w ramionach; zasłaniała w ten sposób całe wejście do swojej kwatery znajdującej się po lewej stronie holu wejściowego, naprzeciwko wspólnego saloniku.

Aileen zdążyła już przejrzeć charakter pani Hoyt, dlatego uniosła kilka owiniętych w brązowy papier paczek i rzekła tylko:

- Wybrałam się po przybory do pisania. Muszę napisać do domu.

Gospodyni pokiwała głową z aprobatą.

- Oczywiście. Jeśli będzie panienka chciała, żeby ktoś zaniósł listy na pocztę, proszę dać znać.

- Dziękuję.

Odpowiadając skinieniem głowy, które nie oznaczało bynajmniej zgody, Aileen weszła po schodach.

Jej sypialnia znajdowała się na pierwszym piętrze. Był to miły narożny pokój, którego okno wychodziło na ulicę. Zasłaniające je koronkowe firanki nadawały pozór zaciszności. Pod oknem stał zwyczajny damski sekretarzyk, a pod spodem stołek. Aileen odłożyła sprawunki i torebkę na blat, po czym zdjęła rękawiczki, rozpięła lekki żakiecik i zsunęła go z siebie. Nawet przy otwartym oknie powietrze było praktycznie nieruchome.

Wyciągnęła stołek i usiadła przy sekretarzyku. Otworzyła pakunki, rozłożyła przed sobą papier i atrament, umocowała w piórze nową stalówkę, po czym nie pozwalając sobie na dalszą zwłokę, zabrała się do poinformowania rodziców, gdzie i dlaczego się znajduje.

Jeszcze niedawno przebywała w Londynie u starej znajomej i cieszyła się atrakcjami sezonu towarzyskiego przed powrotem do domu w Bedfordshire. Jej życia nie zakłócała najmniejsza troska. Wtedy jednak dostała od rodziców list, w którym przesłali jej oficjalne pismo z admiralicji z informacją, że ich syn, porucznik William Hopkins, zaginął we Freetown. Sugerowano, że uciekł do dżungli w poszukiwaniu szczęścia, ponieważ nie miał pozwolenia na urlop.

Rodzice, co zrozumiało, byli głęboko wstrząśnięci. Aileen

uznała to wszystko za niedorzeczne. Bo też niedorzecznością było twierdzić, że jakikolwiek Hopkins mógłby oddalić się bez pozwolenia! Od czterech pokoleń wszyscy mężczyźni z jej rodziny wiązali swoje losy z marynarką. Byli oficerami i dżentelmenami, a zaszczytne pełnienie obowiązków poczytywali za swój święty obowiązek.

Jako jedyna córka spośród czworga dzieci Aileen dobrze знаła zapatrywania wszystkich trzech braci na służbę. Sama sugestia, że Will porzucił stanowisko, żeby zaangażować się w jakieś szalone przedsięwzięcie, była absurdalna.

Ponieważ Aileen przebywała akurat w Londynie, a obaj starsi bracia wypłynęli z flotą – jeden na południowy Atlantyk, drugi na Morze Śródziemne – rodzice prosili, żeby rozpytała się trochę i spróbowała rozeznać w sytuacji.

Aileen posłusznie wybrała się więc do gmachu admiralicji. Pomimo dobrych relacji łączących jej rodzinę z marynarką otrzymała tam jednak jeszcze mniej pomocy niż tu, w ataszacie.

Zła i poważnie zaniepokojona o losy Willa – zawsze miała opiekuńczy stosunek do młodszego brata – udała się prosto do biur kompanii transportowych i kupiła bilet na pierwszy dostępny rejs do Freetown. Na czas wizyty w Londynie zaopatrzyła się w przyzwoite fundusze, więc cena nie grała roli.

Przybyła na miejsce przed dwoma dniami. W trakcie podróży miała mnóstwo czasu na układanie planów. Jej życiowa pozycja i rodzinne koneksje oznaczały, że prawdopodobnie miała we Free town jakichś krewnych,

u których znalazłaby wsparcie i dach nad głową, lecz zdecydowała się na bardziej skryte działanie. Dlatego wybrała Stancję Pani Hoyt mieszczącą się na Tower Hill, czyli w okolicy zamieszkaną przez miejscową społeczność brytyjską, ale poniżej kościoła. Domy osób obracających się w sferach, które uchodziły tu za eleganckie, położone były wyżej, na wzgórzu.

Aileen nie miała czasu na towarzyskie wizyty. Przybyła do Free town wyłącznie po to, by dowiedzieć się, jaki los spotkał Willa - i jeśli to możliwe, uratować go.

Miała dwadzieścia siedem lat i była tak samo przedsiębiorcza jak jej rodzeństwo, dlatego nie znała żadnego powodu, by nie spróbować przekonać się, co może dziać. Tym bardziej że dwaj starsi bracia nie mogli w tej chwili ruszyć Willowi na pomoc.

Miała też przeświadczenie, że gdyby nie przebywała już w Londynie, rodzice nigdy nie zwróciliby się do niej w tej sprawie.

Jako jedyna panna była oczkiem w głowie całej rodziny. Nikt niczego od niej nie oczekiwał. Jedyne nadzieje, jakie w niej pokładano, wiązały się z dobrym zamążpójściem i prowadzeniem domu mężowi, którym najpewniej zostanie jakiś znajomy oficer marynarki.

Aileen w głębi serca wiedziała, że ta wizja jest mało realistyczna. Nie licząc już innych względów, jej charakter i ten dziwny, podskórny niepokój - to samo impulsywne pragnienie przygody, które skłoniło ją do wyprawy do kolonii - czyniły z niej zgoła nieodpowiedni materiał na łagodną,

potulną żonkę.

Poinformowawszy zwięźle rodziców o swojej decyzji, żeby przyjechać do Freetown i odkryć, co się stało z Willem, poświęciła kilka akapitów, by uśmierzyć ich obawy opisem miasta i swojego lokum, po czym streściła, czego się dowiedziała po wstępnych poszukiwaniach.

Poprzedniego dnia - był to jej pierwszy pełny dzień w kolonii - w nadziei na zdobycie jakichś informacji przed wizytą w ataszacie przeszła się po portowych tawernach, do których uczęszczali oficerowie marynarki. Wszędzie mieli oni swoje ulubione lokale, i choć Aileen z zasady nigdy nie zapuściłaby się bez towarzystwa do portowej knajpy, to w miejscach, gdzie gromadzili się oficerowie, chroniły ją jej rodzinne koneksje, a nazwisko Hopkins było dobrze znane w całej flocie.

Zgodnie z oczekiwaniami w jednej z tawern wpadła na kilku starych marynarzy, którzy znali jej brata. Przypuszczała, że jeśli Willa przysłano na ląd z jakimś zadaniem dotyczącym kolonii, u nich właśnie szukał informacji, i chciała wiedzieć, o co mógł wypytywać.

Nie myliła się. Stare wilki morskie twierdziły, że na krótko przed zniknięciem Willa ciekawiły dwa tematy. Przede wszystkim interesował się oficerem o nazwisku Dixon, stacjonującym w Forcie Thornton na szczycie Tower Hill. Już samo to było dość zaskakujące, lecz co dziwniejsze, Will wypytywał też o jakiegoś miejscowego duchownego, który odprawiał w kolonii nabożeństwa. Podobno sam wziął w nich udział co najmniej trzy razy.

Ze wszystkich braci Aileen najlepiej znała i rozumiała

właśnie Willa. Fakt, że dobrowolnie wziął udział w kościelnym nabożeństwie, oznaczał, że powodowało nim coś zupełnie niezwiązanego ze względami religijnymi.

Odłożyła pióro i przeczytała wszystko, co napisała. Po krótkim zastanowieniu uznała, że lepiej nie informować rodziców o planach uratowania brata, bo po co przysparzać im jeszcze więcej zmartwień. Zamiast tego powtórzyła tylko, że zamierza odkryć, gdzie zniknął ich syn, co brzmiało mniej niepokojąco. Zakończyła obietnicą, że wkrótce znowu napisze.

Osuszyła atrament piaskiem i zapieczętowała list, zastanawiając się jednocześnie nad dalszymi działaniami.

Spojrzała na mały zegar na kominku. Potem odsunęła się od biurka i podeszła do niskiej komody służącej za toaletkę. Zaczęła wyjmować szpilki z włosów, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze.

Jej blada cera i delikatny rumieniec na policzkach kojarzyły się z delikatną angielską różą. Twarz Aileen była niemal owalna, nos przeciętny, czoło szerokie. Największą jej ozdobą były lśniące orzechowe oczy, duże, ocienione długimi brązowymi rzęsami i dobrze osadzone pod delikatnie wygiętymi brwiami; inne kobiety czyniłyby z nich lepszy użytek, lecz ona rzadko myślała o takich rzeczach. Usta miała zupełnie znośne - różowe i dość pełne - lecz przeważnie zaciśnięte, co dobrze współgrało z wysuniętym stanowczo podbródkiem.

Jej włosy miały dość niezwykły i przyciągający uwagę miedziany kolor. Zazwyczaj opadały na ramiona lśniącymi falami, lecz w tej chwili pod wpływem wszechobecnej wilgoci

puszyły się niemal tak strasznie jak włosy pani Hoyt.

Wyciągnawszy szpilki, Aileen z ponurą determinacją ujęła szczotkę i w końcu zdołała upiąć loki w znośny kok.

Obróciła głowę w obie strony, żeby przyjrzeć się swojemu dziełu, po czym skinęła do odbicia w lustrze.

- To wystarczy na wizytę na plebanii.

Poprawiła kremową bawełnianą spódnicę i znowu zarzuciła na białą bluzkę pasujący żakiecik, nie zapinając go jednak z uwagi na upał. Wsunęła na nadgarstek troczki torebki, zabrała list i ruszyła do drzwi.

Od pani Hoyt wiedziała, że anglikańskim pastorem był tu niejaki pan Hardwicke, jego żonę zaś, panią Hardwicke, przed południem można było przeważnie zastać na plebanii. Aileen nie miała wątpliwości, że pastorowa będzie zorientowana co do nabożeństw odprawianych przez drugiego duchownego w kolonii.

Kładąc dłoń na klamce, przystanęła z wahaniem.

- Jest jeszcze ten oficer armii, Dixon - szepnęła do siebie.

A przecież, o ile wiedziała, Will nie miał w wojsku żadnych przyjaciół.

Stała przez chwilę niezdecydowana - plebania czy fort? W końcu zacisnęła usta i otworzyła drzwi.

Wyśle list i złoży wizytę na plebanii.

Na razie załatwi jedną sprawę. Krok po kroku dowie się wreszcie, gdzie zginął Will.

A potem go odzyska.

Dwa dni później Aileen wychodziła z prymitywnego kościółka, w którym miejscowy kapłan, niejaki Obo Undoto, odprawiał swoje nabożeństwa. Uwięziona między dwiema innymi damami dała się ponieść fali wychodzących, która rozlała się następnie po zakurzonej małym dziedzińcu.

Okazało się, że nawet nie musiała prosić pani Hardwicke o informację. Kiedy pojawiła się na plebanii, zastała grupkę miejscowych dam, które zebrały się na herbatę. Dołączyła do nich na zaproszenie gospodyni. Po dokonaniu prezentacji panie zaczęły rozmowę na temat wydarzeń w miasteczku i niejaka pani Hitchcock wspomniała, że następne nabożeństwo Obo Undoto odbędzie się w południe za dwa dni.

Po spotkaniu Aileen wyszła razem z nią i zapytała, jak trafić do kościoła Undoto. Dama ochoczo udzieliła jej wskazówek i dodała, że nabożeństwo na pewno jej się spodoba.

Kiedy tuż przed południem Aileen weszła do prostokątnej budowli, z trudem udało jej się znaleźć wolne miejsce, taki panował tu tłok. Ławki zapełniali ludzie stanowiący przekrój wszystkich ras i klas społecznych; Europejczycy różnych narodowości zgromadzili się głównie po lewej stronie, tubylcy zaś i członkowie innych afrykańskich ludów - głównie po prawej.

Zdumienie Aileen ustąpiło jednak, gdy usłyszała wspaniały tenor Undoto. Głosem przypominającym grzmot, z zapalem scenicznego artysty, duchowny zaprezentował coś bardziej przypominającego przedstawienie niż typową posługę religijną. Aileen zdążyła się już zorientować, że w kolonii nie ma zbyt wielu rozrywek, dlatego szybko przestała się dziwić

wypełniającym kościół tłumom. Wszystko było lepsze od przymusowej nudy, jaka musiała doskwierać wielu członkom zgromadzenia.

Nadal jednak nie tłumaczyło to udziału Willa w nabożeństwach. I to wielokrotnego. Aileen nie miała najmniejszych wątpliwości, że popisy Undoto nie zainteresowałyby jej brata.

Większą część nabożeństwa spędziła na przyglądaniu się wiernym i otoczeniu, szukając czegokolwiek, co mogło przyciągnąć Willa. Nic jednak nie zauważyła i nadal nie wiedziała, gdzie szukać klucza do tajemnicy.

Przedzierając się wolno przez tłum wypełniający teraz dziedziniec, zauważyła posiwiąłego starca – na pierwszy rzut oka rozpoznała w nim wilka morskiego – który w zamyśleniu oddalał się od kościoła. Miał staromodną drewnianą nogę i wspierał się ciężko na lasce.

Aileen od razu wiedziała, że spośród wszystkich wiernych Will najprawdopodobniej zainteresowałby się właśnie tym człowiekiem. Zawsze fascynowały go morskie opowieści.

Poszła za starcem. Gdy się z nim zrównała, odkryła, że na domiar wszystkiego miał tylko jedno oko.

– Przepraszam – zagadnęła. – Czy mogłabym z panem porozmawiać?

Stary żeglarz obrzucił wzrokiem jej twarz i ubiór, przystanął i uprzejmym ruchem uchylił czapki.

– Rozumie się, panienko. – Kąciki jego oczu zmarszczyły się w uśmiechu. – Stary Sampson, do usług. Zawszem chętny do pogawędki, choć co też taka elegancka dama może chcieć od

starego wilka, tego nie wiem.

Aileen uśmiechnęła się.

- Sprawa jest doprawdy bardzo prosta. Kilka miesięcy temu był tu mój brat. - Uściśliła słowo „tu”, pokazując ręką kościół.
- Jestem przekonana, że musiał z panem rozmawiać. Przepada za żeglarskimi opowieściami, a pan wygląda, jakby miał w zanadrzu niejedną historię.

Stary żeglarz oparł się obiema rękami na lasce i pokiwał głową.

- A tak - potwierdził. - Tu się panienska nie myli. W swoim czasie opłynąłem cały świat i nic mnie tak nie cieszy jak wspomnienia tamtych dni. To były czasy! Ale jak się nazywa brat panienki? - Zanim Aileen zdążyła odpowiedzieć, wyjaśnił:
- Szczycę się tym, że znam nazwisko każdego człowieka, którego tu zobaczę, przynajmniej spośród Europejczyków.

Wyśmienicie! Aileen uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Nazywa się William Hopkins - rzekła. - Jest porucznikiem i obecnie służy w tutejszej eskadrze.

- Will Hopkins? Oczywiście, że pamiętam. Ciekawy chłopak... Chętnie słuchał moich opowieści.

Aileen aż się rozpromieniła.

- Byłam pewna, że pana o nie zagadnął.

- Więc w czym mogę panience pomóc? - spytał Sampson, po czym uniósł krzaczaste brwi. - Młody Will nie zagląda tu od jakiegoś czasu i po prawdzie nigdy nie rozumiał, po co w ogóle tu przychodził. Takie młokosy jak on potrafią zwykle znaleźć sobie dość rozrywek, żeby nie zwracać uwagi na popisy Undoto.

- Wyobrażam sobie. - Faktycznie, mając trzech braci, Aileen potrafiła to sobie wyobrazić. - Wygląda jednak na to, że Will zaginął, więc przyjechałam tu sprawdzić, dokąd mógł się udać lub w jakim celu. - Zauważyła, że na te słowa Sampson nieco spochmurniał. Spojrzała na niego uważniej, przechylając głowę. - Zdaje się, że Will był na nabożeństwie więcej niż raz.

- Zgadza się. - Sampson skinął głową, lecz jego nieobecne spojrzenie wskazywało, że wieść o zniknięciu Willa przywiodła mu na myśl coś innego. - Był tu trzy razy.

- Może przypomina pan sobie, czy po nabożeństwie z kimś się spotykał? Może z jakąś młodą damą? A może kogoś obserwował?

Sampson pokręcił głową i odpowiedział w zamyśleniu:

- Ja nic takiego nie zauważyłem. A siadam z tyłu, więc widzę praktycznie wszystko, co tu się dzieje.

Wykluczwszy tym sposobem najbardziej oczywisty powód udziału Willa w modłach, Aileen doszła do wniosku, że musiało to mieć związek z jego misją. Niezależnie od tego, na czym polegała.

Ale jaki związek?

Podniosła wzrok ku twarzy Sampsona i stwierdziła, że w tym czasie staruszek wrócił myślami do niej i teraz przypatrywał jej się z niejaką troską.

- Co takiego? - spytała.

Sampson zmarszczył brwi.

- Może nie powinienem panience tego mówić, ale byli też inni, którzy o niego wypytywali... Jeden kapitan i jego załoga. Nie z marynarki, ale odniosłem wrażenie, że byli do tego...

upoważnieni. Jeśli panienka rozumie, co mam na myśli. Byli tu kilka tygodni temu i rozpytywali o ludzi, to jest oficerów, którzy bywali na nabożeństwach Undoto, a potem podobno... zniknęli. Nie wymienili panienki brata z nazwiska, ale jeśli dobrze pamiętam, mówili, że wśród zaginionych było dwóch oficerów marynarki.

Serce Aileen zabiło mocniej.

- Ten kapitan i jego załoga... Czy nadal tu są?

- Nie - odparł coraz bardziej strapiony Sampson. - Słyszałem, że w niejakim pośpiechu podnieśli kotwicę. Niektórzy gadają, że popłynęli do Kapsztadu, ale inni mówią, że odплыnęli na wiosłach i obrali kurs, który wyprowadził ich na północne trasy.

Starzec popatrzył badawczo na Aileen, po czym stanął prościej.

- Jeśli panienka pozwoli mi na śmiałość, temu kapitanowi Frobisherowi nie brakowało oleju w głowie. On i jego załoga wiedzieli, co robią. Rozpytywali o tych zaginionych i widać musieli odkryć... coś, co skłoniło ich do wyjazdu. Może wrócili z tym do Londynu. - Rozejrzał się szybko, po czym nachylił się bliżej i zniżył głos. - To prawda, że w tej kolonii dzieje się coś podejrzanego. Zdaje się, że zaginęło więcej osób, nie tylko kilku oficerów. O cokolwiek chodzi, sprawa jest na tyle gruba, że nawet tacy jak ten Frobisher wolą zachować ostrożność. Panienka to sobie zapamięta. Kto pyta o zaginionych, sam też może w końcu zniknąć. - Odsunął się i popatrzył jej w oczy. - Panienka mnie posłucha, takie rzeczy lepiej zostawić ludziom, którzy się na nich znają.

Informacja, że być może, wbrew wszelkim pozorom, ktoś – zapewne wysoko postawiony w Londynie – starał się odszukać zaginionych, sprawiła Aileen ogromną ulgę.

Niemniej osoby te nie przebywały obecnie w kolonii. A ona tak.

I Will wciąż się nie odnalazł.

Podczas gdy te myśli przelatywały przez jej głowę, Aileen nadal wpatrywała się w Sampsona. Widziała wyraźnie, że stary wilk morski przejął się sprawą. Odetchnęła głęboko, zawałała się, po czym skłoniła głowę.

- Dziękuję za ostrzeżenie, panie Sampson – powiedziała. - Proszę się nie obawiać, na pewno go nie zlekceważę.

Nie było potrzeby mówić mu, że informacja, iż Will miał do wypełnienia misję, w następstwie której zniknął, oraz że wcale nie był jedynym zaginionym, umocniła tylko jej postanowienie, żeby odnaleźć i w miarę możliwości uratować brata.

Pierwszym i oczywistym krokiem było dowiedzenie się czegoś więcej o tej misji.

Poza udziałem w nabożeństwach Undoto jedynym znanym Aileen odstępstwem w zachowaniu brata przed zniknięciem było jego zainteresowanie Dixonem, oficerem z fortu.

Między wojskiem a marynarką tradycyjnie istniało wiele animozji, dlatego ciekawość Willa musiała mieć charakter zawodowy, a więc związana była z jego misją. Na pewno próbował rozmawiać z Dixonem. W takim razie ona powinna zrobić to samo.

Pokonując z trudem ostatni odcinek drogi prowadzącej do otwartych wrót fortu, których strzegła przylegająca do palisady stróżówka, Aileen żywiła wielkie nadzieje, że ta wizyta pozwoli jej lepiej zrozumieć naturę misji Willa.

Doszedłszy do bramy, przystanęła i obejrzała się. Fort położony był na szczycie wzgórza górującego nad miastem i rozciągał się z niego urzekający widok na cały port, statki stłoczone na nabrzeżu oraz szeroką błękitną połąć delty. Przez długą chwilę Aileen rozkoszowała się tą scenerią.

Minęły trzy dni od jej rozmowy z Sampsonem pod kościołem Undoto. Spędziła je to na działaniu, to na wahaniu się. Wahanie wynikało z dręczących ją wątpliwości, czy Sampson nie miał może racji i czy nie lepiej przysłużyłaby się rodzinie, gdyby zrezygnowała i poczekała na oficjalne wiadomości...

Jednak za każdym razem, gdy docierała do słów „oficjalne wiadomości”, zaciniała się i nie była w stanie podążać dalej tym tokiem rozumowania.

Nigdy nie uwierzy, że czekanie, aż Willa uratuje ktoś inny – a zwłaszcza ktoś z oficjalnym upoważnieniem władz – to dobry wybór.

Działania jej były bardziej zdecydowane niż myśli: Aileen jeszcze raz poszła do tawern, które odwiedziła wcześniej, i spróbowała zdobyć więcej informacji o Dixonie. Uznała, że im więcej się dowie przed spotkaniem, tym lepszą będzie miała pozycję wyjściową do rozmowy.

Niestety ta strategia się nie sprawdziła. Z tych samych

powodów, dla których Aileen dziwiła się, że Will utrzymywał znajomość z oficerem armii, żaden z jego kompanów nie wiedział zbyt wiele o Dixonie, tyle tylko, że stacjonował on w Forcie Thornton.

I teraz wreszcie tu przyszła.

Odwróciła się i pokonała ostatnie kilka jardów dzielących ją od stróżówki i dwóch strażników w średnim wieku, którzy najwyraźniej cieszyli się słońcem.

Gdy podeszła, obaj wyprostowali się i z uszanowaniem dotknęli palcami czapek.

- Panienko - powiedział młodszy, kiwając głową.

- Dzień dobry - dodał starszy, prostując się jeszcze bardziej.

- Dzień dobry - odparła Aileen z uśmiechem. - Chciałabym rozmawiać z oficerem Dixonem. Jak rozumiem, stacjonuje w tym forcie.

Ku jej zdziwieniu strażnicy wymienili przeciągłe spojrzenia.

- Obawiam się, panienko, że to niemożliwe - powiedział wreszcie starszy z nich.

Aileen zamrugała, nie bardzo wiedząc, jak na to zareagować. Zanim podjęła decyzję, młodszy strażnik dodał:

- Widzi panienka, jego tu nie ma. Mówią, że ruszył szukać szczęścia w dżungli.

Starszy rzucił koledze karcące spojrzenie.

- Nie wierz w to, a tym bardziej nie rozpowiadaj wszystkiego, co usłyszysz - powiedział, po czym zwrócił się z powrotem do Aileen. - Kapitan Dixon był tu i powinien nadal być, ale zaginął kilka miesięcy temu i od tego czasu nikt ani go nie widział, ani o nim nie słyszał.

- Zniknął? - Aileen z trudem starała się zachować obojętny wyraz twarzy.

Mimo to starszy strażnik zmarszczył brwi.

- A dlaczego chciała panienka z nim rozmawiać? - zapytał.

Popatrzyła w jego przenikliwe oczy. Nie widziała powodu, żeby nie wyznać mu prawdy.

- Sądzę, że mój brat, porucznik marynarki, zaglądał tu, aby rozmówić się z kapitanem Dixonem. Musiało to być kilka miesięcy temu, trzy albo nawet więcej.

- Pamiętam! - Młodszy strażnik uśmiechnął się szeroko. - Bo aż się zdziwiłem, że jeden z tych morskich dra... to jest oficerów chce rozmawiać z kimś z naszych.

- Więc widział się... to jest mój brat... widział się z Dixonem?

Mężczyzna zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie mógł. Dixona już nie było. Zniknął dobre pięć tygodni wcześniej. Pamiętam, że tak właśnie powiedzieliśmy bratu panienki. Teraz, kiedy o tym myślę, długośmy z nim rozmawiali. To jest o tym, dlaczego Dixon tak nagle zniknął.

Starszy strażnik przyjrzał się Aileen uważnie.

- Czemu nie zapyta panienka brata, dlaczego chciał rozmawiać z Dixonem, kiedy eskadra zawinie do portu? Z tego, co słyszałem, powinna wrócić za jakiś tydzień.

- Gdybym tylko mogła - odparła Aileen ze smutną miną. - Niestety mój brat także zaginął.

- A to ci dopiero! - krzyknął młodszy strażnik, otwierając szeroko oczy. - Wielkie nieba! O co w tym wszystkim może chodzić?

Starszy popatrzył na kolegę, mrużąc oczy.

- Mówiłem ci. Nie wiem, co tu się dzieje, ale na pewno coś więcej niż to, co nam mówią.

Tydzień później wieczorem Aileen zarzuciła na ramiona szal i wyrwała się z ciasnoty pensjonatu na spacer po parku leżącym za plebanią, za ledwie kilka jardów drogą pod górę i w dół krótką alejką. Odkryła tę oazę spokoju przed sześcioma dniami i szybko stała się ona jej ulubionym zakątkiem do rozmyślań.

Słońce zaczęło już schodzić w kierunku horyzontu. O tej porze znad portu i delty często napływała chłodna bryza, która poruszała i odświeżała powietrze po dusznym, upalnym dniu.

Idąc żwirowaną ścieżką, Aileen skierowała się ku swojej ulubionej ławce pod rozpostartymi konarami wysokiego, cienistego drzewa. Zakątek był jak zwykle opustoszały. Aileen jak dotąd widziała w parku tylko kilka osób, z czego większość stanowiły niańki i guwernantki z podopiecznymi; o tej porze dnia zajmowały je jednak inne sprawy.

Wśród liści starego drzewa kryły się też długie brązowe owocnie, teraz obeschnięte. Pod wpływem leciutkiej bryzy wieczorny chór głosów wzbogacał się o ich cichy szelest. Ten znajomy już dźwięk brzmiał w uszach Aileen jak powitanie. Usiadła, pozwalając, aby szal zsunął jej się do łokci, dzięki czemu mogła się rozkoszować chłodem na skórze ramion.

Popatrzyła na niewielki trawnik - jakaś para właśnie

zmierzała ku wyjściu – po czym przeniosła wzrok na szeroką panoramę portu ze stojącymi w nim statkami i dalej na zatokę. Z tego miejsca widziała nawet przeciwległy brzeg, choć był tak daleko, że jawił się zaledwie jako gruba kreska ciemnej zieleni na skraju wody.

Była to naprawdę bardzo dziwna kraina.

Aileen powtarzała sobie, że znalezienie jakiegokolwiek śladu Willa po miesiącach od jego zniknięcia musi wymagać czasu. Nie tylko czasu, ale i wysiłku.

W poszukiwaniu tropów poszła na dwa kolejne spektakle Undoto. Przez cały czas obserwowała wszystko uważnie, rozpaczliwie wypatrując najdrobniejszej choćby wskazówki, czego Will tam szukał. Samo nabożeństwo wzbudzało w niej lekki niepokój, ale poza tym nic nie odkryła.

Ponownie rozmawiała z Sampsonem, ale nie usiłował dodać jej otuchy – czemu może nie należało się dziwić, skoro wcześniej tak ją odwodził od pomysłu prowadzenia poszukiwań.

Mimo to brak wsparcia z jego strony zwiększył jej zniechęcenie.

Spodziewała się, że po tak długim czasie zdoła się już czegoś dowiedzieć.

Aby nie ulec przygnębieniu, zajęła myśli rozciągającą się przed nią panoramą. Zatoką od strony oceanu płynął statek o zgrabnym kadłubie i trzech wyniosłych masztach. Nawet z tej odległości Aileen widziała wysoko na rejach maleńkie sylwetki marynarzy ściągających zdumiewająco liczne żagle.

Ten widok ją hipnotyzował. Kiedy tak patrzyła, statek

przemknął zwinnie obok wejścia do portu i popłynął dalej, trzymając się w pewnej odległości od brzegu.

Aileen zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie zawinął do portu. Przecież dalej wzdłuż lądu nie było żadnych osad – w każdym razie na tyle dużych, aby taka jednostka miała w nich czego szukać.

Dzięki żeglarskiej pasji braci Aileen miała nie byle jakie pojęcie o najnowszych modelach jednostek pływających. Opływowe linie statku, na który teraz patrzyła, zdawały się zdradzać jedno z ostatnich dzieł stoczni w Aberdeen. Ten typ zaczynało nazywać kliprami. Pod pełnymi żaglami – a do takiej żeglugi je zaprojektowano – kadłub unosił się i sunął nad wodą, ścinając fale.

Wyobraziła sobie, jak szybko ten statek pomknąłby przy dobrym wietrze. Niemal by frunął.

Will by się w nim zakochał.

- I jeszcze się zakocha - poprawiła się Aileen.

Zmarszczyła brwi, gdyż ten odruchowy tryb przypuszczający mimowolnie zdradził jej najgłębsze obawy.

Najlepszym sposobem na pozbycie się strachu jest stawić mu czoło. Aileen wcale nie miała na to ochoty, lecz zmusiła się, aby pomyśleć o tym, co nie do pomyślenia.

Nie uwierzy w to. Will nie umarł.

Zaginął, ale nadal żyje i musiał gdzieś tam być.

Można go odnaleźć. A to z kolei znaczyło, że można go uratować.

I ona tego dokona.

Nie podda się – nigdy się nie podda i nie zrezygnuje z brata.

Wreszcie statek, któremu się przyglądała, zwrócił się dziobem do brzegu. Podpłynął kawałek i rzucił kotwicę w drugiej zatoczce, licząc na wschód od portu.

- Pewnie dobili do brzegu tylko na jedną noc albo chcą po prostu nabrać wody.

Poczuła, że dość się już napatrzyła i teraz musi się zająć pilniejszymi sprawami.

Powtórzyła sobie - już po raz enty - wszystkie informacje, które udało jej się zdobyć. Teraz, kiedy wiedziała, po co Will szukał Dixona - bo chciał się dowiedzieć czegoś więcej o jego zniknięciu - musiała jeszcze tylko wyjaśnić dziwny udział brata w nabożeństwach Undoto.

Uznała, że ten trop jak na razie wystarczy. Albo Will zobaczył podczas modłów coś, czego ona jeszcze nie zauważyła, albo...

Nie potrafiła wymyślić innej możliwości.

Marszcząc brwi, rozejrzała się dokoła i zdała sobie sprawę, że zaczęło się ściemniać. W tropikach zmrok zapadał jak spuszczone na scenę kurtyna - zdumiewająco nagle i z brutalną ostatecznością.

Podniosła się. Kiedy słońce zaszło, temperatura zaczęła opadać. Aileen zarzuciła szal na ramiona i ruszyła energicznie w kierunku wyjścia z parku i Stancji Pani Hoyt.

Odruchowo zaczęła zwracać większą uwagę na otoczenie. Wynikało to tylko z nawyku; Aileen nie spodziewała się w tej okolicy żadnego zagrożenia.

Mimo to, skręcając w drogę biegnącą obok plebanii, musiała przyznać, że z nastaniem nocy atmosfera w kolonii ulegała

zmianie.

Nie tylko widoki i otoczenie robiły się bardziej mroczne.

Ruszyła prymitywnym chodnikiem w kierunku pensjonatu. Na frontowym ganku paliły się już lampy, a przez zasłony w saloniku wydobywał się zachęcający blask światła.

Nagle Aileen skojarzyła myśli, które chodziły jej po głowie, i z wrażenia niemal się potknęła.

- Może szukałam we właściwym miejscu, ale w niewłaściwym czasie - szepnęła.

Podobnie jak w każdym innym niebezpiecznym miejscu, gdzie czaili się przestępcy, tak i tutaj pora dnia miała ogromny wpływ na to, co można było zobaczyć.

Poczuła w sercu lekkość. Ruszyła dalej bardziej energicznym krokiem i z jeszcze większą determinacją.

Obserwowała Undoto za dnia. A powinna to robić wieczorem i nocą.

W końcu prawdziwe zło budzi się w ciemnościach.

Trzy

Robert zszedł z szalupy na rozklekotany pomost wzniesiony ze starych masztów powiązanych pnączami. Lepsze to niż brnąć przez wodę, pomyślał, i na pewno stąd szybciej wykona swoją misję, niż zawijając do głównego portu.

Noc zapadła kilka godzin wcześniej, jak zawsze niespodziewanie w tych stronach. „Trójzęb” był już wtedy gotowy, ale Robert celowo wstrzymał się z dobieciem do brzegu, dopóki nie ucichnie wieczorna krzątanina.

Wbił przenikliwe spojrzenie w mrok rozciągający się poza łąką jasnego piasku, ale niewielu ludzi było świadkami ich przybycia – jakiś starzec z butelką w ręce, siedzący pod walącą się chałupą, młodzieniec na stołku, naprawiający w skupieniu sieci, kilka kobiet i dzieci przemykających w cieniach jak duchy; nikt chyba nie zwracał specjalnej uwagi na statek.

Na pewno wszyscy dobrze wiedzieli, że lepiej nie gapić się zbyt nachalnie na przybyszów pokroju załogi Roberta – białych ludzi, którzy przyplýwali pod osłoną nocy, z dala od świateł kolonii.

Zamieniwszy kilka słów, Robert i czterej marynarze wybrani do pomocy zarzucili swoje torby na ramiona i szybko oddalili się od pomostu w rybackiej wiosce, która przycupnęła na brzegu płytkiej zatoczki na wschód od zatoki Kroo i głównego

portu Free town.

Robert ruszył przodem przez plażę. Przystanął, kiedy głęboki piasek ustąpił miejsca twardszemu gruntowi, a cienie pod chylącymi się palmami pogłębiły mrok, i zaczął czekać na swoich ludzi, którzy szli ku niemu z mozołem. Spojrzał na szalupę, która odpływała z przybrzeżnej płycizny. „Trójząb” majaczył niczym ciemna, niewyraźna plama unosząca się czy też dryfująca łagodnie na czarnych wodach zatoki.

Kiedy jego czwórka wreszcie się z nim zrównała, poprawił na ramieniu marynarski worek i ruszył w kierunku kolonii.

Wyszukiwał kolejne ścieżki, skręcając to w jedną stronę, to w drugą, i nieustannie prac na zachód. Przedzierali się przez zbiorowisko zaniedbanych ubogich chałup, które otaczały kolonię niczym koronka na kobiecej halce.

Robert pozostawił wszystkich oficerów na statku. Nie potrafiliby wtopić się w tłum tak swobodnie jak czterech mężczyzn, których ze sobą zabrał. Benson, Harris, Fuller i Coleman byli zwykłymi marynarzami – stare wygi, ale nikt w żadnym portowym mieście nawet nie zwróciłby na nich uwagi. Byli też bardzo doświadczeni w walce na wodzie i lądzie. Podsumowując, mieli najlepsze kwalifikacje do zadań, jakich zdaniem Roberta wymagała ta misja.

Jordan Latimer, pierwszy oficer i zastępca kapitana, bynajmniej nie był z tego zadowolony, podobnie jak nawigator Hurley i sternik Miller. Przywykli do tego, że sami towarzyszą kapitanowi. Żaden jednak nie sprzeciwił się ani słowem. Fakt, że tym razem Robert wybrał innych pomocników, świadczył po prostu o tym, jak bardzo ta misja różniła się od zwyczajnych

zleceń, w których często trzeba było pokazać się na salonach, a nawet salach balowych.

Robert pozostawił więc statek w rękach swoich oficerów, przykazując, aby w każdej chwili byli gotowi podnieść kotwicę. Gdy tylko szalupa wróci, mieli oddalić się od brzegu, wypłynąć z powrotem na deltę i zaszyć się gdzieś, skąd będą mieli widok na rozklekotany pomost, a jednocześnie dadzą mieszkańcom okolicy wyraźny sygnał, że ani nie stanowią zagrożenia, ani nie chcą się z nikim zadawać.

Robert przystanął i obejrzał się, żeby sprawdzić, czy wciągnięto już szalupę i czy „Trójzęb” wypłynął z powrotem na głębiny, ale widok zasłaniały mu porastające brzeg palmy i czarne zarysy wioskowych chat z dachami krytymi palmowymi liśćmi.

Jego ludzie stłoczyli się tuż za nim. Robert odwrócił się i ruszył dalej w mrok.

Bywał już we Freetown i pamiętał dość dobrze rozkład kolonii, ponadto Declan i Edwina całymi godzinami opowiadali mu o obecnym wyglądzie miasta. Choć zatem nie miał żadnej przyzwoitej mapy, orientował się, którądy powinien iść.

Wreszcie weszli od wschodu do centralnej części kolonii, o czym świadczyły dobrze wytyczone ulice (nawet jeśli zamiast porządnej nawierzchni pokrywała je ubita ziemia), i ruszyli w kierunku dzielnicy handlowej. Tam znajdowały się sklepy, składy, gospody i tawerny świadczące wszelkiego rodzaju usługi podróżnikom, którzy kręcili się między końcową częścią Water Street a nabrzeżem.

Robert przystanął na środku ciemnej uliczki prowadzącej

z jednej strony do Water Street, z drugiej zaś do kei używanych przez miejscowych rybaków. Rozejrzał się i powiedział do swoich ludzi:

- Poszukajmy jakiejś gospody, najlepiej takiej dla kupców. Potrzebne mi lokum w tej okolicy. Spotkajmy się tutaj za jakieś dziesięć minut.

Wszyscy czterej kiwnęli głowami i rozproszyła się po alejkach. Sam Robert udał się w kierunku Water Street, ale znalazł tam tylko sklepy i biura, zawrócił więc do umówionego miejsca.

Z jednej z uliczek wybiegał właśnie truchtem Benson.

- Tam jest niezły lokal, panie kapi... to jest proszę pana. - Marynarz ruchem głowy wskazał kierunek, z którego przybiegł. - Może się nada.

- Zobaczymy, co znajdą pozostali - odpowiedział Robert.

Okazało się, że Harris wyszukał inną gospodę, ale miał wątpliwości co do oferowanych przez nią usług.

- Coś mi się widzi, że trochę za bardzo zaniedbana i szemrana. Bo przecież mamy grać szacownych ludzi, prawda?

- W takim razie sprawdzmy, co znalazł Benson - rzekł Robert, wskazując głową w kierunku alejki.

Okazało się, że oberża doskonale odpowiadała ich potrzebom. Znajdowała się ledwie kilka kroków od uliczki wychodzącej na Water Street, była niewielka, skromna i prowadzona przez niestrudzoną parę, która wyraźnie dbała o bezpieczeństwo oraz przyzwoite warunki i pragnęła chronić prywatność swoich gości.

Podając się za kupca przybywającego do kolonii, żeby zorientować się, jakie towary można eksportować stąd do Europy i obu Ameryk, Robert wynajął trzy spore sypialnie – jedną dla siebie i dwie dla pozostałych.

Jego ludzie doskonale wcielili się w role, które im przydzielili, z szacunkiem witając się z gospodynią i spokojnie zbywając propozycję gospodarza, żeby służba zaniósła ich bagaże na górę.

Robert upewnił oberżystkę, że nie śmiałyby kłopotać jej o tej porze o posiłek, po czym przyjął zapaloną lampę i wszedł za resztą po wyszorowanych schodach.

Jego pokój był schludny i czysty, łoże nieco solidniejsze od zwykłej pryczy, z dobrze wypchanym materacem, zaopatrzone w przyzwoitą pościel i delikatną moskitierę zawieszoną na metalowej obręczy. Resztę umeblowania stanowiły zwykłe biurko i krzesło o prostym oparciu. Robert szybko wypakował nieliczne ubrania i kilka drobiazgów, które ze sobą zabrał, po czym wrzucił torbę do wąskiej szafy.

Naradziwszy się z Declanem i Edwiną, postanowił zrezygnować z postoju w głównym porcie, wejść na teren kolonii na piechotę i przybrać tożsamość, która pozwoli mu trzymać się z dala od ciekawskich oczu miejscowych władz. A jeszcze dalej od tutejszej śmietanki towarzyskiej.

Declan był tu zaledwie kilka tygodni wcześniej i zbyt wiele osób mogłoby dostrzec łączące ich podobieństwo. Włosy Roberta były nieco ciemniejsze, a rysy bardziej surowe niż brata, ale obaj mieli niebieskie oczy; Edwina nie miała cienia wątpliwości, iż większość ludzi z całą pewnością rozpozna

w nim kogoś z rodu Frobisherów.

Podróż poślubna stanowiła na tyle wiarygodny pretekst dla wizyty Declana, żeby nie wzbudzić podejrzeń, lecz pojawienie się kolejnego brata zaledwie miesiąc później na pewno zaniepokoiłoby każdego przestępcę mającego dojście do władz...

Na szczęście Robert nie miał nic przeciwko prymitywnym – w porównaniu z miejscami, w których zwykle wypadało mu się zatrzymać – warunkom. Podszywanie się pod kupca oznaczało, że nie musiał bawić się w składanie wizyt ani grać dżentelmena, dyplomaty i kapitana w jednym. Przed nikim nie musiał się mizdrzyć. Mógł zwyczajnie zabrać się do pracy i natychmiast zacząć szukać śladów handlarzy niewolników oraz ich obozu.

Kiedy zszedł z powrotem na dół, jego ludzie czekali już przy drzwiach. Robert kiwnął im głową i razem wyszli na zewnątrz.

Przystanęli przed wąskim gankiem, który biegł wzdłuż frontu gospody. Robert rozejrzał się w mroku, nasłuchując odległych, acz wesołych głosów dobiegających na pewno z portowych tawern.

Wszędzie panował spokój.

- Pora trochę powęszyc. - Uśmiechnął się lekko i kiwnął głową w kierunku cichszej części miasta. - Chodźmy na spacer.

Wyszli z powrotem na uliczkę prowadzącą do Water Street i ruszyli pod górę w kierunku dzielnicy mieszkalnej oświetlonej słabymi migotliwymi latarniami.

Wszyscy rozglądali się uważnie, zapisując w pamięci punkty

orientacyjne, i z rzadka odwracając się, żeby popatrzeć na kolonię i port w dole.

- Doki zostawimy sobie na koniec - powiedział Robert, wsuwając ręce do kieszeni.

Tam groziło im największe niebezpieczeństwo: on lub jego ludzie mogli zostać rozpoznani. Ale w końcu do tego czasu ci na tyle trzeźwi, by ufać świadectwu swoich oczu, wrócą już do łóżek, a pozostałych nie należało się obawiać.

Gdy doszli do fortu - zbitki budynków ukrytych za drewnianą palisadą - skryli się w cieniach, żeby nie zauważyli ich strażnicy pełniący wartę na oświetlonym terenie przed bramą.

- Jak oni mogą myśleć, że kogokolwiek zobaczą w tych światłach? - mruknął Coleman.

- Zobaczą, zobaczą - odparł Fuller. - Tylko za późno, żeby się obronić.

Usta Roberta drgnęły od powstrzymanego śmiechu, kiedy usłyszał te szydercze uwagi. Jego załoga nie należała co prawda do marynarki, ale traktowała tych, którzy pełnili służbę na lądzie, z pogardą typową dla ludzi morza.

Kierując się znowu w dół wzgórza, odczuwał spore zadowolenie z tego, co zdołali osiągnąć. Zanim położą się do łóżek, będą już pobieżnie zorientowani w rozkładzie kolonii, tak że jej nieznajomość nie przeszkodzi im w wykonaniu misji.

Jutro zaś wezmą się porządnie do pracy.

Gospoda stanowiła bezpieczną bazę. Kościół Undoto i tawerna, w której bywał stary żeglarz Sampson, znajdowały się nieco powyżej i w bok od niej - łatwo będzie tam dojść.

W tym samym kierunku, ale dalej od centrum, leżała też dzielnica biedoty, gdzie mieszkała kapłanka Lashoria.

Idąc Water Street i przyglądając się kolejnym sklepom i biurom, Robert myślał o swoich potencjalnych kontaktach, czyli o Lashorii, Sampsonie i Babingtonie. Z ich trojga najbardziej obawiał się prosić o pomoc Babingtona. Znał go lepiej niż Declan; ich drogi przecięły się kilka razy. Babington był zręcznym negocjatorem, a pozorna łagodność tylko mu to ułatwiała – pod tym względem przypominał samego Roberta. Robert uważał, że rodzina Babingtona nie doceniała go tak, jak na to zasługiwał. Chłopak marnował się tutaj, niańcząc Macauleya – choć Bóg wiedział, że staruszek ani nie potrzebował, ani nie pragnął niczyjej pomocy.

Babington mógłby być cennym sojusznikiem, ale próba rekrutacji mogła też okazać się dużym błędem – wszystko zależało od tego, wobec kogo młodzieniec był lojalny. Dopóki Robert się co do tego nie upewni, nie ujawni żadnych ważnych szczegółów misji – takich jak ten, że w grę może wchodzić kopalnia diamentów.

Postanowił więc najpierw rozmówić się z Sampsonem. Declan i Edwina mówili, że Lashorię najlepiej odwiedzać wieczorami, więc miał cały dzień, żeby dowiedzieć się czegoś od starego wilka morskiego.

Szedł za swoimi ludźmi, nie zwracając uwagi na to, dokąd się kierują. Kiedy wreszcie się na tym skoncentrował, stwierdził, że zatoczyli krąg i znajdowali się teraz na końcu Kei Rządowej.

Jego ludzie zatrzymali się przy schodkach prowadzących na

samą keję i obejrzeni się na Roberta.

Po lewej stronie rozciągał się port. Nigdzie w zasięgu wzroku nie widać było żadnych jednostek marynarki. Na łagodnej fali kołysało się za to wiele kupieckich statków.

- Nie idźmy tędy - powiedział Robert.

To mogło być niebezpieczne. Zbyt wielu kapitanów flot handlowych znało jego twarz.

Powiódł wzrokiem po rzędzie budynków stojących wzdłuż nabrzeża. W większości z nich mieściły się urzędy, przedstawicielstwa, kapitanaty i podobne instytucje. Z okolicznych alejek i uliczek napływały cichnące już odgłosy zabawy. Nad samą wodą nie było jednak żadnych tawern.

- Przejdziemy wzdłuż budynków - rzekł. - Możemy wrócić do gospody z drugiej strony.

Jutro zaczną szukać porywaczy. Im wcześniej ich znajdą, tym szybciej Robert zlokalizuje ich obóz i ruszy z powrotem do Londynu, żeby poszukać sobie żony.

Instynktownie wzdragał się na samą myśl o tym ostatecznym kroku - przypuszczał, że większość mężczyzn odczuwa to samo - idąc jednak przez wilgotną ciemność nocy, odkrył, że już zaczyna nieśmiało zastanawiać się nad tym zagadnieniem i wyobrazać sobie przyszłą towarzyszkę życia.

Rankiem po dokonaniu wielkiego odkrycia, że powinna obserwować Undoto nocami, a nie za dnia, Aileen stała w swoim pokoju i przyglądała się przedmiotom rozłożonym na perkalowej kołdrze.

Przede wszystkim ubrania. Większość garderoby zostawiła u swojej londyńskiej przyjaciółki na Russell Square, tak więc wybór miała ograniczony. Między nabyciem biletu na statek a opuszczeniem Londynu zdążyła jednak kupić cztery proste, lekkie bawełniane kostiumy składające się ze spódnic z dobranymi do nich żakietami. Szwaczki dopiero co zaczęły szyć takie ubrania na angielski sezon letni, więc koszt był spory, lecz od momentu przyjazdu do kolonii Aileen cieszyła się ze swojej zapobiegliwości.

Najpraktyczniejszy na nocną eskapadę był kostium z granatowego diagonalu. Zaprojektowano go do noszenia w komplecie z jasną bluzką, lecz Aileen dokupiła też jedwabną bluzkę w tym samym granatowym odcieniu, na wypadek gdyby chciała podać się za wdowę.

Jak dotąd nie musiała się jeszcze uciekać do takich wybiegów, a przy męczących upałach nie miała ochoty ubierać się za dnia w ciemne barwy, dlatego teraz dysponowała zupełnie nienoszonym ciemnym strojem.

- Z kapeluszem i woalką... - Skrzywiła się i popatrzyła na sekretarzyk, na którym leżał jej jedyny kapelusz, słomiany. Zmarszczyła nos. - Ten absolutnie się nie nada.

Widziała jednak malutki zakład modniarski ukryty w okolicy Water Street. Jeszcze raz popatrzyła na rozłożone na łóżku ubrania, a potem na to, co miała na sobie - kolejny komplet, tym razem w kolorze delikatnej cytrynowej żółci z bluzką barwy kości słoniowej. Ciemne ubranie i kapelusz nie będą jej potrzebne aż do wieczora; jeśli upora się do popołudnia ze wszystkim, co zaplanowała, będzie miała dość czasu, aby

zajrzeć do modystki i wybrać sobie odpowiedniejsze nakrycie głowy, a do tego duży kawałek czarnego tiulu na woalkę. Była pewna, że to jedno nie będzie stanowić problemu; w kolonii na pewno urządzano sporo pogrzebów.

Podjąwszy decyzję na temat ubrania i nakrycia głowy, odwróciła się do otwartych walizek. Odkryła, że wśród innych rękawiczek spakowała też parę czarnych, sięgających do połowy przedramienia. Idealnie. Odłożyła je na bok i uniosła spódnicę, żeby przyjrzeć się zakurzonym półbutom. Znakomicie się nadadzą do skradania się ciemnymi zaułkami.

Jeśli chodzi o garderobę, była doskonale zaopatrzona.

- Następny punkt: wyposażenie.

Włożyła rękę do walizki i wyciągnęła spod ubrań coś, co wyglądało jak pudełko od jubilera, oraz jedwabny składany futerał z rodzaju tych, w jakich damy przechowują perły.

Podeszła do biurka i położyła na nim oba przedmioty. Uśmiechając się do siebie, usiadła na stołku, otworzyła pudełko i spojrzała na mały amerykański pistolecik, który dostała na ostatnie urodziny od najstarszego brata. Umiała już posługiwać się zwykłymi pistoletami, ale rzetelnie ćwiczyła na tym mniejszym i teraz uważała, że wyśmienicie strzela, przynajmniej na niezbyt dużą odległość.

Rozwiązała tasiemki jedwabnego zawiniątka i rozłożyła je, odsłaniając dwa ostre sztylety i osełkę. Upewniwszy się, że wszystko jest na miejscu, zajęła się pistoletem. Podniosła go delikatnie z aksamitnej poduszeczki i, czując w dłoni znajomy ciężar, zabrała się za czyszczenie.

Ta czynność, którą wykonywała już wiele razy, nie

zaprzętała zbytnio jej uwagi i Aileen mogła wędrować myślami. Była przekonana, że zniknięcie Willa miało jakiś związek z Undoto. Zamierzała obserwować kaznodzieję wieczorami i nocami, dopóki nie odkryje wszystkiego, co jest do odkrycia.

- W tym musi się kryć jakaś tajemnica - szepnęła.

Zacisnęła usta. Jej spojrzenie skierowane było na pistolet, który trzymała, ale Aileen zdawała się go nie widzieć.

Kiedy go złożyła, odłożyła go na bok i podniosła z kolei osetkę i jeden z noży. Rozległ się dźwięk ostrzenia metalu. Aileen musiała przyznać, że w gruncie rzeczy nie może być pewna, czy dzięki obserwowaniu Undoto odkryje cokolwiek związanego ze sprawą, ale nie miała innych tropów.

Podąży więc tym śladem i przekona się, dokąd ją zawiedzie.

Gdy to postanowiła, przemyślała kwestie praktyczne. Przede wszystkim musiała się dowiedzieć, gdzie mieszka Undoto.

To nie powinno nastręczać trudności, lecz potrzebowała transportu.

Robert znalazł Sampsona dokładnie tam, gdzie się go spodziewał - w głównej sali tawerny, nad którą starzec mieszkał.

Stary żeglarz siedział przy narożnym stoliku z głową pochyloną nad gazetą i nawet nie podniósł wzroku, kiedy Robert i jego ludzie weszli do niskiego pomieszczenia.

Pora była dość wczesna, lecz Robert kupił po piwie dla

siebie i swojej załogi, a także dla Sampsona, po czym podszedł z dwoma kufkami do stołu, przy którym siedział stary wilk.

Dopiero wtedy Sampson łaskawie podniósł wzrok.

Na widok młodzieńca zamrugał szybko i odchylił się, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

Robert uśmiechnął się i postawił oba kufki.

- Można się przysiąść?

Sampson popatrzył na pozostałych i, rozpoznając w nich podobnych sobie morskich wyjadaczy, uśmiechnął się szeroko.

- Ależ proszę - powiedział, kiwając głową i wracając spojrzeniem do Roberta, który zdążył podsunąć mu jeden kufel. - Dziękować, dziękować. Już widzę, że czeka mnie ciekawy poranek.

Robert usiadł naprzeciwko niego.

- Czy to nie pański brat był tu niedawno? - spytał Sampson.

- Niejaki kapitan Frobisher?

Robert przytaknął.

- Owszem. To mój młodszy brat.

- A z pana też chyba kapitan, zgadza się?

Robert kiwnął głową i pociągnął długi łyk. Napój smakował zupełnie inaczej niż w domu, ale nadal dało się w nim rozpoznać piwo. Opuścił kufel i popatrzył w badawcze oczy Sampsona.

- Jesteśmy tu, aby podążać tropem, na który wpadł mój brat.

Starzec spoważniał.

- A tak... I dobrze. Zauważyłem, że niektórzy wierni przestali przychodzić na modły do Undoto, ale nie kręcę się dużo po kolonii, więc myślałem, że po prostu im się znudziło.

Brat i jego załoga mówili jednak, że ci ludzie zaginęli. Wnoszę, że jeszcze się nie znaleźli?

- W rzeczy samej. Próbujemy odkryć, gdzie się znajdują, i zorganizować ratunek. Brat wspominał, że może byłby pan skłonny udzielić nam informacji.

Sampson pokiwał głową.

- Chętnie pomogę, jak tylko będę mógł. - Po czym, wyginając usta w cierpkim grymasie, dodał: - Choć ostatnimi czasy udzielanie informacji to szczyt moich możliwości.

- Mimo to będziemy bardzo wdzięczni za pomoc - oznajmił Robert, upijając kolejny łyk. - Proszę powiedzieć, czy zauważył pan jakieś zmiany w zachowaniu stałych uczestników nabożeństw, zwłaszcza odkąd był tu mój brat.

- Hm. - Sampson zmarszczył z namysłem brwi. Podniósł kufel i napił się, po czym stwierdził: - Największa zmiana dotyczy chyba jejmości gubernatorowej, to jest lady Holbrook. Przestała przychodzić, będzie już kilka tygodni. Jak się zastanowić, to wychodzi, że nie ma jej, odkąd odpłynął pana brat. - Sampson rzucił Robertowi bystre spojrzenie. - Dość nagły był ten jego wyjazd... On i jego statek zniknęli z dnia na dzień.

- Brat miał ze sobą żonę.

- Pamiętam... Śliczna była jak obrazek. - Marynarz pokiwał energicznie głową.

Robert uśmiechnął się lekko.

- Niech się pan nie da zwieść jej urodzie. W każdym razie ona i brat napotkali z powodu tego śledztwa pewne trudności i musieli się wycofać. Przybyłem tu, żeby ich zastąpić. Mam

pociągnąć dochodzenie dalej.

- Rozumiem, no ale poza tym, że lady Holbrook już się nie pokazuje na nabożeństwach, nie zauważyłem żadnych innych znaczących zmian, a przecież mogło jej się zwyczajnie znudzić albo zachorowała, albo jest zajęta.

- Wie pan, czy sam Holbrook nadal przebywa w kolonii?

- Z tego, co słyszałem... Choć może powinienem raczej rzec, że nie słyszałem, żeby gdzieś wyjechał. - Sampson uśmiechnął się szeroko. - Nieszczególnie mam okazję obracać się w takim towarzystwie, więc trudno mi powiedzieć, co porabia gubernator.

- Potwierdzę to zatem u kogoś innego. - Robert musiał to wiedzieć; Wolverstone i Melville będą czekali na informację, jak stoi sprawa z Holbrookiem. Przyglądał się, jak Sampson wychyla duży łyk piwa. - A słyszał pan może, czy nie zaginął ostatnio ktoś jeszcze albo czy działo się coś dziwnego?

Sampson ściągnął usta.

- Nie słyszałem, żeby zniknął ktoś z okolic Tower Hill - powiedział po chwili - ale w dokach mówili, że kilku z marynarki nie pojawiło się na stanowiskach. Lecz w tych okolicach trudno stwierdzić, czy zniknęli jak tamci, czy po prostu zabrali manatki i poszli szukać lepszego losu albo zaciągnęli się na jakiś prywatny statek. - Sampson wzruszył ramionami. - Tego się pewnie nie dowiemy.

- Rzeczywiście - przyznał Robert.

Na tym właśnie polegał problem: w takich miejscach nie brakowało ludzi, którzy szli, gdzie ich oczy poniosą.

Nagle Sampson przysunął się bliżej, a jego głos nabrał

bardziej zdecydowanego brzmienia.

- Ale zdarzyło się coś, czegom się nie spodziewałem. Pewna młoda dama... no, nie bardzo młoda, ale względnie młoda, jeśli pan rozumie... pojawiła się na jednym z nabożeństw Undoto. Cały czas rozglądała się uważnie. Zauważyła mnie i po zakończeniu podeszła porozmawiać. Szukała swojego brata, porucznika marynarki o nazwisku Hopkins. Widywałem go na nabożeństwach kilka miesięcy temu. Nie myliła się, młody Will rzeczywiście mnie zagadywał. Lubił słuchać moich opowieści.

Robert znał dwóch starszych braci Hopkinsów.

- Ta dama... podała może swoje nazwisko?

Sampson zmarszczył brwi w głębokim namyśle, lecz na koniec pokręcił głową.

- Nie. Zakładam, że nazywa się Hopkins, ale była w takim wieku, że mogła już wyjść za mąż i nawet owdowieć, więc może nosi teraz inne nazwisko. - Zanim Robert zdążył to skomentować, mówił dalej: - Tak czy owak zadawała różne pytania. Chciała wiedzieć, co spowodowało jej brata na nabożeństwa. Pytała, czy interesował się może jakąś młodą damą, lecz rozwiałem te podejrzenia. Ale miała rację: chłopak taki jak Will Hopkins nie marnowałby tam czasu, a już na pewno nie więcej niż jeden raz.

- Posłano go na poszukiwania Dixona, wojskowego inżyniera, który zaginął przed nim - wyjaśnił Robert, nie widząc powodu, aby zatajać tę informację.

- Ach, no cóż... Panna Hopkins, czy jak się tam nazywa, nie zdawała sobie z tego sprawy, za to wiedziała tak samo jak ja, że Will musiał mieć powód, by brać udział w modłach.

Wypytywała mnie, o co mogło chodzić. – Sampson popatrzył Robertowi w oczy. – Powiedziałem jej o pana bratu i że rozpytywał o dwóch zaginionych oficerów, w tym zapewne Willa. I że musiał się szybko wycofać, że opuścił kolonię i być może wrócił do Londynu. Powiedziałem też, że ludzie, którzy interesują się zaginionymi, sami często znikają. Starałem się ją przekonać, żeby dała sobie spokój i zostawiła to tym, którzy się znają na takich rzeczach.

– I udało się panu? – spytał Robert, unosząc sceptycznie brew.

– Nie wydaje mi się. Przyszła na kolejne dwa nabożeństwa i widać było wyraźnie, że nie chodziło o talenty krasomówcze Undoto.

Robert skrzywił usta. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była wydelikatniona, ale uparta panienska wtykająca nos w jego nieskomplikowaną misję.

– Orientuje się pan, gdzie ona mieszka?

– Nie bardzo. Domyślam się, że gdzieś na Tower Hill.

– A jak wygląda? – Pytanie zadał Benson.

Sampson zastanowił się przez chwilę, przywołując w głowie obraz dziewczyny.

– Miedziane włosy... tak jakby jasnobrązowe. I lśniące, nie bardzo ciemne. Orzechowe oczy. Średniego wzrostu, ładnej figury, ale ciasno zasznurowana. Stuprocentowa Angielka. Gdybym musiał zgadywać, rzekłbym, że przywykła stawiać na swoim. Nie nazwałbym jej pełną werwy, ale jest chyba bardzo przedsiębiorcza.

Robert poczuł przebiegający po grzbiecie dreszcz

niepokoju. Do diaska! Będzie musiał podjąć jakieś działania, żeby ją zniechęcić. Nie mógł ryzykować, że jakaś panna wyskoczy niespodziewanie w najmniej odpowiednim momencie i przeszkodzi mu w misji. A skoro chodzi o siostrę Hopkinsa, to przez wzgląd na znajomość z jej starszymi braćmi Robert powinien wsadzić ją na pierwszy możliwy statek i odesłać do Anglii.

- Powiedziałem jej jasno - dodał Sampson, prychnąwszy lekko - że wtyka nos w niebezpieczne sprawy. Wysłuchała mnie, ale niech mnie licho, jeśli wzięła to sobie do serca.

Na chwilę zapadła cisza. Robert dopił piwo, zastanawiając się, jak damulka pokroju panny Hopkins mogła trafić w takie miejsce jak Freetown. Oczywiście siostrzane oddanie to rzecz niebagatelna, ale rodzeństwo musiało być ze sobą naprawdę blisko związane, skoro elegancka panna odważyła się na długi rejs w te strony, do kolonii położonej na samych obrzeżach cywilizacji. Sam fakt, że w ogóle znalazła się we Freetown, i na dodatek z uporem drążyła sprawę, zapowiadał, że przekonanie jej do rezygnacji i potulnego powrotu do domu nie będzie łatwym zadaniem.

A to, że wpadła na trop nabożeństw Undoto i znalazła Sampsona, sugerowało, że nie brakowało jej inteligencji.

Będzie musiał odsunąć pannę Hopkins od sprawy, i to szybko. Zanim sytuacja jeszcze bardziej się skomplikuje.

Odstawił kufel na stół i popatrzył na swoich ludzi, a potem na Sampsona.

- Muszę rozmówić się z kapłanką wodun, Lashorią. Brat mówił, że mieszka wśród biedoty na wzgórzu po wschodniej

stronie kolonii. Nic się w tym względzie nie zmieniło?

- O ile mi wiadomo - przytaknął Sampson.

On również dopił piwo.

- Jest też pewien dżentelmen o nazwisku Babington - mówił dalej Robert. - Charles Babington. Z nim też będę musiał porozmawiać. Wie pan, gdzie on mieszka?

- To ten młodszy partner Macauleya, tak?

Robert przytaknął.

- W takim razie odpowiedź będzie prosta. Mieszka w garsonierze nad biurami spółki. Na Water Street. Na pewno pan znajdzie.

Robert pokiwał głową. Zauważył siedzibę spółki Macauley & Babington poprzedniego wieczoru, kiedy chodził ze swoimi ludźmi po mieście.

O zmierzchu odwiedzi Lashorię, a potem zdecyduje, co zrobić w kwestii Babingtona.

- Nasza gospodyni wspominała, że dziś w południe Undoto urządza jedno ze swoich przedstawień - powiedział nagle.

- To prawda. - Sampson pokiwał kudłatą głową. - Właśnie się tam wybierałem.

- Moglibyśmy się przyłączyć?

- Jak najbardziej. - Stary żeglarz wziął laskę i podźwignął się z ławki. Uśmiechnął się serdecznie do Roberta i jego ludzi.

- W towarzystwie zawsze raźniej.

Po wyjściu z tawerny Robert puścił załogę przodem, a sam został z tyłu, żeby dotrzymać towarzystwa utykającemu starcowi. Rozglądał się uważnie dookoła, kiedy w przyjaznym milczeniu wspinali się wolno na wzgórze.

Wątpił, czy będzie musiał prosić Sampsona o wskazanie ważnych osobistości wśród wiernych. Zorientował się, że starzec uwielbia dzielić się wiedzą i demonstrować swoją spostrzegawczość. Mimo to kiedy przystanęli na skraju dziedzińca przed kościołem, mruknął do niego:

- Jeśli zauważy pan siostrę Hopkinsa...

Sampson pokiwał głową.

- Pokażę ją panu. - Rozejrzał się po ludziach wchodzących do kościoła. - Nie widzę jej tu, ale może jest już w środku. - Wskazał laską drzwi. - Chodźmy.

Dziedziniec okalający prostokątny budynek kościoła był nieco szerszy z jednej strony; to tam pod rzędem dużych drzew dających trochę cienia stało kilka ławek. Naprzeciwko kościoła zatrzymywały się powozy. Panie i panowie wysiadali z nich i przechodzili przez placyk do drzwi, uśmiechając się, gawędząc i pozdrawiając nawzajem jak podczas jakiegoś wydarzenia towarzyskiego.

Ruszając do wejścia, Robert doznał nagle dziwnego uczucia - uczucia, które doskonale znał.

Rozejrzał się i jego spojrzenie zatrzymało się na powozach. Większość z nich wyglądała zwyczajnie. Były czarne, zakurzone, anonimowe i niczym się nie wyróżniały.

Nic prostszego, jak ukryć się w takim pojeździe, żeby kogoś obserwować.

Nie po raz pierwszy Robert stał się obiektem czyjegoś zainteresowania. Jeśli dama zorientowała się, że to zauważył, pewnie nie zechce wyjść z powozu, dopóki Robert nie wejdzie do kościoła.

Młodzieniec nie miał jednak czasu na takie gierki, dlatego szybko wtopił się w tłum wchodzących do kościoła.

- Mam nadzieję, że zdoła pan przemówić jej do rozsądku - zauważył Sampson.

- Zrobię, co w mojej mocy - odparł Robert.

Nie spodziewał się, że podczas tej misji będzie musiał posługiwać się swoim talentem dyplomatycznym, ale gdy chciał, potrafił być bardzo przekonujący.

Wchodząc do środka, rozejrzał się z ciekawością. Zauważył, że wierni stoją w małych grupkach. Jego ludzie weszli już wcześniej i usadowili się w ostatniej ławce. Robert skierował się za Sampsonem w kąt po lewej stronie drzwi.

Starzec usiadł na stojącym tam taborecie i wyciągnął wygodnie drewnianą nogę. Rozejrzał się po ludziach siedzących w ławkach.

- Nie widzę jej. Jeszcze nie przyszła - mruknął.

Robert stanął oparty o ścianę, tak jak kilku innych mężczyzn, i powiódł wzrokiem po pomieszczeniu.

Gdy tylko zobaczy tę kobietę, ostrzeże ją, żeby trzymała się z dala od dochodzenia - zamierzał być przy tym o wiele bardziej zdecydowany i przekonujący niż Sampson.

Ten jeden raz dostało mu się cudownie jasne i konkretne zadanie. Siostra Hopkinsa może i była zdeterminowana, ale on również; nie pozwoli, aby cokolwiek przeszkodziło mu w jak najszybszym wykonaniu misji.

Kiedy ostatni uczestnicy nabożeństwa weszli już pośpiesznie

do kościoła, Aileen odchyliła się na poduszki wynajętego powozu.

Zastanawiała się, czy dołączyć do zgromadzenia, ale nie sądziła, że kolejny popis oratorskich talentów Undoto pozwoli jej dowiedzieć się czegoś nowego. Lepiej posiedzieć tu i zebrać siły. Podwinęła rolety zasłaniające okna powozu i bryza lekka jak oddech musnęła włosy na jej karku.

Opuściwszy pensjonat pani Hoyt, poszła na Water Street i wynajęła powóz na resztę dnia. Kazała się zawieźć pod kościół, tak aby przybyć na miejsce tuż po jedenastej i zatrzymać na skraju dziedzińca obok innych pojazdów. Celowo wybrała to miejsce jako doskonały punkt obserwacyjny; miała stąd widok na cały placyk oraz boczne drzwi bliżej drugiego końca budynku. Dzięki temu widziała, jak Undoto przybywa do kościoła ulicą, która pięła się wokół wzgórza. Wszedł do środka bocznymi drzwiami, podobnie jak chórzyci, ministranci i kilku starszych mężczyzn, którzy pojawili się zaraz po nim. Jeden z nich otworzył potem główne wejście.

Większość wiernych przybywała albo z niżej położonych części wzgórza, albo – w przypadku Europejczyków – drogą wiodącą z zachodu. Aileen nie zdążyła jeszcze zbadać okolicy, z której nadszedł Undoto.

Ale zbada ją później, kiedy pójdzie za kaznodzieją do jego domu. Tymczasem przez następną godzinę nie miała nic do roboty poza cierpliwym oczekiwaniem.

Cierpliwość nie była jej mocną stroną, lecz dla Willa Aileen gotowa była i na większe poświęcenie.

Z braku innego zajęcia zaczęła przypominać sobie członków zgromadzenia, których spotkała na poprzednich nabożeństwach, i zastanawiać się, czy od tego czasu nie wydarzyło się coś nowego.

Nagle przypomniała sobie człowieka, który przyszedł razem z Sampsonem – wydawało jej się, że nigdy go tu nie widziała.

Mężczyzna był wysokiego wzrostu, szeroki w barach, ale szczupły. Mocny, zwinny. Emanował powściąganą siłą. Sampson był wyraźnie zadowolony z jego towarzystwa, co sugerowało, że to marynarz, lecz Aileen i tak by się tego domyśliła po charakterystycznym kołyszącym się chodzie nieznajomego.

Odległość nie pozwoliła jej wyraźnie dojrzeć oblicza mężczyzny, ale mimo to Aileen musiała przyznać, że zrobił na niej wrażenie.

Zauważyła też szpadę u jego boku. Nie była to broń pospolitego marynarza. Gdyby dziewczyna miała zgadywać, powiedziałyby, że intrygujący przybysz jest kapitanem, kimś nawykłym do wydawania rozkazów i cieszącym się posłuchem. Potwierdzał to nieco wyniosły sposób bycia i to, jak obserwował otoczenie.

Nie zapomniała wzmianki Sampsona o niejakim kapitanie Frobisherze, który wypytywał o zaginionych. Zastanawiała się, czy to nie on – może wrócił, żeby pociągnąć śledztwo... Lecz to wydawało się mało prawdopodobne, skoro nieznajomy nie był wcześniej na nabożeństwach.

Żar słońca kładł się ciężkim płaszczem na ziemi, a w powietrzu unosił się bardzo odległy gwar dobiegający

z centrum kolonii i portu.

Kołysana nim Aileen czuła, jak zaczynają jej opadać powieki. Po chwili pozwoliła sobie je przymknąć.

Bynajmniej nie przysnęła. Oczyma duszy wciąż widziała nieznanego mężczyznę. Nie nosił munduru. Przypomniała sobie słowa Sampsona na temat kapitana Frobishera: nie z marynarki, ale upoważniony. Pewnie starszek miał na myśli, że kapitan Frobisher cieszy się wsparciem ze strony władz.

A zatem to kapitan, ale prawie na pewno nie kapitan jednostki marynarki.

Przypomniała sobie kliper, który poprzedniego wieczoru sunął z gracją przez zatokę.

Może ten człowiek był jego kapitanem?

Aileen zaczęła myśleć o statku. Musiała przyznać, że i on wzbudził jej zaciekawienie - chciałyby móc go obejrzeć, zbadać, popłynąć nim, stanąć na jego pokładzie i poczuć, jakby fruwała nad falami. Dawno już zrozumiała, że morze przyzywa ją równie silnie co jej braci...

Te rozmyślenia przerwały głosy na dziedzińcu. Aileen otworzyła oczy i zobaczyła, że nabożeństwo wreszcie dobiegło końca. Undoto stał w drzwiach kościoła, żegnając się z wiernymi.

Znowu zauważyła nieznanego mężczyznę, który tak ją zaintrygował. Zamieniwszy kilka słów z czterema marynarzami - czyżby członkami jego załogi? - posłał ich przodem, a sam został przy Sampsonie i towarzyszył mu w powolnym schodzeniu ze wzgórza.

Jego kurtuazyjne zachowanie w stosunku do jednonogiego

marynarza bardzo jej się podobało. Najwyraźniej mężczyzna uznawał fakt, że nawet starzec pokroju Sampsona zasługuje na szacunek.

Po chwili obaj zniknęli jej z oczu.

Aileen wróciła spojrzeniem do kościoła. Ponownie nakazując sobie cierpliwość, czekała, aż wszyscy wierni się rozejdą. Kiedy odeszła ostatnia osoba, Undoto i jeden ze starszych ludzi, którzy mu pomagali, zamknęli drzwi, podczas gdy dwaj inni mężczyźni zasłaniali okna matami z plecionej trzciny.

Aileen przeniosła wzrok na boczne drzwi. Ministranci i chórzyci już poszli. Potem wyszli starcy i rozeszli się każdy w swoją stronę, machając i wołając do siebie na pożegnanie.

Wreszcie pojawił się sam Undoto, który zatrzasnął i zamknął drzwi na klucz.

Aileen miała ochotę wychylić się z powozu, lecz powstrzymała się; nie założyła jeszcze kapelusza i woalki.

Patrzyła, jak Undoto idzie wzdłuż kościoła na dziedziniec. Minął jej powóz, nie zwracając na niego większej uwagi, i ruszył po żwirze w kierunku drogi.

Aileen zacisnęła kciuki, modląc się, aby szedł prosto do domu, zamiast kręcić się po kolonii.

Undoto dotarł do ulicy i skręcił pod górę w kierunku, z którego przybył.

Aileen wypuściła powietrze - nawet nie zauważyła, że wstrzymywała oddech. Wybrała ten powóz, ponieważ pod kozłem znajdowało się małe okienko, przez które mogła wyglądać ponad grzbietami koni. Właśnie przez to okienko dostrzegła, jak Undoto idzie zakurzoną ulicą. Odczekała

jeszcze trochę, po czym wstała, przeciągnęła się i podniosła małą klapkę w suficie powozu.

- Panie woźnico?

Mężczyzna poderwał się z miejsca i powóz aż się zakołysał.

- Tak, panienko?

- Miałam nadzieję, że zastanę tu swoją przyjaciółkę, ale nie było jej na nabożeństwie. Chyba trochę przysnęłam. Przybyłam w te strony niedawno, więc skoro już tu jesteście, czy moglibyśmy przejechać się tą ulicą biegnącą tam pod górę? - Pokazała drogę, którą obrał Undoto. Duchowny prawie już zniknął jej z oczu. - Tylko bardzo powoli. Proszę po prostu jechać spokojnie, a ja dam znać, kiedy się naoglądam i będziemy mogli wracać na Water Street.

- Dobrze, panienko.

Powóz zakołysał się, ruszając z miejsca, a Aileen zachwiała się i usiadła. Woźnica trzymał się jej poleceń i jechał w spokojnym, wolnym tempie. Przez małe okienko z przodu Aileen widziała w oddali Undoto. Szedł energicznym krokiem, więc dystans między nimi zmniejszał się bardzo powoli.

Okolica stanowiła coś pośredniego między dzielnicą biedoty a Tower Hill. Domy wyglądały skromnie, ale schludnie; większość stała na osobnych działkach. Ogródki były niezbyt bujne, lecz obejścia i ścieżki wyłożono kamieniami. Nieliczne osoby, które Aileen zauważyła po drodze, zdawały się należeć do miejscowego odpowiednika niższej klasy średniej.

Powóz nadal dzieliło od Undoto dobre pięćdziesiąt jardów, kiedy kaznodzieja przeszedł nagle na drugą stronę ulicy, podszedł do jakiegoś domu, otworzył drzwi i zniknął w środku.

Powóz potoczył się dalej i siedziba kapłana pozostała z tyłu. Usatysfakcjonowana Aileen oparła się wygodnie na poduszkach. Przyjrzała się domowi wystarczająco dobrze, aby móc go rozpoznać, nawet nocą.

Jej zadanie na to popołudnie - przygotowanie do wieczornego przedsięwzięcia - zostało wykonane.

Odczekała jeszcze minutę, po czym znowu uniosła klapkę.

- Już się napatrzyłam - powiedziała. - Możemy wracać na Water Street. Wsiądę w połowie ulicy.

Musiała jeszcze zajrzeć do modystki.

A potem...

Nie miała co prawda całkowitej pewności, że dom należał do Undoto, lecz kapłan wszedł do środka bez najmniejszego wahania. Gdyby składał tam tylko wizytę, na pewno zapukałby do drzwi.

W każdym razie wszystko wyjaśni się wieczorem.

Kiedy powóz staczał się wolno ze wzgórza, skręcając w kierunku centrum miasta, Aileen jeszcze raz zastanowiła się, czy jest w pełni przygotowana. Gdy już dokona niezbędnych zakupów u modystki, będzie musiała zająć się jeszcze jedną sprawą: wynajęciem pojazdu, w którym można się ukryć, podobnego do tego, którym właśnie jechała. Najmując pierwszego lepszego woźnicę, ryzykowała, że ten zacznie rozpowiadać o jej dziwnych eskapadach i adresie, spod którego ją odbierał, niestety jednak nie widziała innego rozwiązania. Będzie musiała po prostu zaufać człowiekowi, którego wynajmie.

- Co oznacza - mruknęła do siebie - że muszę dopilnować,

aby rzeczywiście okazał się godny zaufania.

Najpierw kapelusz i woalka, potem przyzwoity woźnica.

Kiedy upora się z jednym i drugim...

- Wtedy będę mogła się przekonać, z kim przestaje Undoto.

Cztery

Zapadł zmrok. Krętych uliczek dzielnicy biedoty, w której mieszkała Lashoria, nie oświetlały żadne latarnie.

Robert szedł równym krokiem alejką, która zgodnie ze słowami Declana miała prowadzić do czerwonych drzwi domu kapłanki. Gdzieś w cieniach za nim kryli się Benson i Coleman. Obaj byli prawdziwymi mistrzami w sztuce śledzenia. Robert wiedział, że za nim podążają, a mimo to nie słyszał ich i nie wyczuwał ich obecności.

Czuł za to wokół siebie atmosferę slumsu – gęstej, zbitej ludzkiej ciżby. Zapachy i dźwięki drażniły jego zmysły, duchota, przed którą nie było ucieczki, nie ułatwiała sprawy. Jak większość miejscowych, Robert zrezygnował z fraka. Niestety jednak biel jego koszuli w mroku sprawiała, że czuł się jak chodzący cel.

Aby oderwać od tego myśli, zaczął się zastanawiać nad wydarzeniami popołudnia i nabożeństwem odprawianym przez Undoto. Fakt, że był już uprzedzony do kaznodziei, lecz tak czy inaczej buńczuczna, wręcz wojownicza mowa kapłana sprawiała, że miał ochotę zgrzytać zębami. Przynajmniej teraz on i jego ludzie będą potrafili rozpoznać Undoto.

Z przodu po prawej stronie mignęło mu coś jasnoczerwonego.

Chwilę później Robert stanął pod domem Lashorii.

Ani Declan, ani Edwina nie wspominali nic o tym, że jaskrawa czerwień drzwi poplamiona była czernią.

Czarna farba wyglądała na świeżą.

Przez gruby materiał przesłaniający okno frontowego pokoju nie prześwitywało żadne światło. Declan i Edwina nie wspominali też o zasłonach – przeciwnie, Declan mówił, że z sofy w pokoju mógł wyrzeć na ulicę.

Robert poczuł, jak podnoszą mu się włosy na karku.

Odetchnął głęboko, wszedł po dwóch stopniach i mocno zapukał. Musiał to zrobić jeszcze dwa razy, zanim usłyszał w głębi domu szuranie, zbyt lekkie jak na mężczyznę.

Drzwi stanęły otworem i Robert popatrzył w twarz wynędzniałej staruszki.

- Czego pan chce?

Pytanie brzmiało napastliwie, lecz chrapliwy głos kobiety był niepewny.

Zanim Robert zdążył odpowiedzieć, starowina zmierzyła go wzrokiem, po czym utkwiała spojrzenie w jego twarzy. Zmrużyła oczy.

- Pan... Nie, to musiał być pana brat. Był tu wcześniej. On i jego ładna żonka.

- Owszem – przytaknął. - Oboje rozmawiali z Lashorią. Ja też muszę się z nią zobaczyć.

Kobieta otworzyła szerzej oczy i przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa.

Potem rozejrzała się po alejce, złapała Roberta za rękaw i szarpnęła.

- Niech pan wejdzie. Szybko.

Robert nie potrzebował dalszej zachęty. Przeszedł próg i wyminął staruszkę, która zatrzasnęła drzwi i zabarykadowała je dwoma ciężkimi ryglami.

Odwróciła się i skinęła na niego ręką.

- Niech pan idzie za mną.

Poprowadziła go korytarzem, który Robert znał już z opisu Declana i Edwiny, lecz zamiast skierować się do pokoju na końcu - czyli, jak to określiła Edwina, do gabinetu Lashorii - skręciła w lewo i zeszła wyciętymi w ziemi prymitywnymi schodami. Na ostatnim stopniu Robert musiał schylić głowę, żeby przejść pod górną belką. Gdy wyprostował plecy, stwierdził, że znajduje się w małym podziemnym pomieszczeniu. Wbudowany w ścianę piec świadczył, że to kuchnia.

Kobieta przysiadła na stołku obok wąskiego drewnianego stołu. Pojedyncza świeczka na stole rzucała krąg złocistego światła.

- Proszę - powiedziała starowina, podsuwając Robertowi zydę. - Siada pan.

Robert usiadł po lewej stronie. Kobieta złożyła ręce na blacie i popatrzyła mu w oczy.

- Zabili ją... te bestie. Zabili moją Lashorię.

Robert to podejrzewał - inaczej skąd wzięłaby się czerń na drzwiach? - lecz emocje w głosie kobiety i zjadliwa nienawiść, jaką ujrzał w jej oczach, sprawiły, że zastygł. Potem nabrał powietrza i zapytał:

- Kto?

- Handlarze niewolników, którzy pracują z Undoto. -

Kobiecina zacisnęła dłonie. – Zabili ją, bo rozpowiadała o ich nikczemności.

– Nikczemności?

Robert nie musiał zadawać więcej pytań. To jedno słowo wystarczyło, aby tama puściła. Staruszka dała upust swojej nienawiści do „tych bestii”. Robert pozwolił jej krzyczeć, łkać i złorzeczyć, jednak zauważył, że kobieta nie uroniła ani jednej łzy, jakby już wszystkie wypłakała.

Czekał w milczeniu, towarzysząc jej w tym cierpieniu, a kiedy kobiecina wreszcie umilkła, odezwał się cicho:

– Mój brat i jego żona nie mieli nic wspólnego ze śmiercią Lashorii. Kiedy stąd wyszli, ich również zaatakowano.

Staruszka zbyła go machnięciem ręki.

– Myśli pan, że tego nie wiem? Że w ogóle bym z panem rozmawiała, gdybym sądziła, że...? – Pokręciła głową. – Wiem, że to nie oni. Byłam przy tym. – Pokazała ręką w górę. – Byłam w swoim pokoju na piętrze, kiedy Lashoria wypuściła pana brata i jego żonę tylnymi drzwiami. Wyjrzałam i zobaczyłam, jak schodzą ze wzgórza. Ale nagle rozległo się walenie do drzwi wejściowych i Lashoria... poszła otworzyć. A wtedy oni weszli do środka... te bestie. Wszystko słyszałam. Uderzyli ją i wepchnęli do pokoju. Zaczęli ją bić. – Kobieta wypuściła z drzeniem powietrze. – Przestali dopiero wtedy, gdy umarła.

Staruszka zapatrzyła się w dal, a jej dłonie znowu się zacisnęły.

– Nic nie mogłam zrobić, żeby ją ocalić... moją śliczną Lashorię. Te potwory nie wiedziały, że tu jestem, pod tym

samym dachem. Inaczej mnie też by zabiły.

Robert wyczuł w głosie staruszki, że ma wyrzuty sumienia.

- Nie mogłaby pani nic zdziałać - rzekł. - Ale jeśli wie pani, kto to zrobił, proszę mi powiedzieć. Nie mogę obiecać rychłej sprawiedliwości, ale można ją wymierzyć na wiele sposobów.

Kobieta przez długą chwilę przyglądała mu się w milczeniu, po czym skinęła głową.

- Lashoria o nich opowiadała i ją zabili. Ale ja jestem bardzo stara... A teraz, kiedy jej zabrakło, nie mam po co żyć. Równie dobrze mogę więc wszystko powiedzieć.

Robert milczał. Miał doświadczenie w sztuce negocjacji i wiedział, kiedy nie należy naciskać.

Staruszka przypatrywała mu się przez kilka chwil, po czym znowu skinęła, tym razem bardziej zdecydowanie.

- To był Kale i jego ludzie - powiedziała. - Słyszałam jego głos i jestem pewna, że to on.

- Kto to jest Kale?

- Przywódca jednej z szajek handlarzy niewolników. Znam go z dawnych czasów. Mój mąż należał do nich przed laty, więc poznałam Kale'a, gdy był jeszcze młodzieniaszkiem.

- Wie pani, gdzie się znajduje jego obóz?

Robert wstrzymał oddech. Niemożliwe, aby jego misja okazała się tak łatwa.

Starowina potrząsnęła głową.

- Teraz już nie. Teraz dowodzi Kale, aroganckie z niego bydlę. Wszystko musi być po jego myśli. Inaczej niż kiedyś.

- Niech mi pani powie, co wie o tym Kale'u. Jak on wygląda?

- To Anglik, ale nie czystej krwi. Mieszaniec. Niczym

specjalnie się nie wyróżnia. Trzeba dopiero popatrzeć mu w oczy albo go usłyszeć. Jego głos uległ uszkodzeniu podczas walki, w której zabił poprzedniego przywódcę szajki. Kale... to prawdziwy wąż, szybki do walki na pięści i ostrza, a do tego przebiegły i bystry.

- Jak działają ci handlarze niewolników? Lashoria powiedziała mojemu bratu, że był w to zamieszany Undoto.

- Owszem! - syknęła kobieta. - Ten to wąż innego rodzaju. Ale nie on przewodzi, nie. Przywódcą jest Kale, nie ma cienia wątpliwości. Undoto to jego... stręczyciel. Tak, tego słowa szukałam. Undoto pokazuje kogoś palcem i mówi: „ten”, a wtedy Kale i jego ludzie go zabierają. Tak to działa.

Robert przypomniał sobie, że Declan i Edwina podkreślali, iż porwani zdawali się osobami nieprzypadkowymi, wyselekcjonowanymi. Kilka faktów ułożyło się w jego głowie. Lady Holbrook знаła pochodzenie praktycznie każdego Anglika w kolonii. Mówiła Undoto, kto odpowiada jego potrzebom, a on wskazywał daną osobę Kale'owi. Lecz kto informował lady Holbrook i Undoto, jakiego rodzaju ludzi mają szukać?

Nie znajdując odpowiedzi, Robert odłożył to pytanie na później.

- Mówiła pani, że jej mąż pracował dla handlarzy niewolników. Co robią porywacze, kiedy już kogoś schwytają?

- Najpierw zabierają ofiarę do swojej kryjówki.

- Kryjówki?

Kobieta prychnęła.

- Handlarze niewolników nie kręcą się po ulicach za dnia.

Za bardzo zwracaliby na siebie uwagę, no i w biały dzień trudniej kogoś uprowadzić. Ryzyko jest większe. Czekają więc na zmrok, żeby porwać swoją ofiarę. Ale obozują głęboko w dżungli... - Stara wykonała szeroki ruch dłonią. - To za daleko, żeby codziennie przychodzić stamtąd do miasta, więc urządzili sobie kryjówkę tu, gdzie mogą zaszyć się za dnia. Zabierają tam wszystkich, których porwą, zanim przeniosą ich do obozu.

- Orientuje się pani, gdzie może się znajdować kryjówka Kale'a? - Nie. Ale gdzieś wśród biedoty. Chyba nie w tej okolicy, ale pewności nie mam.

- A co może mi pani powiedzieć o obozie Kale'a? Każdy szczegół się przyda.

- Niewielu z tych, którzy widzieli obóz handlarzy niewolników, wraca, żeby o nim opowiadać - powiedziała stara, krzywiąc się. - Wszystko, co wiem, usłyszałam od męża wiele lat temu. Obozy muszą znajdować się daleko w dżungli, poza obszarami patrolowanymi przez wojsko i poza terenem wiosek, inaczej miejscowi wodzowie narobiliby handlarzom kłopotów. - Kobieta popatrzyła Robertowi w oczy. - Tutejsi wieśniacy nie uznają niewolnictwa... Niewiele osób w tych stronach je popiera.

Robert skinął głową. Wiedział, że niektóre północne plemiona pomagały czasem handlarzom niewolników, którzy polowali na tubylców z interioru, ale sądził, że teraz, kiedy we Freetown stacjonuje Eskadra Zachodnioafrykańska, okolica stała się wolna od tej plagi.

- Jeśli to coś pomoże, to ta sprawa ze znikającymi Anglikami

nie ma nic wspólnego ze zwyczajnym handlem żywym towarem.

- Naprawdę?

Robert przysunął się bliżej, jakby chciał zachęcić kobietę do dalszej rozmowy.

- Kale całe lata zajmował się handlem niewolnikami, ale dopiero teraz, od kiedy zaczął pracować z Undoto, zabrał się za Europejczyków. Takie rzeczy nigdzie się nie zdarzały, a już na pewno nie tutaj. W końcu pod nosem jest fort, no i eskadra, więc po co się narażać na gniew gubernatora i jego ludzi? To jedna kwestia. Poza tym ofiary wybierano bardzo uważnie. Dlaczego porywano akurat te osoby, a nie inne? Człowiek to człowiek, więc czemu tak im zależy na konkretnych ludziach?

Bo porywają tylko tych, których zniknięcie nie wzbudzi zaniepokojenia. Robert nie powiedział tego na głos, lecz nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Staruszka wyprostowała się i odsunęła od stołu, unosząc dłonie. - To wszystko zupełnie nie trzyma się kupy. Ani trochę. To bardzo dziwne, że pozwalają sobie na coś takiego tuż pod nosem angielskiego gubernatora.

Gubernatora, który jak dotąd wykazał się wyjątkową obojętnością na sytuację, lecz Robert powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że nawet to zostało z góry zaplanowane.

Docierało do niego, że Holbrook naprawdę nie ma nic wspólnego z całą sprawą.

Staruszka wydawała się coraz bardziej zmęczona, a Robertowi nie przychodziły już do głowy żadne pytania. Podniósł się, a kiedy na niego spojrzała, ukłonił się lekko.

- Dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać. - Zawahał się, po czym sięgnął do kieszeni. - Nie chciałbym, żeby pani to źle odebrała... - Wyjął trzy suwereny i położył je na stole. - To za fatygę.

Staruszka przyglądała się monetom przez długą chwilę, po czym zgarnęła je ręką.

- Żebaków nie stać na to, żeby nie przyjąć pomocy. Dziękuję panu.

Robert znowu się zawahał.

- Nie sędzę, żeby to mogło panią pocieszyć, ale pomoc, jakiej pani i Lashoria nam udzieliły, ocali wielu ludzi.

Kobieta uniosła głowę. W jej ciemnych oczach na nowo rozbłysnął ślad wcześniejszej nienawiści.

- Kale. Niech pan na niego uważa. On jest jak wściekły pies. Nie można spuszczać go z oczu. Ale jeśli pan i pańscy ludzie zdołają zakończyć jego życie, umrę szczęśliwa.

Robert przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym skinął głową.

- Postaram się. - Odsunął się od stołu. - Sam wyjdę, ale niech pani potem zarygluje drzwi.

Wrócił na górę, odsunął rygle i wyszedł na dwór. Zamknął za sobą poplamione czernią drzwi i zszedł po stopniach.

W alejce przystanął i zaczerpnął głęboko powietrza - w kuchni było ono gęste od potężnych emocji, dla których nie było ujścia. Kiedy usłyszał dźwięk ponownie ryglowanych drzwi, wyprostował się i ruszył z powrotem.

Jedynym znakiem, że Benson i Coleman znaleźli się przy nim, był delikatny podmuch powietrza.

- Dowiedział się pan czegoś? - spytał cicho Benson.

- Wystarczająco dużo jak na początek - odparł Robert.

Kierując się w dół wzgórza, próbował poskładać najnowsze informacje, tak aby uzyskać jakiś obraz działań porywaczy. Kilku z ich szajki musiało stale przebywać w kryjówce. Undoto - lub może lady Holbrook, kiedy jeszcze tu była - posyłał po nich i wskazywał konkretną ofiarę, a oni uprowadzali ją pod osłoną nocy. Wracali do kryjówki - może składali tam raport, no i pewnie woleli trzymać wszystkich porwanych w jednym miejscu - po czym tej samej lub następnej nocy zabierali uprowadzonych do obozu.

Robert musiał poznać jego położenie. Lecz najpierw, co oczywiste, powinien odnaleźć kryjówkę porywaczy w mieście.

Zmrok zapadł przed kilkoma godzinami.

Aileen, ukryta w czarnym, niewielkim i niewyróżniającym się powozie, wierciła się nieustannie ze zniecierpliwieniem.

Kazała woźnicy - nosił imię Dave, był rodowitym londyńczykiem i zrobił na niej najlepsze wrażenie spośród wszystkich fiaków, z którymi rozmawiała - zajechać do pensjonatu o zachodzie słońca. Pokierowała go okrężną drogą, aż w końcu zatrzymali się w malutkiej alejce, która łączyła się z drogą wiodącą do kościoła niemal naprzeciwko domu Undoto.

Z tego miejsca Aileen mogła obserwować przez okienko pod kozłem całą fasadę domu kaznodziei, a także biegnącą po prawej stronie alejkę. Sądziła - czy raczej miała nadzieję - że

dzięki temu zobaczy każdego, kto będzie wchodził do domu lub z niego wychodził zarówno przednim, jak i tylnym wyjściem.

Poruszyła się na siedzeniu. Podniosła torebkę, czując w niej ciężar pistoleciku, po czym odłożyła ją z powrotem na bok. Gdyby ją spytać, czego się spodziewa i co pragnie osiągnąć dzięki tej obserwacji, nie byłaby w stanie udzielić żadnej konkretnej odpowiedzi poza tym, że przynajmniej ma jakieś zajęcie, a ponadto nie natrafiła przecież na żadne inne ślady, którymi mogłaby podążyć.

Ale gdzieś w głębi serca czuła – jej matka nazywała to kobiecą intuicją – że to właściwa droga, aby odnaleźć Willa.

Wszystko kręciło się wokół Undoto. Na pewno dzięki obserwacji jego domu Aileen dowie się czegoś więcej.

Jak dotąd zauważyła jedynie jakąś staruszkę, która wyszła boczną furtką, żeby nakarmić resztkami okoliczne psy.

Tłumiąc westchnienie, Aileen wbiła spojrzenie w dom i po raz kolejny nakazała sobie cierpliwość.

Usłyszała nadchodzących mężczyzn, zanim ich zobaczyła; odgłos ciężkich kroków na zakurzonej ulicy niósł się w ciszy i wpadał przez otwarte okna powozu. Aileen szybko wyjrzała przez okienko. Modliła się w duchu, aby Dave wykonał jej polecenie i udawał, że śpi na koźle.

Okazało się jednak, że czterech rośliwych, uzbrojonych mężczyzn, którzy pojawili się z lewej strony i weszli na ścieżkę wiodącą do frontowych drzwi domu Undoto, nie spojrzęło nawet na powóz. Byli arogancko pewni siebie, szli dziarskim krokiem i śmiali się cicho, kiedy ich przywódca

pukał ogromną pięścią do drzwi.

Księżyc stał wysoko na niebie, oświetlając front domu srebrzystym światłem. Aileen przyjrzała im się uważnie. Wszyscy mężczyźni byli mocno opaleni, ale przywódca wyglądał na Anglika, podczas gdy pozostali sprawiali wrażenie mieszańców. Byli rozluźnieni i swobodni, wyraźnie czuli się jak u siebie. To był ich teren, na którym dzierżyli absolutną władzę, więc nie spodziewali się tutaj żadnego wyzwania.

Aileen przyszło do głowy, że gdyby nawet zorientowali się, że ich obserwuje, łypnęliby tylko na nią pożądliwie i zbyli ją wzruszeniem ramion jak drobiazg, którym nie należy się przejmować.

Drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Undoto. Aileen dostrzegła uśmiech, jakim powitał przybyszów. Uścisnął rękę przywódcy i wpuścił wszystkich do domu, wymieniając z nimi uwagi i klepiąc ich po plecach, a potem cofnął się i zamknął drzwi.

Aileen opadła na siedzenie.

I co teraz?

Kusiło ją, żeby wysiąść z powozu, przekraść się przez ulicę i zajrzeć przez okno frontowego pokoju. Dom był jednak długi i Aileen nie miała pewności, że Undoto zaprosi gości akurat do tego pomieszczenia, ryzyko zaś... było zbyt wielkie.

Nie licząc już groźby wykrycia przez obserwowanych, byłaby doskonale widoczna dla wszystkich przechodniów i mieszkańców domów po przeciwnej stronie ulicy. Nawet w swoim ciemnym ubraniu rzucałaby się w oczy.

Zniecierpliwiona postanowiła pozostać na miejscu. Kryjąc

się w mroku powozu, spoglądała przez okienko na drzwi domu Undoto, z których nic nie dało się wyczytać.

Niecierpliwość i impulsywność to były jej dwie największe wady; musiała się wystrzegać i jednego, i drugiego.

Pragnąc zająć czymś umysł, zaczęła się zastanawiać nad tym, co widziała.

Czterech mężczyzn.

Zeszli z górnej części wzgórza. Aileen zauważyła już wcześniej, że uliczka biegnie wokół łagodnej krzywizny zbocza i znika w okolicy, której dziewczyna nie miała jeszcze okazji zbadać. Stamtąd właśnie przyszli.

Czy tam mieszkali?

To, co zobaczyła, nie pozwalało sądzić, że mieszkają z Undoto lub choćby w jego sąsiedztwie. Na pewno wyróżnialiby się spośród tutejszych mieszkańców.

Odniosła wrażenie, że oni i kapłan byli towarzyszami broni. A przynajmniej dobrymi współpracownikami. Wspomnienie tego, jak się nawzajem traktowali, tylko wzmocniło to poczucie.

Jakie zatem sprawy ich łączyły?

Aileen nie wiedziała o Undoto praktycznie nic poza tym, że prowadził te swoje nabożeństwa. Sampson również niewiele o nim słyszał.

Pomyślała o czterech przybyszach. Byli masywni i umięśnieni.

Sam Undoto także był wysoki, dobrze zbudowany i budził respekt, choć to ostatnie wpływało bardziej z siły jego osobowości niż postury. Przywódca uzbrojonej grupki był od

niego wyższy o kilka cali i pod względem fizycznym zdecydowanie sprawiał groźniejsze wrażenie.

Atmosfera zagrożenia na pewno nie umniejszała fakt, że każdy z nich miał na plecach lub u boku przynajmniej jedną broń o długim ostrzu, wszyscy też uzbrojeni byli w liczne noże.

Najemnicy?

Im dłużej o tym myślała, tym lepiej to słowo do nich pasowało.

Ale co mogło łączyć kapłana z grupką najemników?

Czy Will zniknął, ponieważ wszedł im w drogę? A przed nim Dixon?

Drzwi znowu się otworzyły. Najemnicy po kolei wyszli na zewnątrz. Na końcu szedł przywódca. Odwrócił się na ganku, żeby zamienić z Undoto ostatnie zdanie.

Aileen wbiła w nich wzrok i wyteńczyła słuch. Nie mogła rozróżnić poszczególnych słów, ale docierał do niej ton głosu obu mężczyzn.

Najemnicy nie byli zadowoleni, ale nie wyglądało na to, żeby mieli pretensje do Undoto. Z kolei kaznodzieja wydawał się zrezygnowany. Nie starał się uspokoić przywódcy szajki, lecz odpowiadał mu poważnie, jakby podzielał jego... rozczarowanie?

Takie wrażenie odniosła Aileen. Że najemnicy, podobnie jak Undoto, liczyli na coś i tego nie dostali.

Mężczyźni odwrócili się od gospodarza, nie zegnając się ani uśmiechem, ani gestem, ani słowem. Kiedy doszli do ulicy, skręcili w tym samym kierunku, z którego przyszli.

Aileen podskoczyła lekko na siedzeniu. Jeśli dalej dopisze jej szczęście...

Klapka na suficie powozu uniosła się i Aileen usłyszała szept Dave'a:

- Mam za nimi jechać, panienko?

- Tak - odparła również szeptem. - Ale w taki sposób, żeby nie zwrócili na nas uwagi. Trzymaj się daleko za nimi.

- Postaram się, panienko.

Klapka opadła na miejsce. Powóz ruszył do przodu i znowu stanął - Dave podjechał na tyle, by widzieć wzgórze, lecz nie skręcił jeszcze w ulicę.

Czekał, czekał, aż w końcu szarpnął lejcam i powóz potoczył się powoli. Jak większość dróg poza ścisłym centrum kolonii i ta była pełna wybojów i kolein, zmuszając wszystkich woźniców do wstrzymywania koni. Powóz poruszający się w bardzo wolnym tempie nie wzbudzał więc tutaj aż takich podejrzeń jak w Londynie.

Aileen wyjrzała przez przednie okienko. Na ulicy nie było latarni, a chmury przesłoniły teraz księżyc; w mroku nocy ledwo widziała ciemne sylwetki czterech mężczyzn.

Ulica cały czas pięła się pod górę. Na grzbiecie wzgórza płonęła samotna latarnia. Dalej grunt zaczynał znowu opadać i nie było widać nic poza czernią nocnego nieba.

- Panienko - usłyszała głos Dave'a - za wzgórzem ulica się zwęża i powóz się nie zmieści. Zaczyna się kolejna dzielnica biedoty. Na pewno właśnie tam zmierzają.

- Jak daleko możemy jechać, zanim będziemy musieli zawrócić? - spytała.

- Hm, przed nami jest boczna uliczka, trochę poniżej szczytu. Możemy tam skręcić i dotrzeć z powrotem na Tower Hill. Nie chciałbym jechać na drugą stronę wzgórza, bo trudno tam zawrócić powozem. Musiałbym zsiąść z kozła. Panienska się nie gniewa, ale o tej porze w takiej okolicy i przy takim towarzystwie jak ci czterej nie bardzo mi się to uśmiecha.

- Faktycznie.

Aileen zagryzła wargę. Nie chciała zawracać i rezygnować z tego dziwnego pościgu, ale ryzyko... No i chodziło przecież nie tylko o nią samą, ale i o Dave'a.

Cztery ciemne sylwetki weszły w krąg światła rzucanego przez migoczącą latarnię. Trzech mężczyzn z przodu szło dalej i po chwili zniknęło po drugiej stronie wzgórza, lecz przywódca szajki przystanął. Odwrócił się.

I popatrzył prosto na powóz.

Stał obłany światłem latarni.

Dzieliło ich teraz niecałe trzydzieści jardów i Aileen doskonale widziała twarz mężczyzny - bliznę przecinającą policzek i twarde, bezlitosne spojrzenie, które wbijał w powóz.

Nie widział jej w środku, lecz mimo to Aileen poczuła, że zamiera jak królik przed wściekłym psem.

- Panienska?

Naglący szept Dave'a wyrwał ją z transu i zmusił do działania.

- Skręcaj!

Dave łagodnie skierował konia na prawo i skręcił w cichą

uliczkę biegnącą w poprzek wzgórza, jakby cały czas właśnie taki miał zamiar.

Na zakręcie ukryta w najgłębszym cieniu powozu Aileen wbiła spojrzenie w obserwującego ich mężczyznę.

Ta dokładniejsza inspekcja nie ujawniła niczego, co zwiększyłoby jej sympatię do niego. Gardło Aileen ścisnęło się z instynktownego strachu.

Nie potrafiła oderwać wzroku od najemnika. Kiedy powóz zaczął się oddalać, przesunęła się na siedzeniu, tak aby nie zniknął jej z oczu.

Mężczyzna jednak najwyraźniej stracił zainteresowanie, gdy tylko pojazd skręcił z głównej drogi. Odwrócił się i ruszył na drugą stronę wzgórza, znikając w ciemnościach.

Aileen opadła na oparcie i wzięła głęboki oddech. Serce nadal jej waliło.

Po kilku minutach powóz dotarł do ulic pokrytych lepszą nawierzchnią i Dave popędził lekko konia.

Oddech Aileen zaczął wracać do normy. Powtarzała sobie, że najemnik nie mógł przecież zobaczyć jej twarzy i nawet za nimi nie poszedł.

Mimo to jej serce nadal biło szybciej niż zazwyczaj.

Robert wrócił do gospody, lecz wciąż był podenerwowany. Myśl, że Lashoria zginęła z rąk handlarzy niewolników, nie dawała mu spokoju – czuł, że musi coś zrobić.

Podczas swoich misji dyplomatycznych rzadko miał do czynienia z tak brutalnymi i bezmyślnymi zabójstwami.

Wiedział, że nie zdoła zasnąć. Przypomniał sobie wcześniejszy plan i poinformował Bena, dokąd się

wybiera, opuścił gospodę.

W nocnym mroku przeszedł do Water Street i skierował się do biura spółki Macauley i Babington. Jak przystało na firmę mającą monopol na handel między Afryką Zachodnią a Anglią, mieściła się w nowym budynku z kamienia w centralnej części Water Street – było to samo serce kolonii. Idąc alejką biegnącą dookoła budynku, Robert odkrył zewnętrzne schody prowadzące do mieszkania znajdującego się nad pomieszczeniami biura.

Drzwi garsoniery były zamknięte i nikt nie odpowiedział na pukanie Roberta.

Uznawszy, że Babington bawi się najprawdopodobniej na mieście, młodzieniec otworzył zamek wytrychem i wszedł do środka.

Cicho zamknął za sobą drzwi i zaczął nasłuchiwać. Po dłuższej chwili upewnił się, że w mieszkaniu nie ma nikogo.

Rozluźniony rozejrzał się dookoła.

Pod boczną ścianą stała sofa, a przy niej dwa miękkie fotele i okrągły stolik między nimi. Po przeciwnej stronie pokoju widać było sekretkę z małym przeszklonym barkiem. Przy ścianie z wejściem stało biurko, a naprzeciwko drzwi znajdowały się cztery wysokie okna; dwa z nich wychodziły na wąski balkonik.

Księżyc świecił przez nieosłonięte okna na tyle jasno, że Robert całkiem nieźle wszystko widział. W ścianie, przy której stała sofa, znajdowały się otwarte drzwi. Robert zajrzał przez nie i zobaczył łóżko oraz inne typowe dla sypialni sprzęty.

Podszedł do sekretki, obejrzał karafki w barku i nalał sobie

whisky. Przeważał jeden z foteli przodem do drzwi i usiadł, sącząc drinka i czekając na gospodarza.

Właściwie nie wiedział, dlaczego bez chwili wahania włamał się do mieszkania Babingtona. Może miał w sobie więcej z awanturnika, niż przypuszczał. A może zrobił to pod wpływem niecierpliwiej chęci zakończenia misji – chęci spotęgowanej jeszcze przez wieść o zabójstwie Lashorii.

Po godzinie usłyszał na schodach miarowe kroki. Ktoś wsunął klucz do zamka.

Babington nawet się nie zorientował, że drzwi były już otwarte. Niedbałym ruchem otworzył je na oścież.

Natychmiast zauważył siedzącego w fotelu Roberta, którego postać odcinała się na tle światła wpadającego przez okna.

Zamarł.

Robert nawet nie drgnął, lecz pojmując nagle, że Babington nie widzi jego twarzy, odezwał się:

- To ja, Robert Frobisher.

Babington zamrugał i napięcie na jego twarzy ustąpiło. Robert uniósł na wprost opróżnioną szklaneczkę.

- Niezła whisky, ale nie umywa się do Glencrae.

- Frobisher – powiedział wreszcie Babington.

Po sekundzie wahania wszedł do środka i zbliżył się do stolika. Zapalił stojącą na nim lampę i w jej świetle obrzucił Roberta ostrym spojrzeniem, aby potwierdzić jego tożsamość. Rozwiawszy wątpliwości, przykręcił knot, nakrył lampę szklanym kloszem, po czym wrócił do drzwi i je zamknął. Odstawił laseczkę na stojak, podszedł do barku i nalał sobie drinka.

Dopiero kiedy to uczynił, obejrzał się na Roberta. Uniósł szklankę, napił się i zapytał:

- Co tu robisz?

Robert uśmiechnął się cierpko.

- Jak słusznie podejrzewasz, ma to związek z wizytą Declana. Ale mój pobyt, jak na pewno zdążyłeś się zorientować, jest o wiele bardziej... prywatny.

- Innymi słowy, nikt nie może się o nim dowiedzieć. - Babington podszedł do sofy i rozsiadł się wygodnie, wyciągając długie nogi.

Mrugające światło lampy oświetlało teraz obu młodzieńców. Babington przyjrzał się Robertowi badawczo, po czym zapytał:

- Domyślam się, że chcesz ode mnie jakiejś pomocy. Więc o co chodzi?

Robert miał mnóstwo czasu na zastanowienie się, jak rozegrać tę sytuację.

- Wiem od Declana, że los tych ludzi, którzy ostatnio znikają, może nie być ci obojętny.

Babington zbyt dobrze nad sobą panował, żeby zdradzić się z zaskoczeniem.

Robert przyglądał mu się znad krawędzi szklanki.

- Chyba się nie mylę? - spytał wreszcie.

Twarz młodzieńca nie zmieniła wyrazu, lecz odpłynęła z niej cała krew. Babington siedział jak zastygły ze wzrokiem utkwionym w Roberta. Po kilku sekundach zapytał głosem pozbawionym wyrazu:

- Dlaczego cię to interesuje?

Robert przeniósł spojrzenie na swoją szklanę.

- Bo jeśli to prawda, to zakładam, że byłbyś skłonny pomóc mi w wykonaniu zadania. - Zamilkł i znowu popatrzył na Babingtona. - Jeśli jednak nic cię to nie obchodzi... to obawiam się, że zdradzenie ci szczegółów tej sprawy byłoby bardzo nierozważne.

Babington dalej siedział spokojnie, przyglądając się Robertowi.

Wreszcie powolnym ruchem odstawił szklanę na stolik. Opierając łokcie o kolana, potarł twarz. Przez kilka sekund patrzył niewidzącym spojrzeniem gdzieś w bok, po czym znowu skierował wzrok na Roberta.

- No dobrze - powiedział.

Robert z trudem zachował obojętny wyraz twarzy. Babington wyglądał na cierpiącego; jego oczy się zamglily.

- Jest... była pewna młoda dama, może nie tyle dama, ile kobieta. Niejaka panna Mary Wilson. Jej rodzinie przestało się powodzić, więc przyjechała tu do pomocy w sklepie wuja, żeby zacząć od nowa. Była nie tylko jego pomocnicą. Bardziej już dziedziczką... współwłaścicielką. - Babington z trudem zaczerpnął oddech. - Ona i ja... byliśmy zakochani, ale oczywiście nie powiedziałem o tym nikomu z rodziny. Dostaliby apopleksji, gdyby się dowiedzieli, że chcę się ożenić z jakąś sklepikarką... Bo tak by się na to zapatrywali. I nie chcieliby jej nawet poznać.

Robert pochodził z podobnego środowiska i rodzinna sytuacja Babingtona nie była mu obca.

Młodzieniec zamilkł, jakby próbując uporządkować myśli.

- Któregoś dnia - podjął wreszcie - zaszedłem do sklepu, a jej wuj na mój widok wpadł we wściekłość. Próbował mnie wyrzucić, ale wreszcie zdał sobie sprawę, że wcale nie przyszedłem oświadczyć, iż Mary zrezygnowała z pracy w jego sklepie i została moją utrzymanką. Że tak samo jak on nie mam pojęcia, co się z nią stało. Obydwaj wpadliśmy w panikę. Zaczęliśmy jej szukać. Zatrudniłem ludzi, którzy przetrząsnęli każdy kąt w kolonii... Ale Mary nie było. Zniknęła. - Babington wykonał bezradny gest. - Rozpłynęła się w powietrzu.

Popatrzył na Roberta i nagle w jego oczach rozpał się gniew.

- Więc jeśli chcesz wiedzieć, czy obchodzi mnie los zaginionych osób, odpowiedź brzmi: owszem! Oddałbym prawą rękę, żeby się dowiedzieć, co się stało z Mary.

Robert energicznie odstawił szklanę.

- W takim razie oczywiście zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby wspomóc działania mogące... zważ, że nie daję żadnych gwarancji... mogące doprowadzić do tego, że ją odzyskasz.

- Wszystko - warknął Babington. - Zrobię wszystko, żeby do mnie wróciła.

Podniósł szklanę i wychylił jej zawartość, po czym znowu popatrzył na Roberta, zawahał się i zapytał:

- Myślisz, że to możliwe? Że ona w ogóle jeszcze żyje?

Robert westchnął.

- Nie będę cię oszukiwał - powiedział. - Nie ma takiej pewności. Ale istnieje prawdopodobieństwo, że zabrali ją ci

sami ludzie, którzy porywają innych Europejczyków. Wybierają ich po kolei – mężczyzn, kobiety – i wygląda na to, że nawet dzieci, a potem zabierają ich poza kolonię. Nie znamy przyczyny tych porwań, ale o ile zdołaliśmy się zorientować, istnieje szansa, że zaginieni nadal żyją. – Przerwał, po czym ciągnął dalej: – Zakładamy, że tak właśnie jest, dlatego też wszelkie działania zmierzające do ich uwolnienia muszą być prowadzone w taki sposób, żeby nie wzbudzić podejrzeń porywaczy.

Babington miał dość oleju w głowie, aby natychmiast zorientować się, co Robert chce powiedzieć.

– Bo inaczej mogą zabić porwanych, żeby zatrzeć ślady – domyślił się, kiwając głową. – I sądzisz, że uwikłany jest w to ktoś z kolonii.

– Owszem, i to niejedyn, ale nie wiemy dokładnie kto. – Twarz Babingtona była tak szczera, że Robert postanowił mu zaufać. – Nalej sobie jeszcze whisky, a ja ci powiem, czego zdołaliśmy się dowiedzieć.

Babington usłuchał. Kiedy wrócił na sofę, Robert opowiedział mu wszystko, poczynając od misji Declana.

Gdy dotarł do tego, jak lady Holbrook uśpiła Edwinę i wydała ją w ręce ludzi, którzy najprawdopodobniej należeli do szajki handlarzy, Babington zaklął.

– Wiesz, że jej tu już nie ma, prawda? – zapytał. – Wyjechała... To musiało być kilka dni po tym, jak Declan stąd odpłynął. Holbrook powiedział Macauleyowi, że udała się do Anglii, żeby pomóc swojej siostrze, ale słyszałem potem, że jej statek zmierzał do Ameryki. – Twarz Babingtona

znieruchomiała. – Pamiętam, że wydało mi się to dziwne. Ale teraz...

– No właśnie. Możesz mi jednak w czymś pomóc: powiedz, czy Holbrook nadal przebywa w kolonii?

Babington kiwnął głową.

– Nic się u niego nie zmieniło. Ani Macauley, ani ja nic nie zauważyliśmy... A staruszek powiedziałby mi, gdyby zaczął węszyć coś podejrzanego.

– Możliwe więc, że Holbrook nic o tym wszystkim nie wie... ale i tak mało prawdopodobne, żeby nam się przydał. Jeśli go powiadomimy, mógłby zareagować w sposób, który wzbudzi podejrzenia porywaczy, a to ostatnie, czego chcemy. Zresztą to, czego szukamy, leży poza granicami kolonii, więc Holbrook pewnie i tak nie mógłby nam pomóc, co oznacza, że poinformowanie go wiązałoby się z dużym ryzykiem, a małym zyskiem. Przynajmniej tak sądził Declan.

– Nie zaprzeczę. – Babington skrzywił się. – Holbrook ma obsesję na punkcie spokoju w kolonii. Jakakolwiek wzmianka o handlarzach białymi niewolnikami wzbudziłaby panikę... a ciśnienie Macauleya skoczyłoby pod samo niebo – dodał cierpko. – To zaś nigdy nie prowadzi do niczego dobrego. Szczególnie dla polityków. A Holbrook nie potrafi dochować tajemnicy. Gdyby wiedział o jakichś niepokojach, nie mówiąc już o tak wielkim zagrożeniu dla jego autorytetu, nie byłby w stanie tego ukryć.

Robert przytaknął, po czym dokończył swoją opowieść: powrót Declana do Londynu, raport złożony Wolverstone'owi i Melville'owi, zlecenie kolejnego etapu misji.

- Nie jest to dla ciebie chleb powszedni - zauważył Babington, unosząc brew.

- Rzeczywiście nie, ale od czasu do czasu lubię wyzwania - odparł Robert zgodnie z prawdą. - Dzięki temu nie popadam w gnuśność.

- Jeśli w sprawę rzeczywiście zaangażowani są handlarze niewolników, to na pewno nie grozi ci nuda. Zazwyczaj omijają kolonię szerokim łukiem, ale słyszałem wystarczająco dużo opowieści, aby się zorientować, że miejscowi mają dobre powody, żeby gardzić porywaczami i jednocześnie się ich obawiać. - Babington spojrzał uważnie na Roberta. - A więc jesteś tu po to, żeby podążyć ich tropem.

- Mam zlokalizować ich obóz. Dowiedziałem się, że położony jest gdzieś w dżungli, na tyle daleko, by nie znalazły go garnizonowe patrole ani wodzowie okolicznych wiosek.

- To logiczne. - Babington zamilkł na chwilę i w końcu oświadczył: - Możesz liczyć na wszelką pomoc, jakiej będę w stanie ci udzielić.

Robert podziękował skinieniem głowy.

- Mam się dowiedzieć, gdzie leży obóz, i przekazać tę informację do Londynu. Kategorycznie zabroniono mi podążyć dalej śladem porwanych. - Popatrzył Babingtonowi w oczy. - Wyjawiłem ci wszystkie szczegóły tej misji i oczekuję, że również będziesz się trzymał tych wytycznych.

Babington zastanowił się i skrzywił.

- Sam powiedziałaś, że przede wszystkim musimy odnaleźć miejsce, skąd operują handlarze... tę kopalnię, jeśli faktycznie o to chodzi... I nie wolno nam wzbudzić podejrzeń ich

współpracowników. Jeśli informacja, że sprawą zainteresował się Londyn, dotrze do ich uszu - pociągnął łyk - wszyscy porwani natychmiast zginą.

- Zgadza się.

- Więc jak mogę ci pomóc?

Robert zastanowił się przez chwilę.

- Zatrzymałem się z moimi ludźmi w cichym zajeździe w dzielnicy kupieckiej. Dość daleko od portu, więc raczej nie ma ryzyka, że ktoś rozpozna mnie albo moją załogę.

- A gdzie stanął „Trójzęb”?

- Rzuciliśmy kotwicę dalej w delcie. Wywiesiliśmy tablice z fałszywą nazwą, a skoro cała eskadra jest na morzu, raczej nikt nie powinien rozpoznać statku po samym wyglądzie.

- Poza mną. - Babington opróżnił szklaneczkę. - Ale ja nikomu nie powiem.

- No właśnie. Masz jakieś podejrzenia, kto w kolonii może być uwikłany w sprawę? Czy ktoś zachowywał się ostatnio trochę dziwnie?

Babington parsknął.

- Nawet się nie zorientowałem, że lady Holbrook ma z tym coś wspólnego, a przecież widywałem ją i gubernatora niemal codziennie. - Pokręcił głową. - Z jednej strony wciąż trudno mi w to uwierzyć, a z drugiej ona zawsze była znacznie bardziej... pazerna niż jej mąż.

Robert wrócił do poprzedniego wątku.

- Jak na razie nie potrzebuję pomocy - powiedział. - Właściwie zabroniono mi wchodzić w bezpośredni konflikt z porywaczami, więc dodatkowa szpada nie na wiele się zda.

Ale musimy myśleć na zapas. Dobrze, że będziesz tu na miejscu. Miej oczy i uszy otwarte... Kiedy dowiemy się, gdzie leży kopalnia, trzeba będzie pewnie wysłać jakiś oddział, żeby odbił porwanych. A biorąc pod uwagę tutejszą sytuację, oddział ten niemal na pewno przybędzie bezpośrednio z Londynu. Będzie mu potrzebna pomoc... i na pewno doskonale się do tego nadasz.

Babington przytaknął.

- Tymczasem więc postaram się nie wychylać, ale będę się uważnie rozglądał. Chociaż... - Młodzieniec zmrużył oczy i postukał palcem w pustą szklanę, której dotąd nie odstawił. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, ale nie było w nim radości. - Mógłbym zrobić coś, co nie wzbudziłoby żadnych podejrzeń, zupełnie rutynowe działanie. W każdym razie potrafiłbym sprawić, żeby za takie je uznano. Otóż mógłbym sprawdzić ładunki niektórych statków. Nawet kiedy dana jednostka nie płynie do Anglii, robimy czasem niespodziewane kontrole, żeby upewnić się, czy nie ma na niej żadnych dóbr objętych zakazem wywozu. - Popatrzył Robertowi w oczy. - Zgadzam się z Declanem, że za tym wszystkim kryje się najprawdopodobniej kopalnia diamentów. A w takim razie transporty będą wysyłane do Amsterdamu. Mogę przeszukać wszystkie statki wybierające się w tamte strony. Powiem, że to kontrola ze względu na to czy tamto. Nietrudno będzie wymyślić jakiś pretekst.

- A co z Macauleyem?

- Większość codziennych spraw pozostawia mnie, podczas gdy sam zajmuje się podtrzymywaniem relacji z politykami

i władzami. - Babington wykrzywił usta w uśmiechu. - Ten układ obu nam jest na rękę, a w tym przypadku zapewni mi swobodę działania, żeby utrudnić naszym złoczyńcom wywiezienie bezprawnie zdobytych dóbr.

- Ale taka interwencja w ich logistykę... - Robert zastanowił się nad tym, mrużąc oczy, po czym zdecydowanie skinął głową. - Pod warunkiem że będzie to wyglądało tak, jakby chodziło o coś zupełnie niepowiązanego ze sprawą. Tego typu presja może zakłócić plany porywaczy, może nawet zmusi ich do jakichś nieprzewidzianych działań, co może być tylko z korzyścią dla nas.

Babington przytaknął.

- Porwanym nic nie grozi, dopóki porywacze nie mają powodu sądzić, że wykryto ich działalność. Będą postrzegać tę kontrolę wyłącznie w kategoriach irytującej przeszkody. - Uśmiechnął się zimno. - A dołożę starań, żeby tym właśnie była. - Po krótkiej chwili zapytał: - Więc od czego zamierzasz rozpocząć poszukiwania?

Robert powiedział już Babingtonowi, że zdaniem Lashorii handlarze niewolników działali w porozumieniu z Undoto. Teraz ujawnił także, co odkrył, kiedy sam poszedł do domu kapłanki, i przekazał uzyskane od staruszki informacje na temat przywódcy szajki o imieniu Kale.

Babington pokiwał głową.

- Tak jak mówiłem - powiedział - miejscowi nienawidzą porywaczy, ale zazwyczaj zbyt się ich boją, żeby podjąć jakiegokolwiek działania czy choćby donieść komuś o ich działalności.

Robert odetchnął i usiadł prosto.

- Zamierzam więc zacząć od Undoto - oświadczył - bo to chyba jedyny trop, jakim dysponuję. Możesz mi powiedzieć o nim coś, czego jeszcze nie wiem?

- Byłem tylko na jednym jego nabożeństwie - odparł Babington, kręcąc głową. - Nigdy nie rozumiałem, o co tyle zamieszania. Ale Mary się podobało. Mówiła, że chodzi o dramatyzm. - Głos młodzieńca zrobił się lodowato zimny. - Jeśli okaże się, że... że to udział w jego nabożeństwach doprowadził do jej porwania...

- Zapłaci za to - dokończył Robert.

Usta Babingtona wykrzywiły się w nieprzyjemnym grymasie.

- O tak, zapłaci.

- Służąca Lashorii podkreślała, że ta sprawa bardzo się różni od normalnych działań okolicznych handlarzy żywym towarem.

- To prawda - zgodził się Babington. - Ostatnio porywają zazwyczaj członków plemion z głębokiego interioru. Gnają ich piechotą i ładują na statki stojące z dala od ludzkich osiedli. Gdyby zbliżyli się do Freetown... No cóż, tutaj mieści się siedziba gubernatora i eskadry, równie dobrze mogliby sami zakuć się w dyby i oddać w ręce władz. Ale w tym przypadku porywają Europejczyków, w dodatku nie tylko mężczyzn, ale także kobiety i dzieci. Wygląda też na to... jeśli nie mylimy się co do kopalni... że zamiast wywozić ich gdzieś daleko i sprzedać, zabierają ich tylko do dżungli, aby tam ich wykorzystać. - Zastanawiał się przez chwilę, po czym dodał: - Ale jeśli naprawdę prowadzą kopalnię, to po co im kobiety

i dzieci? Teoria Declana o tym, jak da się je wykorzystać w kopalni, nie jest pozbawiona sensu i może okazać się prawdziwa, ale jeśli ktoś porywa ludzi, żeby zapewnić sobie siłę roboczą, to mając wybór między mężczyznami a kobietami i dziećmi... - Babington pokręcił głową. - Jeśli można zdobyć dostatecznie dużą liczbę mężczyzn, a w tego typu kolonii to z pewnością nie problem, to kobiety, a już na pewno dzieci, powinny być mniej atrakcyjnym celem, bo ich praca byłaby mniej wydajna. To oznaczałoby niższą stopę zwrotu i dla porywaczy, i dla tego, kto kieruje kopalnią. A jednak właśnie na to się zdecydowali.

Robert już to wszystko przemyślał.

- Widać wyraźnie - powiedział - że każdy szczegół tej sprawy został dokładnie zaplanowany przez ludzi, którzy znają tutejsze warunki. Kimkolwiek są, przewidzieli problemy, na jakie mogą się natknąć, i podjęli odpowiednie działania, aby im zapobiec. Chyba nie ma więc wątpliwości, że mieli powody, i to dobre, żeby porywać kobiety i dzieci.

Pięć

Następnego ranka Robert udał się ze swoimi ludźmi do tawerny, w której przesiadywał Sampson. Stary marynarz znał miejscową ludność. Robert usiadł z nim przy narożnym stoliku i opowiedział przy piwie, co usłyszał od służącej kapłanki.

- Potwierdziła wszystko, czego mój brat i jego żona dowiedzieli się od Lashorii. Mówiła, że kapłanka widziała Undoto z handlarzami i zauważyła, jak dają mu do ręki pieniądze. Lashorię zamordowano dosłownie chwilę po tym, jak Declan i Edwina od niej wyszli, ale mało prawdopodobne, żeby to właśnie ta rozmowa ściągnęła oprawców. Lashoria powiedziała o tych konszachtach wielebnemu Hardwicke'owi. O ile się orientujemy, nie poszedł z tym do Holbrooka. Nie wiemy, z kim w kolonii mógł rozmawiać na ten temat, lecz bratowa dowiedziała się od jego żony, że pastor naprawdę przejął się tą informacją. Niewykluczone więc, że radził się kogoś innego, jak ma postąpić.

- Może dałoby się to sprawdzić? - podsunął Fuller.

- Jeśli będzie taka możliwość - zgodził się Robert. - Może doprowadzi nas to do kogoś, kto jest w to uwikłany. Musimy przecież założyć, że poza lady Holbrook są też inni, którzy mają udział w tej sprawie. Niewykluczone, że Hardwicke rozmawiał właśnie z gubernatorową. Spróbuję to sprawdzić. Teraz jednak musimy zacząć działać. Jeśli służąca Lashorii się

nie myli, to przede wszystkim powinniśmy znaleźć kryjówkę porywaczy w kolonii.

Popatrzył na Sampsona.

Stary marynarz pokiwał siwą głową.

- Służąca się nie myli - potwierdził. - Słyszałem, że tak właśnie działają. Albo przynajmniej działali w przeszłości. Wszyscy mówią, że handlarze niewolników już od jakiegoś czasu przestali porywać tubylców z kolonii. Ale podobno wracają tu czasem i węższą... choć nikt nie wie po co. Zawsze jednak zaszywają się gdzieś w dzielnicy biedoty.

- A więc oto nasz pierwszy cel: odnaleźć kryjówkę porywaczy. Undoto to nasz jedyny trop, więc na nim się skupimy. Nie przypuszczam, żeby pan wiedział, gdzie on mieszka?

Sampson pokręcił głową.

- Wiem, że schodzi do kościoła drogą wiodącą ze wzgórza, ale nigdy go nie widziałem ani nie słyszałem, żeby ktokolwiek o tym opowiadał.

Robert odwrócił się do swoich ludzi.

- Musimy zlokalizować dom Undoto. Pozostawiam to wam. Kiedy go znajdziecie, poszukajcie w okolicy miejsca, skąd możemy go obserwować. Z tego, co mówiła tamta staruszka, powinniśmy go śledzić nocą. Handlarze niewolników zazwyczaj nie przechadzają się po mieście za dnia.

Jego ludzie zaczęli podnosić ręce, jakby chcieli o coś spytać, po czym opuścili je i pokiwali głowami.

- Kiedy już znajdziecie takie miejsce - ciągnął Robert - niech dwóch z was zostanie na posterunku. Z pozostałymi

spotkam się w gospodzie.

Wszyscy czterej ponownie przytaknęli, opróżnili kufle i wstali do wyjścia, żegnając się z Sampsonem.

Starzec popatrzył za nimi.

- Nie powiedział im pan, jak mają się dowiedzieć, gdzie mieszka Undoto - zauważył, patrząc Robertowi w oczy. - Ciekaw jestem, jak pana zdaniem tego dokonają.

Robert uśmiechnął się szeroko i odstawił kufel.

- Rozpytają przechodniów w okolicy. Znają się na swojej robocie. Nie wątpię, że wykonają zadanie. I to tak, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

- Tak jak myślałem - mruknął Sampson. - Pan nie jest zwykłym kapitanem, a oni nie są zwykłymi marynarzami.

Robert uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Mimo to żegluga to nasze główne zajęcie. - Wstał, po czym po chwili wahania zapytał: - Widziałem na Kei Rządowej Urząd Attaché Morskiego. Kto zajmuje obecnie to stanowisko? Ktoś z marynarki?

Sampson prychnął pogardliwie.

- Nie jestem pewien, czy on w ogóle pływa. To biurokrata, urzędnik z pretensjami. Jakiś Irlandczyk o nazwisku Muldoon. - Wzruszył ramionami. - Niewiele o nim słyszałem. Raz poszedłem do tego biura, ale byli tam tylko urzędnicy, same gryzpiórki. Chyba nie robią nic poza przekładaniem papierków.

- Dziękuję. - Robert zasalutował starcowi i wyszedł.

Rozejrzał się dookoła, po czym skierował do portu.

Przez cały ranek zastanawiał się nad kolejnym ruchem. To,

że tak łatwo było rozpoznać w nim kolejnego Frobishera, oznaczało, że musiał unikać wszelkich miejsc, które mógł odwiedzić Declan. Dwóch Frobisherów w ciągu miesiąca i obaj zadają pytania; to na pewno dałoby asumpt do kłopotliwych spekulacji. Tak więc nie mógł się udać do kancelarii i rezydencji gubernatora ani do fortu.

Declan nie zaglądał jednak do ataszatu.

Robert nie chciał wpaść na wiceadmirala Deckera czy jego oficerów - i słusznie, każdy z nich natychmiast rozpoznałby członka rodu Frobisherów i zaczął zadawać pytania o powód jego wizyty. Podejrzewał jednak, że skromni urzędnicy nie stanowili pod tym względem zagrożenia. W porcie nie było widać żadnego okrętu marynarki, więc na pewno także żaden oficer nie zajrzy dziś do ataszatu. A na Muldoona nigdy się nie natknął.

Zmrużył oczy przed blaskiem słońca i mruknął do siebie:

- Muszę się dowiedzieć, czy Decker zamierza pojawić się wkrótce na horyzoncie.

Nie miał pojęcia, czy Decker był jakoś zaangażowany w plan porywaczy - nawet jeśli jego rola ograniczała się tylko do przymyknięcia oczu na ich poczynania.

Ale nie widział też żadnego powodu, żeby złoczyńcy wtajemniczali wiceadmirala w swoje plany, jeśli polem ich działalności była głęboka dżungla. Obszar wpływów i zainteresowań eskadry znajdował się przecież na oceanie, na trasach patrolowanych przez Deckera.

Robert nie przepadał za Deckerem - był sztywnym, napuszonym, konserwatywnym człowiekiem i lubił się czepiać

szczegółów - lecz trudno mu było uwierzyć, że wiceadmirał mógłby zignorować jakąkolwiek pogłoskę o niewolnictwie; nie należał do ludzi, którzy choćby w najmniejszym stopniu odstępowali od zasad. W tym właśnie kryła się częściowo przyczyna, dla której darzył rodzinę Roberta antypatią - jak na jego gust Frobisherowie byli po prostu zbyt... innowacyjni. W najszerszym możliwym sensie tego słowa.

Robert popatrzył przed siebie. Na krańcu ulicy, którą schodził, rozciągał się jasny błękit portowych wód. Młodzieniec bez problemu doszedłby tędy do zatoki Kroo i mógłby podążyć nabrzeżem do mieszczącego się na końcu Kei Rządowej ataszatu, lecz członkowie marynarki nie byli jedynymi, którzy mogli go rozpoznać - znało go też wielu marynarzy flot handlowych.

Skręcił zatem w lewo i ruszył równolegle do nabrzeża labiryntem wąskich uliczek, aby wyjść na keję tuż przy samym urzędzie.

Idąc, zastanawiał się, jakie pytania może bezpiecznie zadać i jak zachęcić urzędników do ujawnienia, czy spodziewają się wkrótce powrotu Deckera. Co prawda Robert od wielu lat nie zawijał do Freetown, a Deckera nie widział jeszcze dłużej, lecz wiceadmirał na pewno na pierwszy rzut oka rozpoznałby „Trójzab”.

Nie chciał wprost wypytywać o powrót eskadry ani podawać się za starego znajomego wiceadmirała - urzędnicy na pewno zapytaliby go o nazwisko, a podanie fałszywej tożsamości wzbudziłoby podejrzenia Deckera, kiedy ta informacja już do niego dotrze, i mogłoby postawić pod znakiem zapytania

dalszy ciąg misji...

Za dużo komplikacji.

Robert zmarszczył brwi. Potrzebował jakiegoś pretekstu, żeby zajrzeć do urzędu i nawiązać rozmowę z urzędnikami – coś na tyle oczywistego, że nie będą kwestionować jego zainteresowania...

Hopkins – czy raczej jego siostra.

Przypomniał sobie o ostrzeżeniu Sampsona i natychmiast przystanął. Przejęty informacją o zabójstwie Lashorii, zupełnie zapomniał o siostrze Hopkinsa, przed którą ostrzegał go stary wilk morski.

Robert skrzywił się i ruszył w dalszą drogę. Powinien był zapytać Babingtona o tę damę; może tamten spotkał ją gdzieś w towarzystwie, może wiedziałby, gdzie ją znaleźć. W każdym razie owa nieznana, a dociekliwa panienska mogła mu się teraz przydać. Skoro nawet Sampsona wypytywała o brata, na pewno przede wszystkim poszła rozpytać się w portowym biurze eskadry – to jest w Urzędzie Attaché.

Po chwili namysłu stwierdził, że siostra Hopkinsa będzie doskonałym pretekstem, żeby nawiązać rozmowę z pracownikami ataszatu.

Wyszedł na keję z uśmiechem na ustach. Po kilku krokach skręcił prosto w otwarte drzwi Urzędu Attaché Morskiego.

Bywał już w takich miejscach na całym świecie; wszędzie wyglądały podobnie. Ich pracowników rekrutowano z admiralicji i nierzadko nie mieli żadnego doświadczenia na morzu – jedno spojrzenie na trzech urzędników siedzących za długim kontuarem utwierdziło Roberta w przekonaniu, że i oni

należeli do tego gatunku. W każdym razie żaden z nich nie rozpoznał go, kiedy podszedł bliżej.

Jeden z nich wstał i podszedł, żeby go obsłużyć.

Robert oparł się o kontuar ze swobodnym uśmiechem na twarzy. Poza nim i pracownikami w urzędzie nikogo nie było – nikt nie usłyszy ich rozmowy.

Popatrzył przyjaźnie w oczy mężczyzny.

– Właśnie przy płynąłem na „Filmorze”. – Była to tymczasowa nazwa „Trójzębu”. Urzędnik skierował wzrok na duże okno wychodzące na port, lecz Robert ciągnął swobodnie: – Rzuciliśmy kotwicę dalej na zatoce, poza portem. Zawinęliśmy tu tylko na dzień czy dwa. Ale rodzina prosiła mnie, abym zapytał w imieniu znajomych, państwa Hopkins, o ich krewną. Podobno przybyła do Freetown, żeby dowiedzieć się o brata, który służy tu chyba w randze porucznika.

Mina urzędnika świadczyła, że rozpoznaje to nazwisko.

– Ach, ma pan na myśli pannę Hopkins! – powiedział.

– Więc już tu dotarła?

– Przy płynęła... będzie jakieś dwa tygodnie. – Rzucił Robertowi znaczące spojrzenie. – Muszę powiedzieć, że to dość uparta osobka. Chciała wiedzieć, dlaczego jej brat, porucznik Hopkins, był na łodzi, a nie na okręcie, kiedy zaginął. Ale oczywiście nic jej nie mogliśmy powiedzieć.

Robert roześmiał się cicho.

– Nie wątpię – stwierdził i dodał współczującym tonem: – Choć nie przypuszczam, żeby przyjęła tę informację spokojnie.

Urzędnik parsknął śmiechem.

- Trochę się uniosła, no ale - wzruszył ramionami - nie mogliśmy jej pomóc. - Rzucił spojrzenie w stronę jednego z pozostałych kolegów i wyszczerzył się. - Edgar powiedział, że o takie informacje powinna się zwracać do admiralicji. To przyjęła jeszcze lepiej.

Siedzący przy biurku Edgar spojrział przez ramię z miną cierpiętnika.

- Przynajmniej dzięki temu wreszcie sobie poszła - stwierdził.

Robert oparł się wygodniej o kontuar.

- Znam tę rodzinę... Dziwię się, że panna Hopkins nie zażądała spotkania z attaché albo nawet samym admirałem.

- O, chciała się zobaczyć z Muldoonem... to jest z panem attaché - powiedział urzędnik - ale go nie było. A Decker, czyli wiceadmirał dowodzący eskadrą, zawinie do portu najwcześniej pod koniec przyszłego tygodnia.

- Chyba wciąż kręci się gdzieś po okolicy... Znaczą panna Hopkins - wtrącił Edgar. - Widywałem ją kilka razy na Water Street. Może czeka na powrót Deckera, żeby zażądać od niego wyjaśnień?

Dwaj pozostali mężczyźni się roześmiali. Robert zrozumiał dowcip - myśl, że jakaś dama miałaby zwrócić się do Deckera z żądaniem informacji, była niewątpliwie zabawna - lecz sam zadowolili się porozumiewawczym uśmiechem.

- Szkoda - stwierdził, kiedy tamci umilkli. - Chętnie bym to zobaczył. Ale wkrótce podnosimy kotwicę i płyniemy dalej. - Odsunął się od kontuaru. - No cóż, kazano mi sprawdzić, czy panna Hopkins dotarła tu cała i zdrowa. Wiem już, że tak,

więc moje zadanie zostało wykonane.

Przyłożył palec do kapelusza w geście pozdrowienia; urzędnicy uśmiechnęli się do niego i pokiwali głowami na pożegnanie. Odwracając się już do wyjścia, Robert przystanął nagle i zawrócił.

- Aha, jeszcze jedna sprawa. Nasi ludzie słyszeli jakieś pogłoski w porcie... Radzono im, żeby zachowali ostrożność, bo podobno w kolonii działają handlarze niewolników. Uprawdzili już kilku marynarzy... - Skrzywił się. - Trochę to naciągane, że ktoś porywa z kolonii członków marynarki, ale pomyślałem, że zapytam. Słyszeliście coś na ten temat?

Wszyscy trzej popatrzyli po sobie, a potem przenieśli wzrok na Roberta i pokręcili głowami.

- Ani słowa - powiedział ten przy kontuarze.

Robert przypuszczał, że mówili prawdę; żaden z nich nie wydawał się zaniepokojony pytaniem.

- Tak też przypuszczałem - rzucił z szerokim uśmiechem. - Pewnie to tylko bajka, żeby postraszyć żeglarską brać.

Wyszedł na zewnątrz, a trzej urzędnicy wrócili do pracy, nawet nie zdając sobie sprawy, że właśnie zostali przesłuchani.

Robert zatrzymał się na nabrzeżu, rozejrzał ukradkiem dokoła, po czym szybkim krokiem zszedł z kei i zniknął w labiryncie uliczek. Pewien, że nikt go tu rozpozna, z uśmiechem zadowolenia skierował się do gospody.

Dowiedział się wszystkiego, co chciał, a nawet trochę więcej. Dama, którą zamierzał odnaleźć, rzeczywiście posługiwała się nazwiskiem Hopkins. Teraz musiał

dopilnować, żeby wyjechała do domu, i to przed powrotem Deckera, jeśli naprawdę zamierzała się do niego zwrócić.

Planowany powrót wiceadmirala oznaczał też, że Robert i jego załoga mieli tylko tydzień na wykonanie misji. Musieli opuścić kolonię, zanim Decker wróci i zauważy „Trójzab” kotwiczący poza portem.

Nieważne, że Robert nie wierzył, iż Decker ma jakikolwiek związek ze sprawą – dopóki nie był tego absolutnie pewien, musiał postępować tak, jakby wiceadmirał lub ktoś z jego otoczenia był w to uwikłany.

Najwyraźniej aparat biurokratyczny nie miał zielonego pojęcia o działalności porywaczy. Skoro urzędnicy nie słyszeli nawet pogłosek, to handlarze i ich współpracownicy musieli działać doprawdy bardzo przebiegle.

Jego ludzie zajmowali się właśnie Undoto. Umieli wtopić się w tłum lepiej niż sam Robert. Skoro więc oni tropili kaznodzieję i rozglądali się za porywaczami, on powinien odnaleźć pannę Hopkins i odesłać ją do domu, a w każdym razie gdzieś, gdzie nie będzie mogła ingerować w jego działania.

Następnego dnia Robert wrócił do zajazdu dopiero w południe; resztę poprzedniego dnia i cały ranek spędził w okolicach Water Street, wystając na rogach i rozglądając się za nieuchwytną panną Hopkins, lecz na próżno, dlatego humor mu nie dopisywał.

Znał jej starszych braci – bo raczej nie miał wątpliwości, że

panna Hopkins była młodsza od Davida i Henry'ego. Miał pamięć do twarzy i sądził, że byłby w stanie ją rozpoznać. Lecz mimo iż spędził całe godziny na obserwowaniu sklepów i nielicznych miejsc rozrywki, do których uczęszczały tutejsze Europejki, nie zauważył nikogo, kto mógłby być siostrą jego znajomych.

Panna Hopkins nie pokazała się także na ostatnim nabożeństwie Undoto – przypuszczalnie w ogóle zrezygnowała z udziału w modłach – więc gdzie się podziewała, u licha? A co gorsza, czym mogła się zajmować?

Usiadł ciężko przy narożnym stoliku w głównej sali, który wraz ze swoimi ludźmi zdążył już zawłaszczyc. Uśmiechnął się do gospodyni, która bez pytania postawiła przed nim kufel piwa, i podziękował.

Oberżystka kiwnęła głową.

- Zje pan kawałek placka? Mamy też trochę wczorajszej potrawki.

Robert zamówił placek z wołowiną – choć wiedział, że najprawdopodobniej znajdzie w nim koźlinę – i pociągnął porządny łyk piwa.

Odstawił kufel i wbił wzrok w ciemny płyn. Może nie znalazł panny Hopkins, bo dała sobie spokój i była już w drodze powrotnej do Anglii?

Ta myśl trochę go pocieszyła, lecz nie mógł polegać tylko na swoich przypuszczeniach – będzie musiał się upewnić, czy pannica naprawdę odpłynęła.

Właśnie się zastanawiał, jak zdobyć taką informację, kiedy do zajazdu weszli Benson, Coleman, Fuller i Harris. Zbliżyli

się w pośpiechu. Na widok ich uradowanych twarzy serce zabiło mu mocniej.

Jeszcze wczoraj wszyscy czterej byli równie zniechęceni co on - nie udało im się niczego dowiedzieć o miejscu zamieszkania Undoto.

- Wreszcie go przyszpiliśmy - oświadczył Coleman, siadając ciężko.

Pozostali trzej także rozsiedli się na ławkach. Ruchem ręki Robert zamówił u oberżystki po kuflu dla wszystkich.

- On wcale nie mieszka wśród biedoty - powiedział Harris. - Zaczęliśmy szukać za daleko.

Rozmowa urwała się na chwilę, kiedy gospodyni podeszła do nich z kuflami. Robert zaproponował swoim ludziom, żeby zamówili sobie coś do jedzenia.

- A teraz mówcie - rzekł, kiedy kobieta odeszła.

Tamci popatrzyli na Bersona, najstarszego z nich.

- Dom kaznodziei jest położony przy drodze, którą schodzi się do kościoła - powiedział marynarz. - Prawie na samym grzbiecie tego pierwszego długiego zbocza. To wolno stojący drewniany budynek w dobrym stanie, a okolica jest przyzwoita i schludna. Najbliższe slumsy są oddalone o ponad pół mili. Trzeba przejść tą samą drogą na drugą stronę wzgórza i w dół, w dolinkę na uboczu.

- Właśnie tam zaczęliśmy - dodał Fuller. - Po drugiej stronie, w okolicy slumsu. I oczywiście nikt tam nie miał pojęcia, gdzie mieszka Undoto, tyle tylko, że nie w tej okolicy.

- Ale dziś rano - ciągnął Berson - zaczęliśmy rozpytywać bliżej kościoła i to był strzał w dziesiątkę. Obserwowaliśmy

dom przez większą część poranka. Nikt się tam nie kręcił, tylko jakieś kobiety i staruszek z piątką dzieci. No i oczywiście sam Undoto. Ale ani śladu kogoś, kto mógłby należeć do gangu porywaczy.

Rozkazy Roberta brzmiały, aby znaleźli odpowiedni punkt obserwacyjny i zostawili na straży dwóch ludzi. To, że wszyscy wrócili do zajazdu, oznaczało, że...

- Wnoszę, że nie ma tam miejsca nadającego się na kryjówkę? - No, tak i nie... - powiedział Benson. - Ale pomyśleliśmy, że południe to najlepsza pora, żeby wrócić i zapytać pana, co mamy robić.

Wszyscy zamilkli, kiedy podeszła gospodyni z tacą, na której stało pięć porcji placka. Gdy rozstawiła talerze i się oddaliła, Benson mówił dalej, podczas gdy pozostali zabrali się do jedzenia.

- Jak mówiliśmy, nie jest to dzielnica biedoty. Domy są dobrze utrzymane i mieszkają w nich zwyczajni ludzie. Jest kilku członków miejscowych plemion: sklepikarze, zarządcy składów handlowych i tym podobni. Ale większość to Europejczycy, choć wykonujący mniej więcej takie same zawody. Jest też kilku mieszańców. Jeden z nas obserwował dom Undoto, a reszta poszła na zwiady. Znaleźliśmy pewną staruszkę, która mieszka cztery domy dalej po przeciwnej stronie i ma do wynajęcia duży przyzwoity pokój od frontu. Moglibyśmy urządzić tam sobie punkt obserwacyjny. Z okna jest chyba niezły widok na drzwi Undoto, a mieszkając przy tej samej ulicy, mielibyśmy pretekst, żeby się tam kręcić. Nikt nie będzie się dziwić na nasz widok.

Robert pokiwał głową.

- Dobra robota. - Odsunął pusty talerz i sięgnął po kufel. Szkoda tylko, że dom Undoto raczej nie okaże się również kryjówką porywaczy. - Biorąc pod uwagę położenie domu, możemy założyć, że handlarze ukrywają się gdzie indziej. Dobrze więc, wynajmiemy ten pokój i weźmiemy naszego kaznodzieję pod obserwację.

- Myśleliśmy - wtrącił Harris - że trzech z nas mogłoby się tam zaszyć, a jeden zostałby tutaj na wypadek, gdyby musiał pan po nas posłać. Ale możemy się wymieniać. W ten sposób miejscowi będą znali z widzenia nas wszystkich i przyzwyczają się do naszej obecności.

Robert znowu przytaknął i sięgnął do sakiewki zatkniętej za pas. Odliczył monety - aż nadto, by wynająć pokój - i podsunął je Bensonowi.

- Weźcie ten pokój. Kupcie wszystko, czego wam trzeba, żeby się tam urządzić. Zaczniemy obserwację wieczorem. Kiedy będziecie gotowi, niech jeden z was po mnie przyjdzie. Pewnie wyjdę jeszcze na miasto, ale wrócę przed zachodem słońca.

- Tak jest - potwierdził Benson. - Właśnie tak zrobimy.

Dojedli obiad, opróżnili kufle i, pożegnawszy się z Robertem, poszli na górę, żeby zabrać rzeczy.

Robert pozostał jeszcze przy stole, a kiedy jego ludzie opuścili zajazd, podniósł się i poszedł do pokoju. Wyciągnął z torby papier, mocno zakorkowaną buteleczkę atramentu i pióro, po czym zasiadł przy wygodnym biurku i zabrał się za pisanie listu. Wolał nie ryzykować, że jeśli coś mu się przytrafi,

w Londynie nie będą mieli pojęcia, co udało mu się do tej pory odkryć.

Wiedział, że Melville'owi zależy na informacji, czy Holbrook jest niewinny, i wszystko wskazywało na to, że to prawda. Jednak Robert podkreślił, że nie ma możliwości sprawdzenia, czy w sprawę nie jest uwikłany ktoś z najbliższego kręgu gubernatora, dlatego radził, by nie przekazywać kancelarii Holbrooka żadnych potencjalnie niebezpiecznych informacji.

Opisał, czego się dowiedział o ucieczce lady Holbrook, i potwierdził, że mogą polegać na Babingtonie zarówno w kwestii dalszych informacji, jak i wszelkiego wsparcia, którego może wymagać misja. Napisał o śmierci Lashorii z rąk handlarza niewolników o imieniu Kale i przekazał wszystko, co wiedział o sposobie działania porywaczy, którzy zabierali ofiary do kryjówki w kolonii i dopiero stamtąd przewozili je do obozu gdzieś w okolicznej dżungli. Omówił szczegółowo położenie domu Undoto i swoje plany obserwacji, która miała doprowadzić do odkrycia kryjówki.

Po zastanowieniu wspomniał też o panie Hopkins i jej kampanii na rzecz odnalezienia zaginionego brata, jednocześnie zapewniając Melville'a - a poprzez niego i Wolverstone'a - że gdy tylko ją znajdzie, wsadzi ją na statek do Anglii.

Nie dodał, że odnalezienie jej okazało się o wiele trudniejsze, niż przypuszczał. I znowu w jego głowie pojawiła się kusząca myśl, że może panna Hopkins sama postanowiła już wyjechać.

Zapieczętował list i opatrzył go adresem Melville'a... po

czym zdał sobie sprawę, że nadanie go będzie wymagać więcej zachodu niż zwyczajny spacer na pocztę w porcie i uiszczenie opłaty.

Urząd pocztowy był jednym z tych miejsc, których najbardziej powinien unikać – istniało zbyt duże ryzyko, że zajrzy tam ktoś, kto go rozpozna.

Robert nie mógł też posłać żadnego ze swoich ludzi. Fakt, że zwykły marynarz nadaje list do Pierwszego Lorda Admiralicji, na pewno wzbudziłby zainteresowanie. To samo odnosiło się do adresu Wolverstone'a.

- Do diaska! - zaklął.

Popatrzył na list, w którym zawarł tak szczegółowy raport. Mógł go przekazać swojej załodze na „Trójzębie”, ale wolałby, żeby informacja od razu ruszyła do Londynu jakąś inną, względnie anonimową drogą. Bo co, jeśli Decker wróci wcześniej i zatrzyma „Trójzab”?

Babington? Niespecjalnie dobra myśl – jego korespondencja na pewno przesyłana była za pośrednictwem firmy i każda próba nadania listu innym kanałem zostanie zauważona. A gdyby z kolei jakiś pracownik spółki Macauley i Babington w Londynie natknął się podczas sortowania korespondencji na wiadomość adresowaną do Pierwszego Lorda? Nie, to zdecydowanie niedobry pomysł.

Robert mógł przesłać list za pośrednictwem Declana, lecz nie wiedział, czy on i Edwina zamierzali pozostać w mieście. A co, jeśli wyjechali?

Postukał palcem w porysowany blat biurka. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby przesłać list prosto do adresata...

Już miał w ogóle zniszczyć wiadomość, kiedy nagle przyszło mu do głowy świetne rozwiązanie.

- No właśnie - szepnął do siebie.

Jeśli panna Hopkins wciąż przebywała w kolonii - a czuł podskórnie, że jest równie uparta jak jej bracia i wcale nie wyjechała - mógłby dać jej list, zanim wsadzi ją bezpiecznie na pokład statku zmierzającego do Anglii.

Nikogo nie zdziwi, że dama mająca koneksje we flocie - zwłaszcza jeśli w ataszacie polecono jej skontaktować się z admiralicją - wysłała list do Pierwszego Lorda.

Co więcej, Robert mógł przedstawić swoją prośbę w taki sposób, żeby ułagodzić wścibską pannę i utwierdzić ją w przekonaniu, że okazała się użyteczna w poszukiwaniach brata.

Będzie to może przesada, lecz niepozbawiona prawdy.

Wielce zadowolony, iż wymyślił sposób, aby za jednym zamachem rozwiązać dwa problemy, Robert wstał, wsunął list do wewnętrznej kieszeni luźnej koszuli i skierował się do drzwi.

Teraz musiał już tylko odnaleźć pannę Hopkins.

Zanim zdążyło zająć słońce, Robert znowu zaczął kląć w duchu za każdym razem, gdy myślał o pannie Hopkins. Gdzież, do licha, podziewała się ta diablica? Czyżby celowo się ukrywała?

Biorąc pod uwagę, jak trudno było wpaść na jej ślad, zaczął poważnie rozważać tę możliwość.

Harris wrócił do zajazdu, żeby zaprowadzić go do domu, który wybrali na punkt obserwacyjny. Zjedli szybką kolację i wzięli placek oraz bukłaki z piwem dla pozostałych trzech, po czym wyruszyli na piechotę.

Robert ukradkiem rozglądał się po domach stojących przy ulicy biegnącej w górę od kościoła Undoto. Wszystko, co widział, potwierdzało ocenę jego ludzi, że okolica jest spokojna i szacowna. Niewiele osób kręciło się teraz na zewnątrz, w domach paliły się lampy, a stłumione głosy mężczyzn i kobiet oraz wysokie dziecięce głosiki sugerowały, że mieszkają tu całe rodziny.

Na pewno nie była to zamożna dzielnica i nie zamieszkiwali jej członkowie miejscowej brytyjskiej elity, niemniej jednak wyglądała na zadbaną, względnie czystą i jak najbardziej praworządną.

Właśnie w takim miejscu można by oczekiwać domu miejscowego kaznodziei.

I nikt nie spodziewałby się tu kryjówki handlarzy niewolników.

- Undoto mieszka o, tam - Harris wskazał dom położony dalej po ich prawej stronie - a my w tym brązowym po lewej.

Przy krawężniku po przeciwnej stronie ulicy stał skierowany w dół zbocza powóz - jeden z tych, które można wynająć na Water Street. Przechodząc obok, Robert spojrzał na niego przelotnie. Wnętrze spowijał mrok i nie było widać pasażerów, nie zauważył też żadnego ruchu. Woźnica siedział ze spuszczoną głową i wydawał się drzemać. Zapewne ktoś przyjechał w odwiedzinach do domu, przed którym zatrzymał się

powóz.

Robert skręcił za Harrisem w lewo i ruszył krótką ścieżką prowadzącą do drzwi brązowego domu.

Okazało się, że mieszkająca na tyłach właścicielka dawała wszystkim najemcom klucze do drzwi wejściowych, żeby mogli swobodnie wchodzić i wychodzić.

W pokoju marynarzy pod jedną ścianą stały dwa polowe łóżka, pod drugą skromny stół z lampą w otoczeniu czterech niskich taboretów. Pod szerokim oknem, które przesłaniały długie, stare, ale wciąż przyzwoite zasłony, ustawiono sfatygowany fotel.

Coleman i Fuller siedzieli przy stole i grali w karty przy świetle mocno przykręconej lampy. Benson zajmował miejsce w fotelu i wyglądał zza zasłony na ulicę.

Robert powitał ich kiwnięciem głowy. Podczas gdy Harris wykładał placek i piwo, on sam podszedł do fotela.

- Niechże popatrzę - powiedział do Bensaona.

Marynarz podniósł się i Robert zajął jego miejsce. Delikatnie odsunął ręką zasłonę i wyjrzał.

- To ten drewniany dom z białym płotkiem przy bocznej alejce - wyjaśnił Benson.

- Idź zjeść kolację - zaproponował Robert. - Popatrzę przez chwilę.

- Tak jest, kapitanie.

Z wynajętego pokoju nie mieli dobrego widoku na front domu Undoto, ale przynajmniej widzieli długi fragment ulicy przed furtką, ścieżkę, ganek oraz drzwi.

Podczas gdy jego ludzie jedli kolację, Robert obserwował

dom i rozważał w myślach wszystkie możliwości. Wreszcie wstał i popatrzył na mężczyzn siedzących przy stole.

- Wygląda na to, że jeśli handlarze niewolników chcieliby odwiedzić Undoto, mogliby przyjść ulicą z górnej albo dolnej części wzgórza. Albo wejść od tyłu tą alejką.

- Tak, rozmawialiśmy już o tym - przytaknął Coleman. - Jest jeszcze inna droga, mniej więcej naprzeciwko domu Undoto. W każdym razie zauważymy ich, niezależnie od tego, czy przyjdą z góry, z dołu czy z naprzeciwka.

- Ale jeśli przybędą od tyłu?

Coleman zmarszczył brwi, popatrzył na pozostałych i z powrotem na Roberta.

- Po tym, co mówił brat pana kapitana i ta stara służąca kapłanki, pomyśleliśmy, że handlarze mogą tu sobie na wiele pozwolić. Wydaje im się, że cała okolica do nich należy i że nikt nie odważy się im sprzeciwić, w każdym razie na pewno nie nocą. Źle by to wyglądało, gdyby skradali się bocznymi uliczkami i pukali do tylnych drzwi.

- Macie rację - przyznał Robert z uśmiechem. - Przyjdą do frontowych drzwi.

Oparł ręce na biodrach i zaczął się zastanawiać, co dalej.

Potem podniósł głowę i powiódł wzrokiem po twarzach trzech mężczyzn przy stole.

- Wiecie, co macie robić, jeśli tu przyjdą? - zapytał.

- Tylko podążyć za nimi do kryjówki - odparł Benson. - Żadnych brawurowych wyczynów. Sprawdzić, gdzie urządzili sobie bazę, i poszukać w okolicy jakiegoś punktu obserwacyjnego.

Robert przytaknął.

- Zostawię was zatem. Sam bardziej się przydam gdzie indziej. Wrócę, kiedy tylko załatwię swoje sprawy. Prawdopodobnie jutro. Jeśli będziecie mnie potrzebować albo coś będzie się dzisiaj działo, zostawcie wiadomość w gospodzie.

Kiedy znalazł się na zewnątrz i ruszył ulicą, zauważył, że powóz, na który zwrócił wcześniej uwagę, nadal stoi w tym samym miejscu.

Pół godziny później po raz kolejny otworzył sobie drzwi do mieszkania Babingtona nad biurami spółki Macauley i Babington, a po następnych trzydziestu minutach spędzonych na popijaniu whisky gospodarza usłyszał na schodach jego kroki.

Babington otworzył drzwi, wszedł do środka i na widok Roberta siedzącego w fotelu poderwał się przerażony.

- Naprawdę musimy wymyślić inny sposób aranżowania spotkań - stwierdził, zatrzaskując drzwi. - A gdybym przyprowadził tu jakąś damę?

Robert zakręcił szklanką z płynem.

- A co z Mary Wilson? - zapytał.

Babington skrzywił się i machnął ręką, uznając dalszą dyskusję za daremną.

- Co tu robisz? - burknął. - Czy raczej czego potrzebujesz?

- Ostatnim razem zapomniałem cię o coś zapytać: czy natknąłeś się może na niejaką pannę Hopkins? Przyjechała tu stosunkowo niedawno.

- Hopkins? - Babington odłożył laseczkę i zdjął frak.

Powiesił go na oparciu krzesła i podszedł do barku. – Nie poznałem jej i nie słyszałem o żadnej damie noszącej takie nazwisko – powiedział, rzucając Robertowi przenikliwe spojrzenie. – Ale czy nie jest ona przypadkiem spokrewniona z porucznikiem Hopkinsem, tym, który zaginął, kiedy wysłali go na poszukiwania Dixona?

– Zgadza się. To jego siostra. – Kiedy Babington nalał sobie whisky i usiadł w drugim fotelu, Robert kontynuował: – Najwyraźniej wbiła sobie do głowy, że dowie się, co się stało z jej bratem Williamem. Jej starsi bracia... przynajmniej sądzę, że są od niej starsi... także służą w marynarce i, o ile mi wiadomo, stacjonują obecnie gdzieś daleko. W ogóle cała rodzina od wieków służy we flocie. Jeśli dotarła do nich pogłoska, że Hopkins zniknął bez pozwolenia...

Robert skrzywił się i wypił duży łyk whisky.

– Wyobrażam sobie, że starsi Hopkinsowie byliby wstrząśnięci – prychnął Babington.

– W każdym razie z jakiegoś powodu panna Hopkins uznała, że musi tu przyjechać i dowiedzieć się prawdy – podsumował Robert. – Motywy ma szlachetne, ale na pewno w niczym nie przysłuży się naszej sprawie, kręcąc się po kolonii i zadając niewygodne pytania.

Babington pokiwał głową i się napił.

– Chcesz zatem ją odnaleźć i przekonać, żeby wróciła do domu.

– Właśnie. Szukam jej od dwóch dni, ale nie natrafiłem na żaden ślad.

Babington popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- A bylibyś w stanie ją rozpoznać, gdybyś ją zobaczył?

- Tak sędzę. Henry ma włosy w dość szczególnym odcieniu. Miedziany brąz, wpadający lekko w czerwień. Zdaniem Sampsona panna Hopkins ma takie same.

Babington pokiwał głową.

- Nie rozmawiałem osobiście z Hopkinsem - zgodził się - ale wiem, że też takie miał.

- A zatem - Robert opróżnił szklanke - muszę po prostu odnaleźć tę piekielną kobietę, wyjaśnić jej, jak wygląda sytuacja, i wsadzić na statek do Anglii. Jedyny problem w tym, że nie mogę jej znaleźć.

Usta Babingtona drgnęły w mimowolnym uśmiechu.

- Zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć.

- Tylko o nią nie rozpytuj - ostrzegł Robert. - I nie rób nic, co mogłoby zwrócić na nią uwagę. - Westchnął. - Praktycznie zapadła się pod ziemię, więc niewykluczone, że się ukrywa. Jak widzisz, usilnie odpycham od siebie myśl, że mogła pójść śladem brata i również zostać uprowadzona. Ale może po prostu szukałem jej nie tam, gdzie trzeba. - Popatrzył na Babingtona. - Przyszedłem także spytać, czy słyzałeś może o jakichś wydarzeniach towarzyskich, które miejscowe damy mogły zaplanować na jutro.

Babington sięgnął po frak, wyciągnął z niego czarny notesik i go przekartkował.

- Nie mam nic wpisanego na jutro w ciągu dnia, ale to nic niezwykłego. O tej porze, jeśli nie biorą udziału w nabożeństwach Undoto, damy zbierają się zwykle na pogawędki w mniejszym gronie.

- W swoich domach na Tower Hill?

- Poza tym właściwie jedyną dostępną za dnia rozrywką są zakupy na Water Street i w okolicy...

- Owszem, ale skoro panna Hopkins przyплыnęła tu z krótką wizytą, żeby dowiedzieć się o los brata, zakupy pewnie nie należały do jej priorytetów.

- Jedyne wydarzenie zaplanowane na jutro wieczorem to spotkanie towarzyskie w domu majora Wintona i jego żony. Winton to fortowy intendent. Miła z nich para. Mieszkają tuż poniżej garnizonu. Ja się nie wybieram; to czysto towarzyska impreza, żadnych interesów, ale zapewne będzie tam większość miejscowych dam. - Babington rzucił Robertowi zaciekawione spojrzenie. - Zastanawiasz się, czy nie wybrać się na wypadek, gdyby miała się tam pojawić panna Hopkins?

- Boże broń! - Robert wzdrygnął się na samą myśl. - Zamierzam przyczaić się na uboczu. Wystarczy mi, że ją zobaczę. Potem mogę za nią podążyć w jakieś odpowiednie miejsce, żeby się z nią po cichu rozmówić. - Po chwili spytał jeszcze: - A gdzie odbywają się zazwyczaj te poranne i popołudniowe herbatki?

- Widzę, że naprawdę jesteś zdesperowany... - Powściągając uśmiech, Babington wymienił trzy nazwy ulic. - Większość dziennych spotkań pań odbywa się w którymś z tamtejszych domów.

Robert pokiwał ponuro głową i wstał.

- Dziękuję ci.

Babington również się podniósł.

- Będę się rozglądał za nieuchwytną panną Hopkins. Dokąd

mam przesłać wiadomość, jeśli się czegoś dowiem?

Robert podał mu adres zajazdu.

- To nasza baza - wyjaśnił. - Będziemy tam regularnie zaglądać, ale w tej chwili obserwujemy dom Undoto. - Idąc do wyjścia, pokrótce objaśnił plan. Pod drzwiami przystanął i popatrzył młodzieńcowi w oczy. - Kiedy dowiemy się, gdzie leży obóz porywaczy, mam natychmiast wrócić do Londynu.

- Jeśli zdołasz, prześlij mi przedtem wiadomość - poprosił Babington, sięgając do klamki. - Nie będę wiedział, co myśleć, jeśli niespodziewanie znikniesz.

- Postaram się dać ci znać. W każdym razie będziesz wiedział, czy mi się udało, czy nie. Po prostu szukaj w zatoce „Trójzębu”. Jeśli go nie będzie, to znaczy, że jestem na pokładzie i zmierzam do Londynu z informacją o obozie.

- A co, jeśli cię schwytają i też znikniesz?

Robert uśmiechnął się bez zarozumiałości i odrzekł:

- Mogę sobie wydawać rozkazy, jakie tylko zechcę, ale moja załoga nie odpłynie beze mnie. Będą tu czekać, dopóki nie wrócę... czy też, co bardziej prawdopodobne, dopóki Royd po mnie nie przybędzie.

- Jeśli więc przez ponad tydzień nie będę miał od ciebie wieści - powiedział Babington - a „Trójzęb” nadal będzie stał na kotwicy, spróbuję się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja.

- Tylko uważaj na siebie, jeśli do tego dojdzie.

Babington prychnął i otworzył drzwi.

- To nie ja tu ścigam handlarzy niewolników - odparł.

Uścisnęli sobie dłonie i Robert zniknął bezszelestnie.

Sześć

Aileen siedziała w wilgotnym mroku powozu Dave'a i wpatrywała się w drzwi domu Undoto.

Minęły cztery dni, odkąd widziała w mieszkaniu duchownego uzbrojonych opryszków. Cztery dni, od kiedy kazała Dave'owi podążać za nimi na szczyt wzgórza, ale przestraszyła się i po prostu uciekła.

Choć od tego czasu co wieczór rzetelnie stawiała się na posterunku, domu Undoto nie odwiedzili już żadni najemnicy.

Aileen nie wiedziała, co o tym myśleć. Kim byli ci mężczyźni i co mogło ich łączyć z Undoto? Jaki mieli związek ze zniknięciem Willa?

A mimo to... instynktownie czuła, że powinna dalej obserwować dom kaznodziei. Nadal wierzyła, że czterech najemników może jej wskazać drogę do brata.

- A Bóg jeden wie, że innego tropu nie mam - mruknęła do siebie w mroku.

Znajdowała się w stanie dziwnego emocjonalnego rozdarcia. Była sfrustrowana - większą część ostatnich czterech dni spędziła na odsypianiu długich godzin bezowocnej obserwacji - lecz teraz znowu wypełniała ją nadzieja. Obudziwszy się tego popołudnia, zdała sobie sprawę, że najemnicy odwiedzili dom Undoto wieczorem po ostatnim nabożeństwie.

A dziś w południe odbyło się kolejne. Jeśli jej nowa hipoteza

była słuszna i ich wizyty wiązały się nie tyle z samym duchownym, co z jego nabożeństwami, to tej nocy powinni się znowu pojawić.

Tym razem jednak musiała posunąć się o krok dalej. W razie pojawienia się szajki Dave miał podążyć za nią tak jak poprzednio, trzymając się w miarę możliwości jeszcze bardziej z tyłu, a potem znowu skręcić w tę samą boczną uliczkę.

Jednak Aileen ustaliła z nim, że za zakrętem wysiądzie z powozu. Ubrała się w najciemniejsze ubrania. Na siedzeniu obok leżał jej kapelusz i woalka, a na kolanach trzymała pistolet. Zamierzała podążyć za opryszkami na piechotę – przynajmniej na tyle daleko, żeby sprawdzić, czy kierują się do dzielnicy biedoty.

Kiedy się co do tego upewni...

Nie wiedziała, co dalej zrobi. Zastanowi się nad tym później.

Jak dotąd jednak nikt się nie pojawił.

Otworzyła okna, żeby usłyszeć odgłos kroków i pozwolić lekkiej nocnej bryzie ocalić ją przed zaduchem.

Podskórne napięcie, które Aileen nieczęsto odczuwała, sprawiło, że spojrzała przelotnie w prawo na widoczną z powozu część ulicy.

W poprzednie wieczory kazała Dave'owi zatrzymywać się w różnych miejscach – powyżej domu Undoto, poniżej, po jednej czy drugiej stronie drogi. Chodziło tylko o to, by nie przegapić wchodzących do domu lub wychodzących z niego czterech zabijaków i zapamiętać twarze wszystkich domowników.

Zauważyła również tamtego mężczyznę, którego przed kilkoma dniami widziała z Sampsonem i uznała za oficera. Kręcił się ze swoimi ludźmi przy jednym z okolicznych domów. Jego widok na tej właśnie ulicy sprawił, że Aileen zaczęła się denerwować.

Nie żeby czuła jakieś zagrożenie, lecz mimo wszystko wolała nie zwracać na siebie uwagi nieznajomego, dlatego dzisiaj znowu kazała Dave'owi zatrzymać się w alejce naprzeciwko domu Undoto. Na szczęście jej powóz niczym się nie wyróżniał; nawet koń przeciętnej brązowej maści nie zwracał na siebie uwagi.

Mijały kolejne minuty.

Aileen czuła coraz większe napięcie; nerwy miała jak postronki.

Poruszyła się ze zniecierpliwieniem, po czym znowu skupiła wzrok na domu Undoto i...

Drzwi powozu po lewej stronie otworzyły się niespodziewanie.

Serce podskoczyło jej do gardła.

Konie drgnęły, powóz zakołysał się i znieruchomiał.

Zanim Aileen zdążyła się zastanowić, już wycelowała pistolet w pierś człowieka, którego postać odcinała się na tle otwartych drzwi.

Jakby z oddali usłyszała głos Dave'a:

- Panie... Ten powóz jest już zajęty!

- Wiem. - Głos mężczyzny był głęboki i władczy. - Chcę zamienić słowo z pasażerką.

Jak to? I kto to jest, u licha?

Aileen wiedziała, że te pytania domagają się natychmiastowej odpowiedzi, lecz nie potrafiła oderwać wzroku od klatki piersiowej niedoszłego napastnika, rysującej się pod jasną koszulą widoczną spod lekkiej rozpiętej kurtki.

Serce zabiło jej mocniej.

Tymczasem mężczyzna – kimkolwiek był – zauważył jej pistolet i przezornie znieruchomiał.

Zanim zdołała wydobyć z siebie głos, nieznajomy oparł się o powóz i zajrzał głębiej do środka. Przeniósł spojrzenie z pistoletu na twarz Aileen. Przez chwilę przyglądał jej się uważnie.

– Panna Hopkins, jak sądzę? – zapytał.

– Jak pan śmie? – odparła Aileen z lodowatą pogardą. – Sugeruję, żeby zamknął pan drzwi mojego powozu i natychmiast stąd odszedł.

Mimo księżycowej poświaty surowe rysy mężczyzny pozostały skryte w cieniu. Aileen mogłaby jednak przysiąc, że na jego obliczu dostrzegła frustrację i zniecierpliwienie. Na tyle często widziała taką minę u swoich braci, że umiała ją rozpoznać na pierwszy rzut oka.

Nieznajomy spuścił wzrok na jej pistolet. Aileen nadal mierzyła w sam środek jego potężnej piersi.

– Naładowany? – zapytał.

– Inaczej nie na wiele by się zdał.

Mężczyzna zacisnął usta. Po kilku chwilach oświadczył cierpko:

– Jestem kapitan Robert Frobisher. Znam pani starszych braci, Davida i Henry'ego. – Popatrzył jej prosto w oczy. –

Wydaje mi się, panno Hopkins, że musimy porozmawiać.

Serce Aileen nadal biło jak oszalałe. Skupiła wzrok na twarzy osobnika i otworzyła usta, aby poinformować go, że jest w błędzie... lecz głos uwiązł jej w gardle.

Był to ten sam człowiek, którego widziała z Sampsonem – ten sam, który ostatnio pojawiał się na ulicy Undoto.

I nazywał się Frobisher. A przecież Sampson mówił, że jakiś kapitan Frobisher usiłował odkryć, co się stało z zaginionymi, w tym z Williamem.

Mówił też, że Frobisher zniknął, odpłynął, prawdopodobnie do Londynu.

Najwyraźniej jednak wrócił. Serce Aileen wypełniła nadzieja. W głowie jej się zakręciło na myśl o otwierających się nagle możliwościach. Nabrała powietrza...

Kątem oka dostrzegła w przednim okienku niewielki ruch. Nadchodzili ci, na których czekała. Usłyszała odgłos kroków.

Nie doszli jeszcze do skrzyżowania ulicy z jej alejką – nie widzieli powozu ani stojącego przy nim mężczyzny.

Ponownie spojrzała na Frobishera – w samą porę, aby zobaczyć, jak sięga po jej pistolet.

Nagłym ruchem odsunęła broń, a jednocześnie drugą ręką chwyciła marynarza za rękaw i szarpnęła do siebie.

– Wsiadaj pan, do licha! Nadchodzą! – szepnęła z wściekłością.

Robert słyszał co prawda kroki, lecz, zajęty rozmową z Aileen, nie od razu się zorientował, co to może oznaczać. Zanim w pełni to do niego dotarło, mimowolnie zareagował na ostre polecenie i wskoczył do powozu, zamykając drzwi

i delikatnie przesuając zasuwkę. Dziewczyna miała lepszy widok na ulicę niż on; zobaczyła coś i zareagowała. Zdecydowanie i bez namysłu.

Usiadł naprzeciwko niej. Powozik był mały i wąski; nie zmieściliby się na jednym siedzeniu.

Panna Hopkins natychmiast odepchnęła go na bok - zasłaniał jej przednie okienko. Robert odsunął się i obrócił na siedzeniu, tak aby również móc wyjrzeć na ulicę.

Ścieżką do drzwi Undoto szło czterech dobrze uzbrojonych mężczyzn.

Porywacze. Gdyby Robert żywił jakiegokolwiek wątpliwości co do ich profesji, rozwiałyby je widok ich kordelasów i bandolierów (jeden z nich miał również pistolet o długiej lufie). Tylko przestępcy chodziliby po kolonii z takim arsenałem.

Idący na przodzie mocno zbudowany zbior - sądząc po rysach i karnacji, był chyba z pochodzenia Anglikiem - podniósł pięść i stuknął w drzwi.

Po kilku sekundach otworzył je sam kaznodzieja. Nie uśmiechał się, ale powitał przybyłych serdecznie, potrząsając ich dłonie i klepiąc po plecach. Kiedy weszli do domu, zatrzęsnał drzwi.

Panna Hopkins opadła na siedzenie.

Robert wyprostował się i popatrzył na nią. On i jego ludzie już wcześniej zwrócili uwagę na mały czarny powóz, który przez ostatnie trzy noce przyjeżdżał o zmroku i odjeżdżał przed świtem, choć nikt z niego nie wysiadał ani nie wsiadał do środka. Kiedy tego wieczoru pojazd się nie pojawił, Robert

postanowił udać się na rekonesans i znalazł go w bocznej uliczce.

Młodzieniec zakradł się od tyłu i zobaczył, że w środku siedzi jakaś kobieta...

Już wtedy zaczął się domyślać, że pasażerką może być nieuchwytna panna Hopkins - i rzeczywiście: mimo mroku wystarczyło jedno spojrzenie na jej włosy, żeby zauważyć charakterystyczny miedziany połysk. Nawet jeśli Robert poczuł zaskoczenie, natychmiast ustąpiło ono miejsca poczuciu nieuchronności.

Panienka wydawała się jednak starsza, niż się spodziewał. Jej najstarszy brat David był w wieku Royda, Henry zaś - samego Roberta. Młodzieniec przypuszczał dotąd, że panna Hopkins to najmłodsza z całej czwórki, lecz sądząc po tym, co widział - i po kobiecej sile, jaka biła z osóбки siedzącej naprzeciwko niego - musiała chyba plasować się między Henrym a Williamem. William jako porucznik miał pewnie około dwudziestu pięciu lat, zatem panna Hopkins powinna być nieco starsza.

Mimo panującego w powozie mroku Robert dostrzegał ponurą determinację na jej twarzy - widoczna była w zaciśniętych ustach i wysuniętym podbródku. Oraz w spojrzeniu, którego panna Hopkins ani na chwilę nie odrywała od drzwi Undoto.

Oczy Roberta przyzwyczyły się do ciemności i mógł teraz zwrócić uwagę na obfite kształty panny Hopkins i zauważyć, że trzyma się sztywno i prosto, że dzierży pistolet wprawną ręką, a głowę nosi z wrodzoną pewnością siebie - wszystko to

były znaki, z których osoba znajdująca się na ludzkiej powierzchni mogła wyczytać nieugiętą wolę.

Tylko tego mu było trzeba - komplikacji w postaci zdecydowanej i zawziętej kobiety.

Nadzieja, że zdoła ją przekonać do spakowania manatków i wyjazdu, rozwiała się jak mgła na wietrze.

Podczas gdy on szukał panny Hopkins po całym mieście, przeczesywał ulice wokół Tower Hill, skradał się w cieniach i myszkował po alejkach, obserwując, jak miejscowe damy przybywają na wieczorne spotkania i krzątają się za dnia, ona przez cały czas znajdowała się tuż pod jego nosem.

Siedziała w tym powozie i obserwowała dom Undoto.

Ile wiedziała? A ile zdołała się domyślić?

- To handlarze niewolników - mruknął.

- Co? - Przez sekundę na twarzy panny Hopkins malowała się widoczna konsternacja, a zaraz potem zastąpiła ją podejrzliwość. - Skąd pan wie? - Popatrzyła z powrotem na drzwi Undoto. - Przecież nie każdy, kto nosi broń, to od razu handlarz niewolników. Skąd więc ta pewność? Jak pan...

Zacisnęła dłonie na pistoleciku tak mocno, że palce jej pobielały, po czym odetchnęła z trudem, wyraźnie próbując wziąć się w garść i odzyskać równowagę, z której wytrąciły ją słowa Roberta.

- Sampson mówił, że był pan tu w kolonii przed kilkoma tygodniami i wypytywał o zaginionych. Mówił, że wyjechał pan do Londynu. - Przechyliła głowę, zacisnęła usta i wbiła spojrzenie w młodzieńca. - Dlaczego pan wrócił? Żeby wytropić tych ludzi? Czy sądzi pan, że to oni uprowadzili

zaginionych... w tym mojego brata?

Robert popatrzył na nią spokojnie, po czym odchylił się na oparcie i skrzyżował ramiona na piersi. Gdy panna Hopkins otworzyła usta - na pewno chciała zadać kolejne pytania - uciszył ją, podnosząc palec.

- Kapitan Frobisher, o którym wspominał Sampson, to nie ja. Chodziło o mojego brata Declana. Wysłano go, żeby zbadał sprawę tajemniczego zniknięcia kilku oficerów. Zgodnie z rozkazami, gdy tylko natknął się na opór, wrócił do Londynu, żeby złożyć raport z tego, czego zdołał się dowiedzieć.

- A pana przysłano, by podążył wytyczonym przez niego tropem? - domyśliła się panna Hopkins, nie odrywając od niego wzroku.

Robert spojrział przez ramię, upewniając się, że drzwi Undoto nadal są zamknięte, i spytał:

- Gdzie pani mieszka?

Panienka zmarszczyła brwi.

- Pytałam, czy przysłała tu pana admiralicja lub ktoś z marynarki w Londynie. Co to ma wspólnego z tym, gdzie mieszkam? - odparła.

- Zasada wzajemności. Coś za coś. Ja udzieliłem pani pewnych informacji. Teraz pani kolej, żeby odpowiedzieć na kilka moich pytań.

Aileen zacisnęła zęby i Robert poczuł na sobie jej zbuntowane spojrzenie. Gdy stwierdził, że nie uzyska odpowiedzi, dodał:

- Panno Hopkins, przez ostatnie trzy dni zamiast skupić się na sprawie, w której mnie tu przysłano, zmuszony byłem

biegać po całej kolonii w poszukiwaniu pani.

- A to dlaczego? - spytała z jeszcze głębszym marsem na czole.

- Gdzie... pani... mieszka? - powtórzył powoli Robert.

W jego głosie dało się wyczuć irytację.

Panna Hopkins przyglądała mu się przez długą, pełną napięcia chwilę.

- Naprawdę zna pan moich braci?

- Owszem.

Znowu patrzyła na niego długo i nieustępliwie, lecz w końcu odparła:

- Najęłam pokój na Stacji Pani Hoyt dla Eleganckich Dam. W pobliżu kościoła.

Robert widział ten pensjonat. Po prostu nie przyszło mu do głowy, że panna Hopkins - osoba o dobrych koneksjach i zasobnej kieszeni - mogłaby się tam zatrzymać.

Jakby wyczuwając jego zdziwienie, panna Hopkins zadarła wyzywająco brodę.

- Specjalnie wybrałam to miejsce - wyjaśniła. - Nie chciałam, żeby ktokolwiek... jakiś pomocny przyjaciel rodziny... próbował mnie odwieść od prób odnalezienia Willa... to jest mojego młodszego brata, porucznika Williama Hopkinsa. Zamierzam go znaleźć i, jeśli to możliwe, uratować.

No cóż, to rozwiało wszelkie wątpliwości co do jej planów. Robert zmarszczył brwi.

- Jak się pani dowiedziała o zaginięciu brata? - zapytał.

Aileen opowiedziała mu krótko o liście, który dostali jej rodzice.

Robert przeklął w myślach pracowników admiralicji. Wiadomość pewnie przemknęła niezauważona przez kancelarię Melville'a. Rozumiał aż za dobrze, w jaką rozpacz musieli wpaść państwo Hopkins. Potrafił też pojąć, dlaczego kobieta pokroju panny Hopkins – zaczynał się bowiem orientować co do jej charakteru – postanowiła walczyć o dobre imię brata.

– Czy rodzice pani wiedzą, że jest pani we Freetown i szuka Williama? – zapytał.

– A czy ja mam rozumieć pana obecność tutaj jako znak, że władze wreszcie podjęły jakieś działania? – odparła.

Robert zastanawiał się, czy nie powinien najpierw zażądać odpowiedzi na swoje pytanie, lecz...

– Tak i nie. Za chwilę to wyjaśnię, ale... – zaczął.

– O Boże – przerwała mu nagle Aileen, truchlejąc. – Handlarze niewolników. Powiedział pan, że ci ludzie w domu Undoto to handlarze niewolników. A więc to dlatego Will zniknął. Porwali go handlarze żywym towarem!

Robert przez sekundę obawiał się, że pomylił się co do jej charakteru i panna Hopkins wpadnie w histerię; jak każdy mężczyzna w poczuciu bezradności wpadł w panikę.

Wtedy jednak kobieta zacisnęła zęby, a jej oczy rozbłysły. Przeniosła wzrok na drzwi domu Undoto.

– Więc to dlatego Will chodził na te modły... Z jakiegoś powodu tropił handlarzy niewolników. I dlatego ci handlarze... pojawiają się tylko w wieczory po nabożeństwach.

Robert uniósł brwi. On i jego załoga nie zdawali sobie z tego sprawy.

- Widziałam tych czterech mężczyzn - wyjaśniła panna Hopkins. - Odwiedzili Undoto cztery dni temu, wieczorem po nabożeństwie. Siedzieli tam przez blisko godzinę, po czym odeszli. O ile mogłam stwierdzić, wydawali się mniej zadowoleni, niż kiedy przyszli. Od tamtej pory się nie pokazali, a obserwowałam dom każdej nocy. Dziś jednak Undoto odprawił kolejne nabożeństwo i oto znowu się zjawili.

Z niemal wyczuwalnym napięciem utkwiała spojrzenie w twarzy Roberta.

- Co to oznacza? Że Undoto... wskazuje im ludzi, których mają porwać?

Robert zastanawiał się nad odpowiedzią; wszystko, co wiedział, sugerowało, że to zasadny domysł.

- Bardzo prawdopodobne, że chodzi o coś w tym stylu - przyznał.

W tym momencie spojrzenie Aileen pomknęło ku okienku za jego ramieniem.

Robert natychmiast obrócił się i wyjrzał na zewnątrz.

Drzwi domu kaznodziei się otworzyły i wyszli z niego czterej handlarze niewolników. Nie wyglądali na zadowolonych.

Ich przywódca - Robert zastanawiał się, czy to właśnie jest Kale - odwrócił się i rzucił ze złością w stronę Undoto:

- Potrzeba mu więcej ludzi. Znajdź nam takich, żeby się nadali. Nic więcej nie musisz robić.

Undoto stał na tle drzwi. Nie odpowiedział. Miał ponurą twarz, bez śladu uśmiechu.

Przywódca szajki gniewnym krokiem podążył za resztą.

Undoto jeszcze chwilę patrzył za nimi, po czym wszedł do

domu i cicho zamknął drzwi.

Po kilku krokach najemnicy zniknęli z oczu Aileen i Roberta.

Panna Hopkins wstała i kolbą pistoletu uniosła klapkę w suficie powozu.

- Dave, kiedy uznasz za stosowne. - Wydawszy to dziwne polecenie, pozwoliła, aby klapka opadła na miejsce.

Zanim zdążyła znowu usiąść, powóz się zakołysał. Panna Hopkins zachwiała się, próbując utrzymać równowagę...

Robert złapał ją w talii i podtrzymał.

Jego dłonie i ramiona przeszył dreszcz. Wrażenie było tym silniejsze, że wokół panowały ciemności.

Usłyszał, jak Aileen wciąga powietrze, i poczuł, jak jej ciało porusza się pod cienką tkaniną.

Wyswobodziła się z jego rąk i usiadła ciężko. W ciemnościach wbiła w niego spojrzenie. Wyraz jej twarzy sugerował, że Robert to jakieś przedziwne stworzenie, jakiego jeszcze nigdy nie widziała.

On także patrzył na nią. Przez kilka sekund z największym trudem odzyskiwał panowanie nad zmysłami.

Dlaczego teraz? Dlaczego właśnie ona?

Powóz znowu się zakołysał i wolno potoczył do przodu.

Robert wyjrzał i zrozumiał, że woźnica zamierza skręcić za róg i pojechać w kierunku, w którym zniknęli handlarze. Popatrzył z uznaniem na pannę Hopkins.

- Doceniam pani intencje, ale nie musi pani za nimi podążać - powiedział.

Rzuciła mu spod zmrużonych powiek spojrzenie, które jasno mówiło, że Robert może sobie darować te słowa, po czym

znowu skierowała wzrok na przednie okienko.

Robert usłyszał znajomy odgłos pohukiwania sowy – jego ludzie podążali już śladem szajki.

Powóz wyjechał z za rogu i dalej toczył się bardzo wolno pod górę. Powściągając chęć zachowania swojej misji w tajemnicy – zwłaszcza przed panną Hopkins – Robert wyjaśnił:

– Moi ludzie idą za nimi na piechotę. Mają doświadczenie i wiedzą, co robią. Będą szli za nimi aż do ich kryjówki gdzieś w slumsach.

Ta informacja wreszcie zainteresowała pannę Hopkins.

– Zapewne zamierza pan do nich dołączyć? – spytała.

– Mogę im zaufać. Wykonają zadanie. A sam nie wtopiłbym się w miejscowy tłum tak dobrze jak oni. – Popatrzył na nią w mroku. – Pani też nie. Mimo najwyższej ostrożności zwróci pani na siebie uwagę w dzielnicy biedoty.

– I jest pan pewien, że ich kryjówka mieści się w slumsach?

– Tak nas poinformowano.

Robert znowu usłyszał pohukiwania i inne odgłosy przypominające ciche wołanie mew. Jego ludzie rozdzielili się i podążali za szajką alejkami biegnącymi równolegle do ulicy.

Panna Hopkins otworzyła usta, żeby o coś zapytać...

– Panienko – szepnął niespokojnie woźnica przez klapkę – ten wielki drab, co za nim jedziemy... zauważył nas. Stoi i ogląda się na nas.

Zanim Robert zdążył zareagować, panna Hopkins poderwała się z miejsca.

– Zjedź na bok. Już. I poczekaj.

Opadła z powrotem na siedzenie.

Powóz zwolnił i potoczył się w stronę nierównego chodnika.

Robert obrócił się i wyrżał. Pojazd skierowany był pod górę, więc z okienka był dobry widok na zakurzoną ulicę. Trzech zbójów szło naprzód, jakby nic nie zauważyli, lecz ich przywódca - „ten wielki drab” - odwrócił się i zatrzymał z dłonią na rękojeści kordelasa.

Powóz stanął. Stłumiony stukot kopyt przycichł.

Mężczyzna ruszył w ich stronę.

- Panienko? - szepnął zaniepokojony woźnica.

- Nie podnoś głowy - poleciała cicho panna Hopkins. - Nie ruszaj się.

Robert powiedziałby dokładnie to samo. Nie była to odpowiednia chwila na panikę.

Wielki zbir jednak nie zwolnił. Najwyraźniej zaczął coś podejrzewać i nie zamierzał zawrócić, dopóki się nie przekona, kto jest w powozie. I co tam robi.

- Zaraz tu dojdzie!

Robert nie potrzebował ostrzeżenia ze strony przerażonego woźnicy, żeby wiedzieć, że mający przed nimi ponad sześć stóp i trzysta funtów chodzącej katastrofy.

Klnąc pod nosem, odwrócił się twarzą do panny Hopkins. Czas jakby zwolnił. W mroku widać było szeroko otwarte, przestraszone oczy dziewczyny.

Robert wyciągnął do niej rękę.

- To jedyny sposób. Tylko niech pani nie krzyczy - powiedział.

Chwył zadziorną pannę Hopkins w pasie, wciągnął ją sobie na kolana i przycisnął usta do jej warg. Pomyślał, że musi to

wyglądać przekonująco. Objął ją więc mocno i zaczął całować
co się.

Siedem

Siła doznań była tak wielka, że Aileen zakręciło się w głowie. Unosiła się na fali wrażeń, impulsów i emocji. Czuła, jakby zstąpiła z krawędzi świata. A przynajmniej świata, który znała.

Zamknięta była w stalowym uścisku, tak silnym, że nie była w stanie się wyrwać.

Próbowała nad sobą zapanować, uspokoić się, ale znalazła się jakby w nowej rzeczywistości.

Wpiła palce w cienką tkaninę koszuli Frobishera i chwyciła mocno za jego ramiona. Usiłowała zachować spokój i powściągnąć rozszalałe zmysły.

Co on wyprawia?

Jeszcze zanim skończyła formować w głowie to pytanie, przypomniała sobie jego słowa: to jedyny sposób.

Miał rację – a ona powinna być wdzięczna, że tak szybko zareagował...

Jego usta poruszyły się na jej wargach i myśli Aileen rozpierzchły się niczym motyle w słońcu.

Nie potrafiła zebrać ich z powrotem. Ledwo zdając sobie sprawę z tego, co robi, pod wpływem nieodpartego impulsu Aileen rozluźniła zaciśnięte dłonie i przesunęła nimi po piersi mężczyzny.

I sama zaczęła całować.

Musiała odegrać swoją rolę w tym przedstawieniu. Najemnik zajrzy do środka, zobaczy ich i pomyśli...

Jakby sprowokowany jej reakcją Frobisher zaczął całować jeszcze mocniej, z pożądaniem, które wywołało dreszcz w całym jej ciele.

Westchnęła zduszonym głosem - nie była pewna, kiedy ostatnio zaczerpnęła oddech - i rozchyliła usta, prosząc o więcej. Więcej tego płomienia. Więcej oszołomienia.

Robert całował ją, jakby chciał nią całą zawładnąć.

Coś w jej wnętrzu przebudziło się i odpowiedziało. Aileen zapragnęła doświadczać, czuć - sama brać we władanie i smakować.

Nigdy jeszcze nie całowano jej w ten sposób - jakby jej usta były wspaniałym owocem, który trzeba kosztować, wyciskać do ostatniej kropli soku.

Doskonale pojmowała motywy zachowania Frobishera: aby zwieść tego łotra, tego handlarza niewolników, musieli go przekonać, że po to właśnie umówili się w powozie na nieoświetlonej ulicy, żeby niepomni na wszystko, oddać się dzikiej pasji. Że łączy ich tak silna namiętność, iż gotowi byli porwać się nawet na tak bezwstydne szaleństwo.

Oderwali się od siebie, by odetchnąć. Ich spojrzenia spotkały się na sekundę i w tym momencie Aileen zdała sobie sprawę, że odegranie tej roli wcale nie wymagało od niej aktorskich talentów - od niego także nie.

To wszystko było zbyt... prawdziwe.

A potem znowu złączyli się w płomiennym pocałunku, jakby ogarnęło ich szaleństwo, jakiego nigdy jeszcze nie zaznali,

zbyt silne, aby nad nim zapanować.

Nagle z niewielkiej odległości usłyszeli gardłowy chichot, a potem bardzo głęboki męski głos mruknął chrapliwie:

- A już się zastanawiałem, co pan tu porabiasz ze swoimi pasażerami.

- To chyba dość oczywiste - wymamrotał w odpowiedzi Dave.

- Nie zaprzeczę. Widzę, że nie powinienem zaprzętać tym sobie głowy. Co innego, gdybym był jej mężem - rzucił mężczyzna i odszedł, wybuchając sprośnym śmiechem.

Aileen próbowała oderwać się od Roberta, aby upewnić się, że łotr odszedł, ale on przytrzymał ją mocno, wciągając z powrotem w przepaść zmysłów. A ona nie miała dość siły, żeby wyrwać się z jego ramion.

Ale przecież Frobisher na pewno sam się odsunie, kiedy będą już całkowicie bezpieczni. Wtedy i ona się cofnie...

- Poszedł sobie, panienko. Dokąd mam teraz jechać?

Te słowa brutalnie przywołały ją do rzeczywistości. Aileen wreszcie uzmysłowiła sobie, co i z kim robi.

Co ją opętało?

Przerwanie pocałunku stało się nagle najprostszą rzeczą pod słońcem - pomagał w tym fakt, że za sprawą słów Dave'a także Frobisher najwyraźniej wrócił już na ziemię.

Jego twarz znieruchomiała, wypuścił ją z objęć, złapał w talii i posadził na siedzeniu obok. Zrobił to tak szybko, że Aileen aż zamrugała, niepewna, czy przypadkiem to wszystko jej się nie przywidziało.

Robert przyglądał się, jak apetyczna panna Hopkins próbuje

dojść do siebie. Doskonale wiedział, co czuła. Wykrycie u niej pierwszej oznaki słabości sprawiło mu przyjemność i nawet napełniło dumą, lecz zuchwała chełpliwość znikła zaraz w starciu z zamętem, jaki sam odczuwał.

Co tu się właściwie wydarzyło, do diaska?

Dlaczego on, Robert Frobisher, ledwo może złapać oddech?

I gdzie ona, u licha, nauczyła się tak całować?

Odsunął od siebie to pytanie - ta kwestia nie powinna go interesować.

To była jego szansa na przejęcie inicjatywy, uzyskanie i utrzymanie przewagi.

Stanowczo odpychając wspomnienie ciepłych kobiecych krągłości i zgrabnych kończyn panny Hopkins, którą jeszcze przed chwilą trzymał w ramionach, spojrzał na nią uważnie...

Dokładnie w momencie, gdy ona nachyliła się do okienka obok niego.

- Poszli - powiedziała. - Pana ludzie na pewno ich śledzą?

Robert przytaknął. Wytężył słuch, po czym rzekł:

- Nie słyszę ich sygnałów, ale nic dziwnego, na pewno są już po drugiej stronie wzgórza.

Panna Hopkins usiadła prosto i wbiła w niego uważne spojrzenie. Robert miał wrażenie, że całkiem już otrząsnęła się z pocałunku, z tego nieoczekiwanego, ekscytującego porywu zmysłów. Nie był pewien, czy mu się to podoba, bo sam w głębi serca wciąż jeszcze go przeżywał.

- Wiem, dlaczego ich śledziłam - rzekła - nawet jeśli nie zdawałam sobie sprawy, że to handlarze niewolników. Ale po co pan za nimi podąża?

- Mniej więcej z tych samych powodów. - Robert zawahał się, ale w końcu i tak wiedziała już dość, by domyślić się reszty. - Jak pani odkryła, ta konkretna szajka współpracuje z Undoto. Jej ofiary to głównie Europejczycy, w większości Anglicy. Mężczyźni, młode kobiety i dzieci.

- Wielkie nieba!

- Nie jest to typowy sposób działania handlarzy żywym towarem w tych stronach... Tak, wiem, niewolnictwo zostało zakazane, lecz ten proceder nadal trwa. W każdym razie do wszystkich porwań doszło w granicach kolonii, pod nosem miejscowych władz, i to najwyraźniej bez ich najmniejszej interwencji. Ponadto porywacze odważyli się uprowadzić kilku miejscowych oficerów, w tym pani brata Williama.

- O ile zdołałam się zorientować, Will podążał śladem niejakiego kapitana Dixona, oficera tutejszego garnizonu.

- Dixon zniknął jako pierwszy - potwierdził Robert. - Pani brata posłano, żeby go odnalazł, ale i on zaginął. Dalej był niejaki porucznik Fanshawe, którego wysłano w ślad za Williamem. On także rozpląnął się w powietrzu. Był jeszcze jeden, ale w końcu Londyn wezwał na pomoc mojego brata, a potem mnie.

- Ale co...

- Proszę panienki, proszę pana, jedziemy gdzieś czy nie?

Oboje podnieśli głowy, słysząc lekko zniecierpliwiony głos Dave'a.

Robert natychmiast postanowił przejąć inicjatywę.

- Do domu panny Hopkins.

Zapadła cisza, po czym woźnica ostrożnie spytał:

- Panienko?

Robert powściągnął irytację i popatrzył spokojnie w oczy panny Hopkins, która po krótkim zastanowieniu zawołała:

- Dziękuję, Dave! Wróćmy tą samą drogą co poprzednio.

- Ma się rozumieć, panienko.

Robert usłyszał pobrzękiwanie uprzęży, po czym powóz zakołysał się i ruszył z miejsca. Jadąc w dół zbocza, zaczął nabierać prędkości i nagle skręcił w prawo, w ulicę wiodącą w poprzek Tower Hill w kierunku dzielnicy elit.

- Jak wspominałem - Robert wrócił do przerwanej rozmowy - znam pani starszych braci. Z uwagi na tę znajomość sumienie nakazuje mi nalegać, żeby zrezygnowała pani z pościgu i prób ratowania porwanych, w tym brata. Proszę zostawić to mnie, mojej załodze i tym, których przyślą po nas.

Panna Hopkins wbiła w niego urażone spojrzenie.

- Co to znaczy „po nas”? - spytała. - Dlaczego nie zamierza pan doprowadzić tej... tej misji do końca i sam uratować porwanych? No, pan oraz pana ludzie.

- Na tym właśnie polega problem z tą konkretną misją - odpowiedział Robert i przerwał, gdy dotarło do niego, że ma zamiar ujawnić panie Hopkins kolejną tajemnicę, lecz potencjalne korzyści przewyższały ryzyko. Musiał przekonać ją do opuszczenia Freetown. - W kolonii są ludzie, których jeszcze nie zidentyfikowaliśmy, a którzy współpracują z porywaczami. Nie wolno nam ich zaalarmować, inaczej mogliby zamordować wszystkich porwanych, żeby zatrzeć ślady i uniknąć wykrycia. W tym momencie nie mamy powodów przypuszczać, że ofiary zabito. Przeciwnie, sądzymy,

że żyją i wybrano je w konkretnym celu: albo dysponują jakimiś informacjami, albo umiejętnościami. Nie wolno nam więc podjąć żadnych działań, które mogłyby narazić ich życie.

Urwał i popatrzył na pannę Hopkins, a ta natychmiast machnęła dłonią, żeby kontynuował.

- Z tego powodu - ciągnął zirytowany jej władczy gestem - każdy... hm, każdy agent przysłany tu, żeby zbadać sprawę, ma pozostać tylko tak długo, by posunąć śledztwo o kolejny krok. Proszę pomyśleć: pani brata Williama posłano jako pierwszego. Potem był Fanshawe, a po nim z kolei świetnie wyszkolony agent o nazwisku Hillsythe. Wszyscy trzej, nawet Hillsythe, mimo jego doświadczenia, poszli o krok za daleko. Schwymano ich i uprowadzono, a Londyn wciąż nie ma pojęcia, co się tu dzieje.

Panna Hopkins słuchała z najwyższą uwagą, marszcząc brwi i nie przerywając.

- Mój brat przyjechał tu otwarcie. Razem z żoną udawali zwykłą wizytę w trakcie podróży poślubnej do Kapsztadu. To oni odkryli, że wszystkich zaginionych łączy udział w nabożeństwach Undoto. Dowiedzieli się także o związkach Undoto z handlarzami niewolników. Wtedy jednak bratową uśpiono i przekazano w ręce szajki. Zadawała pytania niewłaściwej osobie. Brat zdołał ją uratować, lecz oczywiście po tym zajściu musieli natychmiast wyjechać, żeby utrzymać śledztwo w tajemnicy i przekazać wszystkie informacje do Londynu. Kiedy z kolei sam tu przyjechałem, dowiedziałem się, że miejscową kapłankę, która wskazała nam związek porywaczy z Undoto, brutalnie zamordowano wkrótce po

rozmowie z bratem i bratową. Nie miałem więc innej możliwości nakrycia handlarzy niż przez obserwację Undoto.

- Kapłankę zamordowano?

- Tak. Mieszkała wśród swojego ludu, a mimo to mordercy byli w stanie wejść do jej domu i ją zabić. - Robert celowo wyjawiał ten fakt, ponieważ ilustrował on ryzyko, z jakim wiązała się pogoń za porywaczami. - Jak już mówiłem, nie jest to bezpieczna misja dla takiej osoby jak pani, pozbawionej niezbędnego doświadczenia i wsparcia. - Zbyt dobrze znał się na kobietach, aby ryzykować stwierdzenie, że panna Hopkins nie nadaje się do zadania z uwagi na swoją płęć. - Zapewniam, że może pani bez wahania powierzyć bezpieczeństwo brata w ręce moje i tych, którzy pociągną śledztwo dalej. Londyn ma już pełną świadomość, jak pilna i delikatna jest ta sprawa. Władze zdecydowanie zamierzają położyć kres temu procederowi, uratować porwanych i dopilnować, żeby bezpiecznie wrócili do domu.

Powóz zaczął zwalniać. Minęli kościół i wreszcie Dave zatrzymał konia.

Robert czekał w napięciu z nadzieją, że panna Hopkins wyrazi zgodę, aby wrócić bezpiecznie do Anglii pierwszym możliwym statkiem.

Ona jednak dalej wpatrywała się w niego, aż w końcu stwierdziła cicho:

- Zatem ta misja przebiega jakby etapami, z których każdy ma określony cel?

Robert nie odpowiedział.

- Na czym polega więc pana zadanie? - drążyła.

Młodzieniec zaklął w duchu. Bracia Hopkinsowie słynęli z uporczywości i nieustępliwości – najwyraźniej były to cechy rodzinne.

Nie był za nią odpowiedzialny. Panna Hopkins była dostatecznie dorosła, żeby sama podejmować za siebie decyzje, i najwyraźniej taki właśnie miała zamiar. Robert nie był zobowiązany za wszelką cenę dbać o jej bezpieczeństwo. Lecz znał swój charakter na tyle, by wiedzieć, że to nietrafne argumenty.

Nieważne, jaki był tego powód – czuł, że jak długo panna Hopkins będzie przebywać w kolonii, tak długo odpowiedzialność za nią i jej bezpieczeństwo spoczywa na jego barkach.

Westchnął i odchylił głowę do tyłu.

– Powie mi pan wreszcie? – spytała panna Hopkins. – A może powinnam zacząć pana śledzić albo zapytać o to w kancelarii gubernatora?

Robert zaklął plugawie, nie zważając na towarzystwo damy. Miała przecież braci, więc takie słownictwo nie powinno jej zszokować.

Wyprostował się i popatrzył jej w oczy.

Nie był pewien, co powiedzieć – jaką obrać taktykę, jakie rozwiązanie będzie lepsze. Był doświadczonym negocjatorem i miał dar perswazji. Zazwyczaj bez problemu potrafił przekonać ludzi niemal do wszystkiego, lecz ona... Nie potrafił jej rozgryźć.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że choć wyjawienie jej zbyt wielu informacji mogło być nierozważne, trzymanie ich

w tajemnicy mogło potencjalnie prowadzić do jeszcze gorszych skutków.

- Proszę mi coś obiecać: nigdy, pod żadnym pozorem, nie będzie pani rozmawiać o tym z miejscowymi władzami. Ani w kancelarii gubernatora, ani w forcie, ani w Urzędzie Attaché Morskiego.

- Dlaczego nie? - spytała.

- Bo co najmniej kilku współników porywaczy ma powiązania z tymi miejscami. Moją bratową wydała żona gubernatora. Ulotniła się, kiedy porwanie się nie udało i brat odpłynął z żoną do Londynu. Cała kolonia sądzi, że gubernatorowa udała się z wizytą do rodziny, więc zaklinam panią, aby w żadnym razie nie zdradziła się z tą informacją.

Dopiero te słowa wreszcie zdołały wytrącić pannę Hopkins z równowagi.

- Żona gubernatora? - upewniła się. - Lady Holbrook?

Robert pokiwał głową.

Oszupienie panny Hopkins nie trwało długo.

- A jaki ma pan dowód, że ataszat jest w to zamieszany?

- Są poszlaki wskazujące, że w jakimś stopniu jest w to uwikłana nie tylko kancelaria gubernatora, ale i armia. Jak dotąd nie mamy żadnych bezpośrednich dowodów wskazujących na udział marynarki, ale musimy zakładać, że i ona jest w to wplątana. W takich sprawach nie można ufać nikomu, dopóki nie zdobędzie się dowodów niewinności.

Panna Hopkins wydała z siebie krótkie „hm!”. Robert odniósł irytujące wrażenie, jakby lekceważyła jego nadmierną ostrożność.

- Nadal nie powiedział mi pan, jaki jest cel pana dochodzenia - stwierdziła.

Rzeczywiście. Robert wcale nie chciał jej tego mówić.

Nadal nie wiedział, co ma z nią zrobić.

- Wsiadają państwo czy nie? - usłyszeli przez klapkę głos Dave'a. - Bo jak nigdzie już nie jedziemy, to chętnie położyłbym się do łóżka.

Ocalony przez woźnicę, pomyślał Robert. Już po raz drugi.

Nachylił się i sięgnął po klamkę - tę po przeciwnej stronie od chodnika i drzwi pensjonatu. Nie ma co ryzykować, że ktoś wyjrzy przypadkiem przez okno i zobaczy go, jak wysiada z powozu panny Hopkins. Mimowolnie znalazł się bliżej irytującej pannicy, która nie odrywała wzroku od jego twarzy, jakby celowo chciała działać mu na nerwy.

Zacisnął zęby i skinął jej krótko głową.

- Przyjdę do pani jutro o jedenastej i będziemy mogli dokończyć tę rozmowę.

Otworzył drzwi i wysiadł. Zamknął powóz z przesadną ostrożnością i zaczął się oddalać.

Aileen na kilka sekund pozwoliła sobie na luksus rozkoszowania się widokiem tego chodzącego ideału męskości. W jego ruchach kryła się gracia, która ją urzekała.

Aż nazbyt szybko zniknął w ciemnościach, pozostawiając ją z domysłami, czy jutrzejsza poranna wizyta zapowiada jego kapitulację, czy też wręcz przeciwnie.

Obstawiała, że to drugie.

Odetchnęła głęboko, wysiadła z powozu, pożegnała się z Dave'em... po czym pod wpływem impulsu kazała mu

zajechać następnego dnia rano.

- O dziesiątej. Byle punktualnie.

- Tak jest, panienko - powiedział Dave, dotykając czapki. -
Do zobaczenia jutro.

Aileen uśmiechnęła się do siebie, odwróciła i energicznym krokiem ruszyła ścieżką do drzwi Stancji Pani Hoyt.

Następnego ranka Aileen przebudziła się z przekonaniem, że kapitan Robert Frobisher należy do dżentelmenów, którzy zrobiliby wszystko, byle położyć kres jej działaniom.

Może i był przystojny. Może i był fascynujący. Może i doskonale całował. Ale był także mężczyzną, co więcej - mężczyzną z gatunku tych, których aż nazbyt dobrze znała.

Umyła się i ubrała w komplet o barwie bladej zieleni. Stroju dopełniała świeża biała bluzka. Zaplotła włosy w warkocze i upięła je w koronę. Teraz była gotowa na wyzwania, jakie niósł ten dzień.

Zeszła na śniadanie do małego pokoju jadalnego na tyłach domu. Zrezygnowała z krzepiącej owsianki na rzecz herbaty i tostów z owocami i serem. Po nocnej wyprawie miała niezły apetyt.

Po posiłku zamieniła kilka słów z panią Hoyt i wróciła na górę.

Wspinając się po schodach, zastanawiała się, co jeszcze może zrobić, żeby odnaleźć brata. Jeśli Frobisher się nie mylił i Willa naprawdę porwali ci handlarze niewolników, to może zdołałaby się dowiedzieć, w jakim kierunku jechali po

opuszczeniu kolonii.

Jeszcze nie wiedziała, jak może tego dokonać, ale postanowiła się nad tym zastanowić podczas porannego spaceru w parku.

Poprawiła fryzurę, włożyła słomiany kapelusz i wzięła torebkę.

Słyszac podjeżdżający powóz, podeszła do okna. Zobaczyła, jak Dave zatrzymuje konia pod furtką.

Furtką, którą właśnie otwierał Frobisher.

Aileen patrzyła, jak wchodzi na podwórko i idzie ścieżką do drzwi.

Przypomniało jej się ich ostatnie spotkanie...

Stanowczo odepchnęła od siebie te miłe wspomnienia. Niestety nie dało się zaprzeczyć, że w świetle dnia Frobisher prezentował się jeszcze bardziej imponująco. Szerokie bary, pewny siebie krok i aura człowieka nawykłego do wydawania rozkazów - wszystko to musiało robić wrażenie na każdej kobiecie.

Jeśli już, Frobisher był aż nazbyt pewny siebie.

Aileen skrzywiła się i popatrzyła na mały zegar na kominku. Była dopiero dziesiąta. A mówił, że przyjdzie o jedenastej.

Zgrzytnęła zębami, obróciła się na pięcie i szybko ruszyła do drzwi. Jeśli się pospieszy, może uda jej się wymknąć niepostrzeżenie tylnym wyjściem.

W ostatnim momencie przypomniała sobie, że zapomniała rękawiczek.

Zdusiła przekleństwo, które cisnęło jej się na usta, zawróciła do toaletki, zgarnęła nieszczęsny dodatek do stroju i cicho

wyszła z pokoju.

U szczytu schodów przystanąła i zaczęła nasłuchiwać. Usłyszała głęboki głos Frobishera, który pytał o nią gospodynię. Pani Hoyt prowadziła go do saloniku, gadatliwie zapewniając, że panna Hopkins jeszcze nie wyszła z domu i niewątpliwie przyjmie go z największą przyjemnością.

Na twarzy Aileen pojawił się grymas niezadowolenia. W tych okolicznościach próba wymknięcia się mogła tylko przysporzyć kłopotów. Musiałaby się później tłumaczyć, dlaczego nie chciała się widzieć z gościem – i to takim gościem, w którym wiedziona nieomylnym instynktem pani Hoyt wyczuwała już potencjalnie świetną partię.

No i czy Aileen naprawdę chciała dać Frobisherowi sygnał, że stara się go unikać?

Odpowiedź – z różnych powodów – brzmiała: nie.

Żadna latorośl rodu Hopkinsów nie będzie uciekać przed przeszkodą, choćby nie wiadomo jak irytującą.

Co więcej, żadna szanująca się dama nie powinna uciekać przed mężczyzną pokroju Frobishera, zwłaszcza po wczorajszych namiętnych pocałunkach. Zadziałałoby to jak płachta na byka.

Aileen nie sądziła, żeby cokolwiek dobrego mogło wyniknąć z faktu, że Frobisher będzie podążał za nią krok w krok, próbując ją złapać.

A myśl o tym, co mógłby zrobić, kiedy wreszcie mu się uda...

Słyszając odgłos zamykanych drzwi saloniku i pospiesznych kroków pani Hoyt na schodach, Aileen doszła do wniosku, że stawienie Frobisherowi czoła to jednak bezpieczniejsze,

rozsądniejsze i bardziej odpowiednie wyjście, bez względu na to, czego od niej będzie chciał.

Odetchnęła głęboko, po czym naciągnęła rękawiczki.

- Tu pani jest, panno Hopkins! - zawołała pani Hoyt, zziębnięta i rozpromieniona, zatrzymując się na półpiętrze. - Właśnie do pani szłam. Ma pani gościa. Mężczyznę - dodała znacząco. - Niejaki kapitan Frobisher. - Tu gospodyni otworzyła szeroko oczy i zniżyła głos. - Ależ on przystojny!

Aileen zmusiła się do uśmiechu.

- Dziękuję - odparła. - Właśnie schodziłam.

Pani Hoyt odwróciła się i ruszyła przed nią po schodach.

- Będę w kuchni, gdyby pani czegoś potrzebowała, panno Hopkins. - Na dole zatrzymała się i posłała Aileen niepewne spojrzenie. - No chyba że... - jej głos przeszedł w szept - ... chyba że wolałaby pani mieć przy sobie przyzwoitkę. Chętnie pomogę, jeśli pani sobie życzy.

Aileen znowu się uśmiechnęła, tym razem zupełnie szczerze.

- Dziękuję, ale to nie będzie konieczne. Kapitan Frobisher to przyjaciel rodziny.

- Ach, rozumiem. - Pani Hoyt pokiwała głową. - W takim razie już znikam. Proszę tylko zadzwonić, jeśli będzie potrzebny jakiś poczęstunek.

Po sekundzie wahania Aileen wyprostowała się, sięgnęła do klamki, otworzyła drzwi na oścież i z wysoko podniesionym czołem - matka mówiła, że wygląda wtedy jak dumny galeon - wkroczyła do pokoju.

Wystudiowanym ruchem odwróciła się i zamknęła drzwi, po czym ruszyła w kierunku Frobishera, patrząc na niego

wyzywająco.

- Dzień dobry, panie Frobisher. Ufam, że dobrze się pan miewa?

Stał przed kominkiem, przyglądając się wiszącej nad nim starej mapie, lecz na odgłos otwieranych drzwi natychmiast się obejrzał i skłonił z powagą głowę.

- Panno Hopkins - przywitał ją.

Większą część ich poprzedniego spotkania spędzili w powozie i Aileen nie zdawała sobie dotąd sprawy, jaki jest wysoki. Samą swoją prezencją wzbudzał respekt. Co prawda przywykła do rosnących mężczyzn - jej bracia również nie byli niski - nie знаła natomiast osobników takich jak Frobisher, który wydawał się mieć jakiś niezwykły dar: przyciągał ją i jednocześnie drażnił.

Fakt, że to rozdrażnienie wcale nie było nieprzyjemne, jeszcze bardziej wytrącał Aileen z równowagi.

Włosy Frobishera były ciemnobrązowe, prawie czarne, układały się w gęste loki. Twarz miał gładko ogoloną, a wydatne kości policzkowe i kwadratowa szczęka w połączeniu z pewną arogancją wysyłały jasny sygnał, że nie jest to człowiek, którego można lekceważyć.

Ubrany był bardziej tradycyjnie niż poprzedniego wieczoru: w jasny lekki frak i zwykłą koszulę z brązową jedwabną krawatką.

Mimo to nadal wyglądał groźnie.

Po ostatniej nocy wydawało jej się to jednak niezwykle pociągające...

Zatrzymała się w bezpiecznej odległości i otworzyła usta,

żeby cierpko zauważyć, że przyszedł o godzinę za wcześnie.

Frobisher jednak nie dopuścił jej do słowa.

- Moi ludzie znaleźli kryjówkę handlarzy niewolników - oświadczył.

Aileen popatrzyła na niego ze zdumieniem. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. Nie żeby wątpiła w umiejętności jego ludzi. Po prostu nie oczekiwała, że Frobisher ją o tym poinformuje, że będzie chciał ją włączyć...

Mężczyzna przyglądał się jej badawczo.

Poprzedniego wieczoru nie była w stanie dojrzeć koloru jego oczu. Teraz widziała, że są intensywnie niebieskie. Dostrzegła w nich też wielkie skupienie.

Jeśli dobrze odczytywała jego intencje, ta informacja była swego rodzaju gałązką oliwną.

Aileen domyślała się, na co liczył w zamian.

To się jeszcze zobaczy, tymczasem zaś...

- Gdzie ona jest? - zapytała, ruchem ręki wskazując Frobisherowi jeden ze starych foteli.

Sama podeszła do sofy naprzeciwko, zebrała spódnicę i usiadła.

- W slumsach, tak jak pan przypuszczał? Tych na końcu ulicy Undoto?

Frobisher opadł z gracją na fotel.

- W samym środku labiryntu uliczek. Nikt by jej nie znalazł, gdyby wcześniej nie wiedział, gdzie szukać... albo nie szedł za kimś, kto to wie - odparł. Popatrzył w oczy Aileen (były lśniące i pełne życia, w kolorze orzechów laskowych) i spokojnie ciągnął dalej: - Moi ludzie znaleźli coś w rodzaju kryjówki,

z której mogą obserwować to miejsce. Nie dokładnie naprzeciwko, ale o jeden dom dalej. Jest tam mała wieżyczka, wynajęliśmy pokój na szczycie. Mamy stamtąd dobry widok na drzwi porwaczy, a jednocześnie jesteśmy na tyle daleko, że nie zorientują się, iż ich obserwujemy. Możemy też wchodzić i wychodzić, nie ryzykując, że zwrócą na nas uwagę.

Aileen nawet nie próbowała udawać obojętności. Nachyliła się do przodu i spytała podekscytowana:

- Czy przetrzymują tam obecnie jakichś porwanych? Czy pana ludzie byli w stanie to stwierdzić?

- Wygląda na to, że nie ma tam żadnych więźniów. Moi ludzie rozpytali trochę w okolicy, oczywiście nie wprost, i dowiedzieli się od kobiet, które sprzątają i gotują porwaczom, że na razie nie ma tam żadnej dodatkowej gęby do wykarmienia.

Zanim Aileen zdążyła się odezwać, Robert kontynuował:

- Wczoraj wieczorem pytała pani, na czym polega moja misja. - Utkwił wzrok w jej twarzy; widoczne na niej napięcie utwierdziło go w przekonaniu, że nowa strategia dzielenia się informacjami przyniesie najlepsze efekty. - Nie chodzi o odkrycie kryjówki porwaczy w kolonii. To tylko krok do celu, w jakim mnie tu przysłano. Mam ustalić położenie ich obozu.

- Ich obozu? W dżungli?

- O ile mogliśmy się zorientować, ta szajka ma ustalony sposób działania: porywają ludzi z kolonii i zabierają ich do kryjówki, a potem czekają do wieczora i dopiero wtedy zabierają ofiary do dżungli. Mają tam stały obóz.

Dowiedzieliśmy się, że wszyscy handlarze niewolników działają w ten sposób; najpierw porwani zabierani są do obozowiska, a dopiero potem transportowani większymi grupami do ustalonego miejsca czy też osoby.

- Ale po co im kryjówka tutaj i na dodatek obóz w dżungli? Czy to nie dodatkowa komplikacja?

- Z tego, co wiem, miejscowa ludność, zarówno mieszkańcy slumsów, jak i okoliczne plemiona, nie wchodzi w drogę handlarzom niewolników, lecz nie pochwalają ich działalności. A zwłaszcza w tym przypadku, kiedy ofiary to mieszkający w kolonii Europejczycy. Tubyłcy obawiają się porywaczy, ale tak samo lękają się reakcji brytyjskich władz, jeśli działalność szajki wyjdzie na jaw. Boją się, że odbije to się na nich samych.

- Robert skrzywił się lekko i przyznał: - Ta obawa zapewne jest uzasadniona. W konsekwencji na terenie kolonii porywacze nie obnoszą się ze swoim procederem i działają tylko w porze nocnej. W zamian miejscowi tolerują ich obecność, a w każdym razie nie stawiają im oporu.

Panna Hopkins zmarszczyła czoło. Robert poczuł niezrozumiałą ochotę, żeby wyciągnąć rękę i wygładzić je kciukiem.

- Wspominał pan kilkakrotnie - powiedziała - że w kolonii zaginęło wielu Europejczyków, nie tylko oficerowie, których zniknięcie było przyczyną wszczęcia dochodzenia. O ilu więc osobach mówimy?

- Nie znamy jeszcze dokładnej skali... - przyznał niechętnie Robert. - Wiemy o czterech oficerach, lecz na pewno są też inni mężczyźni, o których zniknięciu nam nie doniesiono.

Sądzymy też, że uprowadzono także co najmniej cztery młode kobiety i siedemnaścioro dzieci w różnym wieku.

- Wielkie nieba! - Aileen usiadła prosto i popatrzyła na niego ze zgrozą. - Jak można było do czegoś takiego dopuścić?

Robert zwięźle wyjaśnił jej sytuację.

- Przypuszczamy więc - podsumował - że lady Holbrook odgrywała kluczową rolę, wskazując porywaczom, być może za pośrednictwem Undoto, osoby, których zniknięcie nie wzbudzi zaniepokojenia władz. Niewykluczone też, że to właśnie ona przekonała męża, iż nie doszło do żadnego przestępstwa, a zatem nie ma potrzeby podejmować żadnych działań.

Panna Hopkins pokręciła głową.

- A ja myślałam, że wiadomość o zniknięciu Willa była dostatecznie straszna...

Wbiła wzrok w twarz Roberta i zmrużyła oczy.

- Dlaczego pan mi to wszystko mówi?

Bo zdał sobie sprawę, że tylko trzymając Aileen przy sobie, zdoła zapewnić jej bezpieczeństwo. A kiedy już zlokalizuje obóz handlarzy - czy raczej kiedy zrobią to jego ludzie (on wszak zajęty będzie pilnowaniem panny Hopkins) - i przyjdzie czas opuścić Freetown, zabierze ją ze sobą do Londynu.

Jeśli będzie trzeba, posunie się nawet do porwania.

Wcale niewykluczone, że zajdzie taka konieczność - w końcu w panience płynęła krew Hopkinsów, a wśród porwanych był jej brat.

O tym jednak Robert nie wspomniał ani słowem; nie zamierzał jej ostrzegać. I tak dostatecznie trudno było nad nią

zapanować.

Myśląc o tym bladym świtem, postanowił, że będzie traktował pannę Hopkins jak wyzwanie, test własnych zdolności manipulowania i lawirowania. Będzie to szczypta pieprzu, która doda smaku skądinąd dość prostej i nieciekawej misji.

Popatrzył w oczy dziewczyny, zastanawiając się, czy jest na tyle bystra, żeby domyślić się, że obecne postępowanie nie odzwierciedla jego charakteru. Wyczuwalna w jej pytaniu podejrzliwość sugerowała, że panna Hopkins jest tego w pełni świadoma. Na szczęście Robert wiedział, jak odwrócić jej uwagę.

- Ponieważ potrzebna mi pani pomoc - oświadczył wprost.

Panienka zamrugła raz, drugi, a potem spytała, wciąż z pewną nieufnością:

- Co pan ma na myśli?

Robert założył nogę na nogę i oparł splecione dłonie na udzie, starając się, aby jego postawa sprawiała wrażenie swobody, a jednocześnie powagi.

- Im więcej wiem o tej sytuacji, tym bardziej widzę, że nawet przy wsparciu moich ludzi istnieją pewne... pola działania, które są nam niedostępne - wyjaśnił. - Nie mamy na przykład możliwości wnikać głębiej w sprawę porywania dzieci. Wiemy, że nie mają związku z nabożeństwami Undoto, więc jak i gdzie do nich dochodzi? Czy dzieci w ogóle porywane są z tego samego powodu i zabierane w to samo miejsce, gdzie reszta? Jeśli ja lub moi ludzie zaczniemy o to rozpytywać, prawdopodobnie nie zajdziemy daleko.

Liczył na to, że odwołanie się do dzieci trafi pannie Hopkins do przekonania. Sądząc po wyrazie jej twarzy i czujnym błysku w oczach – słusznie.

- Spodziewamy się - kontynuował - że co najmniej przez kilka dni będziemy musieli obserwować kryjówkę porywaczy, zanim opuszczą ją, żeby wrócić do obozu. Kiedy to zrobią, podążymy za nimi i wreszcie zdobędziemy informację, po którą nas przysłano. Potem będziemy mogli wrócić do Londynu i złożyć raport. Wszystko pięknie, ale w związku z tym przewiduję kilka dni bezczynności. Zamiast marnować ten czas, wolałbym wykorzystać go na dowiedzenie się, w jaki sposób porywacze chwyтали dzieci i czy nadal to robią.

Panna Hopkins kiwnęła głową z aprobatą. Właśnie na to liczył Robert.

- Całkowicie się z panem zgadzam - powiedziała. - Porywanie dzieci? Nie można na to pozwalać.

Inna kobieta mogłaby wzdrygnąć się ze zgrozą, lecz ona wyglądała, jakby rwała się do walki.

- Ponadto - ciągnął Robert, obserwując emocje na jej twarzy - mam pewien list, który chciałbym wysłać zwykłą pocztą do admiralicji. Do Pierwszego Lorda. - Z typową dla siebie nonszalancją wyciągnął list z kieszeni, podniósł go i popatrzył Aileen w oczy. - Napisałem, czego się dowiedziałem na temat Holbrooka. Wydaje się niewinny i nieświadomy udziału swojej żony. Melville i pozostali muszą się o tym dowiedzieć. Holbrookowi należy dać spokój i o niczym go nie informować. Dołączyłem też kilka szczegółów, które uzupełnią sprawozdanie mojego brata. Same w sobie nie są to znaczące

sprawy, lecz mogą się okazać kluczowe dla naszych następców. Muszę dopuścić możliwość, że ja sam i moja załoga również zostaniemy schwytani przez handlarzy, choć to mało prawdopodobne, i dlatego właśnie to bardzo ważne, aby ten list został wysłany.

Panna Hopkins popatrzyła na niego z nieufnością.

- Dlaczego sam nie może go pan wysłać? - spytała.

Robert wytłumaczył jej.

- Ach, rozumiem - powiedziała, przenosząc spojrzenie na list.

- Zastanawiałem się więc, czy nie byłaby pani łaskawa przejść się ze mną do portu i nadać tę wiadomość.

Aileen uniosła brwi i popatrzyła mu w oczy.

- Naturalnie - zgodziła się.

Jej wyniosła zgoda była niczym balsam dla jego duszy manipulatora.

Aileen przyglądała się uważnie lekkiemu uśmiechowi igrającemu w kącikach kształtnych ust Frobishera. Starła się nie zwracać na nie uwagi i nie dać się pochwycić głębi jego oczu. Z jakiegoś najzupełniej nonsensownego powodu była nimi zafascynowana, wiedziała jednak, że lepiej nie dać mu tego poznać.

Tym bardziej że żywiła pewne podejrzenia, iż próbował ją manipulować. Co prawda bardzo subtelnie, lecz nie zmieniało to faktu. Sama często manipulowała innymi, dlatego potrafiła rozpoznać oznaki - żaden mężczyzna pokroju Frobishera nie mówiłby z nią tak otwarcie.

Niemniej jak długo odpowiadał na jej pytania i mówił to, co

chciała wiedzieć...

W razie konieczności zawsze mogła zmienić zasady gry.

Zamrugła, po czym celowo władczym gestem wyciągnęła dłoń po list.

- Jeśli pragnie pan mojej pomocy, może mi pan go dać - stwierdziła.

Frobisher otworzył nieco szerzej oczy, jakby ze zdziwieniem, lecz położył list na dłoni Aileen.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Może pan również obiecać, że poinformuje mnie, kiedy dowie się czegoś o położeniu obozu porywaczy - dodała.

Frobisher zawahał się - Aileen nie potrafiła odczytać jego miny - lecz skinął głową.

- Ma pani moje słowo, że przekażę wszystko, czego się dowiemy.

- Dobrze więc. - Podniosła się. - Ruszajmy zatem na pocztę.

Frobisher także wstał. Uśmiechnął się i skierował w ślad za nią do wyjścia.

Wsiadając do powozu, Aileen pozwoliła Frobisherowi podtrzymać się za rękę. Stwierdziła przy tym, że całkiem jej się to wszystko podoba.

Bo niby dlaczego miałyby się nie podobać?

Gra według jego zasad w niczym jej nie zaszkodzi, a przynajmniej Frobisher poszedł po rozum do głowy i zorientował się, że lepiej wyjdzie na dzieleniu się z nią informacjami i włączeniu jej w swoje plany.

Jeszcze nie wiedziała, jakie są jego prawdziwe motywy, ale w końcu je pozna, co do tego nie miała cienia wątpliwości.

Frobisher polecił Dave'owi pojechać na Water Street i wskazał miejsce, gdzie miał zatrzymać powóz, żeby mogli dojść piechotą do poczty położonej na nabrzeżu. Dave mrukiwie przyjął polecenie, dochodząc widocznie do wniosku, że Robert działa w porozumieniu z Aileen. Gdy tylko drzwi powozu się zatrzęsnęły, pojazd ruszył z miejsca.

Kiedy zjeżdżali ze wzgórza, Aileen zmuszała się, żeby patrzeć przed siebie lub w bok, walcząc z chęcią przyglądania się Frobisherowi. On również uprzejmie postanowił się na nią nie gapić. Raz zerknęła ukradkiem i zobaczyła, że wyglądał przez okno.

Fascynował ją do tego stopnia, że nie była w stanie się skupić, lecz widziała już dość, by stwierdzić, że był skuteczny w działaniu – chciał i potrafił dopilnować, żeby sprawa została załatwiona, nawet jeśli zabierał się do tego w specyficzny sposób.

Skoro Aileen musiała z kimś współpracować, żeby odnaleźć Willa i przygotować akcję ratunkową, to nie miała nic przeciwko temu, aby tym kimś był osobnik typu Frobishera.

Może nie do końca mu ufała, ale rozumiała go – był podobny do jej braci, ona zaś dobrze się dogadywała z takimi mężczyznami. Wiedziała też, jak w razie potrzeby go sprowokować, a jego reakcje były dla niej łatwe do przewidzenia.

W końcu wyższe instancje przysłały go tu, aby zebrał informacje konieczne do odbicia porwanych, w tym Willa. To był także jej cel. Współpraca z Frobisherem miała więc o wiele większy sens niż przeciwstawianie mu się lub próba

działania za jego plecami.

Aileen musiała też przyznać, że myśl o dzieciach - i kobietach! - porywanych w jakimś nikczemnym celu rozpałała w niej prawdziwy gniew.

Nigdy nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo i miała pełną świadomość tego, że otaczają ją sami życzliwi ludzie, którym na niej zależy. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wyglądałoby jej życie bez ich pomocy i swoistego parasola ochronnego, jaki nad nią rozpinali. Tymczasem wiele młodych kobiet i dzieci było tego pozbawionych.

Musiała stanąć w ich obronie.

Dlatego postanowiła współpracować z Frobisherem i zrobić wszystko, co w jej mocy, jednocześnie pomagając mu rozwiązać sprawę Willa.

W gruncie rzeczy plan Frobishera miał wiele zalet, niezależnie od tego, jakie motywy naprawdę się za nim kryły.

Jeśli w dotychczasowym życiu spędzonym razem z kochającymi rodzicami i trzema upartymi braćmi Aileen zdążyła się czegoś nauczyć, to tego, że aby osiągnąć własne cele, człowiek musi się chwytać wszelkich możliwych sposobów działania.

Znowu spojrzała na Frobishera; wydawał się pogrążony w myślach.

Odwróciła wzrok i zaczęła się zastanawiać, jak dowiedzieć się więcej o zaginionych dzieciach.

- Pani Hardwicke to żona pastora - rzuciła, kiedy powóz skręcał w Water Street. Gdy Frobisher skierował na nią uwagę, mówiła dalej: - Może mieć jakieś informacje

o zaginionych dzieciach, zwłaszcza jeśli, jak pan mówił, one także były pochodzenia europejskiego. Domyślam się, że ma pan na myśli głównie dzieci angielskie.

- Tak, to właśnie od pani Hardwicke wiemy o ich zaginięciu - odparł.

- Doprawdy? W takim razie na pewno będzie najlepszym źródłem informacji.

- Mam już od brata listę z nazwiskami i wiekiem porwanych.

- To dobry początek - uśmiechnęła się Aileen - ale jest jeszcze kilka innych rzeczy, które pani Hardwicke powinna wiedzieć, a które mogłyby pomóc nam odkryć, w jaki sposób i dokąd uprowadzono te dzieci.

Powóz zaczął zwalniać. Po prawej stronie widać już było skrzyżowanie, przy którym mieli się zatrzymać.

Aileen popatrzyła w niebieskie oczy swojego towarzysza.

- Jest jeszcze wcześniej, więc proponuję, abyśmy po nadaniu listu udali się na plebanię i sprawdzili, czy uda nam się czegoś dowiedzieć.

Frobisher wpatrywał się w nią uparcie. Aileen wyczuwała, że nie przywykł do wykonywania cudzych poleceń. Wtedy jednak powóz zatrzymał się, a on skłonił głowę i przystał na propozycję. Wysiadł i podał jej rękę.

Wychodząc na chodnik, Aileen starała się zapanować nad szerokim uśmiechem triumfu.

Osiem

Stojąc w cieniu alejki biegnącej wzdłuż budynku poczty, Robert przyglądał się, jak panna Hopkins – jak to możliwe, że wciąż nie znał jej imienia? – maszeruje po nabrzeżu i wchodzi do środka, dziękując skinieniem głowy dżentelmenowi, który przytrzymał jej drzwi i uchylił kapelusza.

Poruszała się żywołowo, energicznie. Efekt ten potęgowały jeszcze jej roziskrzane orzechowe oczy i wspaniałe lśniące włosy. W tej chwili zakrywał je kapelusz, lecz wokół twarzy i na karku wiło się kilka luźnych pukli, których widok sprawiał, że Robert zupełnie nie mógł się skupić.

Drażnił go sam fakt, że w ogóle zwrócił na to uwagę, lecz przy niej... miał wrażenie, że nie potrafi zapanować nad zmysłami.

Czuł ogromną chęć, żeby wyjść z ukrycia, podejść do okna i sprawdzić, czy panna Hopkins nie napotkała żadnych trudności, ale się powstrzymał. Nie było przecież żadnego powodu, aby ktokolwiek mógł się dziwić, że panna Hopkins wysłała list do admiralicji – a gdyby nawet ktoś okazał się tak szalony, żeby wypytywać ją o to lub wyraźnie męski charakter pisma, jakim napisano adres, Robert nie miał najmniejszych wątpliwości, że dama sama świetnie sobie poradzi, wymyśli na poczekaniu jakąś historyjkę i wyniośle rozprawi się z ciekawskimi.

Wyniosłość doskonale jej wychodziła.

Robert oparł się o ścianę i spuścił głowę. Nadal odczuwał ochotę, żeby zajrzeć przez okno, lecz nie mógł sobie pozwolić na to, by go rozpoznano – a pokazanie się na nabrzeżu w środku dnia na pewno wiązało się z takim ryzykiem. Jeśli choć jedna osoba go pozna, wnet rozniesie się wieść, że w kolonii pojawił się kolejny Frobisher – a to mogłoby zaniepokoić porywaczy.

Poza tym co by było, gdyby jego nowa współpracownica go na tym przyłapała?

Wciąż zastanawiał się nad konsekwencjami takiego obrotu sprawy, kiedy panna Hopkins wyszła na dwór, ruszyła energicznie nabrzeżem, po czym skręciła w alejkę i przeszła obok niego. Tak jak polecił, nawet na niego nie spojrzała. Dopiero po chwili Robert ruszył w ślad za nią. Kiedy zniknęła za pierwszym rogiem, przyspieszył i zrównał się z nią.

– Żadnych problemów? – spytał.

– Najmniejszych – odparła. – Mówiłam, że wszystko pójdzie jak z płatka. – Popatrzyła przed siebie i poprawiła rękawiczki.
– A teraz wracajmy do powozu i jedźmy na plebanię.

Usta Roberta lekko drgnęły – zastanawiał się, co by pomyślała jego załoga, nie wspominając o braciach, widząc, jak potulnie wypełnia polecenia kobiety.

Czy by się z niego śmiali... czy też mu współczuli?

Jak nisko upadają wielcy tego świata!

Ale w końcu słuchał jej tylko po to, by ją ułagodzić. I jedynie tak długo, jak długo jej zamiary będą się pokrywać z jego planami. Jeśli panna Hopkins zboczy z wytyczonego przez

niego kursu, przejmie ster i dopilnuje, żeby zawróciła. Dopóki jednak nie działo się nic takiego, nie widział powodów, aby wprowadzać zamieszanie.

Dave czekał tam, gdzie go zostawili; w tym miejscu pasażerów wsiadających i wysiadających z powozu skrywał cień okapu. Gdy tylko znaleźli się w środku i zamknęli drzwi, staruszek popędził konia.

W drodze powrotnej na Tower Hill oboje pasażerowie milczeli.

Pod plebanią, pomagając Aileen wysiąść z powozu, Robert szepnął:

- Mój brat i bratowa poznali panią Hardwicke. Rozmawiali z nią kilka razy. Jeśli będzie pani musiała mnie przedstawić, proszę posłużyć się nazwiskiem Aiken i powiedzieć, że jestem przyjacielem rodziny.

Panna Hopkins kiwnęła głową.

Robert podał jej ramię. Wsparła się na nim dłonią w rękawiczce. Idąc do drzwi, nachyliła ku niemu głowę i spytała przyciszonym głosem:

- Czy istnieje ryzyko, że pani Hardwicke może pana rozpoznać?

- Declan i ja jesteśmy do siebie podobni, więc to niewykluczone. Jeśli tak się stanie, powiem, że jesteśmy ze sobą daleko spokrewnieni. Liczę jednak, że nie zwróci na mnie uwagi. Zamierzam wtopić się w tło i zostawić pani całą rozmowę.

Panna Hopkins uśmiechnęła się szeroko i poklepała go po ramieniu uspokajającym gestem.

Kiedy znaleźli się pod drzwiami, Robert rzucił jej wymowne spojrzenie, po czym przybrał uprzejmą minę i energicznie zapukał.

Młodziutka służąca zaprowadziła ich do małego, lecz wygodnego salonu i poszła po swoją panią. Robert podprowadził pannę Hopkins do sofy, a sam zajął fotel, którego nie dosięgało światło padające z okien.

Chwilę później do salonu weszła żwawym krokiem pani Hardwicke, matrona o stanowczym obliczu.

- Witam państwa - rzekła, wodząc spojrzeniem po twarzach gości.

Aileen z uśmiechem wyciągnęła do niej rękę.

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że jeszcze mnie pani pamięta. Jestem panna Hopkins. Poznałyśmy się kilka tygodni temu podczas jednej z pani popołudniowych herbatek.

Twarz pani Hardwicke rozjaśniła się i pastorowa ujęła palce dziewczyny.

- Ależ oczywiście, moja droga - rzekła. - Obawiam się, że nie miałyśmy wtedy okazji porozmawiać.

- Rzeczywiście nie.

Spojrzenie gospodyni znowu pomknęło ku Frobisherowi, więc Aileen wskazała go dość niedbałym gestem i rzekła:

- A to jest pan Aiken. - Po czym, nie dając pani Hardwicke czasu na nic poza uprzejmym skinieniem głowy, ruszyła do ataku: - Przyjechałam do kolonii tylko na krótki czas, lecz doszły mnie pewne niepokojące plotki. Pomyśleliśmy, że pani będzie się najlepiej orientować, czy są one prawdziwe.

- Plotki? - spytała pani Hardwicke. - Nie jestem pewna, czy

żona pastora to faktycznie najlepsze źródło...

- Och, nie chodzi o plotki tego typu - przerwała jej Aileen.

Spojrzała wymownie na sofę.

- Ależ proszę! - rzekła pospiesznie pani Hardwicke. - Niech państwo spoczną.

Aileen usiadła i z zadowoleniem stwierdziła, że pastorowa wybrała fotel naprzeciwko niej.

Frobisher odczekał, aż obie zajęły miejsca i wygładziły spódnice, po czym sam usiadł, próbując schować się jak najgłębiej w cieniu.

- Widzi pani - zaczęła Aileen, wychylając się w stronę pani Hardwicke i patrząc jej w oczy - chodziliśmy po sklepach przy Water Street i kilka ekspedientek wspomniało, że w kolonii giną dzieci. Jest to temat, który bardzo mnie interesuje. Znam działalność londyńskiego przytułku dla podrzutków i... No cóż, zastanawiałam się, czy w kolonii są jakieś problemy, a jeśli tak, to czy mogłabym pomóc, chociażby donosząc o tym odpowiednim osobom w Londynie.

Tymi słowami zdołała całkowicie skupić na sobie uwagę pani Hardwicke - pastorowa niemal zupełnie zapomniała o obecności Frobishera.

- Moja droga - oświadczyła matrona po kilku sekundach, zwilżywszy językiem usta - gdyby była pani w stanie cokolwiek zdziałać w tej sprawie, codziennie wspominałabym panią w modlitwie.

- A więc te pogłoski to prawda? - spytała Aileen, otwierając szeroko oczy.

- No, to zależy, co dokładnie pani słyszała, ale mogę

powiedzieć, że dzięki działalności męża wśród biednych dowiedziałam się o co najmniej siedemnaścioru dzieci, które zaginęły w ciągu ostatnich kilku miesięcy. A niewykluczone, że było ich więcej. – Twarz pani Hardwicke znieruchomiała. – I nieważne, co mówią władze. Te dzieci nie uciekły. Zostały uprowadzone, choć nawet się nie domyślam, przez kogo i w jakim celu.

– Wielkie nieba! – Aileen odchyliła się do tyłu, jakby nad czymś się namyślała, po czym rzekła: – A proszę mi powiedzieć... te zaginione dzieci... czy coś je łączyło? Może chodziły do tej samej szkoły albo należały do sierocińca, albo...?

– Ależ moja droga! W tej kolonii nie ma sierocińca. Na pewno pani wie, że to jedna z ostatnich rzeczy, o jakich się myśli w miastach. Co do szkół dopiero zaczęła się dyskusja, czy nie należałoby założyć szkoły podstawowej dla dzieci rodzin z Tower Hill. Te z dzielnic biedoty długo będą musiały czekać na zdobycie jakiegokolwiek wykształcenia.

– Z dzielnic biedoty? A więc te zaginione dzieci pochodziły z ubogich rodzin?

– Niestety tak. Gdyby było inaczej, może po ich zniknięciu zrobiliby się głośno, lecz...

Aileen zmarszczyła brwi.

– A czy pochodziły może z tej samej okolicy? – spytała.

Sądząc po minie pani Hardwicke, nikt jej jeszcze o to nie pytał i teraz zastanawiała się nad odpowiedzią. Po kilku chwilach odparła powoli:

– A wie pani, że to wcale niewykluczone... – Spojrzała

w lewo. - Rzućmy okiem na mapę.

Podniosła się i zaprowadziła Aileen do oprawionego planu miasta wiszącego na ścianie przy drzwiach.

- Mąż dostał ją w prezencie dopiero w tym roku, więc jest względnie aktualna - wytłumaczyła.

Uniosła dłoń i przesunęła palcami wzdłuż kilku ulic.

Aileen przyjrzała się uważnie: nietrudno było znaleźć na mapie port, podobnie jak garnizon i Tower Hill. Również zlokalizowanie dzielnic biedoty nie nastęczało kłopotu z uwagi na ogromne zagęszczenie uliczek.

Pani Hardwicke przeciągnęła palcem niżej i zacisnęła usta.

- O tu. - Powoli zakreśliła obszar położony na południowy wschód od wschodniego krańca Water Street. - Wszystkie zaginione dzieci mieszkały w tej okolicy. W labiryncie pomiędzy nabrzeżem a wschodnim krańcem dzielnicy handlowej.

- Rozumiem. - Aileen obejrzała się przez ramię.

Frobisher sprawiał wrażenie, jakby też chciał popatrzeć, lecz choć podniósł się, kiedy ona i pastorowa wstały, nie wyszedł z cienia.

Pani Hardwicke opuściła rękę, lecz nadal nie odrywała wzroku od mapy.

- Wie pani - zauważyła - że nigdy nie pomyślałam, by przyjrzeć się sprawie od tej strony. Dorośli, którzy zaginęli, pochodzili z różnych miejsc w całej kolonii, lecz dzieci... wszystkie mieszkały w tym samym rejonie.

- Orientuje się pani, czy dzieci z tamtej okolicy chadzają w jakieś konkretne miejsca lub może gdzieś się spotykają? -

Pani Hardwicke popatrzyła na nią, wyraźnie nie rozumiejąc pytania, więc Aileen wyjaśniła: – Skoro nie chodzą do szkoły, a zakładam, że są zbyt małe, aby pracować, to czym się zajmują przez cały dzień?

Pani Hardwicke zastanowiła się przez chwilę.

– Właściwie nie mam pojęcia, ale pewnie się bawią – stwierdziła. Po chwili zreflektowała się. – Ojej, gdzie ja mam głowę... Czy mogę państwu zaproponować jakiś poczęstunek?

Aileen uśmiechnęła się i podziękowała, po czym natychmiast zaczęła się żegnać, mówiąc, że dowiedziała się już wszystkiego, na czym jej zależało, i nie chce zabierać gospodyni więcej czasu.

– Planuję powrót do Londynu w niedalekiej przyszłości – dodała jeszcze, gdy pani Hardwicke odprowadzała ich do drzwi. – Obiecuję, że poruszę kwestię zaginionych dzieci z osobami, które się tym zainteresują.

– Dziękuję, moja droga. – Pastorowa uśmiechnęła się z rezygnacją. – Modlę się codziennie, żeby ktoś wreszcie zbadał tę sprawę i żeby nie zniknęło już żadne dziecko.

Aileen ujęła wyciągniętą dłoń kobiety.

Robert skłonił głowę, po czym ujął zaradną pannę Hopkins pod ramię i zaprowadził do powozu.

Dopiero kiedy wsiedli i ruszyli w drogę, Aileen rzekła z wyraźnym zadowoleniem:

– Teraz mamy więc konkretny punkt wyjścia.

Robert nie był do końca pewien, co miały znaczyć te słowa, lecz skomplementował jej zachowanie i przytomność umysłu podczas wizyty.

Panna Hopkins napuszyła się, słysząc te pochwały, a Robert ukrył uśmiech. Zawsze dobrze jest oddać sprawiedliwość pomocnikowi, zresztą faktycznie był pod wrażeniem.

Wkrótce jego nowa partnerka wyjaśniła, co miała na myśli, mówiąc o „konkretnym punkcie wyjścia”.

Zaproponowała, żeby w pierwszej kolejności podzielić całą dzielnicę biedoty na części i kolejno je przeszukać, od pierścienia magazynów na granicy sektora handlowego aż po wybrzeże zatoczki na wschód od zatoki Kroo.

Na szczęście Robert przewidział tę propozycję. Wychodząc z salonu pani Hardwicke, został na chwilę z tyłu, żeby zanotować w głowie nazwisko kartografa, który sporządził oglądaną przez panie mapę. Dave znał jego sklepik położony w bocznej uliczce niedaleko portu i tam też się skierowali.

Po kwadransie wrócili do powozu, zaopatrzeni w plan kolonii ukończony zaledwie miesiąc wcześniej i zawierający przydatne detale.

Panna Hopkins zatopiła się w mapie, a Robert znowu zaczął się zastanawiać, jak ona, u licha, ma na imię.

Złożył drugą zakupioną mapę, która obejmowała duże połączenie wybrzeża i interioru poza kolonią. Była o wiele mniej szczegółowa niż plan miasta, lecz zawierała więcej informacji niż jakakolwiek ogólna mapa okolicy, którą do tej pory widział. Wsunął ją do wewnętrznej kieszeni fraka.

- Czy może pan poprosić Dave'a, żeby zawiózł nas na koniec tej ulicy? - Panna Hopkins pokazała na mapie wybrane

miejsce. – Stąd przejdziemy piechotą w okolice, gdzie mogą się bawić dzieci ze slumsów.

Robert sprawdził, o które miejsce chodzi, po czym wstał i uchylił klapkę, żeby spełnić jej prośbę. Kiedy powóz ruszył w drogę, mężczyzna zaczął uważnie przyglądać się pannie Hopkins.

Ona tymczasem dalej analizowała ze zmarszczonymi brwiami mapę, którą objęła w posiadanie, i najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest obserwowana.

Robert nie przywykł do współpracy z kimś spoza swojej załogi. Aby ich partnerstwo przyniosło rezultaty, będą musieli wprowadzić pewne zmiany we wzajemnej relacji. Uznał, że równie dobrze może od razu się za to zabrać.

– Wygląda na to, że pisane nam jest wspólnie zająć się tą sprawą – przemówił. – A w takim wypadku nie mogę nadal myśleć o pani tylko jako o pannie Hopkins. Pani już wie, jak się nazywam. A jak brzmi pani imię?

Jego towarzyszka przez chwilę wpatrywała się w niego zdziwiona, po czym powiedziała zwyczajnie:

– Aileen. – I znowu zajęła się mapą.

Aileen. Patrząc na jej wymykające się spod kapelusza włosy oraz rezolutną minę, Robert stwierdził, że to imię świetnie do niej pasuje.

– Dobrze więc, Aileen. Dlaczego uważa pani, że dzieci biedoty zbierają się w jednym konkretnym miejscu?

Podniosła na niego oczy, w których rysowało się lekkie zdziwienie. Wreszcie usiadła prosto, składając dłonie na mapie.

- Przecież ma pan rodzeństwo podobnie jak ja. Gdyby w dzieciństwie pozostawiono pana i braci bez opieki i zajęcia, co byście zrobili?

- Poszlibyśmy szukać... no cóż, przygód. Tego, co wtedy uznawaliśmy za przygody.

- Właśnie. A gdybyście znali jakieś miejsce, gdzie przebywały też inne, podobne wam dzieci, na pewno tam właśnie byście się udali, czyż nie?

Robert uśmiechnął się lekko do wspomnień.

- Było nas czterech, więc nie zawsze potrzebne nam było towarzystwo, ale czasami owszem, przyłączaliśmy się do miejscowych dzieci.

Aileen kiwnęła energicznie głową.

- Z tego, co powiedziała pani Hardwicke, wynika, że dzieci ze slumsów, przynajmniej te, które nie nadają się jeszcze do pracy, nie chodzą do szkoły i nie mają w ciągu dnia żadnych wyznaczonych zajęć. A w takim razie jak wszystkie dzieciaki na pewno zbierają się w grupy i razem bawią. Jednak - tu uniosła plan, nachylając go tak, aby Robert zobaczył malutkie uliczki - alejki w dzielnicy biedoty są za wąskie, żeby choćby rzucać tam piłkę. Na pewno więc dzieci szukają miejsc, gdzie jest więcej przestrzeni.

Wygładziła mapę na kolanach.

- Dlatego właśnie tak się ucieszyłam, że kartograf miał aktualny plan miasta. Zaznaczył miejsca, gdzie pożary albo zwykłe zaważenia stworzyły nieco wolnego miejsca między zabudowaniami. A że te dzieci nie mają ani placu zabaw, ani nawet żadnego parku czy skweru, najpewniej tam właśnie się

bawią.

Robert nachylił się, opierając łokciami o uda, i przyjrzał się mapie, przekonany rozumowaniem i zarażony entuzjazmem Aileen.

- Zaczniemy od przeczesania slumsu. Będziemy się przesuwac od magazynów w stronę nabrzeża, sprawdzając po kolei wszystkie miejsca, na jakie się natkniemy - powiedział. Wyczuwał aprobatę panny Hopkins. Kiedy uniosła głowę, popatrzył jej w oczy. - Sprawdźmy na wszelki wypadek całą okolicę, ale obstawiam, że to, czego szukamy, znajdziemy bliżej zatoki. Lepsze tam pole do przygód i więcej rzeczy, które mogą zainteresować dzieciaki, w każdym razie chłopców.

Aileen przemyślała to i łaskawie pokiwała głową.

- Niewykluczone, że ma pan rację - przyznała.

Powóz zwolnił i zakołysał się, stając. Z góry dobiegł ich głos Dave'a:

- Dalej już państwa nie zawiozę. Mam tu poczekać?

Aileen sięgnęła do klamki, ale Frobisher uprzedził ją i wysiadł jako pierwszy, blokując drzwi i niby mimochodem się rozglądając. Wreszcie upewniwszy się, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, odsunął się i podał jej rękę.

Aileen stłumiła prychnięcie - w końcu to on bał się rozpoznania, a nie ona - i przyjęła jego pomoc. Gdy tylko uwolnił jej dłoń, spuściła wzrok i wygładziła spódnicę. Prostując się, spojrzała na niego ukradkiem. Frobisher rozglądał się po okolicy; Aileen pozostało tylko liczyć, że nie zauważył, iż za każdym razem, gdy się dotykali - za każdym

razem, gdy choćby się do niej zbliżał – jej oddech przyspieszał.

Na szczęście Frobisher chyba nie zdawał z tego sprawy. Odwrócił się i popatrzył na Dave'a.

- Tak – powiedział. – Proszę tu poczekać. – Lecz po zastanowieniu poprawił się: – Czy raczej proszę tu po nas wrócić. Nie będzie nas co najmniej kilka godzin.

Dave kiwnął głową.

- W takim razie zjem sobie jakiś obiad. Wrócę za dwie godziny i będę czekać dokładnie w tym samym miejscu.

Frobisher przytaknął energicznie, po czym wziął Aileen pod ramię. Ta przystanęła jeszcze, by podziękować woźnicy skinieniem głowy, i dopiero wtedy pozwoliła się przeprowadzić na drugą stronę drogi. Weszli – jak wynikało z mapy – w główną ulicę slumsu.

Kiedy spowiół ich mrok alejki, Frobisher puścił ramię Aileen i dziewczyna zdała sobie sprawę, że przez cały ten czas wstrzymywała oddech. Musiała zapanować nad tymi odruchami, gdy czuła jego dotyk, lecz teraz, kiedy szli tuż obok siebie, nie była to najlepsza pora na roztrząsanie tej kwestii.

- Dokąd najpierw? – zapytał Frobisher.

Aileen rozłożyła mapę. Przypatrywała jej się przez kilka sekund, próbując się zorientować...

Frobisher wyjął plan z jej rąk, obrócił o sto osiemdziesiąt stopni i oddał.

- Dziękuję – wydusiła z siebie.

Po sekundzie zastanowienia wskazała na prawo.

- Skrećmy w najbliższą alejkę. Tam powinniśmy trafić na

pierwszą otwartą przestrzeń.

Frobisher skinął głową i ruszył naprzód w spokojnym tempie, żeby mogła dotrzymać mu kroku.

Aileen uniosła wysoko głowę i pomyślała, że kiedy skupia się na wykonaniu ich wspólnej misji, idzie jej całkiem nieźle. Jeśli tylko poświęci całą uwagę tej kwestii, uda jej się uciszyć zmysły na tyle, by ukryć swoją wielką fascynację.

Nigdy jeszcze nie musiała sobie radzić z tak potężnym, rozpraszającym i wszechogarniającym pragnieniem. Jedną jej część patrzyła na to wszystko ze zdecydowaną dezaprobatą, podczas gdy druga nie potrafiła zapanować nad oczarowaniem Frobisherem oraz reakcjami, jakie w niej budził.

Jej policzek łagodnie musnęło pranie powiewające na sznurku.

Aileen wykonała gwałtowny ruch, zanim zorientowała się, co się stało, i poczuła, że oblewa się rumieńcem. Jak mogła tak dalece się zapomnieć?

- Wszystko w porządku? - Frobisher nachylił głowę, żeby zajrzeć pod jej kapelusz.

- Tak, w jak największym. - Aileen skierowała wzrok przed siebie i ruszyła dalej. - Zapatrzyłam się i nie uważałam.

Zmusiła się, żeby skierować uwagę na mijane domy - czy też noszące miano domów nędzne kwatery - i zamieszkujących je ludzi.

Była w Indiach, kiedy stacjonował tam David. Odwiedzała też miasta basenu Morza Śródziemnego oraz europejskiego wybrzeża Atlantyku. Właśnie te doświadczenia pozwoliły jej zorganizować sobie podróż z Londynu do Freetown. Aileen

wiedziała, co robić w sytuacjach, w których inne damy czułyby się zupełnie zagubione.

Wizyty w tak różnych miastach i krajach uświadomiły jej, że nie tylko w Londynie czy Edynburgu można się natknąć na slumsy. Były one wszędzie. Co więcej, podobnie jak w Londynie, niektóre zamieszkiwane były przez miejscową ludność, podczas gdy inne - jak w rejonie East Endu lub w okolicach londyńskiego portu - głównie przez ludność napływową.

Tak właśnie było tutaj. Praktycznie wszyscy mieszkańcy tego slumsu byli pochodzenia europejskiego. Dominowali Anglicy, lecz nie brakowało też Francuzów, Hiszpanów, Włochów, Greków, Holendrów, a nawet Rosjan i mieszkańców krajów skandynawskich. Jeśli chodziło o zawody, wśród mężczyzn przeważali marynarze, rybacy, cieśle i robotnicy lądowi, a wśród kobiet były dziewczynki karczemne i gospodynie domowe, praczki i handlarki ryb, kobiety zajmujące się różnego rodzaju rękodziełem i oczywiście panie lekkich obyczajów.

Te ostatnie, stojąc w drzwiach jak koty wygrzewające się na słońcu, rzucały Frobisherowi senne, lecz wyraźnie zachęcające spojrzenia. Aileen zerknęła na niego ukradkiem, ale o ile potrafiła się zorientować, nawet nie zauważył, że stał się obiektem ich zainteresowania. Nieustannie rozglądał się w poszukiwaniu najdrobniejszego śladu zagrożenia, chcąc je wcześniej wykryć.

Doszli do pierwszej z zaznaczonych na mapie otwartych przestrzeni. Aileen już miała wyjść z alejki, kiedy Frobisher

położył jej rękę na ramieniu, aby ją zatrzymać. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Ostrożnie - powiedział i popatrzył do góry.

Podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła coś na kształt wahadła zawieszonego na szkielecie konstrukcji, którą zaczęto wznosić na tym pustym miejscu. Był to jakby żuraw, z którego zwisał ładunek drewna, kołyszący się w poprzek uliczki mniej więcej na wysokości ludzkiej głowy.

- Bezpieczne to tu nie jest - mruknęła.

Frobisher rzucił jej lekko rozbawione spojrzenie.

- W slumsach niewiele rzeczy jest bezpiecznych.

Aileen stłumiła prychnięcie i spojrzała na mapę.

- Może i kryje się tu jakieś zagrożenie, za to nie ma żadnych dzieci. Chyba powinniśmy iść dalej.

Następny teren miejscowi zmienili w palenisko, gdzie chyba pozbywano się śmieci.

Aileen wstrzymała oddech i odeszli stamtąd pospiesznie.

Dwa przystanki dalej, gdy znowu nikogo nie znaleźli z tego prostego powodu, że miejsce to wypełniało rumowisko kamieni o ostrych krawędziach, panna Hopkins powiedziała z rosnącym zniecierpliwieniem:

- Widzieliśmy już mnóstwo dzieci, ale wszystko to jeszcze maluchy uczone maminych spódnic.

Frobisher rozejrzał się i skinął głową.

- Reszta musi gdzieś być. To tylko potwierdza pani założenie: wszystkie starsze dzieci mają jakieś miejsce, gdzie wspólnie się bawią. Po prostu jeszcze go nie znaleźliśmy.

Aileen zmrużyła oczy.

- Innymi słowy chce pan powiedzieć, że się niecierpliwie – stwierdziła.

Robert wzruszył ramionami.

- Ja też się niecierpliwie, ale zostało nam do sprawdzenia jeszcze kilka miejsc, a i tak obstawiałem któreś z tych przy nabrzeżu.

- Chciałby pan od razu tam spróbować?

Frobisher pokręcił głową.

- Trzymając się planu, sprawdzimy wszystko rzetelnie, a kto wie, jakie atrakcje w postaci ruin czy czegoś podobnego mogą się kryć w innych miejscach. – Spojrzał na mapę. – Więc dokąd teraz?

Sprawdzili jeszcze trzy zaznaczone na planie otwarte przestrzenie. Dwie okazały się zajęte przez prowizoryczne targowiska pełne łypiących groźnie dorosłych, w trzecim miejscu zaś znajdowała się ciemna i dość cuchnąca dziura, do której nawet szczur nie wszedłby bez zastanowienia.

Wreszcie, ponad godzinę po rozpoczęciu poszukiwań, skierowali się ku brzegom zatoczki. Była mniejsza niż sąsiadująca z nią od zachodu rozległa zatoka Kroo, nie wypełniały jej też tętniące życiem keje i wielkie handlowe statki. Zamiast tego na jej wodach kołysały się rozmaite jednostki rybackie. Inne wyciągnięto na piasek, gdzie leżały przechylone na bok niczym wyrzucone na brzeg wieloryby.

Przy dwóch takich łodziach odwróconych dnem do góry bawiła się grupa dzieci w wieku od około sześciu do dwunastu lat, zarówno chłopców, jak dziewcząt. Wymachiwały energicznie kijami pełniącymi najwyraźniej funkcję mieczy.

Wystarczyło, że Robert zatrzymał się w odległości dziesięciu jardów i zaczął się przyglądać, aby natychmiast zwróciły na niego uwagę.

Ku jego zdumieniu zamiast obkoczyć go i zasypać pytaniami – bo tak zawsze robili chłopcy w Aberdeen – te dzieci zamilkły, przyglądając mu się nieufnie.

Robert kątem oka zauważył, że nie uszło to uwadze Aileen, która uśmiechnęła się uspokajająco i podeszła bliżej.

Dzieciaki rozluźniły się, a w ich oczach pojawiła się ciekawość.

Interesujące, pomyślał Robert. Mężczyźni kojarzą im się z zagrożeniem, ale kobiety nie. Choć pewnie biorąc pod uwagę warunki, w jakich dorastały te maluchy, nie należało się temu dziwić.

Odwrócił się więc i udawał, że rozgląda się po plaży. Tymczasem Aileen przykucnęła przy dzieciach.

- Dzień dobry – powiedziała.

Robert stał na tyle blisko, by usłyszeć chór nieśmiałych dziecięcych odpowiedzi.

Potem jedna z dziewczynek rzekła:

- Jakie pani ma ładne włosy...

- Dziękuję – odparła Aileen. – W co się bawicie?

Najwyraźniej była to jakaś wersja zabawy w piratów i marynarkę. Robert poczuł, jak jego usta wykrzywają się w uśmiechu. Mógłby im opowiedzieć mnóstwo historii na ten temat, ale Aileen też wcale nieźle sobie poradziła i zadała kilka trafnych pytań. Zanim dzieci skończyły opisywać ze szczegółami wymyśloną bitwę, wszystkie tłoczyły się już wokół

swojej rozmówczyni.

Panna Hopkins w dziesięć minut zdołała zdobyć ich zaufanie. Robert był pod wrażeniem.

Potem Aileen zmieniła temat.

- Słyszeliśmy, że zaginęło kilkoro dzieci mniej więcej w waszym wieku, które mieszkały tu w okolicy. - Rozejrzała się po grupce. - Byli może wśród nich wasi koledzy?

Dzieci wpatrywały się w nią przez chwilę, aż wreszcie jeden ze starszych chłopców pokręcił głową.

- Gdzie tam. Za mądrzyśmy na to, żeby ruszać gdzieś w poszukiwaniu szczęścia. Takie rzeczy możemy udawać w zabawie, ale wieczorem wracamy bezpiecznie do domów i mam.

- A słyszeliście o dzieciach, które wyruszyły na poszukiwanie szczęścia?

Wiele dzieci pokiwało głowami.

- Ale nie od nas - uściśliła najwyższa z dziewczynek. - Wszyscy ci, co poszli z tymi ludźmi z dżungli, należą do grupy, która bawi się przy Dalekim Krańcu.

Sposób, w jaki wymówiła słowa „Daleki Kraniec”, nie pozostawiał wątpliwości, że chodziło o nazwę konkretnego miejsca.

Aileen przechyliła głowę.

- A gdzie jest Daleki Kraniec?

- O tam, daleko. - Chłopiec, który odezwał się wcześniej, pokazał na wschód. - Jest jeszcze jedna paczka, która bawi się pośrodku, przy wyrzuconej boi, aleśmy nie słyszeli, żeby ktoś od nich zniknął. Przy Dalekim Krańcu bawi się najwięcej dzieci

i zginęło ich już bardzo dużo.

- Rozumiem. Więc to tam, na końcu tej plaży?

Dzieci pokiwały głowami.

- Na pewno pani trafi - powiedziała wysoka dziewczynka. - Tam są takie skały, które schodzą aż do wody. Dzieci z Dalekiego Krańca bawią się właśnie przy nich.

- Dziękuję wam. - Aileen wstała. - Chyba już wystarczająco długo odrywałam was od zabawy.

W ciągu kilku sekund, zanim Aileen zdążyła podejść do Roberta, wybuchła kłótnia o to, która strona wygrywała przed przerwana bitwą.

Aileen rozejrzała się po plaży.

- Widzę tę wyrzuconą boję, ale żadnych skał. A pan? - spytała.

Robert przewyższał ją wzrostem niemal o stopę.

- Ledwo, ledwo - rzekł. - To niemal drugie tyle, co stąd do boi.

Wskazał w kierunku zbitego piasku na samej krawędzi wody.

- Tamtędy będzie się lepiej szło - oznajmił.

Aileen dreptała w milczeniu, wbijając spojrzenie w piasek pod stopami. Wreszcie powiedziała:

- One naprawdę nie mają nic poza wyobraźnią. Nawet drewnianych mieczy.

- A te ich kije - dodał Robert - najprawdopodobniej trafią wkrótce do pieca jako opał.

Na piasku przy boi zobaczyli kolejną grupę dzieci, nieco bardziej zaniedbanych niż te przy łodziach. Zajęte były

budowaniem domków z piasku. Służyły im do tego kawałki potłuczonych naczyń.

Kiedy zobaczyły Aileen i Roberta, obrzuciły ich podejrzliwymi spojrzeniami, lecz widząc, że przybysze idą dalej, przestały się nimi interesować.

Aileen zmarszczyła brwi.

- Dziwne, że wszystkie te dzieci instynktownie nie ufają nikomu, kto mógłby je dokądś zwabić. A jednak maluchy bawiące się na skałach dają się nabrać na bajki, które opowiadają im handlarze niewolników.

- Dzieci zazwyczaj mają nosa do złych ludzi - odpowiedział Robert. - Przypuszczam jednak, że te, które zobaczymy na skałach, są starsze, a więc bardziej zdesperowane. Pewnie chciałyby pomóc sobie i swoim rodzinom. A desperacja potrafi być silniejsza od instynktu. Na to właśnie liczą handlarze niewolników i im podobni.

Aileen spojrzała na niego ze zdziwieniem. Zazwyczaj łagodny wyraz twarzy Roberta teraz zrobił się wręcz ponury.

- Dlaczego pan sądzi, że te dzieci będą bardziej zdesperowane?

Kiwnął głową w kierunku walących się chat na skraju plaży.

- Bo podejrzewam, że wszystkie rodziny, które trafiają na obrzeża slumsów, najdalej od udogodnień i gwarantowanej przez kolonię protekcji, niemal z pewnością są najbiedniejsze i najbardziej sponiewierane.

- Ach... - Aileen pokiwała głową. - Najbardziej zdesperowane.

- No właśnie.

W głosie Roberta pobrzmiewał ton świadczący o tym, że jemu tak samo jak jej nie podoba się ta sytuacja. Oboje jednak byli dorośli i nie łudzili się, że potrafią jej zaradzić.

Dzisiaj chcieli pomóc tylko tym dzieciom, które już zaginęły, i tym, którym zaginięcie wciąż jeszcze groziło. Nie mogli uczynić nic ponad to, ale skoro nadarzyła się okazja, należało zrobić wszystko, co tylko możliwe.

Skały pełniły funkcję jakby naturalnego falochronu. Wyrzynały się z piasku, sięgając niemal linii zabudowań na skraju plaży.

Frobisher musnął ramię Aileen, żeby pokierować ją dookoła kamienistego przylądka. Za nim ujrzeli grupę dzieci bawiących się przy kupce płaskich głazów, między którymi w czasie przyływu zbierała się woda pełna różnych śmieci przyniesionych przez fale.

Aileen przystanęła obok Frobishera w cieniu skalnego grzbietu i przyjrzała się grupce dzieciaków.

Było ich dość sporo – naliczyła około dwudziestu głów. Dzieci były bardzo obdarte i wychudłe.

Ujęła swoją torebkę i rozciągnęła troczki.

- Ile ma pan przy sobie drobników? – spytała Roberta.

Frobisher nawet nie pytał, o co chodzi, tylko sięgnął do kieszeni i wyciągnął sakiewkę z monetami.

Razem mieli ponad trzydzieści jednopensówek – wystarczająco dużo.

Aileen podała mu swoje monety.

- Proszę je potrzymać. Niech pan idzie za mną, żeby ich nie przestraszyć.

Zawiesiła torebkę na nadgarstku, po czym zakasała spódnicę i ruszyła dalej po plaży.

Dzieci od razu zwróciły uwagę na dwoje obcych ludzi. Ich niepewne miny wskazywały, że nie wiedzą, czy oznacza to jakieś zagrożenie, czy nie.

Aileen uśmiechnęła się i przystanęła w odległości kilku jardów – na tyle daleko, aby było jasne, że nie chce nikogo przestraszyć. Tym razem nie zaczęła od przywitania. Puściła spódnicę, oparła ręce na biodrach i powiedziała spokojnie:

– Mam dla was propozycję.

Dzieci natychmiast podeszły bliżej, choć nadal trzymały się ostrożnie na odległość. Ich twarze mówiły jednak wyraźnie, że Aileen zyskała ich uwagę.

– Chciałabym... – Obejrzała się przez ramię na Frobishera, który stał kilka kroków dalej, rozglądał się po plaży i nie patrzył w ich kierunku. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto stanowi zagrożenie. – Chcielibyśmy... zdobyć pewne informacje.

Jeden ze starszych chłopców wysunął się pół kroku naprzód.

– A o czym? – zapytał.

– Słyszeliśmy, że zaginęło kilkoro dzieci z tych okolic. – Dzieci spojrzały po sobie; widać było, że wiedzą, o czym mowa. – Nie chodzi nam o nie – dodała pośpiesznie Aileen. – Nie pragniemy ani ich krzywdy, ani krzywdy żadnego innego dziecka. Chcielibyśmy się dowiedzieć, z kim i dokąd odeszły.

Dzieci obrzuciły ich pełnymi namysłu spojrzeniami, które stanowiły dowód, że Aileen i Robert trafili we właściwe miejsce, do osób znających odpowiedzi.

Wreszcie ten sam chłopiec otarł ręką usta i znowu spytał:

- A co z tego będziemy mieli?

Aileen przesunęła spojrzeniem po brudnych, wciąż nieco podejrzliwych, a mimo to dziwnie niewinnych twarzyczkach.

- Po pensie dla każdego. Po jednym pensie na własność dla każdego z was.

Chłopiec zmarszczył brwi.

- Sam mogę wszystko powiedzieć. Możecie dać te pieniądze mnie.

- Nie! - Inny chłopiec przepchnął się do przodu. - Ja jej powiem!

- Ja, ja powiem! - rozległy się krzyki i kilkoro starszych dzieci zaczęło się przeciskać w kierunku Aileen.

Ta niewzruszona czekała, dopóki szarpanina się nie skończy.

Kiedy dzieci ucichły i znowu stanęły spokojnie, stwierdziła tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Po jednym pensie dla każdego z was. Takie są nasze warunki. Nie dbamy o to, kto będzie odpowiadał, obchodzą nas tylko odpowiedzi. - Obejrzała się przez ramię; Frobisher przysunął się nieco bliżej, ale nadal stał dobre trzy kroki za nią. - Ja będę zadawać pytania, a kiedy upewnimy się, że wiemy już wszystko, czego chcemy się dowiedzieć, ustawicie się od najmłodszego do najstarszego i ten pan da każdemu po pensie.

Dzięki temu najmłodsze dzieci będą mogły dobiec do domu i ukryć monety, zanim starsze zdołają im je odebrać.

- A zatem... pierwsze pytanie. Ile spośród dzieci, które zaginęły, należało do waszej grupy? Ile z nich bawiło się tutaj?

Dzieci spojrzały po sobie i w końcu jedna dziewczynka zaczęła podawać imiona, licząc na palcach. Pozostałe dodawały te, o których zapomniała. Kiedy wreszcie zamilkły, lista obejmowała dziewiętnaście imion – o dwa więcej, niż mówiła pani Hardwicke.

– Dobrze więc, dziewiętnaście – powiedziała Aileen. – A czy któreś z was widziało, jak te dzieci odchodziły?

Wszystkie pokiwały głowami.

– Czy oddaliły się z jakimiś ludźmi?

Znowu potaknęły.

– Ale nie wszystkie w tym samym czasie – wtrąciła jedna dziewczynka. – Odchodziły po troje, czworo albo pięcioro naraz.

– Zgadza się – potwierdził chłopiec z tyłu. – Ci ludzie przychodzą tu i opowiadają, jak to dadzą nam pracę, a potem pytają, kto chce z nimi iść i trochę zarobić. – W jego głosie wyraźnie pobrzmiwał sceptycyzm.

– Mówią – dodał inny starszy chłopiec – że jak pójdziemy z nimi do dżungli, to zarobimy krocie, zupełnie jak odkrywcy. – Jego wymizerowana buzia się rozjaśniła. – Może pójde z nimi następnym razem, gdy się tu pojawią. – Rzucił wyzywające spojrzenie w stronę kolegi. – Lepsze to niż siedzieć tutaj beczynn timer i marnować czas.

Aileen stłumiła odruch, żeby powiedzieć mu, że absolutnie nie wolno mu nigdzie iść. Musiała działać ostrożnie.

– A ci ludzie... Kim oni są? – zapytała.

Kilkoro dzieci wzruszyło ramionami.

– A skąd mamy wiedzieć? – odparł pierwszy chłopiec. – To

wszystko jedna wielka tajemnica, ten ich cały... plan. W końcu nie chcą, żeby inni się o nim dowiedzieli i sami wszystko dla siebie zgarnęli.

- Jak wyglądają ci ludzie?

- Są ogromni... Wielkie draby.

- Przeważnie wyglądają jak my. To Anglicy albo mieszańcy, nie tubylcy.

- Mają noże... wielkie noże i kordelasy.

- A jeden to miał nawet pistolet!

- Jeden z nich podchodzi tu i z nami rozmawia, wszystko tłumaczy. Reszta przeważnie się nie odzywa.

Z ich opisów wyłonił się obraz czterech lub pięciu mężczyzn, przeważnie Anglików. Czasem nadchodzili plażą z zachodu, jak Aileen i Frobisher, czasem ze wschodu, a niekiedy wychodzili z samych slumsów. Kiedy już kogoś zwerbowali, zabierali go albo na wschód, albo z powrotem do miasta. Dowodził ten, który prowadził rozmowę i obiecywał dochodowe zatrudnienie. Było jasne, że jakimś sposobem udało mu się zyskać zaufanie większości dzieci.

- A czy wiecie, jak oni się nazywają? Może słyszeliście choć jedno imię? - zapytała Aileen.

To jednak była próżna nadzieja.

- Czy biorą każdego, kto się zgłosi?

Dzieci pokręciły głowami.

- Wybierają spośród ochotników - powiedziała któraś dziewczynka. - Chcą tylko tych silnych. Kiedy Robbie się zgłosił - kiwnęła głową w kierunku jednego z chłopców - nie chcieli go wziąć, bo miał złamaną rękę.

- Czekam, aż wrócą - wtrącił Robbie, wyciągając i zginając chude ramię. - Rękę mam już całą i zdrową.

Widząc jego zapał, Aileen musiała ugryźć się w język, żeby nie próbować go od tego odwieść. Bardzo uważała, zadając następne pytanie.

- A ja myślałam, że lepszy własny kąt tutaj, choćby i ubogi, niż harówka w dżungli, Bóg wie jak daleko od rodziny.

- No, niby tak, ale... - Jeden ze starszych chłopców, ten, który pierwszy się odezwał, wzruszył ramionami. - Ważne jest to, co nam oferują.

Starsza dziewczynka o cienkich, jasnych włosach dodała:

- W końcu mamy rodziny, rozumie pani? Nasze mamy harują przez długie godziny, ale niewiele tu pracy nawet dla nich, a dla nas już w ogóle nie ma, więc nie możemy im pomóc. A trzeba przecież nakarmić maluchy i zapłacić czynsz. - Wbiła spojrzenie w twarz Aileen. - Więc kiedy przychodzą ci ludzie... niektórzy z nas korzystają z okazji i idą za nimi. Może to i ciężka praca, ale jeśli da się trochę zarobić, żeby pomóc rodzicom i małym... kto by się nie zgodził?

Aileen wszystko pojęła - ci łajdacy handlowali nadzieją, żerowali na niewinnym i chwalebny pragnieniu tych dzieci, aby wspomóc swoje rodziny.

- Rozumiem. Doskonale. Mam jeszcze ostatnie pytanie. Czy ktokolwiek z tych, którzy odeszli, wrócił do domu?

Była przekonana, że zna już odpowiedź, lecz sądziła, że pytanie przynajmniej da do myślenia starszym dzieciom, które rozważały skorzystanie z oferty handlarzy - może zachowają większą ostrożność.

Chłopiec stojący z tyłu, ten o lekko cynicznej i zblazowanej twarzy, prychnął i odwrócił wzrok.

- Nie - powiedział Robbie. - Nikt z tych, którzy poszli, nie wrócił, ale przecież ten projekt jeszcze się nie skończył, prawda?

Wyszczерzył się z radością. Nadal miał szansę, żeby dołączyć do reszty i trochę zarobić.

Aileen poczuła, jak ogarnia ją gniew, lecz stłumiła go bezlitośnie. Nie mogła złościć się na te dzieci i próbować je przekonać, że są w niebezpieczeństwie i nie powinny ufać tym ludziom. To by się nie udało: w starciu z nadzieją żadne argumenty nie wygrają, a dodatkowo Aileen nastawiłaby malców przeciwko sobie, bo atakowałaby coś, co w ich oczach oznaczało pomoc rodzinom.

Znowu odetchnęła głęboko, po czym odwróciła się i spojrzała na Frobishera.

Wydawał się równie przygnębiony co ona.

- Coś jeszcze? - spytała go.

- Czy ci ludzie przychodzą tu regularnie? - zapytał swoim głębokim, dźwięcznym głosem. - A może co jakiś określony czas?

- Zwykle zjawiają się popołudniami.

- Ale jeśli chce pan wiedzieć, w jakie dni, to trudno rzec.

- Nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio tu byli... Będzie dobrych kilka tygodni temu.

- Byli tu w sumie nie więcej niż cztery razy.

- Mniej więcej raz na miesiąc?

- Ale zawsze popołudniami. - Tę ostatnią informację

potwierdziło kilka osób.

Kiedy nikt nie miał już nic do dodania, Aileen odsunęła się i machnęła ręką na Roberta.

- W takim razie ustawcie się w kolejkę - rzekła do dzieci. - Najmłodszy na początek. I żadnych kłótni. Nie uwierzę, że nie wiecie, kto jest młodszy, a kto starszy.

Dzieci obrzuciły ją uważnym spojrzeniem, lecz wykonały polecenie.

Frobisher rozdawał pensy w prawdziwie żółtym tempie, żeby dać wszystkim dzieciakom czas na ucieczkę. Co też robiły: ściskając monety w dłoni, pędziły po piasku, a potem znikwały w slumsach.

Aileen podeszła razem z ostatnim chłopcem - tym, który okazał brak zaufania do handlarzy niewolników.

Mały wziął pensa i kiwnął w podziękowaniu głową.

- Ty nie uważasz, że pójdzie z nimi to dobry pomysł - zagadnęła go.

Chłopak spojrzał na nią ciemnymi oczami.

- Nie, psze pani. To jasne jak słońce, że coś knują. Po co inaczej zwracaliby się akurat do nas? Gdyby mieli do zaoferowania uczciwą pracę, to w kolonii są setki takich, którzy od razu ustawiliby się w kolejkę. To nie ma sensu. - Jego wzrok spochmurniał. - Ale dobrze pani zrobiła, że nic nie powiedziała. Widziałem, jak się pani powstrzymała.

Popatrzył szybko na Frobishera i odwrócił się z powrotem do Aileen.

- To na nic się nie zda. Oni nie dadzą się przekonać. Mogę pokazać na dowód siniaki. Oni myślą, że jestem tchórz, skoro nie

chcę iść. Bo ci ludzie już raz mnie pytali, alem odmówił.

Na jego twarzy pojawił się niemal szyderczy grymas.

- Nie ma sensu pomagać takim, którzy uparli się nie widzieć prawdy - dodał i odszedł.

- Nie ma sensu przekonywać tych, których zaślepiła nadzieja - szepnęła po chwili Aileen, patrząc w ślad za nim.

Poczuła na sobie wzrok Frobishera.

- Już po południu. Tuż za granicami slumsu jest kawiarnia, niedaleko od miejsca, gdzie Dave ma na nas czekać. Może przejdziemy się tam i omówimy następny ruch?

Aileen dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest głodna. Kiwnęła głową, odwróciła się i ruszyła z powrotem wzdłuż plaży.

Frobisher dołączył do niej. Po chwili, jakby odczytując jej myśli, mruknął:

- W takich sytuacjach niełatwo zastąpić nadzieję ostrożnością. Na pewno nie da się tego zrobić w kilka dni. Próba przekonania tych dzieci, że ludzie, którzy do nich przychodzą, są źli i należy się ich wystrzegać, sprawiłaby tylko, że to nam przestałyby ufać, a nawet zaczęłyby nas unikać, może wręcz się obawiać.

- Kimkolwiek oni są, zdołali się wkupić w łaski tych dzieci - przytaknęła niechętnie Aileen. - Nie możemy po prostu zjawić się znikąd i oświadczyć, że nie można im ufać. To nic by nie dało. - Po kilku krokach dodała: - Gdyby je po prostu porywali... gdyby zwyczajnie łapali te dzieci i je uprowadzali, to byłoby okropne. Ale fakt, że żerują na ich niewinnych marzeniach i wykorzystują je, żeby je skrzywdzić... to jeszcze

gorsze.

Robert dotknął ramienia Aileen i poprowadził ją w kierunku głównej alejki.

- Według mnie jedyny sposób, w jaki możemy pomóc tym dzieciom i ustrzec je przed porywaczami (a jak Bóg da, odzyskać te, które już w wpadły w ich szpony), to jak najszybciej wykonać zadanie i wrócić do Londynu, by można było rozpocząć kolejny etap akcji.

Spojrzał w oczy Aileen i zobaczył w nich determinację.

- Zrobimy, co w naszej mocy, i najszybciej, jak się da - dodał.

Aileen zacisnęła usta. Kiwnęła głową i wydłużyła krok.

- Znajdźmy tę kawiarnię i zastanówmy się, co dalej.

Dziewięć

Robert z przyjemnością przekonał się, że panna Hopkins – Aileen – nie obawiała się próbować nowych potraw. Kawiarnia, do której wstąpili, serwowała miejscową wersję śródziemnomorskich przekąsek, czasem dość ostrych, choć wszystko pachniało wyśmienicie.

Usiedli na wysokich stołkach w chłodnym cieniu przy kontuarze i Aileen, pozornie rozluźniona i wesoła, zaczęła wypytywać właścicielkę, które z licznych dań by poleciła.

Kiedy kobieta podała im talerze i zabrali się za jedzenie, Robert spytał między kęsami, czy Aileen wiele podróżowała.

Panna Hopkins popatrzyła na niego, jakby pytanie było zupełnie idiotyczne.

– Oczywiście. Zawsze korzystałam z okazji do podróży, kiedy David lub Henry stacjonowali w dalekich stronach. Byłam w Indiach, Gibraltarze, na Malcie, w Egipcie...

– Lubi więc pani odmienne kultury?

– Owszem, miałam miłe wrażenia. Ale muszę przyznać, że po każdej podróży z radością wracałam do zielonych pól Anglii. A pan? – spytała z kolei Aileen. – Na pewno przeważnie przebywa pan poza Anglią. Czy raczej Szkocją?

Nie potrafiła rozpoznać, skąd dokładnie pochodził, bo nie miał żadnego akcentu.

– Szkocją – potwierdził Robert. – Nasza kompania mieści się

w Aberdeen.

- Większość czasu spędza pan zapewne na morzu?

Robert pokręcił głową, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Powiedziałbym, że spędzam w podróży jakieś trzy czwarte roku. Ale zwykle sam rejs zajmuje tylko około połowy czasu. Reszta... reszta to czekanie, aż moi pasażerowie zakończą swoje sprawy i będą mogli wracać, przeważnie do Anglii.

Aileen przyglądała mu się przez kilka sekund, po czym stwierdziła:

- Nie sprawia pan wrażenia osoby zajmującej się wyłącznie usługami przewozowymi.

Robert uśmiechnął się lekko. Rzeczywiście za jego oficjalnymi dyplomatycznymi misjami kryły się często bardziej delikatne zadania. Skłonił głowę, jakby uznał punkt dla przeciwnika w szermierczym pojedynku.

- Zazwyczaj czas oczekiwania wypełniają mi inne sprawy.

Aileen odsunęła pusty talerz i westchnęła.

- Ale dość o nas - rzekła. - Musimy zdecydować, co dalej robimy.

Robert także odsunął talerz.

- Czy raczej co jesteśmy w stanie zrobić - uściślił.

- Ustalmy, czego się dowiedzieliśmy - zaczęła Aileen. - Kimkolwiek są ci ludzie, przychodzą mniej więcej raz na miesiąc, po południu, i zabierają ze sobą około czworo dzieci, zdrowych i nadających się do pracy. Zdołali zyskać ich zaufanie do tego stopnia, że zwykle ostrzeżenie nie wystarczy, żeby dzieci trzymały się od nich z daleka. - Aileen popatrzyła na Frobishera. - Więc co możemy zrobić?

Twarz Roberta znieruchomiała.

- Moim zdaniem nie możemy podjąć żadnych bezpośrednich działań. Oboje wiemy, że to strata czasu. Najlepsze, co możemy zrobić, to spróbować dowiedzieć się czegoś, co doprowadzi nas do obozu porywaczy. A to - popatrzył na Aileen znacząco - zależy od informacji, których jeszcze nie mamy. Na przykład od tego, czy za porwaniami dzieci stoją ci sami ludzie, ci sami handlarze niewolników, którzy porywają dorosłych.

Aileen zmarszczyła brwi.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że w jednej kolonii działają dwa zupełnie niepowiązane gangi porywające Europejczyków, tylko że jeden skupia się na dorosłych, a drugi na dzieciach?

- Niewielkie - przyznał z grymasem Robert. - Ale niewykluczone, że istnieją dwie osobne bandy, które dostarczają ludzi do tej samej kopalni. Zwłaszcza że ci od dzieci przychodzą popołudniami, podczas gdy ci od dorosłych transportują ofiary nocą.

Przerwał na chwilę, po czym ciągnął:

- Nawet jeśli porywacze najpierw zabierają swoje ofiary do obozu w dżungli, a dopiero potem gdzieś dalej, w tej chwili nie mamy pojęcia, czy obozowisko, gdzie przetrzymywane są dzieci, to to samo, do którego trafiają dorośli.

Aileen zamruwała.

- Ale to przecież nie ma znaczenia, prawda? Sam pan mówił, że dzieci najprawdopodobniej zabierane są do tej samej kopalni, więc nieważne, który obóz znajdziemy.

- Ma pani rację - przytaknął Robert. - To nie obozu dla dzieci miałem szukać, ale gdybyśmy go znaleźli, byłoby to tak samo istotne dla naszych ostatecznych celów.

- A zatem - Aileen wyprostowała się na stołku - jak znaleźć obóz, do którego zabierane są dzieci? Najlepiej podążając za porywaczami, kiedy następnym razem się tu zjawią. A ponieważ przychodzą po południu (co zresztą oczywiste, w końcu o zmierzchu dzieci wracają do domów), powinno to być łatwiejsze niż śledzenie ich nocą, kiedy będą transportować dorosłych.

Robert obrócił się na stołku i oparł plecami o kontuar. Wyglądając na zewnątrz, zobaczył, jak Dave podjeżdża i zatrzymuje powóz przy chodniku.

- Może upłynąć dużo czasu, zanim tu wrócą - zauważył.

- Nie sądzę. Dzieci mówiły, że od ostatniego razu minęły już całe tygodnie. Pora chyba na kolejną wizytę.

Miała rację i na pewno warto było to przemyśleć. Ludzie Roberta obserwowali kryjówkę porywaczy, lecz jeśli istniała inna - być może prostsza - droga do obozu w dżungli, skąd dostarczano ludzi do zakładanej kopalni, nie zaszkodziłoby opracować zapasowy plan.

- Jedno, czego nadal nie mogę zrozumieć, to dlaczego porywają tylko Europejczyków - dodał zamyślony.

Kątem oka zobaczył, jak Aileen unosi brwi.

- Być może porywają też miejscowych, tylko po prostu o tym nie wiemy. To, że słyszeliśmy tylko o Europejczykach... nie znaczy, że tubylcy też nie giną. Po prostu nie są zabierani z terenu kolonii.

Robert musiał przyznać, że to możliwe.

- Trzeba będzie się nad tym zastanowić - stwierdził.

- Więc co zrobimy z tymi dziećmi? - spytała.

Odwrócił głowę i popatrzył jej w oczy.

- Domyślam się, że ma pani jakiś pomysł - rzekł, powściągając uśmiech.

- Owszem. Może by tak poprosić tego chłopaka... tego, który nie ufa porywaczom i próbował ostrzec resztę, żeby przyszedł po nas, kiedy się znowu pokażą. Moglibyśmy zaoferować mu nagrodę, jeśli nas zawiadomi.

To było wykonalne. Co więcej, Aileen przestałaby się wtedy upierać przy chodzeniu po slumsach i skupiła na czekaniu na wieści.

- Moglibyśmy mu powiedzieć, żeby przybiegł z informacją do gospody, gdzie mieszkam. To niedaleko stąd. - Robert popatrzył na Aileen i odwrócił wzrok. - Nie ma sensu kazać mu biec do pani pensjonatu, bo to za daleko. Poza tym na Tower Hill ktoś mógłby się przyczepić do takiego szczeniaka ze slumsów i kazał mu wracać, skąd przyszedł. A ja mieszkam na tyle blisko, że nawet jeśli porywacze odejdą, zanim zdążę dobiec na plażę, nadal powinienem być w stanie złapać ich trop.

- My - poprawiła go. - Kiedy my dotrzemy na plażę, powinniśmy być w stanie złapać ich trop. - Wzięła torebkę z kontuaru. - Ale zgadzam się. Spróbujmy więc znaleźć tego chłopca i przedstawić mu naszą propozycję.

Zsunęła się ze stołka i ruszyła z podniesioną głową do drzwi. Robert przez kilka sekund cieszył oczy widokiem jej figury, po

czym wstał i poszedł za nią, uważając, aby na jego twarzy nie pojawił się nawet ślad uśmiechu.

Wrócili na brzeg, gdzie zdołali niepostrzeżenie przyciągnąć z daleka uwagę chłopca.

Kiedy jednak dzieciak dołączył do nich w miejscu, gdzie się ukryli, wydawał się niespokojny i niechętny. Wyglądał, jakby chciał uciec, i tylko obecność Aileen oraz jej uspokajające słowa zdołały go zatrzymać.

Aileen doskonale wiedziała, jak go przekonać. Robert milczał i ograniczył się tylko do poważnego potakiwania za każdym razem, gdy tamten kierował na niego bystre spojrzenie. Chłopiec szybko zrozumiał, o co chodzi, i zgodził się pomóc.

Robert dał mu pół korony, obiecując całą, jeśli chłopak zdoła go w porę zawiadomić. Dla takiego małego obdartusa korona była prawdziwą fortuną; Robert nie miał wątpliwości, że dzieciak dołoży wszelkich starań, żeby ją zarobić.

Potem wyjaśnił mu, jak dotrzeć do gospody. Chłopiec posłusznie powtórzył wskazówki, po czym zawahał się i zapytał, co ma zrobić, jeśli go nie zastanie.

Frobisher spojrzał szybko na Aileen, która nadal obserwowała pozostałe dzieci, i po cichu objaśnił drogę do kryjówki jego ludzi w slumsach na wzgórzu. Mały najwyraźniej znał i tamtą okolicę – ponownie powtórzył wszystko bez najmniejszego zająknięcia.

Zadowolony Robert położył mu rękę na ramieniu, nie zwracając uwagi na to, że chłopiec aż się poderwał.

- Słusznie postępujesz - powiedział. - Być może jest to

jedyny sposób, abyś pomógł swoim kolegom, zbyt zaślepionym, żeby zobaczyć prawdę.

Chłopak popatrzył mu uważnie w oczy, jakby chcąc się upewnić co do jego szczerości, po czym skinął głową i się odsunął.

Kiwnął głową Aileen i mruknął „psze pani”, a potem wepchnął ręce w kieszenie obdartych spodni, z których już wyrósł, spuścił głowę i odszedł przygarbiony. Nie wrócił do kolegów, lecz zniknął w slumsach.

- Jest pani gotowa na powrót do pensjonatu? - spytał Robert.

- Owszem - odparła Aileen. - Możemy wrócić i zaplanować kolejny ruch w wygodniejszych warunkach.

Robert miał swoje plany, lecz zamiast wdawać się w dyskusję, odsunął się, puścił towarzyszkę przodem i ruszył za nią w kierunku powozu Dave'a.

Robert zamierzał rozstać się z panną Hopkins, gdy tylko dotrą do pensjonatu pani Hoyt. Musiał wrócić do dzielnicy biedoty i zobaczyć się ze swoimi ludźmi. Aileen towarzyszyła mu przez większą część dnia, dlatego sądził, że będzie zmęczona i chętnie odpocznie albo zajmie się czymś, co robią eleganckie damy po całym dniu biegania w tropikalnym upale.

Kiedy Dave zatrzymał powóz pod pensjonatem, Robert wysiadł i podał rękę Aileen - zanim jednak zdążył się z nią pożegnać, wysunęła palce z jego dłoni i ruszyła swobodnie ścieżką.

Uznając, że faktycznie damę należy odprowadzić do samych drzwi, wszedł za nią na ganek, ona jednak, zamiast stanąć

w progu, ruszyła do środka i zatrzymała się dopiero w przedpokoju. Popatrzyła na prawo i zmarszczyła brwi.

- A niech to lichy - rzekła.

Podążając za jej wzrokiem, Robert zobaczył zamknięte drzwi salonu.

- Ktoś tam jest - szepnęła i pociągnęła go za rękaw. - Chodźmy na górę, tylko na litość boską, niech pan nie robi hałasu.

Uniosła spódnicę i szybko weszła na schody.

Robert stał w holu i patrzył za nią zdumiony.

Najchętniej odwróciłby się i poszedł w swoją stronę, wtedy jednak straciłby wszystkie punkty, które - jak sądził - udało mu się zdobyć podczas porannej wyprawy.

Po cichu - bo kiedy chciał, potrafił poruszać się ciszej, niż Aileen umiałaby sobie wyobrazić - zamknął drzwi wejściowe i wszedł po schodach. Aileen czekała na niego w korytarzu przy narożnym pokoju wychodzącym na frontowy ogródek.

Zanim do niej podszedł, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Nie zastanawiając się dłużej, ruszył za nią. Stał w progu i rozejrzał się, lecz Aileen odepchnęła go na bok i zamknęła drzwi.

- Tu możemy swobodnie rozmawiać, o ile nie będziemy podnosić głosu - rzekła.

- Panno Hopkins...

- Skoro już ze sobą współpracujemy i nie ma tu nikogo poza nami, może mi pan chyba mówić po imieniu.

Co dokładnie miała na myśli, mówiąc „współpracujemy”? Podczas gdy Robert się nad tym zastanawiał, Aileen podeszła

do sekretarzyka, odłożyła torebkę i usiadła na stołku – jedynym stołku w pokoju.

– Jest już popołudnie, więc mało prawdopodobne, aby ten chłopiec dziś po nas przyszedł. Jaki zatem jest kolejny punkt na naszej liście?

„Naszej” liście? Robert przypatrywał się jej uważnie, rejestrując wspaniałe miedziane włosy i pewne siebie spojrzenie. Przypomniawszy sobie, że przecież jest dyplomata i potrafi się wykręcić niemal ze wszystkiego.

– Panno... – Skłonił głowę i poprawił się: – Aileen.

Siedziała wyprostowana, nie odrywając od niego wzroku, i czekała.

Patrząc w jej szeroko otwarte orzechowe oczy, Robert uzmysłowił sobie, że żaden sprzeciw na nic się tu nie zda. Założył ręce za plecy i stanął w pozycji kapitana.

– Jak już wspominałem rano, moi ludzie obserwują kryjówkę handlarzy niewolników. Spodziewają się, że zajrzą, aby sprawdzić, czego się dowiedzieli.

– Zakładam, że jeśli handlarze odejdą gdzieś z więźniami, zamierzasz za nimi podążyć.

– Razem ze swoimi ludźmi – potwierdził Robert, kiwając głową.

– Rozumiem. – Aileen spuściła wzrok i zmarszczyła brwi. – Oczywiście jeśli dojdzie do tego w środku nocy, nie będę w stanie wam towarzyszyć.

Owszem, nie mówiąc już o tym, że wymagać to będzie skradania się przez slumsy i dżunglę, pomyślał Robert.

– Rzeczywiście.

Opuścił ręce i odetchnął z ulgą.

- Mimo to, jak obiecałem, będę cię informował, czego się dowiemy.

- Wyśmienicie. - Aileen uniosła głowę i się uśmiechnęła. Potem wstała i wzięła torebkę. - A skoro w tej chwili nie mogę działać nic więcej w sprawie zaginionych dzieci i skoro jesteśmy partnerami, powinnam chyba udać się z tobą do kwatery twoich ludzi i zobaczyć, gdzie mieści się kryjówka porywaczy.

Robert mimowolnie zastąpił Aileen drogę do drzwi.

- To chyba nie byłoby zbyt rozsądne.

Dziewczyna przystanęła i popatrzyła mu w oczy.

- Ach tak? A czemu to?

- Kryjówka mieści się w samym środku slumsów. To nie miejsce dla damy - odparł przez zaciśnięte zęby.

Aileen zamrugnęła i wbiła w niego spojrzenie tych swoich oczu w kolorze brandy.

- Drogi panie Frobisher, przez ostatnie godziny kręciliśmy się ni mniej, ni więcej jak właśnie po slumsie. Oczywiście wolałabym nie chodzić sama po takiej okolicy, lecz nie ma przecież powodu, abym nie mogła tam iść w środku dnia w twoim towarzystwie.

- To zupełnie inna sytuacja. Przedtem byliśmy we wschodniej nadmorskiej dzielnicy. - Robert poczuł, że wpada w panikę. - A kryjówka porywaczy mieści się w slumsach ponad kościołem Undoto. To o wiele bardziej niebezpieczna okolica i, jak mówiłem, zupełnie dla ciebie nieodpowiednia.

Aileen wydała z siebie lekceważące prychnięcie i poruszyła

się, jakby chciała go wyminąć. Robert nie pozwolił na to, znowu stając jej na drodze.

Aileen zeszytniała. Uniosła dumnie głowę i zmrużyła oczy.

- Proszę mi coś powiedzieć, panie Frobisher. Z jakiej racji uważa pan, że ma prawo mną komenderować? Nie jestem jednym z aspirantów na pańskim statku.

- Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Oni się ze mną nie wyklócają.

- W to nie wątpię. Jednak ustaliliśmy, że nie masz prawa mi rozkazywać, a zatem... - tu diablica podeszła tak blisko, że jej twarz znalazła się ledwie kilka cali od piersi Roberta - sugerowałabym, żebyś odwrócił się do drzwi i podał mi ramię. Udawajmy, że tej drobnej sprzeczki nie było, i zejdźmy do powozu, żeby pojechać do slumsów jak wspólnicy, którymi mieliśmy wszak być. Ty naradzisz się ze swoimi ludźmi, a ja przyjrę się kryjówce handlarzy niewolników.

Robert widział na jej twarzy stuprocentowo kobiecą determinację.

- Nie - powtórzył.

Jej oczy rozbłysły.

- Nie?

Uniosła dłonie, jakby zamierzała go odepchnąć... choć oczywiście nie byłaby na to dość silna.

Robert nigdy nie zrozumiał, co właściwie wydarzyło się w następnej chwili. Jej ręce na jego piersi sprawiły, że zalała go fala emocji, z których najważniejsza była przemożna chęć ochrony tej przeklętej kobiety przed zagrożeniem.

Wszelkimi dostępnymi sposobami.

Bez namysłu, wiedziony odruchami, których nie do końca pojmował, przyciągnął Aileen do siebie i przycisnął usta do jej ust.

Pocałował ją mocno, z rozmysłem, w pełni świadomy swojej motywacji.

Chciał pozostawić ją wyczerpaną, omdlałą i uległą - i bezpiecznie zamkniętą w tym pokoju.

Chwytał ją mocniej, a gdy otworzyła usta, żeby nabrać powietrza - nie miał pojęcia, czy pod wpływem zaskoczenia, szoku, czy naturalnej reakcji - natychmiast wykorzystał to i wsunął w nie język.

Jej ciepłe, miękkie i krągłe ciało w jego ramionach, upajający smak ust, a przede wszystkim niezwykle odkrycie, że zamiast omdlewać, diablica wczepiła się w poły jego fraka i sama zaczęła go namiętnie całować, w pełni dorównując mu zapalem, obaliły w nim jakiś mur. Do głosu doszła dzika część jego natury, którą dotąd zawsze udawało mu się okiełznać.

Do diaska. Wiedział, że to wszystko skończy się dużymi kłopotami; zawsze tak było, kiedy zaczynał się kierować impulsami.

Nie mógł się jednak wycofać - nie był w stanie przerwać pocałunku.

Aileen zakręciło się w głowie. Odczuwała radość - co wydawało się dziwne, niewłaściwe, a przecież...

Nigdy jeszcze nie przeżyła takiego pocałunku. Pocałunku z mężczyzną takim jak ten, który potrafił stawić jej czoło, rzucić wyzwanie.

O Boże, doprowadzał ją do szaleństwa. Budził w niej trudny

do opanowania głód i dzikość.

Nigdy dotąd nie czuła się tak bardzo kobieca.

Jego ciepło i mocny dotyk zamykały ją w świecie, w którym nie istniało nic poza nimi dwojgiem. W którym jedyną rzeczywistością był nieustępliwy nacisk jego ust, uwodzicielska pieśczoła języka i pokusa zawarta w pocałunku.

Aileen mimowolnie przylgnęła do niego i odpowiedziała ogniem na ogień. Nie mogła - i nie zamierzała - postąpić inaczej. Nie okaże się słabsza. Pozostało w niej akurat dość świadomości, aby zrozumieć, o co Robertowi chodzi z tym pocałunkiem.

I nie zamierzała mu na to pozwolić, ale... mogła przynajmniej przez kilka chwil pozwolić sobie i jemu na tę przyjemność. Mogła badać i zgłębiać swoją fascynację.

Nigdy jeszcze nie odczuwała takiej pokusy - nigdy nie pragnęła czegoś więcej, nie wpadła w taką zapamiętałość.

Zawsze wydawało jej się, że takie dzikie szaleństwo to zupełna głupota. Nie była w stanie pojąć, jak inteligentna kobieta mogłaby postąpić tak... no cóż, tak bezmyślnie.

Teraz już wiedziała.

Zrozumiała to wreszcie, czując na wargach dotyk jego głodnych, władczych ust.

W takiej sytuacji człowiek po prostu nie myśli - tylko czuje, przeżywa, pożąda.

Stanęła na palcach, przesunęła dłońmi po piersi Roberta, wczepiła palce w jego jedwabiste włosy i jeszcze mocniej, jeszcze bardziej otwarcie przywarła do niego ustami i całą

sobą.

Robert westchnął, zdumiony tym wszystkim, co mu oferowano...

Bo tak właśnie było. To odkrycie uderzyło w niego jak piorun.

Nie tak miało to wyglądać.

Wiedział, że powinien to przerwać - że popełnił błąd, taktyczną pomyłkę, że powinien był pamiętać, jakie wrażenie wywarł na nim ich ostatni pocałunek.

Lecz jego dzikość na to nie pozwalała.

Głodna, zachłanna i niezaspokojona żywiołowość najwyraźniej nie miała nic przeciwko próbie uwiedzenia przez wygadana złośnicę.

I nagle w jego głowie zaświtało kolejne odkrycie. Potężniejsze, bardziej podstępne - bardziej fascynujące.

Robert nie był nowicjuszem w kwestii kobiet, wręcz przeciwnie. Dlaczego więc to nie on sprawuje tu kontrolę? Jakim sposobem ten pocałunek zmienił się w coś zupełnie innego, niż miał być?

Dlaczego dopuścił do relacji o wiele bardziej osobistej i bezpośredniej niż cokolwiek, co do tej pory przeżył?

Dokąd może go zaprowadzić to nieoczekiwane, bezprecedensowe i z całą pewnością nieplanowane zdarzenie?

Właściwie wolał tego nie wiedzieć - powinien natychmiast się wycofać, zanim wszystko będzie stracone.

Tymczasem Aileen rozkoszowała się rosnącym poczuciem pewności siebie - świadomością, że potrafi sprostać takiemu mężczyźnie.

Jednocześnie miała narastające wrażenie utraty kontroli, które zaćmiewało rozkosz podejrzliwością i obawą.

Kiedy zabrakło jej powietrza, odsunęła się – przerwała pocałunek, odchyliła głowę i zaczerpnęła oddechu.

Poczuła stalowy uścisk otaczających ją ramion i zdała sobie sprawę z miękkości ogarniającej jej ciało, jakby topniała. Odetchnęła głębiej i jej rozszalałe zmysły zaczęły się uspokajać.

Puściła włosy Roberta, zsunęła dłonie z powrotem na jego twardą jak kamień pierś, po czym uniosła głowę i spojrzała w jego niebieskie oczy. Trudno jej było oderwać od nich wzrok, okiełznać rodzącą się namiętność.

Pożądanie pulsowało dookoła nich niczym osobny byt, niebędący ani nią, ani nim.

Aileen nie potrafiła udawać, że nie dostrzega, iż Robert czuje to samo.

Nie wiedział, co robić – z nią i z tym, co ich ogarnęło.

Aileen wyczytała to w twardych rysach jego twarzy, w wyrazie namiętnych ust.

Ust, które wciąż czuła na swoich wargach.

Znowu głęboko odetchnęła i odsunęła się, choć najchętniej nie wychodziłaby z jego objęć.

W ramionach Roberta czuła się całkowicie bezpieczna.

Ale dość już. Pora wrócić do tematu.

– Wiem, dlaczego mnie pocałowałeś – rzekła. – Nie licząc faktu, że było to niemądre, nie mam najmniejszego zamiaru pozwalać na manipulowanie sobą za pomocą tego rodzaju... taktyki.

Robert zacisnął usta i zmrużył lekko oczy, lecz nawet nie próbował zaprzeczać.

Aileen była zbyt doświadczona, żeby wypierać się swojego udziału w tym zajściu, lecz nie miała też zamiaru o nim wspominać.

- Wydaje mi się, że najwyższa pora, żebyśmy ruszyli w drogę. Pamiętam, jak mówiłeś, że załoga cię oczekuje - stwierdziła wyniośle.

Robert zastanawiał się przez długą chwilę, po czym znowu oświadczył po prostu:

- Nie.

Odwrócił się na pięcie i ruszył gniewnie do drzwi.

- Żeby dostać się do kryjówki - wyrecytowała pospiesznie Aileen - powinnam pójść drugą ulicą na lewo od głównej alejki slumsu, która stanowi przedłużenie ulicy biegnącej na drugą stronę wzgórza. Potem...

Robert obrócił się do niej gwałtownie.

- Podśluchiwałaś, kiedy tłumaczyłem temu chłopcu, jak tam dojść! - burknął.

Aileen spojrzała na niego z politowaniem.

- Ma się rozumieć.

Wyraźnie zirytowany Robert przygładził włosy, które Aileen całkowicie mu potargała, potem wbił w nią otwarcie zdesperowane spojrzenie.

- Czy mogę jakoś cię przekonać do pozostania tutaj, gdzie jesteś bezpieczna?

Aileen przemyślała pytanie.

- Nie - oświadczyła w końcu.

Robert odchylił głowę, zacisnął zęby i prychnął zniecierpliwiony.

- Jeśli mnie ze sobą nie zabierzesz - stwierdziła spokojnie Aileen - zwyczajnie za tobą pójdę, co będzie się wiązać z o wiele większym niebezpieczeństwem. Doprawdy więc nie pojmuję, dlaczego po prostu nie ustąpisz. - Po czym dodała: - To, dokąd chodzę, nie leży w twojej gestii.

Upłynęło kilka sekund.

- No dobrze - wycedził Robert, zaciskając usta.

Słowa brzmiały, jakby wyciągnięto mu z je z gardła siłą.

Zgrzytając zębami, odwrócił się i podszedł do drzwi. „Ustąpić” nie należało do słów, jakimi się zazwyczaj posługiwał, lecz wyglądało na to, że w tym przypadku naprawdę nie miał wyboru.

Otworzył drzwi, przepuścił Aileen i ruszył za nią, myśląc o tym, jak bardzo zalaża mu za skórę.

Dziesięć

Wchodząc do tętniącego życiem slumsu u boku swojego naburmuszonego towarzysza, Aileen stwierdziła, że Frobisher miał rację, mówiąc, że ta dzielnica biedoty różni się od okolicy, którą odwiedzili rano. Położona była o wiele dalej od centrum kolonii, a jej mieszkańcy wydawali się odpowiednio bardziej zdesperowani. W większości nie byli czystej krwi Europejczykami, lecz mieszancami. Domy były tu mniejsze, gorzej zbudowane i bardziej zatłoczone. Ludzka ciżba, kakofonia głosów i mieszanina zapachów sprawiały przytłaczające wrażenie.

Aileen nigdy nie zapuściłaby się w tę okolicę bez eskorty - najlepiej takiej, jaką miała w tej chwili. Jeden rzut oka na Frobishera wystarczał, żeby kieszonkowcy obchodzili ich szerokim łukiem. Jego zdolność zniechęcania obcych do nagabywania, o atakach nie wspominając, brała się nie tylko z tego, że młodzieniec ustawicznie rozglądał się wokół i gromił wzrokiem każdego, kto zanadto się zbliżył, ale i ze sposobu, w jaki się poruszał - roztaczał wokół siebie aureę niebezpieczeństwa.

To wiele o nim mówiło - o tym, jaki naprawdę był.

Na zewnątrz wydawał się gładki, wyrafinowany, nawet zblazowany, lecz w środku... Aileen wyczuwała, że kryje się coś o wiele mniej cywilizowanego.

Szli wąskimi uliczkami przez jakiś kwadrans, aż w końcu Frobisher przystanął przed obłuzowanymi drzwiami. Rozejrzał się, po czym uniósł zapadkę i pchnął je ramieniem, uchylając tak, aby Aileen mogła wsunąć się do środka.

Wszedł za nią w słabo oświetlony i dość nieprzyjemnie pachnący korytarz. Zatrzasnął drzwi, odcinając światło słoneczne. Znaleźli się w ciemnościach.

Zanim oczy Aileen zdołały się przyzwyczaić do mroku, poczuła na łokciu dotyk Roberta.

Pokierował nią w głąb korytarza.

- Schody są z lewej strony. Ostrożnie.

Aileen uniosła spódnicę i zaczęła się wspinać po rozklekotanych stopniach. Minęła jeden podest i ruszyła jeszcze wyżej, na tylko odrobinę mniej zniszczone piętro. Przed nią znajdowały się pojedyncze drzwi.

Robert wyminął ją i zapukał.

- To ja, Frobisher - powiedział.

Sięgając do klamki, obrzucił twarz swojej towarzyszki badawczym spojrzeniem. Miał nadzieję, że jej instynkt samozachowawczy okaże się na tyle silny, by jedna wizyta w tej okolicy zniechęciła ją do kolejnych, nie dostrzegł jednak żadnych śladów niepokoju, a tym bardziej strachu.

Pchnął drzwi i wpuścił ją do środka, po czym sam wszedł.

Jego ludzie zwolnili kwaterę przy ulicy Undoto i przenieśli swoje rzeczy tutaj. Benson, Coleman i Fuller siedzieli na stołkach przy małym okrągłym stoliku, podczas gdy Harris zajął miejsce pod oknem i obserwował ulicę. Wszyscy czterej mimowolnie drgnęli na widok Roberta i Aileen, ale potem

spokojnie podnieśli się i skłonili z szacunkiem. Zawsze musieli kilka dni odzwyczajając się od odruchowego stawania na baczność i salutowania jak na statku.

- Oto panna Hopkins. - Robert odczekał, aż wszyscy skończą się kłaniać i mamrotać powitania. - Jej brat, porucznik Hopkins, to jeden z zaginionych.

- Dzień dobry - powiedziała Aileen, kiwając mężczyznom głową.

Benson zaoferował jej swój stołek.

- Proszę, panienko. Niestety nie mamy krzeseł.

- Nic nie szkodzi - odparła z uśmiechem, po czym zerknęła w kierunku okna. - Właściwie chciałabym zobaczyć kryjówkę porywaczy.

Harris odsunął się i odstąpił jej stołek. Aileen uśmiechnęła się i usiadła. Parapet znajdował się teraz na wysokości jej obojczyka, lecz nadal miała stąd dość dobry widok. Robert przystanął obok niej.

- To te drzwi na wprost - wyjaśnił.

Aileen kiwnęła głową.

- Ten człowiek siedzący w progu... to jeden z nich?

- Tak nam się wydaje, panienko - mruknął ponuro Benson. - To jeden z tych, którzy wczoraj w nocy odwiedzili Undoto.

- Ale to nie ich przywódca - zauważyła.

- Nie, panienko. Tamten jest większy. I starszy.

Aileen uniosła wzrok na marynarzy, którzy dołączyli do niej przy oknie.

- Czy dobrze mi się wydaje, że porywacze to w większości Europejczycy? - Wszyscy pokiwali głowami. - I głównie

Anglicy?

- Nie powiedziałbym, że konkretnie Anglicy, panienko - stwierdził Coleman. - W takim miejscu nigdy nie ma pewności. Powiedzmy raczej, że trudno spodziewać się czystej krwi tubylców w gangu handlarzy żywym towarem.

- Muszę przyznać, że nigdy nie rozumiałam, jak można handlować ludźmi, lecz żerowanie na własnych pobratymcach w miejscu tak oddalonym od domu wydaje mi się jeszcze gorsze.

Miała rację - w tym przypadku porywacze poza zbrodnią kupczenia ludzkim życiem dopuszczali się jeszcze zdrady rodaków.

Po chwili Robert poruszył się i spojrzał na swoich ludzi.

- Więc co widzieliście? Zauważyliście coś godnego uwagi? - zapytał.

Zdaniem wszystkich czterech nie wydarzyło się nic szczególnego.

- To by sugerowało, że na coś czekają - stwierdził Robert z namysłem.

- Moim zdaniem - powiedział Coleman, opierając się o ścianę - pierwszym znakiem będzie jakiś posłaniec. Te typy - kiwnął w stronę kryjówki - nieczęsto wychodzą za dnia tak bez powodu. Rozpytaliśmy trochę w okolicy. Miejscowi wiedzą, co to za jedni, i niespecjalnie za nimi przepadają. Ktoś donosi tym zbójom posiłki za opłatą, a jedna staruszka zamiata im obejście, ale poza tym nie zadają się z mieszkańcami slumsu.

Robert pokiwał głową.

- Wyrzutki nawet wśród wyrzutków - stwierdził. - A więc tak jak myśleliśmy, to dla nich tylko przystanek, nic więcej.

- Czy mamy ich śledzić, jeśli rzeczywiście zjawi się posłaniec i gdzieś za nim pójda? - zapytał Benson. - Czy raczej czekać tutaj i obserwować?

- Jeśli wszyscy opuszczą kryjówkę, to tak, idźcie za nimi. Jeśli wyjdą z kolonii, trzech z was ma za nimi podążać, a jeden niech po mnie wróci. Ale jeśli pójdzie tylko kilku, wtedy niech trzech z was zostanie tutaj, a jeden przyjdzie złożyć raport. - Robert przerwał, żeby jeszcze się zastanowić. - Zakładając, że powiedziano nam prawdę, a nie ma powodu przypuszczać inaczej, to jeśli kogoś schwytają, wrócą tu z ofiarą i dopiero potem ruszą do obozu w dżungli. I właśnie na odkryciu tego obozu musimy się skupić.

- Tak jest, kapitanie - odparli cicho jego ludzie.

Nagle Robertowi przyszło do głowy, że taka strategia wiąże się z inną, potencjalnie problematyczną sprawą. Trzeba jednak powiedzieć to wprost i wszyscy muszą się z tym pogodzić, choć Aileen na pewno się to nie spodoba.- Jeszcze jedno - rzekł. - Jeśli kogoś schwytają, jedną osobę czy więcej, możemy tylko patrzeć na to i ich śledzić. - Zajrzał kolejno w oczy swoich ludzi. Usłyszał szelest sukni, kiedy Aileen się odwróciła, i poczuł na sobie jej spojrzenie, lecz nie odpowiedział na nie. - Nie możemy ryzykować, że nasza misja poniesie porażkę. I absolutnie nie wolno nam narazić tych, których porwano wcześniej. - Przerwał i powtórzył najdobitniej, jak potrafił: - Nie możemy przyjść z pomocą temu, kogo złapią. Musimy pozwolić, żeby go zabrali. To

ofiara, jaką trzeba złożyć w imię większego dobra. Tylko zabierając tę osobę do obozu w dżungli, porywacze mogą wskazać nam jego położenie.

Po zastanowieniu dodał:

- A nawet kiedy znajdziemy obóz, nie będziemy mogli uwolnić przetrzymywanych tam ludzi. Jeśli handlarze nas zauważą, uciekamy. Nie wolno pozwolić, żeby uznali nas za jakiegokolwiek zagrożenie, czy to dla siebie osobiście, czy dla przedsięwzięcia, w które są zaangażowani. - Zdecydowanie pokręcił głową. - Nie mamy innego wyboru. To jedyna droga.

Twarze jego ludzi ściągnęły się w napięciu. Rozkaz nie bardzo im się podobał, lecz rozumieli jego zasadność.

Wreszcie Robert popatrzył w oczy Aileen. Przez chwilę jej spojrzenie wydawało się odległe, jakby myślami przebywała gdzieś daleko, lecz potem znowu skupiła na nim wzrok. Skinęła głową.

I odwróciła się, aby dalej obserwować melinę porywaczy.

Niedługo potem opuścili kryjówkę. Nic się nie działo. Nie było na co patrzeć poza pilnującym wejścia mężczyzną.

W milczeniu ruszyli z powrotem przez slumsy. Robert zauważył, że Aileen jest tak samo spięta i podenerwowana jak on. I dobrze. Ten ostatni etap ich całodziennej wyprawy nie sprawiał mu żadnej przyjemności. Miał tylko nadzieję, że Aileen także będzie się czuła na tyle nieswojo, żeby nie mieć ochoty na dalsze wyprawy w tę okolicę.

Mimo wszystko udało im się wrócić na obrzeża slumsu bez żadnych incydentów. Dave czekał z powozem tam, gdzie go zostawili. Robert pomógł Aileen wsiąść i sam wszedł za nią, po

czym zatrzasnął drzwi.

Powóz szarpnął i ruszył. Aileen popatrzyła na swojego towarzysza.

Gasnące popołudniowe słońce oświetlało jego głęboko zamysłone oblicze.

Jechali drogą porytą koleinami, aż wreszcie skręcili na zachód w kierunku Tower Hill i lepszej dzielnicy.

Wreszcie Aileen spojrzała na Roberta.

- Dziękuję, że mnie tam zabrałeś. Wiem, że nie chciałeś, ale... widok ich kryjówki, świadomość, że Will pewnie tam był... - Zmusiła się, żeby popatrzeć mu w oczy. - To wszystko sprawia, że te wydarzenia stały się dla mnie bardziej realne. W połączeniu z naszymi zwiadami dziś rano te informacje, którymi się ze mną podzieliłeś, pozwoliły mi zrozumieć, że w tej sprawie chodzi nie tylko o Willa, i uzmysłowiły mi zakres twojej misji. Wiem, że już mi to wszystko tłumaczyłeś, ale kiedy widzi się coś na własne oczy...

Przerwała, żeby zebrać myśli, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Robert nie poruszył się, po prostu dalej na nią patrzył i słuchał.

- Teraz wreszcie znam skalę tego zadania i wiem, że ani ja, ani ty, ani my oboje nie doprowadzimy go do końca. Rozumiem, że możemy zrealizować co najwyżej jeden etap. Możemy posunąć sprawę o krok dalej, ale nic ponad to. Nie możemy, wręcz nie wolno nam zrobić nic więcej, jeśli nie chcemy sprowadzić na porwanych niebezpieczeństwa.

Wreszcie Robert poruszył się, wyciągnął długie nogi i stwierdził:

- Jeśli taki jest efekt tego popołudnia, i w ogóle całego dnia, to... - skłonił głowę, jakby zgadzając się z Aileen - mogę się z tego tylko cieszyć.

Jakaż to ulga, pomyślał. Poczuł, że napięcie, które trzymało go jak w imadle, od kiedy wyszedł za panną Hopkins z pensjonatu, nieco ustępuje. Wciąż się zastanawiał, jak uświadomić jej powagę sytuacji - a w konsekwencji jak ją przekonać, żeby wraz z nim opuściła kolonię. Wyglądało na to, że dzięki wyprawie do slumsu osiągnął ten cel.

Dotarli na Stację Pani Hoyt. Robert wysiadł z powozu, podał rękę Aileen i odprowadził ją do drzwi. Weszła przodem, a on ruszył za nią. Tym razem Aileen natychmiast skierowała się do saloniku.

Robert uznał, że tam nie grozi im żadne niebezpieczeństwo - w końcu w każdej chwili ktoś mógł nadejść - dlatego wszedł za nią i zamknął drzwi.

Aileen zatrzymała się na środku pokoju i obróciła twarzą do niego.

- I co teraz? - zapytała.

Robert zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Patrząc na minę Aileen, zdał sobie sprawę, jak próżna była jego nadzieja, iż wydarzenia tego dnia zaspokoją jej chęć niesienia pomocy.

- Moim zdaniem niewiele możemy teraz zrobić - rzekł. - Musimy czekać, aż handlarze niewolników porwą kolejną osobę. - Przynajmniej Aileen nie będzie im towarzyszyć w śledzeniu szajki w drodze do obozu.

- A co z dziećmi? - spytała. - Na pewno jeszcze coś możemy zrobić w tej sprawie.

- Nic mi nie przychodzi do głowy.

Aileen, wyraźnie niezadowolona i zniecierpliwiona przymusową bezczynnością, podeszła bliżej. Na jej twarzy Robert widział determinację, a w oczach wojowniczy błysk.

- Musi być coś, co możemy zrobić.

Opuścił wzrok na jej usta.

Jego zmysły znowu doszły do głosu, otwierając go na całą gamę emocji, jakie budziła jej bliskość.

Coraz trudniej mu było wypierać się, nawet przed sobą, tego, co do niej czuł - do tej sekutnicy, tego uwierającego ciernia, który odrywał go od jego misji. Nie była to już zwykła chęć zapewnienia bezpieczeństwa, jaką Robert odczuwałby w stosunku do każdej damy w podobnych okolicznościach, a zwłaszcza siostry swoich znajomych.

To, co do niej czuł...

Owszem, pragnął ją chronić, ale emocje kryjące się za tym odruchem były o wiele potężniejsze i głębsze niż wszystko, czego doświadczył w stosunku do jakiegokolwiek kobiety.

Ona była wyjątkowa.

Moc uczuć, jakie w nim budziła... Nieważne, że wcale tego nie pragnął. Byłby ślepcem, gdyby nie wiedział, co to wszystko musi oznaczać.

Wyruszył w tę misję, zdecydowany jak najszybciej wrócić do Anglii i poszukać sobie żony.

Najwyraźniej pomyliła mu się kolejność.

Aileen wpatrywała się w jego twarz. Jej oczy - lśniące oczy w kolorze dojrzałej brandy - lekko się zmrużyły.

- Powiedz, jak mogę pomóc - rzekła.

To było żądanie – wręcz rozkaz.

Jej spojrzenie także przesunęło się na jego usta. Wyraźnie czekała na odpowiedź.

Robert wiedział, że powinien się odsunąć, że znajduje się w niebezpieczeństwie, z jakim nigdy dotąd się nie mierzył. Pomyślał jednak o Babingtonie – o tym, jak on sam czułby się, gdyby nie zadziałał pod wpływem chwili, nie zaryzykował.

Przecież nigdy dotąd nie cofnął się przed wyzwaniem.

Ujął twarz dziewczyny, odchylił do tyłu i pocałował mocno, namiętnie, pożądliwie.

Całował, dopóki Aileen nie odpowiedziała – poczuł, jak rozpala się między nimi ogień, jak jej ciało nachyla się ku niemu, a ręka dotyka lekko jego dłoni.

Odsunął się, odetchnął głęboko i popatrzył w jej zamglone oczy.

– Jeśli chcesz pomóc, nie ruszaj się stąd. Nie narażaj się.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Jeśli jego zachowanie wytrąciło ją z równowagi, to dobrze – on czuł to samo.

Aileen zamrugnęła i powiodła za nim zdumionym spojrzeniem.

Co, u licha...?

Usłyszała cichy trzask drzwi wejściowych. Pospieszyła do okna i wyjrzała przez koronkowe firanki.

Patrzyła, jak Robert idzie ścieżką. Przystanął przy powozie i zamienił słowo z Dave'em, po czym odszedł, a woźnica zawrócił pojazd i ruszył w dół wzgórza.

Patrząc niewidzącym wzrokiem, Aileen usiłowała

zaprowadzić jakiś ład w plątaniu emocji, jakie wzbudziło w niej to zajście.

Do diaska. Co on chciał przez to powiedzieć?

Nie ruszaj się stąd. Nie narażaj się.

Prychnęła. Jego bezczelność nie znała granic.

Lecz ten pocałunek... był intrygujący.

W zestawieniu z poprzednim incydentem i tym jeszcze wcześniejszym...

Zaczynała dostrzegać w tym pewną prawidłowość.

Wcześniej rzuciła Robertowi wyzwanie, żądając, aby powiedział, na jakiej podstawie rości sobie prawo, żeby ją ograniczać... Czy tamten pocałunek był jego odpowiedzią?

A ten sprzed kilku chwil - czy był tej odpowiedzi potwierdzeniem?

Mężczyźni, zwłaszcza wtedy, gdy się na nich naciska, wolą odwoływać się raczej do czynów niż słów.

Czy to właśnie jeden z tych przypadków, kiedy czyny były bardziej wymowne niż wszelkie słowa, jakie mogłyby paść?

- Skąd niby mam wiedzieć?! - szepnęła sfrustrowana Aileen.

Właściwie skoro już o tym myślała, to w równie mierze dziwiło ją własne zachowanie i reakcja na działania Roberta. Tak śmiałe metody perswazji powinny ją co najmniej oburzać, a zamiast tego czuła tylko fascynację - ta potężna emocja odwracała jej uwagę od gniewu.

Usłyszała inne osoby kręcące się po domu. Nie czuła się na siłach, żeby prowadzić zwyczajne pogawędki. Otworzyła drzwi salonu, wymknęła się na korytarz i weszła po schodach.

Gdy poczuła się bezpieczna w sypialni, opadła na stołek

i niewidzącym wzrokiem spojrzała za okno. Miała wrażenie, jakby z trudem utrzymywała się na powierzchni bardzo głębokiej wody.

Jedyne, co pomagało jej pogodzić się z sytuacją, to wrażenie, iż Robert był tym wszystkim tak samo zaskoczony jak ona.

A w takim razie, biorąc pod uwagę jego niewątpliwe doświadczenie i jej ignorancję w tych sprawach, nie mogła się dziwić swojemu oszołomieniu.

Wreszcie jej błędzące myśli zwróciły się ku pytaniu, na które wciąż nie знаła odpowiedzi. Co jeszcze mogłaby zrobić? Jak pomóc Frobisherowi uratować Willa i wypełnić misję? Chodziło przecież o jej brata.

Zgodnie z tym, co oznajmiła Robertowi, rozumiała teraz i akceptowała, że nie zdoła uratować Willa, czy to własnymi siłami, czy z pomocą. Ale dokładając starań, aby pomóc Frobisherowi w jego misji, mogła przynajmniej przyczynić się do uwolnienia innych porwanych.

Siedziała i oglądała zamierający dzień, zachód słońca, który przecinał niebo wstążkami jasnego różu i fioletu. Uparcie myślała o tym wszystkim, czego się dowiedzieli - i czego powinni się jeszcze dowiedzieć.

Zmrużyła oczy.

- Muszę coś zrobić, żeby zdobyć więcej informacji o tych handlarzach niewolników.

- Jeśli chcemy zadowolić naszych sponsorów, musimy zwiększyć produkcję zgodnie z planami, jakie przedstawiliśmy. A w tym celu trzeba otworzyć drugi korytarz i ściągnąć do pracy więcej ludzi. Nie da się tego przeskoczyć. - Jeden

z trzech mężczyzn, którzy spotkali się poprzednio w małej tawernie, pociągnął porządny łyk z kufła.

- Wszystko pięknie - odparł z irytacją ten, który pierwszy stawiał się na spotkanie - ale teraz, kiedy lady Holbrook dała nogę i nie może nam już służyć swoją wiedzą, musimy znaleźć jakiś inny sposób, aby bezpiecznie wybierać kolejnych ludzi.

Drugi mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w swoje piwo, po czym podniósł głowę i popatrzył na niego.

- Dlaczego? - spytał.

Ten westchnął.

- Bo nadal musimy pilnować, żeby nikt nie zawracał głowy Holbrookowi i Macauleyowi tymi zniknięciami. Wierście mi, nie możemy sobie na to pozwolić. - Pociągnął łyk i mówił dalej: - Jak długo ci dwaj nie złączą się interesować sprawą, nie powinniśmy natrafić na żadne znaczące przeszkody. - Przesunął się tak, by siedzieć przodem do stołu. Zniżył głos. - Miałem wieści o tych pięciu marynarzach i członkach floty, których posłaliśmy w zeszłym tygodniu do Dubois. Dotarli cało i ucieszył się na ich widok, ale zdaniem Kale'a, jeśli chcemy osiągnąć planowany pułap produkcji, Dubois potrzebuje około trzydziestu ludzi, a nie takiej garstki.

Trzeci mężczyzna niemal zakrztusił się piwem.

- Trzydziestu?!

- Ale chyba nie naraz - rzekł drugi. - Dubois ma pewnie na myśli, że tylu mu będzie potrzeba, żeby praca ruszyła pełną parą po otwarciu drugiego korytarza.

Pierwszy przytaknął.

- Też to tak rozumiem. Dubois ma dość ludzi na teraz, ale

wkrótce będzie potrzebował o wiele więcej.

- Nie możemy ciągle zabierać marynarzy z portu. To zbyt niebezpieczne - stwierdził trzeci, najmłodszy z nich.

- Zdecydowanie nie - zgodził się pierwszy. Spojrzał na drugiego, który skrzywił się i opróżnił kufel, a potem powiedział: - Eskadra najprawdopodobniej wróci w ciągu tygodnia. Gdy tylko załogi zejść na ląd, pogłoski o zaginięciach na pewno dotrą do oficerów, a to ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba, kiedy Decker jest w porcie. Dotąd wszystko uchodziło nam na sucho, bo byliśmy ostrożni. Lepiej nie zmieniamy strategii tylko dlatego, że Dubois wolałby, żebyśmy natychmiast spełniali każde jego życzenie.

- Racja - zgodził się pierwszy.

Trzeci tylko pokiwał głową.

Minęło kilka sekund i drugi spytał:

- Czy mamy jakiś pomysł, żeby zapewnić Dubois robotników innym sposobem?

- Może wystarczyliby starsi chłopcy, na tyle duzi, że niedługo będą szukać pracy? - podsunął trzeci. - Niektórzy są niemal tak rośli jak ich ojcowie i na pewno poradzą sobie z kilofem czy łopata.

Pierwszy zacisnął usta.

Drugi popatrzył na trzeciego, wyraźnie się zastanawiając. Wreszcie wzruszył ramionami.

- W najgorszym razie możemy to uznać za rozwiązanie tymczasowe. Przynajmniej dopóki nie znajdziemy lepszego sposobu na bezpieczne selekcjonowanie ofiar.

Pierwszy pokiwał wolno głową.

- No dobrze, spróbujmy, przynajmniej na razie. - Powiódł wzrokiem po pozostałych. - A tymczasem wszyscy zastanówmy się, jak można bezpiecznie zaopatrzyć Dubois w więcej dorosłych mężczyzn.

Jedenaście

Wchodząc następnego dnia do ataszatu, Aileen miała na uwadze słowa Frobishera, że nie powinna ufać nikomu z władz kolonii. Co prawda nie mieli żadnych dowodów, że ktoś z marynarki jest zaangażowany w ten potworny proceder, lecz mimo to postanowiła nie mówić nic, co mogłoby zwrócić uwagę na misję ratunkową. Nie mogła podejmować takiego ryzyka.

W urzędzie niewiele się zmieniło od ostatniego razu. Trzech urzędników nadal pracowało przy biurkach pod ścianą. Ten sam szczudłowaty osobnik, z którym rozmawiała poprzednio, podniósł się i – rozpoznawszy ją – podszedł dość ostrożnie do kontuaru.

- Dzień dobry - rzekła Aileen.

Na tę dzisiejszą wizytę włożyła świeżą białą bluzkę i kostium, tym razem w bladożółtym kolorze. Uśmiechnęła się do urzędnika tak szczerze, jak tylko potrafiła.

Nie odpowiedział uśmiechem.

- W czym mogę tym razem pomóc, panienko? - spytał.

Aileen pomyślała, że najwyraźniej nie zajdzie z tymi fajtłapami dalej niż poprzednio, ale kto wie? Może wyrosną gruszki na wierzbie. Otworzyła usta, żeby wygłosić przygotowaną mowę - i zauważyła cień przesuwający się za matową szybą w drzwiach biura mieszczącego się w głębi

pomieszczenia. Drzwiach oznaczonych napisem „Gabinet Attaché”.

Spojrzała z powrotem na urzędnika.

- Jak rozumiem, pan attaché jest dziś u siebie. Proszę go poinformować, że panna Hopkins pragnie z nim rozmawiać.

Urzędnik otworzył usta - zapewne, by powiedzieć, że jego przełożony jest zbyt zajęty, zanim jednak zdążył to zrobić, Aileen dodała znaczącym tonem:

- Proszę mu też powiedzieć, że... że wkrótce wracam do Londynu i zamierzam złożyć wizytę w admiralicji.

Zacisnęła dłonie na torebce i z władczą miną uniosła brew. Teraz już się nie uśmiechała.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

- Będzie pani łaskawa usiąść, panno Hopkins - powiedział. - Zawiadomię pana Muldoona, że pani czeka.

Z poczuciem triumfu - i nadzieją na zdobycie przydatnych informacji - Aileen usiadła na jednym z trzech krzeseł ustawionych pod ścianą. Położyła torebkę na kolanach i patrzyła, jak urzędnik podchodzi do drzwi, puka i znika w środku.

Zastanawiała się, ile będzie musiała czekać.

Minęła minuta, po czym drzwi się otworzyły i urzędnik wrócił. Za nim wyszedł przystojny mężczyzna w jednobarwnym ubraniu.

Popatrzył na nią, po czym podszedł bliżej i otworzył bramkę z boku kontuaru.

- Panna Hopkins?

Aileen podniosła się i zbliżyła.

- Zgadza się, proszę pana. Domyślam się, że rozmawiam z panem attaché?

Mężczyzna skłonił się.

- Nazywam się Muldoon - rzekł, zapraszając ją gestem do gabinetu.

Przeszła przez bramkę i zatrzymała się w progu pomieszczenia. Gabinet nie był duży. Znajdowało się tu zwyczajne biurko, a przed nim dwa krzesła o miękkich siedziskach. Pod trzema ścianami stały szafki, za biurkiem wisiała mapa kolonii i okolic, a po prawej stronie Aileen było małe okno wychodzące na jakąś alejkę.

Muldoon wszedł za nią do środka. Zamknął drzwi i wskazał jedno z krzesel.

- Proszę spocząć, panno Hopkins, i powiedzieć mi, w czym mogę pani pomóc.

Aileen podeszła i usiadła, poprawiając spódnicę. Odczekała, aż Muldoon sam znajdzie się za biurkiem. Był tylko trochę wyższy od niej, więc dość niski jak na mężczyznę, lecz proporcjonalnie zbudowany. Miał urzekającą powierzchowność: kruczoczarne włosy i intensywnie niebieskie oczy osadzone w twarzy o ostrych rysach. Aileen domyśliła się, że to Irlandczyk lub Kornwalijszyk. Był niezwykle przystojny... lecz ona patrzyła na niego z obojętnością. Jego uroda ani trochę jej nie poruszyła.

Przez jej głowę przemknął obraz Frobishera...

Odsunęła go pospiesznie. Miała do wykonania zadanie.

- Dziękuję, że zechciał pan się ze mną spotkać, panie Muldoon - zaczęła. - Pańscy pracownicy pewnie wspomnieli,

że przybyłam do kolonii w poszukiwaniu informacji o moim bracie, poruczniku Williamie Hopkinsie.

- A tak. - Muldoon oparł się przedramionami o biurko i złożył ręce. - Niestety zniknął kilka miesięcy temu.

- Tak mi mówiono. Nie rozumiem natomiast, co w ogóle robił w kolonii, kiedy powinien być na swojej jednostce na morzu. Poinformowano mnie także, że pańskie biuro nie wie, gdzie może przebywać. Nie dlatego tu dziś przyszłam. - Przerwała, powtarzając w głowie przygotowane pytania. Musiała uważać na to, jak je formułuje. - Próbując dowiedzieć się czegoś o zniknięciu brata, odkryłam, że zupełnie niezależnie od tej sprawy zginęło też kilkanaścioro dzieci. Fakt, należały do niższych klas, lecz niemniej były to dzieci brytyjskiego pochodzenia.

Muldoon wpatrywał się w nią z uwagą. Na pewno nie mogła się skarżyć, że ją lekceważył.

- Skoro nie jestem w stanie dowiedzieć się niczego o bracie, chciałabym zapytać, co wiadomo o zniknięciach tych dzieci. Rozumiem, że ta kwestia nie została jeszcze rozwiązana.

Muldoon zmarszczył brwi i spuścił wzrok. Minęła chwila, po czym położył przed sobą czystą kartkę i wziął ołówek. Zanotował coś szybko - kilka linijek, których Aileen nie była w stanie rozczytać - po czym podniósł wzrok.

- Takimi sprawami zajmuje się kancelaria gubernatora. Popytam jego ludzi i sprawdzę, co o tym wiedzą.

- Dziękuję - powiedziała Aileen z uśmiechem.

- Czy słyszała pani coś jeszcze w kwestii tych zaginionych dzieci?

- No cóż... Słyszałam pogłoski, że w kolonii działają handlarze niewolników... i że może to oni są za to odpowiedzialni.

Muldoon znowu zaczął pisać.

- Pogłoski - powtórzył, po czym spytał, nie podnosząc wzroku: - Od kogo pani je słyszała?

Aileen nie odpowiedziała od razu i attaché uniósł głowę. Jego spojrzenie było teraz ostrzejsze niż przedtem.

Aileen żałowała, że nie potrafi się rumienić na zawołanie; wypadłaby bardziej wiarygodnie.

- No więc... ja... poszłam do dzielnicy biedoty. Tylko na same obrzeża. - Machnęła ręką na wschód, w kierunku, skąd znikaly dzieci. - Wypytywałam o brata, a zamiast tego usłyszałam o tych dzieciach i handlarzach niewolników.

Muldoon popatrzył w stronę, którą wskazała. Mars na jego czole stał się groźniejszy.

- To bardzo... niepokojące. - Przejrzał to, co napisał, i dodał jeszcze linijkę. Spojrzał przelotnie na Aileen. - Cieszę się, że poruszyła pani ze mną ten temat, panno Hopkins. Nie omieszkam zająć się tą sprawą. Czy mogę spytać, jak długo zamierza pani pozostać w kolonii i gdzie mogę panią znaleźć? Kiedy uzyskam informacje, postaram się panią powiadomić.

Uśmiech Aileen był całkowicie szczery.

- Tak, byłabym panu niezmiernie wdzięczna. Nie jestem pewna, jak długo tu jeszcze zabawię, ale na pewno co najmniej kilka dni. Może mnie pan znaleźć na Stacji Pani Hoyt. To w pobliżu kościoła.

Muldoon zanotował tę informację. Ponownie przejrzął

zapiski, po czym odłożył ołówek i odsunął się od biurka.

- Jeszcze raz dziękuję, że mnie pani o tym powiadomiła, panno Hopkins. Może pani być pewna, że postaram się tym zająć najszybciej, jak to możliwe.

Podniósł się i obszedł biurko.

Aileen wstała. Wyciągnęła rękę, zadowolona ze spotkania. Muldoon ujął jej dłoń i skłonił się z szacunkiem.

- Dziękuję panu za pomoc - rzekła. - Jeśli zdołam uczynić cokolwiek, żeby pomóc tym biednym dzieciom, moja wyprawa tutaj nie będzie całkowicie bezowocna.

Nie miała nic przeciwko temu, aby Muldoon i jego sługusy uznali ją za przedstawicielkę tego gatunku zamożnych dam, które stawiają sobie za cel poprawę świata. Jeśli dzięki temu zdoła choć odrobinę lepiej zrozumieć, jakim cudem dziewiętnaścioro dzieci może zniknąć bez śladu, a handlarze niewolników mogą bezkarnie przechadzać się ulicami miasta, i wszystko to bez najmniejszej reakcji ze strony władz, poczyta sobie tę wyprawę za sukces.

Z przyjemnym poczuciem, że coś osiągnęła, pozwoliła, aby Muldoon wyszedł razem z nią z gabinetu i odprowadził ją po kei na ulicę.

Pożegnała się z nim kiwnięciem głowy. Mimo niezwykle atrakcyjnego wyglądu mężczyzny dotyk jego ręki na jej łokciu nie zdołał nawet przyspieszyć jej pulsu. Z uśmiechem uniosła spódnicę i ruszyła pod górę. Dave czekał na nią z powozem przy głównej ulicy.

Misja Frobishera polegała na odszukaniu dorosłych ofiar. W tej chwili nie mieli żadnych dowodów, że dzieci

uprowadzane były przez tę samą szajkę i w tym samym celu. Istniała możliwość, że ich zniknięcia były zupełnie niezwiązane z porwaniami dorosłych. A w takim razie kiedy Frobisher odnajdzie obóz, gdzie przetrzymują dorosłych, i opuści Freetown, zaginione dzieci pozostaną zdane na łaskę losu.

To, co Aileen powiedziała Muldoonowi, było prawdą. Nie mogła z czystym sumieniem opuścić kolonii, nie dołożywszy starań, aby upewnić się, że ktoś podejmie jakieś działania w kwestii dzieci - tych już porwanych i tych, którym wciąż groziło wpadnięcie w szpony handlarzy.

W pełni zadowolona z wizyty Aileen doszła do Water Street i ruszyła w kierunku czekającego Dave'a.

Reszta poranka upłynęła jej nieco gorzej. Aileen dotarła do zajazdu Frobishera tylko po to, by się przekonać, że nie zastała Roberta. Gospodyni potwierdziła, że istotnie zatrzymał się u niej osobnik odpowiadający jego opisowi, lecz wyszedł tuż po śniadaniu - dokąd się udał, tego dobra kobieta nie wiedziała.

Aileen wcale nie była przekonana, że Frobisher ją zawiadomi, jeśli chłopiec da mu znać, że na plaży znowu pojawili się handlarze niewolników. Wprawdzie obiecał przekazywać jej wszystko, czego on i jego ludzie się dowiedzą, jednak nie mówił, kiedy to zrobi - przed czy po tym, jak podejmie kolejne działania.

Jednocześnie dzieci mówiły, że porywacze przychodzili zwykle po południu, więc Aileen raczej niczego jeszcze nie

straciła.

Frobisher najprawdopodobniej przebywał ze swoimi ludźmi i obserwował kryjówkę porywaczy.

A może ostatniej nocy uprowadzono kolejną dorosłą ofiarę i wraz z załogą podążał już... Ale nie, gospodyni mówiła przecież, że zjadł w zajeździe śniadanie. Aileen nie wyobrażała sobie, że Frobisher mógłby wrócić do gospody i spokojnie zabrać się za jedzenie, kiedy jego ludzie śledzili w dżungli porywaczy.

Nie. Jeśli choć odrobinę znała się na ludziach - a w przypadku mężczyzn takich jak on nie ulegało to wątpliwości - Robert na pewno sam pierwszy ruszyłby w pościg.

Wszyscy zatem nadal czekali - on, jego ludzie i sama Aileen. Tamci, aż porywacze uprowadzą kolejną ofiarę, ona zaś na wieści z nabrzeża.

Lecz cierpliwość nigdy nie należała do jej cnót. Aileen podniosła się z siedzenia i uchyliła klapkę w suficie.

- Dave, zawieź mnie, proszę, z powrotem do pani Hoyt.

- Tak, panienko.

Wyglądała w zamyśleniu przez okno, podczas gdy Dave wiozł ją na Tower Hill. Kusiło ją, żeby kazać mu zmienić kierunek i pojechać ulicą, która prowadziła na wzgórze za domem Undoto, ale... Nawet gdyby przekonała woźnicę, aby jej towarzyszył - a wcale nie miała pewności, czy rozsądnie byłoby zostawić niestrzeżony powóz w takiej okolicy - spacer przez slumsy bez eskorty mężczyzny pokroju Frobishera byłby nie tylko nieroztropny, ale wręcz szalony.

Jeśli chciała, żeby Frobisher i pozostali widzieli w niej rozsądną i spolegliwą współpracowniczkę, nie mogła zachowywać się jak nierozważna pannica.

Dojechali do Stacji Pani Hoyt. Aileen kazała Dave'owi poczekać przy chodniku – opłaciła jego usługi na cały tydzień – i lekko zniechęcona weszła do pensjonatu.

Dopiero kiedy dotarła do swojego pokoju i zaczęła odpinać kapelusz, przyszło jej coś do głowy. Obróciła się na pięcie i zeszła na dół.

Już wcześniej odkryła, że choć pani Hoyt nie przepadała za nabożeństwami Undoto – „Oj, panienko, mam ja lepsze zajęcia!” – to jako inteligenta kobieta interesu dbała o zadowolenie swoich gości i wywieszała na małej tablicy ogłoszeń przy jadalni informacje o nadchodzących modłach. Ciotka jednej ze służących była oddaną wielbicielką kaznodziei, dlatego powiadomienia były zazwyczaj aktualne.

I rzeczywiście, wśród obwieszczeń o recitalach, nabożeństwach kościelnych i podobnych w końcu – tak! – znalazła informację, że Undoto zamierzał dziś poprowadzić modły.

Aileen wróciła do pokoju, znowu włożyła kapelusz i wyszła na zewnątrz.

Dave potwierdził jej dyspozycję mruknięciem i posłusznie skierował powóz w dół wzgórza, po czym skręcił na wschód, w kierunku kościoła Undoto.

Aileen nie zapomniała, że handlarze niewolników odwiedzali dom kapłana wieczorem po nabożeństwach. Coś musiało łączyć te fakty. Coś, na co ani ona, ani Frobisher i jego ludzie

nie zwrócili jeszcze uwagi.

Dave zatrzymał się pod kościołem dwadzieścia minut przed południem. Powozów było mało – większość wiernych zapewne jeszcze nie przybyła – lecz drzwi świątyni stały już otworem i do środka wchodziło wolnym krokiem kilka osób.

Aileen wysiadła z powozu, wygładziła suknię i uniosła głowę ku woźnicy.

- To chyba dobra pora, żebyś poszedł coś zjeść. Spodziewam się, że będę tu co najmniej dwie godziny. - Pokazała ławki pod rzędem drzew rosnącym dookoła dziedzińca. - Będę czekać, o tam.

Dave spojrzał we wskazanym kierunku, kiwnął głową i dotknął kapelusza.

Kiedy odjechał, ruszyła do kościoła.

Wybrała sobie miejsce z boku, skąd miała dobry widok na większość obecnych na nabożeństwie Europejczyków, a także na mównicę i ołtarz. Siedząc, przyglądała się strumieniowi wchodzących ludzi. Naturalnie był wśród nich Sampson, choć nie zauważyła z nim Frobishera. Przyszedł też jakiś inny stary żeglarz i obydwaj wilki morskie usiadły w kącie z tyłu. O ile Aileen mogła się zorientować, zabawiali się wygłaszaniem uwag na temat pań i panów obecnych w kościele.

Choć przyglądała się uważnie, nie ujrzała nic, co wzbudziłoby najmniejsze podejrzenia. Gdy zaczęło się nabożeństwo, skupiła uwagę na Undoto. Odnotowała każdą zmianę w jego głosie, każdy gest. Szukała jakiegokolwiek sygnału – choć nie miała pojęcia, do kogo miałyby być skierowany i co mógłby oznaczać.

Wreszcie doszła do wniosku, że Undoto najprawdopodobniej zdobywa informacje o tym, kogo należy porwać, podczas rozmów z wiernymi po zakończeniu modłów. To by tłumaczyło, dlaczego porywacze odwiedzali go wyłącznie w dni nabożeństw - pewnie przekazywał im na bieżąco, czego się dowiedział.

Stojąc przy drzwiach, ściskając dłonie i gawędząc z wiernymi, kaznodzieja sprawiał wrażenie człowieka serdecznego i szczerze zainteresowanego rozmówcami. Nie wydawał się spieszyć. Każdemu, kto chciał porozmawiać, poświęcał co najmniej pół minuty, niektórym zaś - Aileen zauważyła, że dotyczyło to wyłącznie Europejczyków - nawet znacznie więcej czasu. Wyraźnie całkiem dobrze znał swoją trzódkę.

Aileen wyszła dyskretnie z kościoła, korzystając z tłoku, aby umknąć uwadze duchownego. Przez następne pół godziny przechadzała się w tłumie parafian, zarówno Europejczyków, jak i tubylców, którzy zwlekali z odejściem i gawędzili na dziedzińcu ze sobą i z Undoto. Kaznodzieja porzucił już stanowisko przy drzwiach. Aileen zauważyła, że często zadawał europejskim damom pytania, na które te ochoczo udzielały odpowiedzi.

Jakież to łatwe. Zbudowanie sobie obrazu danej społeczności to dla duchownego nie problem - kilka zdawkowych pytań i już wiadomo, gdzie kto mieszka, kto jeszcze należy do rodziny, gdzie pracują mężczyźni, a gdzie damy chadzają na zakupy. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego pozycja społeczna Undoto czyniła z niego użyteczne narzędzie

dla handlarzy niewolników.

Aileen dość już się nasłuchiwała. Skierowała się w stronę ławek i wybrała tę usytuowaną w najgłębszym cieniu – przy swojej karnacji musiała dbać o to, żeby nie wyskoczyły jej na twarzy piegi.

Przypatrywała się ostatnim osobom gawędzącym jeszcze na dziedzińcu i zastanawiała się, ile wiedział o swojej trzódce pleban parafii, w której mieszkali jej rodzice. Na pewno nie mało. Kapłani, pastorzy, plebani i inne osoby stanu duchownego... Powierzano im wszelkiego rodzaju sprawy, a przecież to, o co pytał Undoto – to, czego potrzeba było porywaczom – uznano by za względnie niewinne kwestie.

Jeśli taka była rola kaznodziei – dostarczanie informacji, które pozwolą handlarzom niewolników niepostrzeżenie uprowadzić wskazane osoby – to czym w takim razie zajmowała się lady Holbrook? Z tego, co mówił Frobisher...

Aileen siedziała w parnym skwarze panującym pod drzewami i krok po kroku układała sobie obraz planu porywaczy. Lady Holbrook znała wszystkich Europejczyków w kolonii – najwyraźniej nawet tych mieszkających w dzielnicach biedoty. Dzięki klasowym uprzedzeniom swojego męża mogła wskazywać porywaczom ludzi, których zniknięcie albo nie zostanie zauważone, albo można by je wytłumaczyć innymi przyczynami, takimi jak wyprawa w głąb dżungli w poszukiwaniu bogactw.

Może w niektórych przypadkach lady Holbrook kierowała się innymi kalkulacjami, które mogły tłumaczyć uprowadzenie konkretnych młodych kobiet.

Śpiew jakiegoś ptaka w pobliżu wyrwał ją z sennego otępienia. Popatrzyła na dziedziniec i zdała sobie sprawę, że wszystkie powozy odjechały, zniknęli też wszyscy ludzie. Drzwi i okna kościoła zamknięto i nawet sam Undoto już odszedł.

Dave jeszcze nie wrócił, ale na pewno zaraz się pojawi.

Aileen podniosła z kolan torebkę i wstała...

Jej głowę zakrył czarny worek.

Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle.

Czyjaś dłoń zatkała jej usta przez materiał. Aileen niemal zaczęła się dusić.

Ktoś szarpnął workiem do tyłu i dziewczyna poczuła, jak jej kapelusz opiera się o umięśnioną męską pierś.

Usiłowała odwrócić się i wyrwać, ale wtedy włożono jej w usta knebel. Potem silne ramię zacisnęło się na jej talii.

Aileen sięgnęła ręką, żeby zerwać worek i knebel.

Ktoś unieruchomił jej ręce. W kilka sekund związano jej dłonie.

Zanim choćby pomyślała, żeby zacząć kopać, obwiązano jej buty sznurem i mocno skrępowano kostki.

Mężczyzna, który ją trzymał, był ogromny. Podźwignął ją z głośnym sapnięciem, po czym przerzucił przez ramię jak worek ziemniaków i ruszył w drogę.

Wpadła w panikę. Próbowwała się wyrwać, zmusić napastnika, żeby rozluźnił uścisk, lecz jego ramię zacisnęło się jeszcze mocniej na jej nogach i te wysiłki na nic się nie zdały, przeciwnie, sprawiły tylko, że zaczęło jej brakować powietrza.

Uspokoila się i poczęła nasłuchiwać mimo głośnego bicia

oszałego serca. Z zasłoniętymi oczami była zupełnie zdezorientowana. Zdawało jej się, że mężczyzna idzie wzdłuż linii drzew, korzystając z ich osłony. Obok niego kroczył co najmniej jeszcze jeden człowiek.

Przeszedł ją lodowaty dreszcz - zdała sobie sprawę, że właśnie dołączyła do grona zaginionych osób.

Odetchnęła głębiej i wstrzymała oddech. Zamknęła oczy - i tak nic nie widziała przez worek - żeby skupić się na pozostałych zmysłach. Wciąż przecież dysponowała słuchem i dotykiem. Jeśli się skoncentruje, może zdoła się zorientować, dokąd ją zabierają.

Ta myśl pozwalała jej zapanować nad paniką. Im bardziej Aileen zmuszała się do prób zrozumienia sytuacji i określenia kierunku, w którym ją nieśli, tym łatwiej było jej utrzymać w ryzach strach. Oczywiście nie mogła całkowicie się z niego otrząsnąć, ale jej umysł zaczynał przestawiać się na tryb przetrwania.

Kiedy porywacze dotarli do końca rzędu drzew, skręcili w prawo i przyspieszyli kroku. Szum liści ucichł i Aileen poczuła na plecach mocne słońce - jednak po jakichś dziesięciu jardach znowu przystanęli w cieniu.

Nadal nie otwierając oczu, Aileen usiłowała sobie wyobrazić, gdzie się znajdują. Na tyłach kościoła? Na pewno - w okolicy nie było innych budynków. Usłyszała dźwięk przekręcanego w drzwiach klucza, zawiasy skrzypnęły cicho i niosący ją człowiek wszedł w chłodniejszy cień.

Posadzono ją chyba na krześle z prostym oparciem. Aileen otworzyła oczy akurat w chwili, gdy przez czarny materiał

przebiło słoneczne światło, a potem znikło za drzwiami, którymi weszli.

- Nie ruszaj się - warknął ten, który ją niósł, szorstkim głosem człowieka z pospólstwa.

Aileen, ciasno skrępowana, nawet nie zamierzała próbować. Ukradkowe sprawdzanie więzów na nadgarstkach przekonało ją, że próba uwolnienia rąk była skazana na niepowodzenie.

Skupiła się na nasłuchiowaniu, próbując zorientować się w poczynaniach porywaczy. Było ich tylko dwóch. Pokręcili się dookoła i w końcu usiedli na krzesłach lub na podłodze po obu jej stronach. Zapadła cisza.

Aileen przypuszczała, że weszli do kościoła drzwiami, z których - jak widziała kilka dni wcześniej - korzystał Undoto.

Było gorąco i duszno. Mężczyźni nic nie mówili ani do niej, ani do siebie nawzajem. Miała wrażenie, że siedzą tak całe godziny.

Nie ulegało wątpliwości, że schwytali ją ci sami handlarze niewolników, którzy współpracowali z Undoto.

Ci sami, którzy - była tego niemal stuprocentowo pewna - uprowadzili też Willa.

Przez chwilę myślała nawet o tym, że jeśli zabiorą ją w to samo miejsce co brata, to może znowu go zobaczy. Wiedziała jednak doskonale, że nie przywitałby jej z otwartymi ramionami. Byłby wściekły, że przyjechała tu za nim i sama dała się złapać.

Aileen wcale by go za to nie winiła. Gdyby miała w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia, oddanie się w ręce

porywaczy byłoby ostatnią rzeczą, jaką by wybrała, żeby odnaleźć i uratować Willa.

To znowu zwróciło jej myśli ku ucieczce.

Przypuszczała - miała nadzieję - że przed wywiezieniem do dżungli porywacze zabiorą ją najpierw do swojej kryjówki.

Pomyślała o Frobisherze i jego ludziach.

Była pewna, że nadal obserwują kryjówkę handlarzy. W końcu porywacze sprowadzali tam podobno wszystkie ofiary.

A czy sam Frobisher również będzie czuwał? Czy odgadnie, że to właśnie ona znalazła się w szponach porywaczy?

Marszcząc brwi, zastanawiała się, po czym mógłby ją rozpoznać. Nie zobaczy przecież jej twarzy ani włosów, chyba że porywacze zdejmą jej worek z głowy, co było mało prawdopodobne.

Nie widział też dotąd jej cytrynowej sukni, a bardzo wątpliwe, że zdołałby poznać Aileen po półbutach.

Co jeszcze? Musiało coś być...

Zrobiło jej się niewygodnie, więc poruszyła się na krześle i poczuła na udzie ciężar swojej torebki. Dziwiło ją nieco, że porywacze pozwolili jej ją zatrzymać. Ale pewnie uznali, że w środku są tylko zwyczajne damskie drobiazgi. Nie żeby pistolet mógł jej się w tej chwili przydać; ze związanymi nadgarstkami Aileen nie byłaby w stanie choćby poluzować troczków torebki. Zresztą nie była na tyle głupia, żeby wyciągać pistolet, skoro nie mogłaby nawet z niego wycelować.

Lecz może Frobisher rozpozna samą torebkę - brzydką,

czarną i zwyczajną. Aileen wybrała ją ze względów praktycznych, nie estetycznych.

A jeśli dzięki niej Robert i jego ludzie zdołają się zorientować, że to właśnie ona padła ofiarą porywaczy, to torebka z naddatkiem spełni swoje zadanie.

Rozpoznanie było jednak wszystkim, na co dziewczyna mogła liczyć. Ratunek nie wchodził w rachubę, przynajmniej nie z tej strony.

Aileen wciąż miała w uszach słowa Frobishera, że w żadnym razie nie wolno im ratować kolejnej ofiary. Musieli pozwolić handlarzom ją zabrać, aby móc podążać ich śladami do obozu.

W tamtym momencie całkowicie się z tym zgadzała; patrząc racjonalnie, nadal podzielała tę opinię.

Po prostu nie spodziewała się, że sama wpadnie w ręce porywaczy.

Nie wymagała jednak – nie mogła wymagać – od Frobishera, żeby przedłożył jej dobro nad obowiązek, jej bezpieczeństwo nad bezpieczeństwo wszystkich zaginionych do tej pory osób, bez względu na to, jak bardzo chciałby ją chronić.

Bez względu na tamte pocałunki.

Aileen nie miała pojęcia, dlaczego właściwie ją uprowadzono – jaki cel mogli mieć w tym porywacze? – ale nie miało to znaczenia. Jak sobie posłała...

Nie był to najlepszy moment na myślenie o Frobisherze w kontekście pościeli i łóżka.

Pod osłoną worka wymamrotała w knebel cierpkie „A niech to!”. Jakie to niesprawiedliwe, że jedyny mężczyzna, który kiedykolwiek wzbudził w niej tak gorące uczucia, był związany

honorem i musiał pozwolić, aby pozostała w rękach handlarzy niewolników!

Mimo worka i knebla udało jej się odetchnąć nieco głębiej. Potem jeszcze raz się zastanowiła, w jaki sposób mogłaby wyrwać się z łap porywaczy.

Bo prawda była taka, że raczej nikt jej nie pomoże.

Aileen doszła do tego przygnębiającego wniosku dokładnie w momencie, gdy mężczyźni znowu zaczęli się kręcić po pomieszczeniu. Wymienili kilka uwag. O ile mogła się zorientować, zastanawiali się, czy już pora, by ją stąd zabrać.

Najwyraźniej tak. Jeden postawił ją na nogi, a drugi owinął mocnym, ale niezbyt szorstkim materiałem – czyżby płótnem?

Była bezradna, nie mogła temu w żaden sposób zapobiec. Porywczycze zawinęli ją jak paczkę, przytrzymując materiał sznurami i całkowicie blokując dostęp światła. Na koniec jeden z nich, ten większy, znowu podźwignął ją i przerzucił sobie przez ramię, po czym ruszyli w drogę. Aileen usłyszała skrzyp zawiasów, a potem znowu znaleźli się w skwarze.

Mężczyźni szli wolno, Aileen podskakiwała lekko na ramieniu niosącego ją zbira. Wkrótce wyczuła, że wspinają się pod górę – pewnie na wzgórze za kościołem. Sądząc jednak po dźwięku kroków, nie szli ulicą, lecz małymi alejkami i zaułkami. Aileen nie potrafiła już rozróżnić, czy panuje jasność, czy mrok, lecz po temperaturze zorientowała się, że słońce już zaszło – co do tego nie miała wątpliwości.

Ukradkiem zaczęła poruszać lekko rękami. Po kilku chwilach torebka wysunęła się z kokonu na zewnątrz i zadyndała na nadgarstku Aileen, która modliła się, aby

niosący ją mężczyzna nie wyczuł uderzenia torebką po plecach, ale na szczęście zdawał się zupełnie nie zwracać na to uwagi, nawet nie zwolnił kroku.

Wreszcie Aileen poczuła duszne powietrze slumsów.

Już prawie byli w kryjówce.

Nadchodził wieczór, wkrótce miała zapaść czarna noc. Robert już od godziny spoglądał ponad dachami domów w dzielnicy biedoty na drzwi do kryjówki porywaczy.

Przyszedł do pokoju na wieży wkrótce po śniadaniu. Nie umawiali się z Aileen na żadne dalsze eskapady i miał nadzieję, że jego pożegnalne słowa zapadły jej w pamięć.

Nic więcej nie mógł zrobić.

Pomyślał, że jeśli panna Hopkins znowu zechce wtrącić się w jego sprawy, to co najwyżej zatrzyma po drodze chłopca z portu, gdyby przybiegł z wiadomością o nadejściu handlarzy niewolników. Nie sądził, aby przeszkodziła mu w dostarczeniu informacji.

W każdym razie, siedząc dosłownie pod bokiem porywaczy, musiał się skupić na zadaniu, które mu powierzono. Nie powinien się rozpraszać, myśląc o oczach w kolorze brandy, o prowokujących spojrzeniach, o ostrym języku panny Hopkins i jej aż nazbyt dużym talencie do manipulacji ludźmi.

Zresztą Robert nie zamierzał pozwalać, aby nim manipulowano – niezależnie od tego, czy chodziło o nią, czy o kogokolwiek innego.

Kiedy będzie po wszystkim i zabierze ją z kolonii, wspólnie zastanowią się nad tym, co ich łączy. W drodze powrotnej do Anglii będzie na to mnóstwo czasu.

Teraz jednak na pierwszym miejscu była jego misja. Przede wszystkim obowiązek.

Zwłaszcza teraz, kiedy wreszcie coś zaczęło się dziać.

Pół godziny przed południem do kryjówki handlarzy przybiegł posłaniec. Najwyraźniej przekazał pilnującemu drzwi strażnikowi jakąś informację. Obaj weszli do środka.

Robert posłał Colemana i Fullera na zewnątrz, żeby okrążyli kryjówkę i obserwowali dwa tylne wyjścia, które odkryli już wcześniej. Po kilku minutach dwaj członkowie gangu w towarzystwie posłańca wymknęli się tyłem i zniknęli w alejce, kierując się w stronę centrum kolonii.

Coleman i Fuller wszystko widzieli, lecz ponieważ część szajki pozostała w kryjówce, zgodnie z rozkazami Roberta sprawdzili tylko, w którym kierunku udali się ci trzej, po czym wrócili, żeby złożyć raport.

Było to prawie sześć godzin wcześniej.

Robert modlił się, żeby jego decyzja, aby nie rozdzielać sił i pozwolić porywaczom iść tam, dokąd ich wezwano, okazała się słuszną. Oby nie mylił się w swoich kalkulacjach, że przed wyprawą do dżungli handlarze zawsze wracają z uprowadzoną ofiarą do kryjówki.

Te sześć godzin upłynęło mu w dużym napięciu.

Teraz jednak, sądząc po tym, że dwaj pozostali w kryjówce obwiesie wyglądali na alejkę wiodącą do kolonii, rzeczywiście chyba spodziewali się rychłego powrotu towarzyszy.

Z każdą minutą atmosfera w pokoju na wieży stawała się coraz bardziej napięta. Robert posłał Colemana i Fullera z powrotem na stanowiska na tyłach meliny, na wypadek gdyby

porywacze wrócili z innego kierunku.

Wreszcie siedzący na progu mężczyzna podniósł się z miejsca i spojrzał w alejkę.

Potem powiedział coś przez ramię do siedzącego w środku towarzysza i uśmiechnął się szeroko. Jego kompan wyszedł na próg i też wyszczerzył się na widok czegoś, czego Robert nie mógł jeszcze zobaczyć.

Wreszcie pojawiło się dwóch, którzy odeszli przedtem w kierunku kolonii. Większy z mężczyzn niósł na ramieniu coś owiniętego w płótno i przewiązanego sznurem.

Widać było, że w środku znajduje się człowiek, ale... Robert przymrużył oczy. Postać wydawała się zdecydowanie zbyt szczupła i niska jak na mężczyznę.

Czyżby młody chłopak?

- O Boże... - dobiegł go szept Bensona, który przykucnął przy parapecie. Robert spojrzał na niego i napotkał jego wzrok. Marynarz był przerażony. - Czy to nie...?

Drab niosący zwinięte płótno obrócił je, żeby zmieścić się w drzwiach, dzięki czemu Frobisher mógł wreszcie zobaczyć to, co zauważył Benson.

Spomiędzy fałd materiału wystawały związane szczupłe dłonie. Z jednego nadgarstka zwieszała się znajoma czarna torebka.

Wszyscy ją widzieli - a Robert nawet niejedną raz - w rękach Aileen Hopkins.

Głowę ofiary zakrywał materiał. Nic więcej nie dało się zobaczyć.

Czarna torebka zakołysała się, kiedy porywacz wnosił

ładunek w mroczne wnętrze domu. Robert miał wrażenie, że palce Aileen się poruszyły, ale nie mógł być pewien.

Stał jak słup soli, wpatrując się w puste już wejście – w ziejącą otchłań, która pochłonęła pannę Hopkins.

Miał wrażenie, jakby uderzył głową w maszt.

Nawet zaczerpnięcie oddechu wymagało dużego wysiłku. Nie potrafił skupić się choćby na jednej myśli.

Walczyły w nim sprzeczne emocje.

Benson i Harris tylko spoglądali na niego w milczeniu.

Robert zaklął.

Wciąż nie był w stanie oderwać wzroku od drzwi kryjówki.

Jak na ironię sam ustalił zasady, sam zdecydowanie oświadczył, że muszą pogodzić się z tym, iż nie będą mogli ruszyć na ratunek kolejnej porwanej osobie – że będzie to ofiara złożona w imię większego dobra.

Gdyby handlarze porwali kogokolwiek innego, wszystko byłoby jasne i proste. Cokolwiek by się działo, Robert wypełniłby swój obowiązek.

Ale teraz... musiał wybierać między obowiązkiem a nią.

Rozległo się energiczne pukanie i do pokoju weszli Fuller i Coleman.

– I jak? – spytał Robert.

– Kogokolwiek tam mają, umieścili go w środkowym pokoju. Ale to nie wszystko: pojawiło się jeszcze sześciu ludzi. Przyszli przed chwilą z drugiej strony i wkradli się tylnym wejściem.

– Jeszcze sześciu? – Zatem nie ma co myśleć o zwyczajnym wtargnięciu do środka i odbiciu Aileen.

Robert skrzywił się i odwrócił z powrotem do okna. Nie było

sensu udawać, że nie może się zdecydować, co robić.

Obowiązek to jedno.

Aileen Hopkins to zupełnie coś innego.

Popatrzył na Bensona i Harrisa, po czym przeniósł wzrok na Colemana i Fullera.

- Osoba, którą porwali, to panna Hopkins. Zmieniamy plany. Musimy ją odbić.

Dwanaście

Aileen siedziała na drewnianej podłodze. Nogi miała wyciągnięte przed siebie, a za plecami ścianę z desek.

Nadal była luźno owinięta płótnem, w które zawinęli ją porywacze. Torebka wylądowała na podłodze obok. Ręce, podobnie jak stopy, ciągle miała związane, usta zakneblowane, a głowę wciąż zakrywał ten straszny worek.

Mimo to nie miała wątpliwości, że znalazła się w kryjówce handlarzy.

Gdy zbliżali się do celu, powitały ich szorstkie głosy innych mężczyzn. Ci, którzy ją porwali, odpowiedzieli pozdrowieniem. Potem niosący ją człowiek obrócił się i wszedł po kilku stopniach.

W panice spróbowała pomachać rękami, ale w następnej chwili szansa na danie znaku Frobisherowi zniknęła.

Niosący ją najemnik wszedł głębiej do domu, po czym posadził ją w miejscu, w którym się obecnie znajdowała.

Zacząła słuchać rozmowy porywaczy. Nie miała innego zajęcia, które pomogłoby jej zapanować nad narastającym strachem. Była przekonana, że nie uda jej się uciec i trafi do obozu handlarzy, a zatem nawet jeśli zdoła się czegoś dowiedzieć, nie będzie z tego żadnego pożytku – lecz mimo to zamieniła się w słuch.

Niektórzy z mężczyzn mówili po angielsku, ale z różnym

akcentem. Kiedy odzywali się naraz, trudno ich było zrozumieć, a czasem nawet odróżnić jednego od drugiego. Pozostali posługiwali się angielszczyzną zmieszaną z jakimś innym językiem - francuskim, holenderskim, niemieckim? Słyszała ślady wszystkich trzech języków.

Szybko zdała sobie sprawę, że w pomieszczeniu znajduje się więcej osób niż tylko pierwotna czwórka. Ostatecznie doliczyła się dziesięciu ludzi, a żaden z nich nie milkł praktycznie ani na chwilę.

Nagle w całej tej wieży Babel wychwyciła jeden wyróżniający się głos. Był... urzekający. Miał w sobie coś fascynującego. Kimkolwiek był ten człowiek, jego głos raczej hipnotyzował, niż komunikował.

Był głęboki i dźwięczny, o kadencji zbliżonej bardziej do francuskiego niż angielskiego. Aileen musiała kilka razy zamrunąć i pokręcić głową, żeby otrząsnąć się z czaru i zwrócić uwagę na to, co mówili inni.

Po wymianie zdań, którą uznała za zwyczajne powitania, mężczyźni zaczęli mówić o interesach. Najwyraźniej jedną grupę przysłano do kolonii po jakieś specjalistyczne zaopatrzenie, którego miał dostarczyć ktoś o nazwisku Winter. Głównie jednak rozmawiali o tym, jak zdobyć więcej zdrowych mężczyzn dla obecnego klienta. Aileen wydedukowała, że handlarzom zabroniono porywać Europejczyków na chybił trafił. Ich ofiary były starannie selekcjonowane. Klient potrzebował mężczyzn, nie zaś kobiet czy dzieci.

Potem w głosach porywaczy zabrzmiał inny ton i Aileen

zdała sobie sprawę, że rozmawiają o niej.

Nigdy nie przypuszczała, że można jednocześnie lodowacieć ze strachu i oblewać się potem. Okazało się, że obsceniczne żarty zawsze brzmią tak samo, bez względu na akcent.

Siedziała jak zastygła, ledwo ważąc się oddychać. Czuła się jak królik w jaskini pełnej wilków. Znieruchomiła w oczekiwaniu na obleśny dotyk rąk...

Ale żaden z mężczyzn nawet się do niej nie zbliżył.

Kilku z nich powtarzało jedno nazwisko: Dubois. O ile Aileen mogła się zorientować, właśnie jemu i jego wpływowi zawdzięczała to, że nikt jej nie molestował. To nieco uśmierzyło jej obawy.

Ale czy ten Dubois to ich klient? A może agent działający w imieniu klienta? A może prawdziwy przywódca szajki?

Ze sposobu, w jaki mówili o nim handlarze, wynikało, że należy raczej wykluczyć trzecią możliwość.

Porywacze skupili się teraz na jakichś przygotowaniach – Aileen nie zdążyła się zorientować, czy chodzi o pozostawienie jej z kimś innym czy też uprowadzenie jakichś kolejnych ofiar. Mężczyźni przenieśli się do innych pomieszczeń niewielkiego domu i ściany stłumiły ich głosy tak, że nic już nie była w stanie wychwycić.

A to oznaczało, że nie pozostało jej nic poza skupieniem się na swoim losie.

Próbowała wyobrazić sobie, co ją wkrótce czeka, lecz choć starała się myśleć racjonalnie, nie potrafiła zaakceptować tego, że poniosą ją jako więźnia do dżungli. Nadal się buntowała i nie umiała zrezygnować z myśli, że musi istnieć

jakiś sposób ucieczki, niezależnie od tego, co mówi logika.

Wiedziała jednak, że wydarzenia kilku najbliższych godzin – aż do momentu, gdy porywacze wyniosą ją poza granice kolonii – mogą fundamentalnie zmienić jej życie, i niewykluczone, że ta zmiana będzie nieodwracalna.

Aileen całkowicie pogrążyła się w smutku.

Zacząła wspominać rodziców, braci... ale osobą, która najwyraźniej stawała jej przed oczami, był...

Nie zdawała sobie sprawy, że Robert Frobisher zdołał aż tak zawojować jej serce.

Najbardziej żałowała, że nie zdążyła zbadać tego nieoczekiwanego, niezwykłego pociągu, który ich połączył. Może dotąd nie pozwalała sobie o tym rozmyślać, lecz potrafiła rozpoznać życiową okazję – okazję, do której żadna kobieta przy zdrowych zmysłach ani nie powinna, ani nie chciałaby odwrócić się plecami.

Tak głęboka więź z tego rodzaju mężczyzną... Dla kobiety jej pokroju było to ostateczne wyzwanie. Fakt zaś, że musiała przepuścić tę szansę... Nie mogła myśleć o tym inaczej niż jak o klęsce, nawet jeśli nie ponosiła żadnej winy.

Poczuła gniew.

Przez tych handlarzy i z powodu jakiegoś planu, który nieznani jej ludzie postanowili przeprowadzić dla własnej korzyści, przegapi największe i najważniejsze wyzwanie życia.

Nawet nie będzie miała szansy, żeby spróbować mu sprostać.

Ta myśl sprawiła, że Aileen zamiast strachu poczuła wściekłość.

Niespodziewanie głosy mężczyzn stały się ostrzejsze. Kilku z nich mówiło tak, jakby wydawali polecenia.

Potem zbliżyły się do niej ciężkie kroki. Ktoś przykucnął przy niej – czuła jego woń nawet przez worek i tkaninę. Złapał jej torebkę i Aileen cała się spięła, lecz mężczyzna tylko wsunął ją z powrotem w fałdy materiału. Ktoś inny – miała wrażenie, że to ten sam olbrzym, który ją wcześniej niósł – bez wysiłku ją podźwignął i ponownie przerzucił sobie przez ramię.

Aileen nie próbowała się szarpać, leżała bezwładnie, kołysząc się w rytm kroków mężczyzny. Tym razem nie wyszli drzwiami od frontu, tylko jakimś tylnym wyjściem.

Osilek zszedł po kilku stopniach, po czym wydłużył krok i ruszył jakąś bardzo wąską uliczką. Aileen wyczuwała po obu stronach bliskość ścian.

Zabierali ją poza kolonię.

Miała nadzieję, że Frobisher i jego ludzie zauważą to i podążą jej śladem aż do obozu. Przynajmniej wypełnią swoją misję.

Znowu zaczął wzbierać w niej gniew.

Ślubowała sobie, że jeśli los łaskawie da jej jeszcze jedną szansę, żeby przeżyć życie tak, jak tego pragnęła i jak powinna je przeżyć, ona chwyci ją obiema rękami i nie puści.

Minęły prawie cztery godziny, od kiedy porywacze przynieśli Aileen do swojej kryjówki.

Czatując w gęstym mroku osłoniętej alejki na tyłach domu, Robert z całych sił starał się nie myśleć o tym, do czego mogło dojść w środku tego niedbale skleconego budynku.

Coleman - najzręczniejszy i o najmniej groźnym wyglądzie - czekał od jakiegoś czasu przy bocznym wejściu. Donosił, że bandyci chyba tylko rozmawiają i grają w karty, nie słyszał za to żadnych odgłosów szarpaniny ani zamieszania.

Robert modlił się, żeby to oznaczało, że Aileen nic się nie stało. Sama myśl o tym, co mogło się wydarzyć...

Skupił się na czymś innym. Nie mógł sobie teraz pozwolić na nerwy.

Ostatnie godziny wypełnione były planami i przygotowaniem. W kryjówce przebywało teraz dziesięciu ludzi, więc zaatakowanie ich nie wchodziło w grę. Nie wiadomo, czy on i jego ludzie zdołaliby w pięciu pokonać dziesięciu przeciwników, ponadto wiązałoby się to ze zbytnim ryzykiem w stosunku do skrupowanej i owiniętej płótnem Aileen. Robert miał związane ręce.

Inaczej sprawa będzie się miała, kiedy najemnicy wyniosą ofiarę na zewnątrz. Uliczki i alejki były zbyt wąskie, żeby nawet dwóch ludzi zmieściło się w nich ramie przy ramieniu. Porywacze będą musieli iść gęsiego, a w takiej sytuacji można będzie względnie łatwo pozbywać się ich jednego po drugim. Jego ludzie się rozproszyli. Benson, Fuller i Coleman wzorem Roberta obserwowali oba tylne wyjścia z kryjówki. Harris miał baczenie na główne drzwi, ale ponieważ wychodziły one na alejkę, która prowadziła z jednej strony z powrotem do miasta, a z drugiej na wzgórze, Robert sądził, że bandyci wymkną się jedną z pozostałych dróg, oczywiście zakładając, że zgodnie z oczekiwaniami będą chcieli przenieść Aileen do obozu w dżungli.

Wcześniej Robert i Harris wrócili do gospody, żeby zabrać wszystkie rzeczy, przenieść je do szalupy i posłać z powrotem na „Trójzab”. Kiedy odbiją Aileen, nie będą mogli pozostać na ładzie. Jej bagażem zajmą się później. W gospodzie czekał roztrzęsiony Dave. Niemal rzucił się na Roberta, opowiadając, że Aileen nie było w umówionym miejscu, kiedy zajechał po nią po nabożeństwie Undoto. Robert uspokoił starca, mówiąc, że zamierza uratować pannę Hopkins. Jednocześnie umówił się z nim w gospodzie na następny ranek – będzie musiał go upewnić, że Aileen jest cała i zdrowa, a może i skorzystać z jego usług.

Uspokojony Dave pomógł im zapakować do powozu wszystkie rzeczy i zawiózł ich do małego portu, skąd wezwali szalupę z „Trójzębu” – po przybyciu do Freetown Robert polecił, żeby łódka dniem i nocą czekała tam, gotowa dobić w razie potrzeby do brzegu. Tak doświadczony marynarz, jakim był sterujący nią Miller, w lot pojął powagę sytuacji. Robert kazał mu popłynąć na statek, wyładować rzeczy i zawiadomić załogę, a potem wrócić i pod osłoną ciemności przycumować w pobliżu schodów na Keję Rządową.

Teraz wszystko było gotowe i czekali już tylko na kolejny ruch porywaczy. Robert zazwyczaj doskonale radził sobie z oczekiwaniem, jednak tej nocy jego nerwy szarpał nieznany mu dotąd strach.

Dzielnica biedoty wreszcie zaczęła zapadać w sen.

Nad dachami rozległo się ciche gruchanie, jakby śpiew gołębic. Robert zeszywniał. To ukryty w pobliżu Fuller dawał znaki.

Chwilę później alejką ktoś nadszedł.

- Już idą - mruknął Coleman. - Trzech. Niesie ją środkowy.

Robert wyszedł z cienia, zarzucił rękę na ramię Colemana i ruszyli razem niczym para pijaków. Przy następnym skrzyżowaniu rozdzielili się, Coleman skręcił w lewo, Robert zaś w prawo, w małą poprzeczną alejkę.

Czekał, ukrywając się w cieniu rzucanym przez czyjeś zapomniane pranie, aż w końcu zobaczył porywaczy. Coleman nie mylił się, było ich tylko trzech. Mężczyzna w środku - ten sam rosły drab, który przyniósł Aileen do kryjówki - niósł ją tak jak poprzednio przerzuconą przez ramię. Nadal była owinięta w stary żagiel przewiązany linami na wysokości kolan, bioder i piersi i wyglądało na to, że tak było przez cały ten czas.

Odetchnął z ulgą, lecz stawka była zbyt wysoka, żeby mógł się choć odrobinę rozluźnić. Jego umysł uznał za godny odnotowania fakt, że handlarze niewolników w żaden sposób nie molestowali Aileen - atrakcyjnej przecież, mimo trudnego charakteru. Nie spodziewał się po nich tak... cóż, tak miłego zachowania. Nie była to jednak odpowiednia chwila na zastanawianie się nad tym.

Pod osłoną mroku Robert wyszedł z zaułka i ruszył za porywaczami, ani na chwilę nie odrywając od nich wzroku.

Ciche gruchanie, krakanie, głosy gołębic, mew i wróbli - pospolitych ptaków, na które nikt nie zwraca uwagi - towarzyszyły tej procesji w drodze przez slums.

Robert uzgodnił z załogą, że najlepiej zaatakować porywaczy dopiero wtedy, gdy zaczną się oddalać od portu.

Niestety od samego początku kierowali się coraz bardziej na wschód, odbijając od centrum miasta.

Kiedy weszli w uliczkę wiodącą poza kolonię, Robert zasygnalizował swoim ludziom, żeby zacieśnili pierścień obławy. Pamiętał opowieść Declana o tym, w jaki sposób on i jego załoga odbili Edwinę w bardzo podobnych okolicznościach. Nie widział powodu, by nie wykonać takiego samego manewru, choć wprowadził do planu kilka modyfikacji.

Z zacienionego miejsca oddalonego o kilkanaście jardów od porywaczy wyłonił się Coleman. Trzej najemnicy zwolnili. Marynarz zbliżył się swobodnie, jakby znalazł się tam zupełnym przypadkiem, i zapytał o drogę do portu.

Pierwszy bandyta wyraźnie się rozluźnił, puścił rękojeść kordelasa. Odwrócił się i wskazał drogę na zachód.

A wtedy Coleman zdzielił go pałką w łeb.

Zanim mężczyzna zdążył osunąć się na ziemię, z mroku wyszedł Harris i powalił drugiego zbira.

Fuller i Benson, którzy ukrywali się wśród stojących pod ścianą beczek, zerwali się i rzucili na olbrzyma niosącego Aileen.

Ten cofnął się zaskoczony. Potem odwrócił się, chcąc uciec w przeciwną stronę.

Lecz gdy tylko się obejrzał, Robert, który w tym czasie podkraść się bezszelestnie, zdzielił go pięścią w szczękę.

Olbrzym zachwiał się i puścił zwój materiału.

Robert złapał zawiniętą w niego Aileen, a ta natychmiast zaczęła się szarpać.

- Nie ruszaj się! - krzyknął i odwrócił się, żeby przestawić

ją za siebie.

Aileen znieruchomiała.

Robert usłyszał za plecami tępe łupnięcie. Obejrzał się – to Benson i Fuller ostatecznie rozprawili się z wielkim najemnikiem.

Załoga Roberta przyzwyczajona była bardziej do unieszkodliwiania przeciwnika niż do zabijania. Podczas misji dyplomatycznych na terenach, które nie podlegały Wielkiej Brytanii, zabójstwa mogły prowadzić do nieprzyjemnych komplikacji. Tutaj sytuacja była nieco inna, lecz trudno było im wyzbyć się dawnych przyzwyczajzeń.

W każdym razie wszyscy trzej handlarze leżeli na ziemi, Aileen zaś była bezpieczna w ramionach Roberta. Akcja ratunkowa zakończyła się całkowitym sukcesem.

Robert już sięgał po nóż, żeby rozciąć więzy krępujące Aileen, kiedy nagle usłyszeli odgłos szybkich kroków.

Ktoś – jakiś mężczyzna – biegł alejką.

Harris, który stał najdalej, odwrócił się, żeby zagrozić mu drogę.

Zza zakrętu wyłonił się kolejny członek szajki.

- Hej, Joe - zaczął. - Czekaście...

Naraz wyhamował i popatrzył uważniej, a potem odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki.

Harris, gotów ruszyć w pościg, spojrzał w stronę Roberta.

Ten jednak pokręcił głową z ponurą miną. Wyciągnął nóż i zaczął przecinać sznury krępujące Aileen.

- Powinniśmy jak najszybciej się stąd ulotnić – powiedział.

Dobry pomysł, ale był pewien problem. Aileen tak długo była

związana, że teraz praktycznie nie potrafiła stanąć o własnych siłach. Gdy Robert z pomocą Bensona wreszcie zdołał uwolnić ją z krępujących więzów, zaczęła się osuwać na ziemię.

Robert zaklął. Szybko wyciągnął z jej ust knebel i zdjął czarny worek, podczas gdy Benson rozcinał sznury na jej kostkach, a Coleman uwalniał nadgarstki.

Jej twarz, gdy wreszcie mogła odsunąć z czoła wygnieciony kapelusz, stanowiła dla Roberta niewiarygodnie cudowny widok.

Dziewczyna zachłysnęła się powietrzem i zakasłała, ale zaraz wzięła się w garść.

- Dziękuję - powiedziała. Głos miała zachrypnięty. Popatrzyła na załogę Roberta, wreszcie na niego samego. - Nie sądziłam... Myślałam, że...

Robert złapał ją za rękę.

- To nie ma teraz znaczenia - przerwał. - Musimy stąd zniknąć.

Ruszyli w stronę portu, choć Aileen ledwo była w stanie chodzić.

Nie skarżyła się - przeciwnie, przeprosiła tylko, że ich spowalnia, choć kuśtykała najszybciej, jak mogła.

- Z czasem będzie coraz łatwiej - zachęcał ją Robert, trzymając mocno za rękę.

Wiedział, że w ten sposób Aileen dojdzie do siebie prędzej, niż gdyby zaczął ją nieść, i miał szczerą nadzieję, że nastąpi to jak najszybciej, bo nie byli jeszcze całkiem bezpieczni. Nadal nie opuścili dzielnicy biedoty.

Szli spieszenie biegnącą łukiem alejką, która przecinała niżej

położoną część slumsu. Prowadziła na obrzeża dzielnicy handlowej, w pobliże ich zajazdu.

Aileen usiłowała zorientować się w okolicy, ale w końcu dała sobie spokój. Robert Frobisher przybył jej na ratunek i to było w tej chwili najważniejsze. Co do reszty, Aileen musiała zdać się na swój instynkt, ten zaś kazał jej po prostu zaufać Robertowi i podążać za nim, dokądkolwiek ją poprowadzi.

Robert nie mylił się, mówiąc, że z czasem jej kończyny przypomną sobie, co mają robić. Aileen stopniowo odzyskiwała siły i pewność siebie.

Już niemal mogła się swobodnie poruszać, gdy nagle usłyszeli z tyłu pierwsze odgłosy pościgu.

Robert zaklął i obejrzał się, ale gęsta zabudowa przesłaniała widok.

Benson podszedł do niego i, nie zwalniając kroku, zaczęli się szybko naradzać. Wciąż byli w dzielnicy biedoty i od miejsca, gdzie ulice zaczynały się robić szersze, dzieliło ich jeszcze jakieś pół mili.

Robert i jego ludzie przywykli do walki w ciasnych miejscach, lecz zazwyczaj oznaczało to, że człowiek mógł się ustawić plecami do ściany. Teraz jednak należało się spodziewać ataku z każdej strony, a do tego nie mogli tkwić w miejscu.

Robert posłał Harrisa przodem, a sam ruszył za nim z Aileen, pozostawiając Bersona, Colemana i Fullera, żeby zabezpieczali tyły.

Zgodnie z oczekiwaniami pościg uderzył na nich właśnie stamtąd. Trzech w ariergardzie poradził sobie z większością

napastników, Harris i Robert unieszkodliwili zaś dwóch, którzy chcieli ich zająć z drugiej strony.

Sami nie odnieśli żadnych obrażeń, może z wyjątkiem kilku zadrapań.

Napastnicy nie należeli jednak do gangu z kryjówki.

Co więcej, na tym sprawa się nie skończyła.

Robert sądził – tak mu mówiono – że mieszkańcy slumsów nie stanęliby w obronie handlarzy niewolników. W przypadku Declana okazało się to prawdą, choć wtedy chodziło o inną okolicę.

Robert nie wiedział, czy porywacze wezwali na pomoc ludzi, którzy mieli u nich jakieś długi, czy też mieszkańcy tego rejonu po prostu nie żywili nienawiści do ich procederu – dość rzecz, że nagle zaczęli ich atakować kolejni przeciwnicy.

Jednak okazało się, że kiedy przychodziło co do czego, atakujący woleli ratować własną skórę – aż tak im nie zależało na interesie porywaczy – zatem Robert i jego ludzie zmienili strategię i przestali się miarkować, rozdając ciosy.

Mimo ograniczonej przestrzeni poruszali się płynnie, tworząc pierścień wokół Aileen. Dziewczyna dobrze się trzymała – jej twarz wyrażała typową dla niej determinację. W pewnej chwili Robert dostrzegł błysk światła na stali i zdał sobie sprawę, że Aileen uzbroiła się w niewielki sztylet. Wcale go to nie zaskoczyło. Nawet przez myśl mu nie przyszło, iż Aileen mogłaby kulić się ze strachu, zamiast stanąć do walki.

Nagle z bocznej alejki rzucił się na niego jakiś człowiek, inny zaś skoczył z okna na Aileen. Ona jednak go zauważyła. Szybkim jak błyskawica ruchem zamachnęła się sztyletem

i napastnik zawył, po czym uciekł.

Ludzie Roberta widzieli tę potyczkę. Robert miał nadzieję, że i napastnicy ją zauważą. Wiedząc, że ofiara stawia opór, tego typu przeciwnicy zawahają się przed atakiem, a tego właśnie potrzebowali Robert i jego załoga.

Lecz ciągła walka ich spowolniała. Od granicy slumsu nadal dzieliło ich sto jardów lub więcej, a ataki nie ustępowały. Przeciwnicy usiłowali ich okrążyć, żeby odciąć im drogę ucieczki.

Gdzie byli handlarze niewolników?

Roberta coraz bardziej dziwiła ich nieobecność.

Wreszcie dotarli do końca alejki. W słabej poświacie księżycy widać już było leżącą dalej szeroką, zadbaną ulicę.

I nagle – niespodzianka! – pojawili się sami porywacze. Zagrodzili wylot alejki, tworząc trudny do przebycia mur najeżony stalowymi ostrzami.

Grupka Roberta mknęła zaś prosto na ten mur.

Miejscowa armia obdartusów zaczęła wyc i spychać przeciwników w ręce handlarzy.

Dwadzieścia jardów.

Robert przyłapał się na tym, że od lat nie uśmiechał się tak szczerze i radośnie. Chwycił Aileen za rękę i ścisnął ją mocno.

Dziesięć jardów.

I nagle znalazł to, czego szukał.

- Za mną! - krzyknął i pociągnął Aileen w maleńką alejkę po prawej stronie.

Harris, Benson, Fuller i Coleman ruszyli za nim.

To, co potem nastąpiło – mimo powagi sytuacji –

przypominało absurdalną komedię. Robert od lat nie bawił się w takie gierki – a rzeczywiste zagrożenie dodawało tylko dreszczyku emocji.

Cała sztuczka polegała na tym, aby robić to, czego przeciwnik najmniej się spodziewał.

Nie mieli nic do stracenia.

Robert zrezygnował z wszelkiego planowania i po prostu... grał. Najlepiej, jak potrafił.

Wpadali i wypadali z zaułków, biegali po alejkach pozornie bez ładu i składu.

Kiedy w jednej wąskiej uliczce natknęli się na trzech goniących ich członków szajki, rzucili się na nich i całkowicie ich rozgromili. Teraz i ludzie Roberta uśmiechali się szeroko.

Co do Aileen, gdzieś po drodze zaopatrzyła się w patelnię z litego żelaza o długiej ręczce. Posługiwała się nią w całkiem imponującym stylu.

Co chwila wpadali na grupki napastników, lecz ponieważ pościg rozproszył się, przewaga liczebna była teraz po ich stronie i w mig się z nimi rozprawiali.

Wreszcie szeregi wroga zaczęły się przerzedzać.

Grupa Roberta skręciła w prawo, w lewo, pod górę, w dół – i wreszcie zgodnie z planem wybiegła bez przeszkód na szeroką ulicę otaczającą slums.

Handlarze niewolników tymczasem wciąż gonili ich po wąskich zaułkach.

Najwyraźniej jednak zostawili kogoś na straży, gdyż nagle rozległo się wołanie.

Robert nie zwolnił nawet, aby pozostali mogli złapać

oddech. Pomknął prosto w labirynt wąskich ulic między Water Street a nabrzeżem.

Zastanawiał się, czy porywacze za nimi podążą.

Najwyraźniej jedna grupka się na to zdecydowała. Robert zaklął.

- Inni będą chcieli zająć nas od strony portu - rzucił i natychmiast zmienił kierunek, ciągnąc za sobą Aileen, która wciąż dzielnie starała się dotrzymać mu kroku.

Skręcili w ulicę, która prowadziła prosto na nabrzeże.

Przed nimi połyskiwały zachęcająco ciemne wody portu.

Wypadli na keję tuż przed kolejną grupą napastników, wysłaną zapewne po to, by odciąć im drogę.

Byli zbyt blisko, żeby obeszło się bez walki.

Robert odepchnął Aileen za siebie, szykując się do ostatniego starcia. Jego ludzie ustawili się przy nim, uzbrojeni w miecze i noże.

Handlarze - było ich czterech - wznieśli kordelasy i zaszarżowali.

- Miller! - ryknął Robert.

- Tutaj, kapitanie!

Robert zerknął w lewo i zobaczył Millera płynącego szalupą w ich stronę. Obejrzał się szybko na Aileen.

- Biegiem! - krzyknął. - Do łodzi!

Trwał przypyływ, więc zejście do szalupy nie nastęczało trudności.

Potem odwrócił się do napastników - w samą porę, żeby osłonić się szpadą przed zamaszystym ciosem.

Walka nie była elegancka. Nikt nie przejmował się żadnymi

zasadami.

Napastnicy nacierali z ponurą determinacją. Robert i jego ludzie mieli jednak za sobą lata desperackich potyczek. Walczyli pochwami na szpady, pięściami, nogami. Udało im się rozgromić pierwszych czterech, ale wtedy z kolei rzuciło się na nich pięciu handlarzy, którzy podążali za nimi od slumsów.

Robert uderzył jednego z przeciwników głową i zerknął, aby upewnić się, że Aileen zeszła bezpiecznie do szalupy, po czym znowu rzucił się w wir walki i stawił czoło kolejnemu napastnikowi, który próbował go rozplatać.

Wygraliby, ale wtedy zobaczyli kolejnych ludzi nadbiegających nabrzeżem. Skąd oni, do diabła, się brali?

- Złamać szyk! - krzyknął Robert.

Był to sygnał, który jego ludzie doskonale rozumieli. Nie oznaczał, że mieli się cofnąć, przeciwnie: mieli naprzec na wroga i niespodziewanie zawrócić.

Coleman, Fuller i Harris odparli swoich przeciwników, po czym pomknęli krawędzią kei i skoczyli do szalupy.

Robert już miał za nimi pobiec, lecz zobaczył, że Benson utknął między dwoma napastnikami...

Zamiast się wycofać, ciął swojego oponenta i rzucił się na jednego z łotrów, którzy atakowali Bersona.

Ten dobrze wykorzystał odsiecz. Podciął ostatniego napastnika, odwrócił się i pobiegł ku szalupie.

Robert zamachnął się szpadą - żaden kordelas nie mógł jej sprostać zasięgiem - zmuszając napierających handlarzy do odstąpienia.

Odwrócił się na pięcie, żeby pobiec za Bensonem - i sam

musiał uskoczyć przed lśniąca klingą, którą wyszczerzony okrutnie napastnik ciął tuż przed jego twarzą. Widać podkradł się od tyłu pod osłoną ciemności.

- Nie tak szybko, mój panie - syknął zjadliwie mężczyzna.

Pach!

Odgłos nieoczekiwanego wystrzału - gdzieś z bliska - sprawił, że wszyscy zastygli na chwilę bez ruchu.

Uśmiech zniknął z wyszczerzonej gęby zbira i ostrze wysunęło się z nagle osłabłych palców.

Robert poczuł, że jego serce znowu zaczyna bić, i pchnął padającego mężczyznę na jego kompanów, po czym rzucił się do krawędzi kei.

Podparł się ręką o kamienny parapet, przeskoczył i wylądował w szalupie.

- Płyniemy! - krzyknął.

Miller z pomocą Harrisa odbijali już w pośpiechu od kamiennej ściany.

Obciążona tyloma pasażerami szalupa płynęła wolno, ale wtedy Coleman i Fuller wyciągnęli jeszcze dwa wiosła, wsadzili je w dulki i zaczęli wiosłować z całych sił razem z dwoma aspirantami, którzy towarzyszyli Millerowi.

Handlarzom niewolników pozostało tylko wygrażać im bronią... Lecz nagle ktoś krzyknął do nich z kei.

Zawołali radośnie i odbiegli.

Robert wpatrzył się w mrok.

- Niech to! - zaklął. - Znaleźli łódź. Nieco mniejszą.

Rozejrzał się szybko po porcie, po czym usiadł na ławce tuż przed Millerem i wskazał na chaotyczną flotyllę

zaczumowanych kupieckich jednostek.

- Schowajmy się między nimi. I wszyscy do wiosła. Wygląda na to, że dzisiejsza zabawa w kotka i myszkę jeszcze się nie skończyła.

Te słowa spotkały się ze zgodnymi pomrukami i z parsknięciami śmiechem. Jego ludzie już podawali sobie wiosła i wkrótce szalupę napędzało aż sześć par rąk.

Robert sięgnął po podane mu wiosła i nachylił się, żeby osadzić je w dulkach.

- Ja też mogę wiosłować - rzekła Aileen.

Robert popatrzył na nią i zobaczył, jak wciska do torebki mały pistolecik.

Spojrzał na twarz dziewczyny.

- To ty zastrzełaś tego człowieka - powiedział.

Aileen zdołała wreszcie wepchnąć pistolet do środka, ściągnęła troczki i spojrzała na niego gniewnie.

- A myślałaś, że niby kto? - zapytała urażona.

Robert obejrzał się na Millera. Sądził, że to sternik z jakiegoś powodu zabrał ze sobą broń palną.

- No dobrze. - Aileen poprawiła kapelusz. - Daj mi jedno wiosło.

Robert przez chwilę chciał zaprotestować, lecz odrzucił ten pomysł. Wprawdzie Aileen nie będzie w stanie wiosłować tak mocno jak on, ale odrobina dodatkowej prędkości mogła przesądzić o ich ucieczce. No i Aileen zastrzeła dla niego człowieka.

Wzięła wiosło, które jej podał, po czym szybko i sprawnie osadziła je w dulce, a potem zaczęła wiosłować wraz z nim,

próbując się do niego dostosować.

Kiedy łódka ruszyła miarowo przez fale i zamajaczyły przed nimi ogromne czarne kadłuby kupieckich statków, Robert obejrzał się na pościg.

- Doganiają nas, ale i tak nie zdążą. - Kiwnął głową w kierunku ciemnej przestrzeni między dwoma większymi jednostkami. - Miller, tamtędy. I zmieniaj kurs. Chcę zgubić ich wśród kadłubów. Niech myślą, że planujemy zawrócić w kierunku jakiegoś statku, który tu cumuje, a my tymczasem wyślizgniemy się z portu w stronę „Trójzębu”.

- Tak jest, kapitanie.

Niezmienny rytm wiosłowania powoli koił nerwy Aileen.

Nigdy jeszcze nie była tak przerażona. Nawet wtedy, gdy biegali po labiryncie uliczek w slumsie, ścigani nie tylko przez handlarzy, ale najwyraźniej także przez połowę okolicznej ludności. Owszem, groziło im wtedy niebezpieczeństwo, lecz potrafiła zapanować nad strachem...

Dopóki nie ujrzała, jak ten zbir macha szpadą przed samą twarzą Roberta.

Pistolet miała już w rękach. Bez zastanowienia wycelowała i strzeliła - nie była do tego potrzebna żadna świadoma decyzja.

Robert jej nie zostawił. Zrezygnował z misji - albo przynajmniej z najlepszej okazji do jej wypełnienia - żeby ją uratować.

Złamał swoje rozkazy.

Nikt nie musiał jej mówić, że nie należał do dowódców, którzy tak postępują, przynajmniej nie bez ważnego powodu.

I był skłonny podjąć działania, które jasno dowodziły, że Aileen stanowiła dla niego właśnie taki ważny powód.

Była to myśl onieśmielająca i jednocześnie nieco przerażająca.

Sama Aileen nie pozwalała sobie myśleć za wiele o Robercie, ponieważ...

Ponieważ...

Ponieważ właściwie była tchórzem. Ponieważ nie była pewna, czy on cokolwiek do niej czuje, no i znali się zaledwie od dwóch dni. Jak to w ogóle możliwe, że mogły się w nich obudzić takie uczucia? Jakby tylko czekali na spotkanie...

Z jednej strony można by pomyśleć: co za nonsens!, lecz z drugiej... te trzy pocałunki, które wymienili... to nie był żaden przypadek.

No, owszem, może ten pierwszy, ale drugi i trzeci już na pewno nie.

Nie chodziło o to, że coś zaczęło się między nimi dziać - to coś już się wydarzyło i oboje o tym wiedzieli.

Nic dziwnego, że jeszcze nie zdążyli się z tym pogodzić, każde na swój sposób musiało dopiero oswoić się z tym faktem, a okoliczności niezbyt temu sprzyjały.

Spojrzała na Roberta. Patrzył gdzieś przed siebie. Kilka razy mruknął coś do Millera, lecz poza tym tak samo jak jego ludzie wydawał się skoncentrowany wyłącznie na tym, aby jak najszybciej dotrzeć do mających przed nimi statków.

Czując na sobie jej wzrok, odezwał się cicho:

- Wszystko w porządku?

Aileen kiwnęła głową, po czym szepnęła:

- Dziękuję, że przybyłeś mi na ratunek.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem kąciki jego ust uniosły się w ironicznym i zarazem nieśmiałym uśmiechu.

- Zawsze przybędę ci na ratunek - powiedział, odwracając wzrok.

Te słowa zawisły między nimi.

Bo należysz do mnie, dodał w myślach.

Goniący ich handlarze zachowywali się o wiele głośniejszym niż załoga Roberta, dzięki czemu Miller wiedział, gdzie się znajdują i dokąd skierować łódź, żeby zwiększyć dzielący ich dystans.

Wreszcie pogroźki ścigających zupełnie ucichły i szalupa wypłynęła z portu na zatokę.

Aileen rozglądała się po wodzie, lecz nic nie widziała. „Trójzab” stał ukryty w mroku, choć zwykle statki w portach czy nawet na pełnym morzu zapalały nocą niewielkie lampki na burtach. Miller jednak najwyraźniej doskonale wiedział, dokąd mają zmierzać, gdyż nagle tuż przed nimi zamajaczył ogromny kadłub.

Wymieniono cicho kilka słów z załogą i z góry zsunęła się sznurowa drabinka. Robert posłał swoich ludzi przodem, aż w końcu w szalupie pozostał tylko on, Aileen oraz Miller. Sternik przywiązywał już liny do ciężkich obręczy na dziobie i rufie, żeby można było wciągnąć łódkę na pokład.

Robert odwrócił się do Aileen.

- Poradzisz sobie z drabinką - spytał - czy wolisz, żeby wciągnęli cię na pokład w szalupie?

Aileen wiedziała od braci, że wybór tego drugiego sposobu

uważano za oznakę słabości. A przecież ona nie była delikatną kobietką.

- Wejść po drabinie - powiedziała.

Robert uśmiechnął się, jakby czytał jej w myślach, i pokiwał tylko głową. Posłał Millera na górę, po czym przytrzymał jej drabinę. Gdy Aileen zaczęła się wspinać, ruszył tuż za nią - zapewne na wypadek, gdyby trzeba było ją złapać.

Aileen jednak nie spadła. Nawet się nie poślizgnęła.

Na górze chwyciła z nonszalancją czyjaś wyciągniętą rękę i pozwoliła, żeby wciągnięto ją na pokład.

Podczas gdy załoga wsuwała panel burty na miejsce, Robert ujął dłoń Aileen i uklonił się ceremonialnie.

- Witamy na pokładzie „Trójzębu”, panno Hopkins.

- Dziękuję, kapitanie Frobisher - odparła. Nie cofając dłoni, podniosła oczy do góry... i wyżej... i jeszcze wyżej... i Aileen westchnęła ze zdumienia. - Ależ... to ten statek, który zauważyłam jakiś tydzień temu - rzekła, spuszczać wzrok z powrotem na Roberta. - Pomyślałam wtedy, że to najpiękniejsza jednostka, jaką kiedykolwiek widziałam. To jeden z tych nowych kliprów ze stoczni w Aberdeen, prawda?

- Zgadza się - potwierdził Robert z uśmiechem.

Przywołał swoich oficerów i przedstawił ich Aileen. Był zmęczony, ale szczęśliwy. Zmarnował wprawdzie szansę, żeby szybko i skutecznie wypełnić misję, lecz przecież nie mógł postąpić inaczej.

A teraz wreszcie on i jego ludzie wrócili bezpiecznie na pokład „Trójzębu” - razem z Aileen.

I jeśli potrzebny był mu jakikolwiek dowód, że tu właśnie

jest jej miejsce, wystarczyło spojrzeć na jej twarz, gdy wodziła wzrokiem po żaglach. Właśnie takiej fascynacji i pasji Robert życzyłby sobie u przyszłej małżonki.

Trzynaście

Kiedy opatrzone rozmaite obrażenia marynarzy - Aileen uparła się, że pomoże bandażować rany i oczyszczać zadrapania - Robert wezwał do swojej kajuty wszystkich oficerów, a także Bersona, Harrisa, Colemana, Fullera i Aileen.

Wskazał jej krzesło stojące przed biurkiem. Stłumił w sobie instynktowną chęć, żeby otulić ją wełnianym kocem. Pomimo wszystkich przejść, szoku, nagłej akcji ratunkowej oraz ucieczki przed porywaczami - pomimo faktu, że zastrzeliła człowieka - Aileen wydawała się opanowana i (jak zwykle w jego oczach) pełna życia.

Oficerowie Roberta czekali, żeby dowiedzieć się, co zaszło na ładzie, on sam zaś musiał się zastanowić, co dalej robić.

Jego misterny plan się powiódł, ale można było jeszcze coś z niego uratować.

- Po kolei - zaczął. - Panna Hopkins właśnie nam przypomniała, że stoimy tu, w tym samym miejscu i pod tą samą nazwą, już od tygodnia. Zmieńmy nazwę i przenieśmy się nieco dalej w kierunku pełnego morza. Nie musimy szukać żadnej zatoczki, możemy rzucić kotwicę na otwartych wodach. - Przeniósł wzrok na swojego zastępcę, Jordana Latimera, który zajmował drugie z krzeseł stojących przed biurkiem. - W ten sposób będziemy mogli szybciej wypłynąć,

gdyby Decker wcześniej powrócił.

- Nie zaszkodzi się na to przygotować - potwierdził Jordan.

- Proszę przekazać rozkazy i wrócić - zwrócił się Robert do bosmana Wilcoxsa.

- Tak jest, kapitanie. - I Wilcox opuścił kajutę.

Robert powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych oficerów: nawigatora Hurleya, sternika Millera i ochmistrza Foxby'ego, a potem Bensona, Harrisa, Colemana i Fullera, którzy stali swobodnie przed biurkiem.

- Dla tych, których nie było z nami w kolonii - zaczął - powtórzmy, czego się dowiedzieliśmy do czasu ostatnich wydarzeń.

Krótko opisał, co powiedział im Sampson i służąca Lashorii oraz jak w związku z tym zdecydowali się na obserwację domu Undoto, co z kolei doprowadziło do spotkania z Aileen.

Na jego prośbę Aileen zdradziła, co przywiodło ją do Freetown i dlaczego zaczęła obserwować dom kaznodziei dokładnie w tym samym czasie co oni.

- Kiedy siedziałem z panną Hopkins w powozie, usiłując się dowiedzieć, co tam robi - pociągnął opowieść Robert - pojawiło się czterech członków gangu handlarzy niewolników.

Opisał ich powitanie i pożegnanie z Undoto, powtarzając uwagę przywódcy (nadal nie wiedzieli, czy to właśnie był Kale), że jakiś nieokreślony „on” potrzebuje więcej ludzi i że Undoto ma ich wyszukać.

- Następnie odwiozłem pannę Hopkins do pensjonatu, podczas gdy reszta - tu skinął w kierunku swoich czterech marynarzy - podążyła za handlarzami do dzielnicy biedoty,

leżącej po drugiej stronie wzgórza za kościołem Undoto.

Opisał kryjówkę porywaczy i punkt obserwacyjny swoich ludzi. Wspomniał też ogólnikowo, czego wraz z Aileen dowiedzieli się o zaginionych dzieciach.

Jego plan, żeby podążać za handlarzami do dżungli i w ten sposób poznać lokalizację ich obozu, znany był już całej załodze.

- W ten sposób dochodzimy do dzisiejszego poranka - zakończył.

- Co więc się wydarzyło? - zapytał Foxby. - Porwali w końcu kogoś?

- Nie dałeś rozkazu powrotu do Londynu - dodał Jordan - więc domyślałam się, że coś w tym jakże prostym planie poszło nie tak.

Robert napotkał jego złośliwe spojrzenie. Latimer często zwracał mu uwagę, że jego kalkulacje nie uwzględniają nieprzewidzianych czynników. W tym przypadku miał absolutną rację, choć Robert nie zamierzał tego przyznawać - inaczej ciągle musiałyby o tym słuchać. Przeniósł wzrok na Aileen.

- Dziś rano po śniadaniu - wznowił opowieść - obserwowałam wraz z resztą kryjówkę handlarzy. Ważniejsze jest chyba jednak to, co porabiała w tym czasie panna Hopkins. Nie widzę powodu, dla którego porywaczom kazano ją nagle uprowadzić, a przecież tak właśnie się stało. To sugeruje, że jakoś ich pani zaniepokoiła. Nie tłumaczy tego nic, co wczoraj robiliśmy, a zatem - nachylił się do przodu i oparł ramionami o blat, wbijając w Aileen intensywne

spojrzenie – co porabiała pani dziś rano?

Aileen wpatrywała się w jego błękitne oczy i badała wyraz jego twarzy. Widziała skupienie, lecz nie wyczuwała żadnej wrogości ani pretensji.

– Przede wszystkim proszę pozwolić mi powiedzieć, że choć nie spodziewałam się porwania, ogromnie się cieszę, że uznał pan za stosowne mnie uratować. Wiem, jak ważne było dla pana i pańskiej misji, żeby wykorzystać pierwszą sposobność do wyśledzenia obozu handlarzy w dżungli. Tak więc... – odetchnęła głęboko i skłoniła głowę – dziękuję. Co zaś tyczy się tego, co robiłam dziś rano... Otóż zajrzałam do Urzędu Attaché Morskiego.

– Myślałam, że już pani tam była, zanim przybyliśmy do Freetown – zauważył nawigator, pan Hurley.

– Owszem – przytaknęła Aileen – lecz rozmawiałam wtedy tylko z trzema urzędnikami niższego szczebla. Byli bardzo nieuprzejmi i nie chcieli mi pomóc. Dziś rano zastałam jednak w biurze attaché... Nie powiedziałam jego pracownikom nic konkretnego, poprosiłam tylko jednego z nich, żeby przekazał przełożonemu, że pragnę z nim rozmawiać... i że wkrótce wrócę do Londynu, gdzie złożę wizytę w admiralicji.

Spojrzała w oczy Roberta.

– Sądziłam, że to pomoże mi się z nim zobaczyć – wyjaśniła.
– I pomogło.

Frobisher spochmurniał.

– A być może doprowadziło też do pani porwania – stwierdził. – Co jeszcze im pani powiedziała?

– Muldoon, czyli attaché, zaprosił mnie do gabinetu. Jego

ludzie nie słyszeli naszej rozmowy, byliśmy tylko we dwoje. Już wcześniej wiedziałam, co chcę powiedzieć, aby mieć pewność, że nie zdradzę mu pańskiej misji. Powiedziałam wyraźnie, że choć nie rozumiem, dlaczego nikt nie ma żadnych informacji o Willu, to tym razem przychodzę w zupełnie innej sprawie. Wyjaśniłam, że słyszałam o ginących w kolonii dzieciach i chciałabym wiedzieć, czy władze podjęły jakieś działania. Muldoon odparł, że takimi sprawami zajmuje się kancelaria gubernatora, lecz że spróbuje popytać. - Przypominając sobie tę rozmowę, poczuła nagle, jak po plecach przebiega jej zimny dreszcz. - A potem to on zaczął wypytywać, czy wiem coś jeszcze na ten temat... Odparłam, że słyszałam pogłoski, iż w sprawę mogą być zamieszani handlarze niewolników. - Dreszcz przybrał na sile. - Muldoon zapytał, gdzie mieszkam, żeby mógł przesłać mi informację...

Gdy wreszcie dotarła do niej prawda, Aileen otworzyła szeroko oczy.

- Wielkie nieba! - krzyknęła. - Uwikłany w to jest nie tylko ktoś w jego biurze, ale sam attaché!

Robert przytaknął z ponurym wyrazem twarzy.

- To musi być on - potwierdził. - Osobiście czy nie, to on przesłał wiadomość porywaczom. Posłaniec przybył do kryjówki około wpół do dwunastej. Kiedy dotarła pani do kościoła Undoto?

Aileen spojrzała na niego zdziwiona, zastanawiając się, skąd o tym wie.

- Kiedy wróciłem potem do zajazdu, czekał na mnie Dave - wyjaśnił Robert. - Powiedział, że zostawił panią pod kościołem

Undoto, ale kiedy przyjechał, aby panią odebrać, pani tam nie było.

- Biedny Dave - westchnęła Aileen. - Wysadził mnie pod kościołem mniej więcej za dwadzieścia dwunasta.

- Do tej pory posłaniec dostarczył już wiadomość handlarzom, więc musiał ją wysłać albo sam Muldoon, albo ktoś, z kim skontaktował się natychmiast po pani wyjściu. To było jeszcze przed nabożeństwem, więc Undoto nie zdążył pani zobaczyć, a wszystko odbyło się za szybko, aby niewinne pytanie przesłane przez Muldoona do kancelarii gubernatora mogło przypadkiem wzbudzić czyjeś podejrzenia. No chyba że Muldoon powiedział, że to pilna sprawa, ale po co miałyby to robić?

Aileen niechętnie przyznała mu rację.

- Co było potem? - spytał Robert.

Opisała nudnawe nabożeństwo i jak czekała później na zewnątrz, zastanawiając się nad rolą Undoto i lady Holbrook w planie handlarzy, wreszcie opowiedziała, jak ją schwytano.

- Jestem przekonana, że trzymali mnie w jakimś pomieszczeniu na tyłach kościoła. To mogła być zakrystia. Do innych budynków było za daleko.

- Już wiemy, że Undoto z nimi współpracuje, więc nic dziwnego, że handlarze mogą od czasu do czasu korzystać z kościelnych pomieszczeń - powiedział Robert. - I co było dalej?

Aileen opowiedziała, jak przez kilka godzin siedzieli w całkowitym milczeniu, a potem przeniesiono ją do kryjówki w slumsach.

Latimer nachylił się, wspierając ręce na kolanach, i rzekł z zatroskanym wyrazem twarzy:

- Na pewno było to dla pani okropne przeżycie, panno Hopkins, ale czy podczas pobytu w kryjówce handlarzy słyszała pani, co mówili?

Aileen zdawało się, że Robert prychnął cichutko.

- Naturalnie - odparła, jakby Latimer nie powinien nawet pytać o taką oczywistość. - Staralam się słuchać wszystkiego, co mówili. Niestety tylko pięciu z nich pochodziło z Anglii, do tego mówili z różnym akcentem, a worek na głowie i płótno, w które byłam owinięta, nie ułatwiały słuchania. Pozostali posługiwali się jakimiś mieszanymi dialektami. Jestem pewna, że było wśród nich kilku obcokrajowców: jakiś Francuz, Niemiec, może Holender. Odniosłam wrażenie, że wśród tych dziesięciu było trzech prowodyrów, ale jedyne nazwisko, jakie dotyczyło zaginionych, brzmiało Dubois. Wspomniano go kilkakrotnie, i z tego, co rozumiałam, właśnie do niego mieli mnie dostarczyć.

Robert spojrział na nią z zainteresowaniem.

- To ich klient czy przywódca całego gangu? - spytał.

- Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że to pierwsze. Takie odniosłam wrażenie. Usłyszałam jeszcze jedno nazwisko. Z tego, co rozumiałam, kilku członków szajki przybyło do kryjówki dopiero tego wieczoru i co najmniej trzech spośród nich miało odebrać zaopatrzenie od kogoś o nazwisku Winter.

- Zaopatrzenie? - Robert zmrużył oczy, zastanawiając się, co to może oznaczać. - Dziwne, że zwykłych zapasów dostarcza im jedna konkretna osoba.

- No właśnie - zgodziła się Aileen. - Jednak wydawało mi się, że chodzi o coś specjalnego. Mówili tak, jakby mieli na myśli jakiś sprzęt lub części zamienne. W każdym razie nie ubrania, jedzenie ani nic takiego.

- Sprzęt górniczy - stwierdził Robert, kiwając głową. - To by pasowało. Mamy więc już dwa nazwiska: Dubois i Winter. Żadnego z nich dotąd nie słyszałem i o ile wiem, to samo dotyczy Londynu.

- Dubois ma związek z porwaniami ludzi - powtórzył z namysłem Latimer - a Winter dostarcza sprzęt górniczy...

- Słyszała pani coś jeszcze, co może się przydać? - spytał Robert.

- Zwróciłam uwagę na jeden szczegół, może nieistotny, ale warto o tym wspomnieć. Jeden z tych ludzi miał niezwykły głos. - Tu Aileen popatrzyła Robertowi w oczy. - Słyszał pan głos Undoto. Ten był o wiele bardziej przykuwający uwagę... wręcz hipnotyzujący. - Przeniosła spojrzenie na Latimera. - Pozostałych nie dałoby się odróżnić od tysiąca innych ludzi, ale tego głosu nie można z niczym pomylić.

Robert odchylił się na oparcie fotela.

- Wygląda na to, że wbrew pozorom całkiem sporo się dowiedzieliśmy - stwierdził. - Dokończmy jednak naszą opowieść. Gdy ujrzeliśmy, jak niosą pannę Hopkins do kryjówki, zmieniliśmy plany.

Nakreślił w kilku zdaniach, jakie przygotowania poczyniono i jak przebiegała akcja ratunkowa aż do momentu, gdy zgubili pościg między statkami.

- Więc teraz handlarze już wiedzą, że ich obserwujemy? -

spytał Hurley.

Zanim Robert zdążył odpowiedzieć, Aileen znowu wtrąciła:

- Proszę pozwolić, że jeszcze raz powiem, jak bardzo mi przykro, iż pokrzyżowałam wam plany.

- Zupełnie niepotrzebnie - odpowiedział Robert. - Dzięki temu porwaniu i akcji ratunkowej uzyskaliśmy trzy ważne informacje, o które Londyn co prawda nie prosił, ale na pewno się z nich ucieszy. Mianowicie, że Muldoon jest uwikłany w tę sprawę, że porwani ludzie trafili w ręce niejakiego Dubois i ktoś o nazwisku Winter zaopatruje przestępców w coś ważnego, najprawdopodobniej specjalistyczny sprzęt górniczy. Nie mieliśmy dotąd możliwości zbadania sprawy pod tym kątem, ale to porwanie sprawiło, że zrobiliśmy ogromny postęp.

Robert odwrócił się do Hurleya.

- A odpowiadając na pana ostatnie pytanie, wydaje mi się, że nie. Uważaliśmy, żeby handlarze się nie zorientowali, że się nimi interesujemy. Wiedzą tylko, że porywając pannę Hopkins, jakimś sposobem ściągnęli nas sobie na głowy. Złapaliśmy ich, kiedy wynosili ją ze slumsów, odbiliśmy ją i uciekliśmy. Nie próbowaliśmy ich gonić. Pewnie myślą, że uciekliśmy na jakiś statek i znikniemy z następną falą. Wciąż mamy naszą kryjówkę - dodał, patrząc na Aileen. - Handlarze nic o niej nie wiedzą. Możemy nadal ich obserwować. A poza panią nie uprowadzili dziś nikogo innego, więc ruszając pani na pomoc, nie straciliśmy żadnej okazji.

Powiódł wzrokiem po pozostałych.

- Moim zdaniem udało nam się zdobyć trzy potencjalnie

kluczowe informacje, nie burząc planu. Możemy go kontynuować: obserwować porywaczy z ukrycia, a kiedy pochwycą kolejną ofiarę lub ofiary, wtedy...

- Właściwie - przerwał mu Jordan - być może wcale nie mamy tak wiele czasu.

Robert uniósł pytająco brwi.

- Decker - wyjaśnił jego zastępcą. -Wieść niesie, że może w każdej chwili wrócić... A już na pewno nastąpi to przed końcem tygodnia.

- Ja słyszałam to samo - potwierdziła Aileen.

- No, ale masz przecież list od Pierwszego Lorda, który upoważnia cię do zażądania pomocy wiceadmirala... - ciągnął Jordan.

- Nie. - Robert pokręcił głową i zacisnął usta. - Decker i ja nie darzymy się sympatią, a co najważniejsze, nie możemy w tej chwili wykluczyć, że on również macza palce w tej sprawie. Ja zaś nie wiem, kogo przyślą po nas, żeby pociągnął misję. Jeśli Royda... niech Bóg ma nas wszystkich w opiece, i Deckera także. Lecz nie musimy go uprzedzać o takiej możliwości.

- To prawda - przytaknął Jordan. - Co więc zrobimy?

Robert wyprostował się w fotelu.

- Jutro wznowimy obserwację porywaczy z naszej kryjówki. Tymczasem pan Hurley wyprowadzi „Trójzab” na wschód od zatoki Kroo. Przepłyniemy szalupą do najdalszej zatoczki w kolonii i stamtąd przejdziemy piechotą do miasta. Kiedy wróci Decker, będziemy kontynuować nasze działania tak długo, jak uznamy to za możliwe. Przez kilka pierwszych dni

na pewno będzie zajęty sprawami biurowymi i nie będzie miał czasu się rozglądać, jakie jednostki znajdują się w okolicy. Wybierzemy odpowiednią chwilę, zanim to zrobi, i przemkniemy nocą między patrolami eskadry.

Wszyscy pokiwali głowami. Aileen rozejrzała się, lecz na żadnej twarzy nie ujrzała nic, co przypominałoby przygnębienie. Ci ludzie byli za pan brat z przeciwnościami i potrafili wytrwale dążyć do celu.

Jakby na potwierdzenie tego Robert podsumował:

- Nasz cel pozostaje więc niezmienny: musimy poznać lokalizację obozu porywaczy w dżungli. Naprawdę wolałbym nie wracać do Londynu bez tej informacji. Choćby dlatego, że oznaczałoby to co najmniej pięciotygodniową zwłokę, zanim ktoś inny dotrze tu z Anglii i się tego dowie. Pięć tygodni, które mogą być decydujące dla naszych zaginionych.

- A co z dziećmi? - odezwała się Aileen. - Może porywa je ta sama szajka i zabiera do tego samego obozu. Gdyby porywacze znowu chcieli uprowadzić kolejne dzieci... Ten chłopak mówił, że przyjdzie nas zawiadomić. A w takim razie jeśli za nimi podążymy...

Robert popatrzył na nią z namysłem.

- Ma pani rację - przyznał. - Nadal istnieje takie prawdopodobieństwo.

- Nie sądzicie - wtrącił Benson - że skoro uciekliśmy, ci, którzy nas ścigali, wrócą do obozu? Może będą chcieli złożyć raport?

Robert zastanawiał się przez chwilę, aż w końcu pokręcił głową.

- Wątpię. Rozkazy dostają z kolonii: od Undoto, Muldoona, przedtem od lady Holbrook i nie wiadomo kogo jeszcze. Z tego, co mówiła panna Hopkins, a także przywódca tych czterech, którzy odwiedzili Undoto, wynika, że porywacze przybywają tu z... cóż, z braku lepszego słowa... z zamówieniem, które muszą zrealizować: tylu a tylu dorosłych mężczyzn, tyle młodych kobiet, tyle dzieci. Ale to decydenci w kolonii mówią im, kogo konkretnie można bezpiecznie uprowadzić. Jeśli rzeczywiście tak to działa, to ci, którzy są obecnie w mieście, mają porwać więcej mężczyzn niż kobiet. Nie wydaje mi się, żeby ci, którym odbiliśmy pannę Hopkins, uznali za konieczne wrócić do swojego przywódcy w obozie tylko po to, by donieść o tym fakcie.

- To prawda - zgodził się Coleman. - Jak człowieka posła po kuraka na obiad, nie wraca do domu tylko po to, żeby powiedzieć, że znalazł bochenek chleba, ale go zgubił.

Aileen nie do końca podobało się to porównanie jej do bochenka chleba, ale było logiczne.

- Więc zgromadzeni w kryjówce porywacze wciąż będą czekać... na informację o tym, kogo mają porwać.

- Poza tym - dodał Robert - do pierwotnej czwórki dołączyło dziś wieczorem jeszcze sześciu. Zakładając, że trzech czy czterech z nich przybyło do miasta tylko po zaopatrzenie, taka liczba nadal sugerowałaby, że spodziewają się uprowadzić więcej osób, najprawdopodobniej już wkrótce. Służąca Lashorii mówiła, że handlarze niewolników nie są tu mile widziani, nawet w dzielnicach biedoty, a sześciu czy siedmiu ludzi to spora grupa, jeśli mieliby tylko siedzieć w kolonii bez

żadnego powodu.

Popatrzył w oczy Aileen i kiwnął głową, jakby podjął decyzję. Potem przeniósł spojrzenie na swoich ludzi.

- Dobrze więc - rzekł. - Mamy co najmniej kilka dni. Jeśli nam się poszczęści, to powinno wystarczyć. Wznowimy obserwowanie ich kryjówek. Wy czterej - wskazał tych, którzy towarzyszyli mu w kolonii - musicie zachować ostrożność, wracając do naszej kwatery, ale sami wiecie, co robić. Wycofajcie się, jeśli zaczniecie podejrzewać, że ktoś was rozpoznał po dzisiejszym pościgu.

Benson pokiwał głową.

- Wrócimy za dnia - oznajmił. - Wtedy po ulicach kręcą się głównie kobiety. A ci miejscowi, którzy pomagali dziś porywaczom, to sami mężczyźni.

- Faktycznie - zgodził się Robert. - Ale moim zdaniem szczególnie się do tego palili. Stawiam dziesięć do jednego, że ich przymuszono. Wrócimy więc do obserwowania kryjówek, a w jednocześnie zobaczymy, czy ci, którzy zabierają dzieci, wrócili po więcej. - Rozejrzał się po załodze. - Mamy dwie drogi do obozu w dżungli. Przy odrobinie szczęścia jedna z nich zaprowadzi nas do celu i postawimy żagle, zanim Decker wróci do miasta.

- Amen - podsumował Latimer.

Robert wstał.

- Dziękuję, panowie - powiedział. - Tej nocy zajmijcie swoje zwyczajne stanowiska, a grupa, która ma się udać na brzeg, wyruszy z samego rana.

Było już kilka godzin po północy, kiedy Aileen wreszcie

znalazła się sam na sam z Robertem.

Najpierw ochmistrz Foxby, dowiedziawszy się, że żadne z nich nic nie jadło od śniadania, uparł się, żeby podać im posiłek. Aileen była pod wrażeniem obfitości i jakości tak pospiesznie przygotowanej strawy. Zupa z małży była wyborna, potrawka rybna doskonale doprawiona, a koźlina i baranina zdumiewająco soczyste. Deser w postaci biszkoptu przekładanego owocami i kremem wywołał uśmiech na jej twarzy. Szczerze podziękowała ochmistrzowi i uśmiechnęła się do chłopców okrętowych; obydwaj wydawali się dość oszołomieni obecnością damy na pokładzie.

Jedząc, nieuważnie słuchała meldunków składanych przez Latimera i Hurleya. Żeglowała na tyle często, że dobrze się orientowała w codziennych okrętowych sprawach, i zazwyczaj bardzo ją to interesowało, lecz tej nocy – czy raczej tego bardzo wczesnego poranka – jej głowę zajmowały inne kwestie.

Podobnie było z Robertem. Choć pozornie poświęcał uwagę oficerom, jego spojrzenie często mknęło ku twarzy Aileen. Jadł, nie ociągając się, i kiedy wreszcie uprzątnięto zastawę, odmówił brandy zaproponowanej przez Foxby'ego. Podniósł się i odprowadził Latimera i Hurleya do drzwi, energicznie potwierdzając rozkazy na rano.

Wreszcie zamknął za nimi drzwi. Zastygł, nie odwracając się.

Aileen wstała, wygładziła suknię i zadarła brodę.

– Oczywiście jutro popłynę z wami – rzekła. – Muszę zabrać swoje rzeczy z pensjonatu pani Hoyt, no i powinnam być na

miejscu, żeby chłopiec nie nabrał podejrzeń i nie odmówił współpracy z tobą.

Robert nadal wpatrywał się w drzwi. Wreszcie powiedział zwyczajnie:

- Nie.

- Tak - odparła spokojnie. - To tak samo mój plan jak twój.

Robert wyciągnął rękę i Aileen usłyszała odgłos zatraskiwanego zamka. Potem Frobisher odwrócił się i popatrzył na jedyną kobietę na świecie, która jednym wyzywającym ruchem brody potrafiła sprawić, że krew w jego żyłach zaczynała szybciej krążyć.

Gdyby naprawdę był takim dżentelmenem, jakim się wydawał, zaprzestałby kłótni i zaoferował Aileen swoją kabinę, a sam przenocowałby na łóżku polowym w kajucie któregoś z oficerów lub w hamaku razem z załogą.

Robert jednak nie należał do tego typu ludzi.

Ona zaś - ta kobieta o lśniących oczach, wspaniałych miedzianych włosach i bezpośrednim obejściu - bez trudu poznała jego prawdziwe oblicze i bijące w jego piersi awanturnicze serce.

Robert podszedł do niej zdecydowanym krokiem.

Nie cofnęła się, nie odwróciła wzroku - wyciągnęła tylko rękę i położyła ją na biurku, jakby szukając oparcia w czymś solidnym.

Ich spojrzenia się spotkały. Twarz Roberta była zacięta, nieustępliwa i ponura.

- Czy ty masz pojęcie, co czułem, kiedy zobaczyłem, jak ten zbir niesie cię do ich kryjówki?

Przywołane pytaniem emocje znowu odżyły i całkowicie nad nim zapanowały.

- Domyślam się, że dokładnie to samo, co ja czułam, kiedy ten drugi zbir ciął szpada o cal od twojego gardła.

Nie odrywając od siebie wzroku, oboje odetchnęli głęboko. Żadne z nich nie zamierzało ustąpić.

Porwała ich burza emocji - to sprzecznych, to spójnych, nieustannie się zmieniających. A potem nagle ta dziwna nawałnica przeszła w czyste pożądanie, niemal bolesne pragnienie i tęsknotę.

Robert poczuł niewytłumaczalną siłę przyciągającą ich do siebie.

Lecz zanim zdążył się poruszyć, ona zrobiła to pierwsza.

Z niezachwianą pewnością, świadomie i bez śladu wahania. Czyż nie zaklinała losu, aby dał jej szansę na prawdziwe życie z tym mężczyzną? A teraz bogowie spełnili jej prośbę i Aileen była zdecydowana chwycić tę szansę obiema rękami. Niech się dzieje, co chce.

Nie odrywając wzroku od Roberta, zrobiła krok do przodu. Wspięła się na palce, musnęła jego ramiona i wsunęła mu palce we włosy, po czym przyciągnęła jego głowę do siebie i pocałowała.

Poczuła przeszywające go drżenie.

Starał się zapanować nad sobą i swoim ciałem. Wciąż się opierał, mimo desperackiego pragnienia, które w nim wyczuwała.

Wreszcie jęknął. I poddał się.

Przechylił głowę i przejął kontrolę nad pocałunkiem.

Aileen przylgnęła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję.

Robert już od lat nie czuł się tak bardzo sobą jak w tej chwili. Jakby wreszcie zrzucił coś, co go dławilo, jakiś ograniczający jego ruchy pancerz, i po raz pierwszy od bardzo dawna cieszył się swobodą.

Był sobą.

A u jego boku była kobieta, która go rozumiała. Która żądała, żeby przestał się maskować, i nie zamierzała się godzić na cokolwiek innego.

Która budziła w nim frustrację i jednocześnie zachwyt.

Sprzeciwiała mu się, prowokowała, a przy tym stanowiła dla niego równowagę.

Ich gorące, łakome wargi stały się jednością. Aileen smakowała miodem i kremem, który jedli na deser, a pod tym wszystkim krył się jej wyjątkowy smak.

Objęli się mocniej. Całowali się jak zaczadzeni pożądaniem, pragnieniami i tęsknotą. Robert miał wrażenie, jakby pędzili na łeb, na szyję, nie myśląc nawet o kierunku.

Z trudem próbował nad sobą zapanować. Może powinni zwolnić, choćby odrobinę?

Ale kiedy chciał ją odsunąć, Aileen pociągnęła go za sobą i popłynęli jak w walcu, zamknięci w uścisku i pogrążeni w palącym pocałunku...

Prosto do łóżka.

Robert zapomniał o wszystkim poza nią i pragnieniem, żeby ją osiąść. Pragnieniem, które zrodziło się, kiedy ją pierwszy raz zobaczył, i rosło z każdą godziną, aż wreszcie osiągnęło kulminację we wstrząsie, jakim było zetknięcie ze śmiercią.

Zsunął z siebie lekką kurtkę i rzucił ją na podłogę. Palce Aileen odnalazły węzeł jego krawatki, a on tymczasem przesuwał rękami po jej krągłościach.

Aileen zadrżała pod dotykiem zręcznych dłoni Roberta. Jej piersi przeszył cudowny dreszcz.

Tak! Jakże długo czekała, żeby to poczuć.

Szarpnęła za koronkowy żabot na jego szyi i zerwała go. Pospiesznie wyciągała poły koszuli ze spodni.

Robert wyrwał się z kuszącego, urzekającego pocałunku i odsunął o krok. Popatrzył jej w oczy, jasne i płonące, po czym chwycił koszulę i zdarł ją z siebie jednym ruchem.

Aileen opuściła spojrzenie na jego obnażoną pierś.

Widok jej twarzy go zafascynował.

Nigdy żadna kobieta nie spoglądała na niego tak jak ona - z zachwytem i pożądliwą radością.

W jej spojrzeniu była pewność siebie, śmiałość połączona z bezwstydem - nawet w tym momencie była dla niego ucieleśnieniem prowokacji.

Chwycił ją w ramiona, przyciągnął do siebie i znowu zaczął całować.

Usłyszał uwięziony w jej gardle pomruk przyjemności, a potem Aileen chwyciła go i z zapalem oddała pocałunek.

Byli dla siebie godnymi przeciwnikami. Robert nigdy nie przypuszczał, że mógłby kiedykolwiek tak pomyśleć o kobiecie, lecz była to prawda. W dotyku Aileen nie wyczuwał żadnego wahania, żadnej nieśmiałości.

Jej żakiet upadł na podłogę i Aileen pomogła Robertowi rozpiąć maleńkie guziczki bluzki, która po chwili wylądowała

w ślad za wierzchnim odzieniem na podłodze.

Przesunęła rękami po piersi Roberta, jakby ją badała, on tymczasem zaczął zмагаć się z jej spódnicą.

Aileen wciągnęła powietrze i odsunęła jego palce.

- Ja to zrobię - powiedziała.

Szybko rozwiązała tasiemki, po czym ściągnęła spódnicę i halki. Została wyłącznie w koszulce, tak delikatnej, że prześwitywała nawet w słabym świetle lampy. Uniosła głowę, popatrzyła mu w oczy i śmiało pokonała dzielący ich dystans.

Robert przymknął powieki i jęknął, czując napór jej ciała.

Nie panując nad sobą, gładził rękami jej krągłości, przesuwając po wgłębieniu talii i niżej. Potem chwycił ją i uniósł, przyciągając do siebie jej biodra.

Aileen rozkoszowała się jego pożądaniem i żarem kolejnego pocałunku. Jej ciało drżało pod naciskiem twardego, umięśnionego torsu Roberta.

Zrzuciła półbuty, lecz nie zamierzała tracić czasu na zdejmowanie pończoch.

Ona pragnęła jego, on pragnął jej - nie widziała powodu, żeby wahać się czy zwalniać.

W mgnieniu oka rozpięła guzik jego spodni.

Robert przerwał pocałunek i powstrzymał jej dłoń.

- Jesteś pewna? - zapytał, wbijając w nią spojrzenie rozplamionych niebieskich oczu.

- Absolutnie!

Uwolniła dłoń, wsunęła palce za pasek i szarpnęła w dół.

Spodnie i cienka lniana bielizna zsunęły się z bioder Roberta.

Usłyszała przekleństwo, lecz jej uwagę pochłaniała jego nagość.

Robert popatrzył na jej twarz. Diablica oblizwała pożądliwie usta!

Na ten widok stracił głowę.

Porwał Aileen w ramiona i przyciągnął do siebie. Usłyszał jej gardłowy śmiech i zamknął jej usta swoimi wargami.

Ich dłonie sięgały, chwyciły, dotykały. Przerwali na sekundę, żeby odetchnąć, i Robert skorzystał z okazji, by ściągnąć z Aileen koszulkę.

Znowu do siebie przypadli.

Robert na ślepo zdarł z siebie resztę ubrania, buty i pończochy. Ona wciąż miała na sobie pończoszki z delikatnej bawełny, spięte wymyślnymi koronkowymi podwiązkami. Całkiem mu się to podobało. Pragnął jednak zobaczyć jej rozpuszczone włosy i poczuć na skórze ich jedwabisty dotyk. Zaczął rozplatać jej warkocze. Aileen syknęła zniecierpliwiona i sięgnęła do włosów. Na podłogę posypały się szpilki, a lśniące miedziane sploty spłynęły na ramiona - i Robert wreszcie ujrzał ją taką, jaką chciał ją mieć.

Przyciągnął ją mocno do siebie i padli na łóżko.

Robert nad niczym już nie panował - ani nad sobą, ani nad nią.

Pochłonał ich gorący płomień namiętności.

W niczym nie przypominało to banalnych doświadczeń Roberta - to było coś zupełnie innego. Coś o wiele bardziej niezwykłego.

Nigdy jeszcze namiętność tak go nie obnażyła, czyniąc

całkowicie bezbronnym. Poczuł nieznany dotąd głód.

Aileen także nie potrafiła poradzić sobie z ogromem odczuć. Cudowny ciężar jego ciała, wspaniały dotyk dłoni, ciepło skóry i siła twardych mięśni zapierały jej dech.

Kiedy Robert odnalazł ustami jej pierś, myślała, że umrze. Zdusiła krzyk, na który odpowiedział niskim pomrukiem.

Grał na jej ciele jak na instrumencie. Aileen słyszała kiedyś to porównanie, ale nigdy nie wyobrażała sobie, że jakikolwiek mężczyzna mógłby zapanować nad nią do tego stopnia...

Lecz tak właśnie się stało. Robert potrafił otworzyć jej oczy na radość rozkoszy, obudzić jej zmysły na tę cudowność.

Wreszcie podniósł się i wszedł w nią delikatnie, ostrożnie, z drżeniem mięśni.

Aileen nigdy nie myślała, że można przeżyć takie doświadczenie jedności. Tamy, które wzniosła w sobie tak dawno, że sama o nich zapomniała, zostały zerwane.

Objęła go i zaczęła poruszać się wraz z nim w jednym rytmie.

Robert czuł się zagubiony – Aileen przewyższała wszystkie kobiety, jakie kiedykolwiek spotkał. Wyszła mu naprzeciw, zmierzyła się z nim jak równa z równym, do samego końca rzucając mu wyzwanie.

Nie mógł jeszcze – nie odważyłby się – nazwać tego, co w nich obojgu wyczuwał – co dopiero się rodziło, a przecież było już tak silne. Żadne z nich nigdy nawet nie ośmieliło się marzyć, że poczuje kiedyś coś takiego.

Ruszyli do celu, na ostatni szczyt. Wspięli się na niego i ulecieli w ekstazie w oślepiającą jasność.

Przywarli do siebie, a ich ciała ogarnęła niewysłowiona rozkosz...

Wreszcie powoli wrócili do tu i teraz. Do spokoju ogarniającego ich ciała.

Do harmonijnego bicia serc i ciepła objęć.

Później, kiedy już rozłączyli się i ułożyli pod kołdrą, a Robert poczuł głowę Aileen spoczywającą w zagłębieniu jego ramienia, zaczął się zastanawiać, co będzie dalej.

Aileen nie pozwoliła mu jednak trwać w niepewności.

- A przy okazji - mruknęła stłumionym głosem - to niczego nie zmienia. I tak wracam jutro do miasta razem z tobą.

Znali się z Aileen bardzo krótko, lecz Robert zdążył już przywyknąć do jej stanowczości. Odruchowe pragnienie, żeby zatrzymać ją tutaj, zamknąć bezpiecznie w kajucie, z dala od wszelkiego niebezpieczeństwa, zaczynało niechętnie ustępować w obliczu rosnącego zrozumienia.

Zrozumienia charakteru Aileen.

Tego, co oznaczał fakt, że ona należała do niego, a on do niej.

Potrzebne było im wzajemne zaufanie. A także dostosowanie się do obopólnych potrzeb.

Robert widział to już w związku Declana i Edwiny.

Jeśli chciał zatrzymać Aileen - a zdecydowanie tak było - czy mógł zaoferować jej mniej?

Wiedział, że nie jest jeszcze gotowy na rozmowy o przyszłości. Był przekonany, że Aileen także nie. Musiał wykonać swoje zadanie, ona zaś musiała się upewnić, że zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby odnaleźć i uratować

brata. Zanim zajmą się swoim prywatnym życiem, mieli obowiązek uporać się z tymi dwiema sprawami.

Dyskusję o przyszłości należało zatem odłożyć na później.

Ale w kwestii następnego dnia...

- Pozwól sobie przypomnieć - Aileen stłumiła ziewnięcie - że jeśli mnie przy tobie nie będzie, ten chłopiec z plaży może nie mieć odwagi się zbliżyć, nawet za królewską zapłatę w postaci korony. A jeśli nawet z tobą porozmawia, nie zaprowadzi cię do handlarzy. Wiesz o tym równie dobrze co ja. Za bardzo się ciebie bał i to się nie zmieni.

Robert nie mógł zaprzeczyć, więc nawet nie próbował. Podczas rozmowy z nim chłopiec ciągle rzucał przestraszone spojrzenia na Aileen - jej obecność wyraźnie go uspokajała.

- Poza tym jeśli przyjdą po kolejne dzieci, to żadne z nas nie może przegapić takiej okazji. A już na pewno nie teraz, kiedy w każdej chwili może wrócić Decker... A w ogóle kiedyś będziesz musiał mi wyjaśnić, na czym polega problem z nim.

Robert skrzywił się i pocałował Aileen w głowę.

- Dobrze - zgodził się. - Kiedyś, kiedy będziemy mieli więcej czasu.

I gdy oboje będą w pełni przytomni.

- Tak czy owak - Aileen wtuliła się w niego - wszystko sprowadza się do tego, że musimy odnaleźć drogę do obozu porywaczy. A w związku z tym byłoby korzystne i wręcz konieczne, żebym jutro udała się z tobą do zajazdu, na wypadek gdyby ten chłopiec przybiegł nas zawiadomić.

- No dobrze. - Robert musiał uszanować jej zaangażowanie w sprawę. Objął ją mocniej. - Zgodzę się pod jednym

warunkiem.

Aileen uniosła głowę i spojrzała na niego z ukosa.

- Mianowicie?

- Od momentu, gdy zejdziesz z pokładu „Trójzębu”, nie odstąpisz mnie dosłownie ani na krok, dopóki nie wrócimy na statek.

Aileen popatrzyła mu w oczy i kiwnęła głową.

- Doskonale - rzekła z uśmiechem.

- Więc obiecujesz?

Uśmiechnęła się szerzej.

- Tak, obiecuję. Tak długo, jak będę przy tobie, nie zamierzam się skarżyć.

Uspokojony Robert uśmiechnął się i zamknął oczy.

I zasnął.

Aileen czuła, jak zapadł w sen. Ona sama była zmęczona, lecz jej zmysły nadal szalały.

Przymknęła powieki i przez głowę przemknęło jej ulotne wspomnienie: kiedy siedziała z zasłoniętymi oczami i zakneblowanymi ustami w kryjówce handlarzy, pomyślała, że następnym kilka godzin fundamentalnie zmieni jej życie.

Nie myliła się. Spełniało się jej najgłębiej skrywane, najcenniejsze marzenie - to, które odkryła w sobie w chwili największej rozpacz.

Znalazła drogę do ramion i łoża Roberta Frobishera.

I zgodnie z tym, co obiecała bóstwom, które jej w tym pomogą, zamierzała trzymać się go ze wszystkich sił i nigdy nie puścić.

Czternaście

Wkrótce po wschodzie słońca wylądowali w zatoczce na wschód od portu. Szli przez godzinę, zanim dotarli do zajazdu. Miasto już się budziło, a na ulicach rozpoczynała się zwykła codzienna krzątanina.

Wszyscy sześcioro weszli do gospody i rozsiedli się przy tym samym co zwykle stole.

- Dzieci mówiły, że handlarze przychodzili zawsze po południu - rzuciła Aileen.

Robert nie odpowiedział, ponieważ właśnie podbiegła do nich gospodyni.

Dygnęła przed Aileen, a pozostałych przywitała z wyraźną radością. Szybko przyjęła zamówienia i chwilę potem podała obfite śniadanie.

Benson, Coleman, Fuller i Harris najedli się i pożegnali, aby ruszyć do dzielnicy biedoty.

- Jeśli dostaniemy informację, że porywacze przyszli po kolejne dzieci, zostawię wiadomość u właścicieli zajazdu - powiedział do nich Robert. - A jeśli do północy nic się nie będzie działo, zabierzcie nasze rzeczy z kryjówki i bagaże panny Hopkins. Zostawimy je u gospodarza albo jego żony. Przewieźcie wszystko na „Trójzab”. Wolę, żebyście spędzili noc na statku. Jutro rano możecie wrócić do kolonii i wznowić obserwację.

Benson pokiwał głową.

- A jeśli nie dostanie pan informacji o dzieciach?

- Wtedy my również wrócimy na „Trójzab” - odpowiedział Robert, patrząc na Aileen.

Ku jego uldze potwierdziła te słowa kiwnięciem głowy.

W drzwiach marynarze minęli się z Dave'em.

Woźnica na widok Roberta i Aileen uśmiechnął się szeroko i podszedł z czapką w rękę.

- Jest panienka! A to się cieszę, że panienkę znowu widzę.

Nic panience nie jest?

Aileen uśmiechnęła się do niego.

- Jak widać, jestem cała i zdrowa, dzięki kapitanowi Frobisherowi i jego załodze.

- I całe szczęście. Mogę dziś państwu usłużyć?

Kazali się zawieźć do Stancji Pani Hoyt dla Eleganckich Dam.

Pani Hoyt z żalem przyjęła informację o wyprowadzce Aileen, lecz była też mocno zaintrygowana.

- Więc wraca panienka do domu? - dopytywała.

Aileen skinęła głową, składając na łóżku ubrania. Uznali z Robertem, że taka wersja będzie najbezpieczniejsza. Zresztą była to prawda, po prostu nie zamierzali podnieść kotwicy jeszcze tego dnia.

- Najszybciej, jak się da - dodała.

Robert stał przy oknie i udawał, że wygląda na zewnątrz. Pani Hoyt zmierzyła go bystrym spojrzeniem od stóp do głów, po czym przechyliła się przez łóżko i poklepała Aileen po ramieniu.

- Złapałaś doskonałą sztukę, kochanie - szepnęła.

Po czym wyszła, puszczając oko.

Kiedy za gospodynią zamknęły się drzwi, Robert odwrócił się od okna.

- Ona mówi o mnie tak, jakbym był rybą - zażartował.

Aileen roześmiała się i zamknęła torbę.

- Już. Gotowe.

- Świetnie. - Robert podniósł ją i jeszcze jedną, większą, która stała w nogach łóżka. - Muszę ci pogratulować, że udało ci się wyjechać w podróż bez pudła na kapelusze. Ruszajmy.

Nadal z uśmiechem na ustach Aileen otworzyła drzwi i zeszli na dół.

Dave zawiózł ich z powrotem do zajazdu. Aileen uparła się, że sama mu zapłaci, Robert zaś, że dorzuci szczodry napiwek. Rozstali się ze starym londyńczykiem, życząc mu zdrowia i szczęścia - a on odwzajemnił te życzenia ze znaczącym uśmiechem.

Kiedy powóz odjechał, Robert zaniósł rzeczy Aileen do środka i oddał je pod opiekę gospodyni, informując, że ktoś przyjdzie je później odebrać.

Aileen stała tymczasem przy oknie i spoglądała na zakurzoną uliczkę.

Nagle zeszywniała i krzyknęła:

- Przyszedł! Ten chłopiec!

Pospieszyła do wyjścia. Robert deptał jej po piętach. Zanim znaleźli się przy uchylonych drzwiach, chłopiec nieufnie zajrzał do środka. Na ich widok wycofał się na ulicę.

Aileen uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Masz dla nas jakieś wieści?

Chłopiec skinął głową.

- Tak. Przyszli.

- Myślałem, że zwykle zjawiają się popołudniami. - W głosie Roberta zabrzmiała podejrzliwość.

- Zgadza się. Przyszli wcześniej. Zwykle przychodzą później - potwierdził chłopiec z zatroskaną miną. - A co z moją koroną?

- Dostaniesz dopiero wtedy, gdy nas tam zaprowadzisz. Inaczej skąd mamy wiedzieć, czy mówisz prawdę.

Aileen spojrzała na Roberta karcąco.

Jednak chłopak, choć zmarszczył z niezadowoleniem brwi, kiwnął głową w stronę nabrzeża.

- W takim razie lepiej się pospieszmy. Zazwyczaj siedzą przez jakieś pół godziny, namawiają tych głupków i wybierają spośród nich tych, którzy im odpowiadają, ale skoro przyszli wcześniej, kto wie, ile czasu zabawią?

- Prowadź więc - rzekł Frobisher. - Pójdziemy za tobą. Zatrzymaj się, kiedy pojawią się w zasięgu wzroku.

- Poczekaj! Miałeś zostawić wiadomość, pamiętasz? - przypomniała mu Aileen.

Robert zaklął cicho.

- Jedną chwilę.

Wskoczył do gospody i w minutę nagryzmolił liścik, po czym zostawił go u oberżystki z sowitym napiwkiem.

Biorąc Aileen pod rękę - sam nie był pewien, czy chciał ją podtrzymać, aby się nie potknęła na nierównym chodniku, czy też dopilnować, aby nie zostawiła go w tyle - instynktownie

musnął dłonią rękoność wiszącej u pasa szpady.

- Chodźmy - powiedział.

Chłopiec wsadził ręce w kieszenie i ruszył szybko uliczką. Po kilku krokach skręcił w alejkę prowadzącą w kierunku slumsu.

Robert i Aileen szli za nim, trzymając się kilka kroków z tyłu.

Przeszli przez dzielnicę biedoty i w końcu stanęli przy wejściu na plażę, jakieś sto jardów na wschód od skupiska skał.

Chłopiec wyjrzał, po czym się cofnął.

- Jeszcze są - powiedział, wskazując ręką na prawo.

Robert i Aileen przysunęli się i spojrzeli.

Na piasku tuż przy brzegu stało trzech mężczyzn - wszyscy byli uzbrojeni, ale nie aż tak jak handlarze niewolników, których Aileen i Robert dotąd widzieli. Rozmawiali z gromadką dzieci. Robert przyjrzał się ich twarzom. Nie rozpoznawał żadnego z nich.

- Widziałaś ich wcześniej? - mruknął do Aileen.

Pokręciła głową i zmarszczyła brwi.

- Możemy podejść bliżej? - spytała. - Tak, żeby słyszeć, co mówią?

Robert popatrzył na chłopca.

Ten odpowiedział śmiałym spojrzeniem.

- Moja korona - rzekł.

Robert bez słowa podał mu monetę.

- Możemy się zbliżyć? - spytał.

- Tak. - Chłopiec pokiwał głową w kierunku, z którego

przyszli. - Pokażę wam.

Poprowadził ich coraz węższymi uliczkami do innego wejścia na plażę. Znaleźli się dokładnie naprzeciwko grupki dzieci.

- Zrobiłem, co mogłem - powiedział chłopiec, patrząc w oczy Aileen. - Teraz już znikam.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

- Dziękujemy - rzekła. - Słusznie postąpiłeś. Postaramy się to wszystko zakończyć i sprowadzić resztę dzieci z powrotem.

Chłopiec przyglądał jej się przez chwilę, jakby chciał się przekonać o jej szczerości, po czym kiwnął głową, rzucił spojrzenie w stronę Roberta i zniknął.

Oni sami zaś, kryjąc się w cieniu, podkradli się bliżej i zaczęli nasłuchiwać.

Nagle Aileen wciągnęła gwałtownie powietrze i otworzyła szeroko oczy. - Nie rozumiem, co mówią, ale ten głos...

- To ten człowiek o niezwykłym głosie - domyślił się Robert.

- Tak. Ten z kryjówki porywaczy. To on. Jestem pewna.

Spojrzała Robertowi w oczy.

- To oznacza, że mamy do czynienia z tą samą szajką. Jeśli zabiorą stąd jakieś dzieci, najpewniej zaprowadzą je do tego samego obozu, prawda?

Robert potwierdził i zacisnął usta. Po chwili bezowocnego nasłuchiwania - byli za daleko, żeby wychwycić poszczególne słowa - wychylił się z cienia i spojrzał na wschód wzdłuż linii lichych zabudowań ciągnących się aż do dżungli.

Aileen popatrzyła na niego pytająco.

- Nie możemy podejść bliżej, ale bryza wieje z północnego zachodu. Jeśli przeniesiemy się dalej na wschód, może

będziemy lepiej słyszeć.

Przeszli alejkami do kolejnego wyjścia na plażę i, ukryci w cieniu walącego się ganku, wytężyli słuch...

- ...więc jeśli pójdziecie ze mną i będziecie ciężko pracować, zarobicie dość, żeby przenieść się wyżej na wzgórze.

Przemawiał ten mężczyzna o urzekającym głosie. Kucał, żeby jego głowa znalazła się na wysokości głów otaczających go dzieci.

- Nie twierdzę, że będzie łatwo - mówił dalej - ale już wiecie, co mam do zaoferowania. Musicie tylko nosić kosze w tę i z powrotem, a my się wami zajmiemy przez cały ten czas, kiedy będziecie dla nas pracować. Wasi koledzy, którzy poszli z nami wcześniej, nadal tam są, pracują ciężko i dużo zarabiają. Interes idzie nam tak dobrze, że stale go rozwijamy i mamy pracę jeszcze dla pięciu osób. - Mężczyzna wyprostował się i popatrzył na dzieci z uśmiechem, który wydawał się serdeczny. - Ale tylko pięciu. Nie chcemy zbyt wielu osób. Rozumiecie, że to oznaczałoby mniejszą stawkę dla reszty, prawda?

Jedna dość wysoka dziewczynka podniosła rękę i zapytała:

- A będziemy mogli przesyłać zarobki rodzicom?

Mężczyzna uśmiechnął się dobrotliwie.

- Sami będziecie mogli im je przynosić w wolne dni.

- Żadne z pozostałych dzieci dotąd nie wróciło - zauważyła inna dziewczynka. - Oni nie mieli wolnego czasu?

- Ach, cóż... Nie zmuszamy naszych pracowników do brania wolnego, jeśli nie chcą. Oczywiście pensja zależy od liczby przepracowanych dni, więc... - Mężczyzna wzruszył

ramionami, nadal uśmiechając się szeroko. – Widać wolą popracować więcej, żeby odłożyć sobie niezłą sumkę przed powrotem. A zatem – klasnął, rozglądając się po małych słuchaczach, i rozłożył ręce – kto chce się do nas przyłączyć?

Natychmiast podniosło się wiele rąk.

– Ja!

– Nie, ja!

– Mnie pan wybierze!

– Ja jestem silniejszy!

Dzieci zaczęły się przepychać. Mężczyzna machnął ręką, żeby je uciszyć.

– Spokojnie, spokojnie. Tak nic nie zdziałamy – rzekł. – Znacie zasady. Ustawcie się i zobaczymy.

Aileen była wstrząśnięta, widząc, jak wiele dzieci ustawiło się w kolejce, rozpychając się i rozdając sobie kuksańce.

– Wielkie nieba! On jest jak ten bajkowy szczurołap z Hameln, który zahipnotyzował wszystkie dzieci w mieście.

– Dobre porównanie – zgodził się ponuro Robert. – Tylko ten zamiast fletem posługuje się głosem.

– Patrz na tamtych. – Aileen wbiła gniewne spojrzenie w pozostałych dwóch handlarzy, którzy stali kilka kroków za swoim przywódcą. – Jacy zadowoleni!

– Zaczynam podejrzewać, że w kopalni brakuje rąk do pracy. W każdym razie zależy im na zdobyciu nowych ofiar – mruknął Robert.

– Myślisz, że oni rekrutują te dzieci do pracy w nielegalnej kopalni?

– Myślę, że ten człowiek w dużej mierze mówi prawdę,

dlatego jest taki przekonujący. Tylko że dzieci nigdy nie dostaną żadnej wypłaty. No i oczywiście słowem nie wspomniał, że te, które z nim pójdą, nie będą mogły wrócić.

Aileen znowu spojrzała na dzieci przepychające się w kolejce, chcące udowodnić, ile są warte. Widziała płonąca w ich oczach nadzieję, desperackie pragnienie wykorzystania szansy, żeby poprawić los swój i swoich rodzin.

Przywódca szajki szybko wskazał pierwszych czterech – wysokich, silnych chłopców, co najmniej dwunastolatków – lecz na koniec zawahał się, wybierając między dość chudym chłopaczkiem a wysoką dziewczynką, która odezwała się pierwsza. Ona również wyglądała na co najmniej dwanaście lat. Była nie tylko wysoka, ale wydawała się też wytrzymała i silna. Lecz obok stała przytulona do jej ręki siostrzyczka o włosach w takim samym kolorze ciemnoblond.

- Czy mogłabym ją ze sobą zabrać? – spytała dziewczynka. –
Przyrzekam, że nie będzie sprawiać kłopotu.

Mężczyzna zrobił współczującą minę i pokręcił głową.

- Przykro mi, mała, ale nie będę nadstawiał za nią głowy, kiedy dotrzemy do obozu – rzekł. Popatrzył na chudego chłopca i z powrotem przeniósł na nią wzrok. – Możesz z nami pójść, jeśli ją tu zostawisz. Decyzja należy do ciebie – dodał ze wzruszeniem ramion.

Dziewczynka popatrzyła na siostrzyczkę. Ta, jakby wyczuwając jej wahanie, zaczęła kręcić głową – z początku wolno, a potem coraz szybciej. Wczepiła się w rękę siostry i zaczęła wyć:

- Nie, nie, nie, nieeee!

Serce Aileen ścisnęło się z żalu na ten widok.

Wtedy jednak kandydatka do pracy odwróciła się do stojącej obok koleżanki.

- Zaprowadziłabyś ją do domu?

- Więc pójdziesz? - spytała tamta, lecz już wyciągała rękę po małą.

- Tak. Mamie przyda się każda pomoc.

Na twarzach obu starszych dziewczynek widać było zmęczenie i rozpacz.

Aileen ogarnął dojmujący smutek i współczucie. A potem spojrzała na porywaczy i poczuła wściekłość.

Mężczyzna i jego obstawa odsunęli się i czekali, żeby ten mały dramat rozegrał się bez ich udziału.

Gdy wreszcie dziewczynka odwróciła się od płaczącej siostrzyczki, przywódca szajki znowu uśmiechnął się szeroko i ruchem ręki zaprosił ją na koniec szeregu dzieci, które wkrótce miały stać się jego więźniami.

- Wyśmienie! - Zatarł dłonie i rozejrzał się po twarzach reszty dzieciaków. - To może jakiś wiwat na zachętę dla tych szczęściarzy, których wybraliśmy?

Dzieci posłusznie krzyknęły „hurra”, a on odwrócił się i poprowadził pięcioosobowy oddział po piasku. Pozostali dwaj handlarze ruszyli z tyłu, odwracając się, żeby się uśmiechnąć i pomachać do reszty.

Aileen poczuła lekkie mdłości. Robert pokazał jej gestem, żeby się cofnęła. Wsunęła się głębiej w cień i tak samo jak on przywarła do ściany, kiedy porywacz prowadził swoją uśmiechniętą, choć podenerwowaną grupkę w odległości

dziesięciu jardów od nich. Kilkoro z dzieci obejrzało się – ostatnie spojrzenie na życie, które pozostawiały za sobą.

Nie wiedziały, że być może na zawsze.

Aileen popatrzyła w niebieskie oczy Roberta.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, on pierwszy odezwał się cicho:

- Nie. Nie możemy ich uratować.

- Przecież to są dzieci! Nic nie zawiniły!

- To prawda. - Jego twarz stwardniała. - Gdyby istniał jakikolwiek inny sposób... Ale to może być nasza jedyna szansa, żeby odnaleźć obóz, a przynajmniej jedyna w ciągu następnych kilku dni. Pomyśl tylko, po co im więcej dzieci? I wybrali jedynie starsze. A przecież wcześniej zabierali dzieci w wieku od sześciu do dziesięciu lat. Skąd ta zmiana?

Aileen zmarszczyła z namysłem brwi.

- Bo od czasu ucieczki lady Holbrook nie byli w stanie zdobyć więcej dorosłych - rzekł Robert i sięgnął po jej dłoń. - Musimy zobaczyć, dokąd idą.

Aileen nie zamierzała z tym dyskutować. Uniosła suknię i ruszyli pod osłoną stojących wzdłuż plaży walących się domów.

Porywacze z powrotem weszli w dzielnicę biedoty. Robert i Aileen podążyli w pewnej odległości za nimi.

- Niczego się nie obawiają - zauważył Frobisher po jakichś dziesięciu minutach. - Ani razu się nie obejrżeli.

W miarę jak wchodzili głębiej w biedniejsze okolice, Aileen czuła, że coraz bardziej odstaje od otoczenia. Całe szczęście, że zdecydowała się włożyć najciemniejszy komplet i bluzkę.

Jej strój nadal wyróżniał się jakością, ale przynajmniej nie przyciągał uwagi kolorem.

Upał robił się nieznośny. Aileen już nieco do niego przywykła, ale nadal miała wrażenie, jakby powietrze ciążyło jej na ramionach. Sterany po wczorajszych przejściach kapelusz zostawiła w kajucie Roberta. Cieszyła się też, że zrezygnowała z licznych halek. Może i spódnica wisiała na niej nieco, ale w tych okolicach takie modowe faux pas nie miało większego znaczenia.

Szli dalej. O ile mogła się zorientować, zmierzali na wschód. Wsunęła palce w dłoń Roberta.

- Myślisz, że kierują się poza miasto? - spytała.

Robert zmarszczył brwi i uściśnął jej rękę.

- Sądziłem, że najpierw zabiorą dzieci do kryjówki, ale już dawno minęliśmy prowadzącą do niej ulicę. Zdecydowanie nie idą w tamtą stronę.

- Dzieci mówiły, że ci ludzie przychodzili popołudniami, a przecież zabierali wtedy tylko maluchy... Małe dzieci nie są w stanie tak daleko iść. Może wtedy zabierali je na noc do kryjówki albo w jakieś inne miejsce, żeby przenocować tam i dopiero rano wyruszyć do dżungli.

- A może po prostu szli nocą - stwierdził Robert, wzruszając ramionami.

Aileen prychnęła.

- Próbowales kiedyś zajść nocą gdzieś daleko w towarzystwie dziecka?

Robert uśmiechnął się lekko.

- Nie, ale rozumiem, co masz na myśli - przyznał. - W takim

razie to mogłoby znaczyć, że dziś przyszli wcześniej właśnie dlatego, że chodziło im o starsze dzieci; takie, które zdołają dojść przed zmrokiem do obozu.

Aileen rozejrzała się wokół.

- Mówiłeś, że handlarze niewolników z zasady nie kręcą się za dnia po mieście, a w każdym razie nie w towarzystwie swoich ofiar. Mnie na przykład ukryli w kościele, zamiast nieść otwarcie ulicami.

- Owszem, tak właśnie jest, kiedy chodzi o dorosłe ofiary. I o nieco mniej ubogie slumsy. A tutaj zamieszkuje najbiedniejsza część kolonijnej społeczności. Dzieci zaś idą dobrowolnie, nie pod żadnym przymusem, do tego obchodzą z daleka okolicę, gdzie ktoś mógłby je rozpoznać.

- Może więc nigdzie się nie zatrzymają, tylko skierują prosto do obozu.

Robert zaklął cicho. Powinien był zrobić to wcześniej, ale... Przystanął i zatrzymał Aileen, obracając ją twarzą do siebie.

- Muszę za nimi iść. Wygląda na to, że trafiła nam się być może jedyna szansa, żeby poznać lokalizację obozu porywaczy, zanim wróci Decker i zacznie zadawać niewygodne pytania. - Popatrzył jej w oczy. - Chcę, żebyś zawróciła do gospody i zaczekała tam na resztę. Powiedz im, gdzie jestem i w którym kierunku zmierzam. A potem wróć z nimi na „Trójzab”.

Aileen patrzyła na niego przez chwilę, po czym powoli pokręciła głową.

Robert wypuścił z sykiem powietrze.

- To nie pora na dyskusje...

- Zgadzam się - Aileen podniosła dłoń, żeby pozwolił jej dokończyć - ale chyba o czymś zapomniałeś. Prosiłeś, abym przyrzekła, że poza pokładem „Trójzębu” pod żadnym pozorem nie odejdę od ciebie nawet na krok. A ja się zgodziłam.

Robert spojrział na nią z osłupieniem.

Kąciki usta Aileen uniosły się lekko, jakby chciała przyznać, że doskonale rozumie, iż nie dotyczyło to tego typu sytuacji.

- Wiedz, że zwykłam dotrzymywać obietnic - dodała.

Robert spuścił głowę i znowu zaklął, tym razem już nie tak cicho.

- Oboje w tym siedzimy. I oboje za nimi pójdziemy - zakończyła Aileen. Pociągnęła go za rękę. - No chodź. Nie możemy się ociągać. Bo zgadzam się z tobą: to może być nasza ostatnia szansa, żeby dowiedzieć się, gdzie leży ten ich przeklęty obóz.

Robert poddał się niechętnie.

Ręka w rękę ruszyli dalej śladem dzieci i człowieka, który zwiódł je fałszywymi obietnicami.

Aileen bez najmniejszych oporów złożyła Robertowi obietnicę, o którą prosił, gdyż przewidywała, że pozwoli jej to pozostać przy nim, nawet jeśli znajdą się w niebezpieczeństwie.

Mając trzech braci, doskonale wiedziała, że mężczyźni rzadko biorą pod uwagę, iż kobiety, które oni chcą chronić, mogą żywić dokładnie takie same uczucia w stosunku do nich.

Przywykła jednak do męskiej tępoty, dlatego burkliwe narzekania Roberta i wielokrotne próby przekonania jej, żeby

go zostawiła i zadbała o własne bezpieczeństwo, spłynęły po niej jak woda po kaczce.

Jeśli już, Aileen miała ochotę się uśmiechnąć. Czego jednakże nie uczyniła – nie było sensu prowokować swojego towarzysza.

Szli coraz dalej na wschód. W końcu pozostawili za sobą ostatnie rudery na skraju kolonii i wkroczyli w mrok dżungli.

Las był gęsty, a wąska ścieżka, wydeptana przez lata wieloma stopami, wiła się nieustannie, omijając coraz większe drzewa i palmy. Na tak krętej drodze musieli zmniejszyć odległość od śledzonej grupki, żeby jej nie zgubić, a jednocześnie uważać, by porywacze ich nie usłyszeli. Na szczęście ziemia była wilgotna i pokryta warstwą rozkładających się liści, dlatego dobrze tłumiła ich kroki.

W którymś momencie Robert przystanął i wyciągnął mapę okolic kolonii, którą zakupił u kartografa. Aileen zajrzała mu przez ramię. Wskazał krętą linię prowadzącą za miasto.

– To jest ścieżka, którą idziemy – szepnął jej do ucha. Jego palec zatrzymał się na trójkącie błękitu, gdzie linia się kończyła. – Prowadzi do jednej z rzek, które wpływają do zatoki. – Złożył mapę, schował ją i znowu ujął rękę Aileen. – Mam nadzieję, że skręcą gdzieś po drodze. Obóz po tej stronie ujścia byłby zbyt blisko kolonii i prawdopodobnie naruszałby tereny któregoś z okolicznych wódzów.

Aileen kiwnęła głową i ruszyła za nim.

Od czasu do czasu mijali dobrze udeptane dróżki prowadzące zapewne do leżących w pobliżu wiosek. Robert rozglądał się uważnie, lecz nikogo nie widzieli – i nikt nie

widział ich samych. W dżungli panowała senna atmosfera. W powietrzu roiło się od muszek. Czasem szli wzdłuż niewielkich strumyków. Robert zachęcał wówczas Aileen, żeby korzystała z dostępu do pitnej wody.

Aileen dobrze sobie radziła w swojej bawełnianej spódnicy i żakiecie, a jej półbuty wydawały się solidne. Robert z kolei chętnie zdjąłby z siebie lekką złotobrazową kurtkę, ale pod spodem miał śnieżnobiałą lnianą koszulę, która zbytnio się odcinała od tła.

Starał się obliczyć, ile już przeszli, ile jeszcze zostało im do ujścia rzeczki, jeśli – jak przypuszczał – obóz faktycznie ukryty był na przeciwległym jej brzegu.

– Wiesz, że jeśli obóz leży głęboko w dżungli, żadne maluchy nie zdołają tam dojść w jeden dzień, a wątpię, czy nawet tak duże dzieci jak te są w stanie daleko zajść po ciemku – przerwała jego rozmyślenia Aileen. – No i porywacze nie wzięli ze sobą żadnych zapasów.

– Masz rację. – Robert przystanął, żeby pomóc jej przejść nad powalonym drzewem palmowym. – Chyba że zamierzają zatrzymać się w jakiejś wiosce, ale z tego, co wiem, to mało prawdopodobne. Czyli zapowiada się na to, że zamierzają dotrzeć do obozu przed wieczorem.

– A co, jeśli to miejsce, gdzie zatrzymają się dziś na nocleg, to nie ich stały obóz, tylko... no, nie wiem, coś w rodzaju przystanku?

– Jeśli dobrze rozumiem stosunki między handlarzami niewolników a miejscowymi wodzami, a wcale nie jestem tego pewien, to mało prawdopodobne, aby zakładali na ich

terenach choćby tymczasowe obozy – rzekł po zastanowieniu Robert. Potem dodał jednak z grymasem niezadowolenia: – Mało prawdopodobne, ale niestety nie niemożliwe.

– A w ogóle zdołamy się zorientować, czy znaleźliśmy główny obóz, czy tylko przejściowy?

– Tak. – Co do tego Robert nie miał najmniejszych wątpliwości. – Zabudowania będą trwalsze, na fundamentach. Obóz tymczasowy będzie postawiony tak, by w każdej chwili mogli go zlikwidować i się wynieść. W każdym razie niezależnie od tego, do jakiego obozu dojdziemy, będziemy musieli wrócić na statek.

Kątem oka zobaczył, jak Aileen kiwa głową.

– Zgodnie z twoimi rozkazami masz powrócić do Londynu, gdy tylko znajdziesz obóz, prawda? – spytała.

Robert mimowolnie się skrzywił.

– Owszem, ale... moje rozkazy nie dotyczą obozu tymczasowego. Jeśli okaże się, że dotarliśmy tylko do obozu pośredniego, to dotrzemy wieczorem na statek, a jeśli Decker jeszcze nie wrócił, jutro wezmę kilku ludzi i dalej podążymy tym tropem. Miejmy nadzieję, że doprowadzi nas do stałego obozu.

Szli dalej, od czasu do czasu zatrzymując się, kiedy grupa przed nimi przystawała. Robert przypomniał sobie uwagę Aileen, że handlarze nie mają ze sobą żadnego ekwipunku. Faktycznie to sugerowało, że spodziewali się znaleźć całe potrzebne zaopatrzenie u celu – a to z kolei zwiększało prawdopodobieństwo, że był nim stały obóz, nie zaś przejściowy.

Minęli łagodne wzniesienie i w odległości jakichś dwudziestu jardów dżungla nagle się kończyła, a dalej widać było połyskliwy błękit wody. Ujrzeni też wąski pasek ubitego piasku, schodzący do samej rzeki.

Handlarze z dziećmi kręcili się po nim swobodnie. Najwyraźniej nie przejmowali się względami ostrożności, jakby w ogóle nie przychodziło im do głowy, że ktoś mógłby ich śledzić.

Robert złapał Aileen za rękaw i pociągnął ją pod osłonę drzew.

Kucając tuż obok niego, wyjrzała z kępy palm. Trzej handlarze stali dookoła pięciorga dzieci, czekając, aż dwóch innych ludzi dopłynie do brzegu sporą łodzią wiosłową.

Na piasku zobaczyli też trzech tubylców. Wszyscy mieli w rękach włócznie. Ubrani byli w luźne spodnie z podwiniętymi nogawkami, ich piersi były nagie. Przyglądali się handlarzom. Nie powiedzieli ani słowa, nie wykonali żadnego gestu, a mimo to wyraźnie wyczuwało się ich wrogość.

Porywacze pozornie nie zwracali na nich uwagi, lecz nieustannie obserwowali ich kątem oka.

Dziób łodzi wbił się z chrzęstem w piasek. Była duża i mocna, zmieściłoby się w niej może dziesięć dorosłych osób. Pomalowana była na niebieskoszary kolor i miała zieloną krawędź, a po obu stronach dziobu widniał prosty rysunek słońca.

Mężczyzna o hipnotyzującym głose natychmiast podprowadził do niej dzieci i kolejno pomógł im wsiąść.

Dzieciaki były niespokojne, wyraźnie się denerwowały, ale kiedy polecono im usiąść na ławeczkach, usłuchały.

Trzej mężczyźni zepchnęli łódź z piachu i wskoczyli do środka. Dwóch przy wiosłach znowu wzięli się do pracy i łódź odbiła od brzegu. Wyciągnięto jeszcze parę wiosł i pozostali porywacze przyłączyli się do wiosłowania. Po chwili łódź pomknęła równo pod prąd.

Aileen chciała wstać, lecz powstrzymała ją ręka Roberta na jej ramieniu. Dziewczyna spojrzała na niego pytająco. Pokręcił tylko głową i powiedział bezgłośnie „poczekaj”.

Patrzył na trzech tubylców. Aileen podążyła za jego spojrzeniem.

Mężczyźni zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami, chyba w jakimś lokalnym języku. Po chwili najwyraźniej podjęli decyzję. Unieśli włócznie i ruszyli skrajem rzeki w kierunku, w którym popłynęła łódź.

Dopiero kiedy zniknęli im z oczu, Robert puścił ramię Aileen. Wstała i otrzepała suknię, po czym zeszła ścieżką na plażę.

Spojrzała w górę rzeki.

- Pójdziemy brzegiem? - spytała.

Robert patrzył właśnie na mapę.

- Nie. Niedaleko stąd powinna leżeć mała wioska. Pewnie ci trzej z niej pochodzą. - Złożył mapę i sięgnął po rękę Aileen. - Jeśli nam się poszczęści, będziemy tam mogli wynająć łódkę.

- Ale czy w tym czasie nam nie uciekną?

- I tak nie moglibyśmy za nimi popłynąć. Zobaczyliby nas, a nie mamy żadnego wiarygodnego pretekstu, który

tłumaczyłby naszą obecność.

- Więc po co nam łódka?

Robert popatrzył na nią z lekkim uśmiechem.

- Widziałaś ich łódź. Przecież muszą gdzieś dobić do brzegu. Na pewno bez trudu ją zobaczymy. W końcu raczej nie pomylimy jej z innymi łodziami.

- Aha. Rozumiem - rzekła Aileen i po chwili dodała: - Tylko raz płynęłam czółnem. Po jeziorze. I niespecjalnie mi szło sterowanie.

Tym razem Robert uśmiechnął się szeroko.

- Nie przejmuj się - rzekł, ściskając jej rękę. - Przypomnisz sobie, jak to się robi. A ja będę się martwił o sterowanie.

Ruszył przodem wzdłuż rzeki. Nie był pewien, z jaką dokładnością mapa wskazywała odległości, więc poczuł ulgę, gdy zaledwie ćwierć mili dalej las ustąpił miejsca otwartej przestrzeni otoczonej chatami.

Zgodnie z jego przewidywaniami na brzegu leżały czółna porządnie ułożone dnem do góry. Tubylcy zamieszkujący wybrzeże wykorzystywali takie łódki do połowu ryb w rzekach, a czasem nawet na otwartym oceanie.

Kilku mieszkańców wioski podeszło bliżej, kiedy Robert i Aileen przystanęli obok czółen. Większość łodzi mieściła dwie osoby. Frobisher wskazał jedną z nich i porozumiewając się na migi i za pomocą kilku prostych słów, wyjaśnił, że chciałby ją wynająć. Właściciel łodzi dał im do zrozumienia, że mogą wrócić, o której chcą, byleby odzyskał łódkę przed wschodem słońca, i za kilka szylingów dał im też pełen bukłak wody.

Aileen przezornie trzymała się z tyłu, ze spuszczonej oczami, lecz Robert wyczuwał, że uważnie przysłuchuje się rozmowie, wypatrując oznak zagrożenia.

Mężczyźni zepchnęli czółno na płyciznę. Robert przytrzymał je za dziób i podał rękę Aileen, a ona zakasała spódnicę i weszła do środka. Usiadła na przedniej ławce, a wtedy Robert pchnął czółno i sam wskoczył w ślad za nią. Usiadł na ławce przy rufie, chwycił wiosło i skierował czółno w stronę głównego nurtu rzeki. W tym miejscu była ona szeroka na sto jardów.

Wkrótce minęli punkt, w którym handlarze wsiedli do łodzi.

Za kolejnym zakrętem rzeki Robert powiedział cicho:

- Patrz na lewy brzeg. Ja będę patrzeć na prawy.
- Skoro wsiedli do łodzi, to chyba będą chcieli przedostać się na drugą stronę, prawda?
- Niekoniecznie. Jeśli pozostał im długi odcinek drogi, to rzeką dotrą o wiele szybciej niż na piechotę.

Robert trzymał się środka nurtu stopniowo zwężającej się rzeki, omijając z daleka wiry tworzone przez podwodne przeszkody przy brzegach.

Po przepłynięciu jeszcze jakiejś mili Aileen poderwała się, kołysząc czółnem.

- Tam!

Wskazywała lewy brzeg.

Robert zwolnił i skierował czółno w tę stronę.

- Masz bystry wzrok - pochwalił.

On sam ledwo dostrzegał szaroniebieski kadłub ukryty za zwisającymi gałęziami drzew. Handlarze wyciągnęli łódź na

piasek i ułożyli dnem do góry z dala od wody.

Podpływając bliżej, ujrzeli cienistą ścieżkę prowadzącą w głąb dżungli.

Zamiast jednak zatrzymać się w tym miejscu, Robert zawrócił i skierował czołno dalej w dół rzeki. Po jakichś trzydziestu jardach łódka wyhamowała i zaryła dziobem w piach pod pochylonym nad wodą drzewem.

- To powinno wystarczyć - rzekł.

Złapał za gałąź i wspiął się na brzeg, a potem pomógł wyjść Aileen.

Razem wyciągnęli czołno i ukryli je w gąszczu palm. Robert przerzucił bukłak przez ramię i ruszyli z powrotem wzdłuż brzegu, omijając zwisające liście palm i pnie drzew zagraadzające drogę.

Wreszcie dotarli do łodzi handlarzy. Wymalowane na dziobie słońce upewniło ich, że to na pewno ta.

Wokół na wilgotnej czarnej ziemi widać było liczne świeże ślady stóp.

Robert i Aileen rozejrzeli się - po tej stronie rzeki dżungla wydawała się o wiele gęstsza i bardziej nieprzenikniona.

Robert wyciągnął zegarek. Stancję Pani Hoyt opuścili tuż po dziewiątej. Wkrótce potem pożegnali się z Dave'em. Robert szacował, że na plażę w kolonii dotarli około dziesiątej. Otworzył wieczko zegarka i przechylił tarczę do słońca, które słabo przebijało przez gęste listowie.

- Która godzina? - spytała Aileen.

- Po drugiej. - Zatrzasnął wieczko i schował zegarek do kieszeni. - Myślałem, że jest później.

- Ja też. - Aileen spojrzała na ścieżkę. - Jak myślisz, daleko będziemy musieli iść?

- Nie mam pojęcia, ale jeśli dzieci zdołają tam dojść, to my również.

- To na pewno - zgodziła się. Popatrzyła mu w oczy, po czym skinęła głową w kierunku ścieżki. - Idziemy?

Robert uśmiechnął się kącikiem warg, ujął dłoń Aileen i pocałował ją przez rękawiczkę, po czym trzymając się za rękę, weszli w mroczną dżunglę.

Piętnaście

Poranek był wilgotny i parny, lecz po południu pod gęstym baldachimem z liści było nieznośnie duszno. Upał zmuszał ich do robienia częstych przystanków i popijania z bukłaka, który dali im uczynni wieśniacy.

Nie dogonili handlarzy i dzieci, ale też wcale się o to nie starali. Wystarczyły im ślady stóp w miękkiej ziemi.

W którymś momencie Robert przykucnął i zaczął badać odciski przecinające polanę.

- Dużo ludzi, w jedną i drugą stronę - powiedział, podnosząc się. - Niektóre z tych śladów są stare. Wątpię, aby prowadziły do tymczasowego obozu.

Aileen kiwnęła głową.

Znowu wzięli się za ręce i ruszyli dalej.

Minęły już całe lata - prawie dekada - od kiedy Robert zapuszczał się w taki gąszcz, lecz z dawnych wypraw zapamiętał wystarczająco dużo, aby teraz umieć wyszukać kilka dużych soczystych owoców i różnego rodzaju jagody.

Chodzenie po dżungli przypominało pływanie pod wodą. Korony drzew kołysane lekką bryzą przepuszczały słabe promienie światła i niewiele powietrza.

Od czasu do czasu rozlegał się skrzek ptaków. Kilka razy usłyszeli wołanie małp. Przeważnie jednak wędrówka przebiegała w ciszy.

Robert znowu spojrział na zegarek; dochodziła czwarta. Nagle usłyszeli dziecięce głosy.

Zamarli.

- To już niedaleko. Jesteśmy prawie na miejscu - odpowiedział im człowiek z czarującym głosem.

Przysłuchiwali się, jak przekonuje dzieci do dalszego marszu. Sądząc po ich narzekaniach, grupa wciąż poruszała się naprzód, ale wolniej.

Wreszcie droga, którą szli Aileen i Robert, zrobiła się szersza. Przystanęli i zaczęli nasłuchiwać.

- I jesteśmy na miejscu! Witamy w Siedlisku Kale'a! - usłyszeli.

Robert nachylił głowę w stronę Aileen.

- Kale to przywódca gangu handlarzy niewolników. Nie jest to miły osobnik.

- Ale to znaczy, że znaleźliśmy właściwy obóz, prawda? - odpowiedziała.

Robert przytaknął.

- Warto było iść taki szmat drogi.

- Pamiętajcie - rozległ się znowu tamten niezwykły głos - że to nie jest wasze nowe miejsce pracy. Zostaniemy tu tylko na noc albo dwie. Musimy się przekonać, czy nie dołączą do nas inni. Dopiero wtedy zaprowadzimy was do miejsca, gdzie będziecie pracować.

Robert rozejrzał się i pociągnął Aileen na węższą i jeszcze bardziej krętą ścieżkę wśród drzew. Poruszali się wolno i cicho, nieustannie kierując się w stronę obozu.

Spoza zarośli dostrzegli dużą otwartą przestrzeń - zapewne

Siedlisko Kale'a. Potem w zasięgu ich wzroku pojawiły się dzieci, wciąż idące rzędem za tamtym mężczyzną. Rozglądały się ciekawie dokoła.

Siedlisko Kale'a składało się z pięciu porządnie zbudowanych chat ustawionych w podkowę; najdłuższa to pewnie była kwatery główna. Otwarta przestrzeń między zabudowaniami mieściła wielkie palenisko, dookoła którego leżały pnie drzew służące za siedzenia.

Ścieżka, którą przyszły dzieci, prowadziła do otwartego końca podkowy. Robert zauważył jeszcze dwie inne dróżki wiodące z obozu do dżungli - ta po prawej stronie mniej więcej na wschód, ta po lewej zaś na północ.

- Tam są ludzie, przynajmniej w jednej z tych chat - szepnęła Aileen.

Rzeczywiście, w otwartych drzwiach chaty po prawej stronie widać było zarysy co najmniej dwóch męskich postaci.

- Te drzwi są zakratowane - zauważył Robert. - To nie jest chata. To cela. - Przeniósł wzrok na największy budynek. - A tam mieszkają handlarze.

- Oba środkowe budynki to cele - dodała Aileen. - Mają kraty zamiast drzwi. Ale te po zewnętrznej stronie, bliżej nas, już nie.

Robert pokiwał głową.

- Na pewno z tych zewnętrznych korzystają członkowie szajki. Gdybym sam miał rozplanować takie obozowisko, zrobiłbym to podobnie. W ten sposób garstka porywaczy może łatwo upilnować sporą grupę porwanych. Ucieczka byłaby trudna, chyba że więźniom jakimś cudem udałoby się zdobyć

broń.

Podczas gdy przyglądali się obozowi, dzieci zaprowadzono do pniaków i kazano usiąść twarzami do paleniska. Człowiek, który namówił je do przybycia tutaj, wszedł do głównego budynku, zostawiając coraz bardziej zaniepokojone ofiary pod okiem kolegów.

Drzwi chaty otworzyły się i na wąski ganek wyszedł mężczyzna, którego Robert i Aileen nigdy nie widzieli. Nie imponował posturą - nie był ani wysoki, ani potężnie zbudowany - mimo to miał w sobie coś takiego, co mimowolnie budziło strach.

- To musi być Kale - szepnął Robert.

Mężczyzna miał jasną karnację i dość rzadkie ciemnoblonde włosy. Był europejskiego pochodzenia, prawdopodobnie angielskiego. Wyglądał na nieco mniej niż czterdzieści lat. Twarz szpeciła mu długa szrama, która biegła od prawej skroni przez policzek i kończyła się tuż pod wydatnym nosem. Napięta skóra ściągała mu prawe oko nieco w dół i wykrzywiała górną wargę tak, że na jego twarzy stale widniał wyraz szyderstwa.

Miał na sobie workowate spodnie wsunięte w buty do kolan oraz luźną koszulę o szerokich rękawach - ubiór typowy dla większości zbirów z jego szajki. Przewiązany był w pasie brudną krwistoczerwoną szarfą, widać było także skórzany pas z puginałem.

Kiedy mężczyzna o niezwykłym głosie stanął przy nim, Kale obrzucił spojrzeniem dzieci siedzące na pniakach.

Nawet z odległości trzydziestu jardów widać było, że jego

twarz jest całkowicie pozbawiona uczuć.

- Nie mogłeś znaleźć nic lepszego? - warknął. -
Przyprowadziłeś mi dziewczynę?

W ciszy, jaka panowała w samym środku dżungli, jego słowa niosły się wyraźnie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Poza nią został tylko jakiś słabeusz. Ona jest silniejsza -
rzekł.

Dzieci odwróciły się, słysząc tę rozmowę, lecz pilnujący ich ludzie znowu kazali im się poodwracać. Zrobiły to niechętnie - widać było, że wszystkie zaczęły się wreszcie niepokoić.

Kale wolno pokiwał głową, nie odrywając wzroku od dziewczynki.

- Racja. Dubois nie dba o takie rzeczy, o ile dziewczyna nadaje się do pracy. Może być. - Obejrzał się w stronę domu. -
Zajmijmy się więc naszymi młodymi przyjaciółmi.

- O nie - szepnęła Aileen.

Robert podążył za jej spojrzeniem. Z chaty wychodzili z członkowie szajki. Nieśli w rękach dyby.

Zanim dzieci zdążyły się zorientować, co się dzieje, zostały otoczone.

- Nie! Czekajcie!

- Co wy robicie?!

Chłopcy próbowali się szarpać, opierać, ale mężczyźni bez litości - i bez wysiłku - zdołali ich przytrzymać.

Przerażone dzieci popatrzyły na człowieka, który nakłonił ich do przybycia do dżungli, licząc na jego pomoc, ale on tylko stał i przyglądał się, jak jego kamraci szybko i sprawnie

wkładają ręce i nogi małych więźniów w dyby.

Potem, wciąż uśmiechając się dobrotliwie, wykonał uspokajający gest.

- To tylko na wszelki wypadek, żebyście nie odeszli gdzieś do dżungli. To niebezpieczne miejsce. Mnóstwo tutaj dzikich zwierząt.

Uśmiechał się, lecz dzieci już przejrzały na oczy i na ich twarzach ukazała się rozpacz.

Aileen popatrzyła z wściekłością na Roberta.

- Nie - szepnął. - Nie możemy ich uratować.

Aileen spojrzała z powrotem na małych więźniów, których prowadzono właśnie do jednego z baraków.

- Żadne dziecko nie powinno chodzić w czymś takim - powiedziała drżącym głosem.

- Nie przeczę.

- Nigdy dotąd nie życzyłam nikomu śmierci, ale ci ludzie... wszyscy ci porywacze, a przede wszystkim Kale i ten jego sługus... - Aileen wciągnęła powietrze i oświadczyła głosem bez wyrazu: - Mam nadzieję, że zginą.

Robert uścisnął jej rękę.

- Nie jesteś w tym życzeniu odosobniona. - Po chwili dodał:
- Chodźmy więc. Pomóż mi zdobyć informację, której potrzebujemy, aby twoje pragnienie się spełniło.

Aileen patrzyła za dziećmi, dopóki nie zniknęły w chacie, a potem popatrzyła na Roberta i powiedziała zdecydowanie:

- Tak. Dobrze. - Rozejrzała się. - A więc obóz jest właśnie tutaj. Co jeszcze musimy wiedzieć?

- Nie my, tylko ten, który przyjdzie po nas. - Robert podniósł

się ostrożnie i ruchem głowy pokazał, że powinni okrążyć obozowisko. Aileen również wstała i szybko cofnęli się głębiej w las. – Następna osoba, której zadaniem będzie zapewne uporać się z Kale'em, musi dostać jak najwięcej informacji, aby zaplanować stosowne działania.

Powoli i ostrożnie przedzierali się przez dżunglę, okrążając obóz. Policzyli handlarzy niewolników – łącznie z trzema, którzy przyprowadzili dzieci, było ich dziewięciu.

Znowu przykucnęli i patrzyli, jak po zamknięciu dzieci w jednym baraku porywacze wyprowadzają z drugiego dwóch mężczyzn. Mieli około dwudziestu lat. Sądząc po ubraniach, mogli należeć do marynarki. Wyglądali na wściekłych, ale też nieco oszołomionych faktem, że znaleźli się w kajdanach w jakimś obozie w środku dżungli. Z komentarzy, które dotarły do uszu Roberta i Aileen, wynikało, że upili się któregoś wieczoru do nieprzytomności i obudzili już w niewoli.

– Ich nie zabrano do kryjówki w mieście – szepnęła Aileen.

– Na to wygląda – odpowiedział Robert. – W przeciwieństwie do ofiar, o których wiemy, tych dwóch uprowadzono chyba przy okazji z jakiejś tawerny w slumsach.

Aileen zmarszczyła brwi.

– Ciekawe, dlaczego zmienili strategię.

– Lady Holbrook zniknęła. Może nikt inny nie był w stanie jej zastąpić. Z tego, co mówił Kale, wynika, że ten cały Dubois robi się coraz mniej wybredny w kwestii siły roboczej. – Robert pociągnął Aileen za sobą. – Chodźmy.

Dotarli do pierwszej ścieżki prowadzącej z obozu w dżunglę. Byli już dość daleko od granic obozowiska. Robert

przykucnął i odgarnął warstwę gnijących liści, żeby przyjrzeć się ziemi.

Aileen stała obok niego w milczeniu, patrząc cały czas w kierunku obozu, lecz nikt stamtąd nie nadszedł.

Robert podniósł się i otarł palce o spodnie.

- Często z niej korzystano w ostatnich miesiącach. -
Spojrzał między drzewami w kierunku drugiej ścieżki. -
Sprawdźmy, jak wygląda tamta.

Zanim do niej dotarli, słońce zaczęło przygasać. Okazało się, że dróżką prowadzącą na wschód od dawna nikt nie chodził. Liany zwisały na wysokości ludzkiej głowy i niżej, warstwa liści była gruba i równa, gdzieś tam przebijały spod niej małe drzewka.

- Dubois działa więc raczej na północ stąd - stwierdził Robert.

Aileen kiwnęła głową i się rozejrzała. W gasnącym świetle dnia okolica wydawała się jeszcze bardziej nieprzyjazna i niepokojąca.

- Więcej już się nie dowiemy. - Robert wziął ją za rękę. -
Wracajmy nad rzekę.

Widzieli już ścieżkę między palmami, kiedy nagle Robert przystanął w pobliżu wielkiego drzewa. Byli dobrze ukryci, a jednocześnie znajdowali się na tyle blisko obozu, że usłyszeliby, gdyby ktoś stamtąd nadchodził.

- Wydaje mi się, że lepiej jeszcze nie wychodzić na drogę - wyjaśnił Robert. - Ktoś jeszcze może tu przypląć z zapasami jedzenia i wody albo sprzętem górniczym od Wintera. Nie powinniśmy ryzykować, że wpadniemy prosto w łapy tej szajki.

- Mamy już informacje, które chciałeś zdobyć, a nawet więcej, musimy tylko wrócić bezpiecznie na statek - przytaknęła Aileen.

- Właśnie. - Robert posadził ją na pniaku porośniętym mchem. - Droga z kolonii do rzeki zajęła nam dwie godziny. A od rzeki do obozu, choć szliśmy wolniej, mniej więcej półtorej godziny. To znaczy, że jeśli odejdziemy stąd, gdy tylko się ściemni, powinniśmy mieć czas, żeby wrócić nad rzekę, oddać czółno i wyruszyć w drogę powrotną, zanim porywacze z miasta dotrą wraz z więźniami nad wodę. Ale jeśli wybierzemy tę samą drogę co poprzednio - dodał - możemy na nich wpaść. Wydaje mi się, że zamiast tego powinniśmy trzymać się rzeki i ruszyć z jej biegiem do zatoki. Stamtąd wysłaliśmy sygnał na „Trójzęb”, żeby przysłali po nas łódź.

Aileen skinęła głową. Oparła się o niego ramieniem, splatając palce z jego palcami.

- Można by pomyśleć, że przywykłeś do tego typu akcji - rzekła z uśmiechem.

Robert prychnął, ale nic nie powiedział. Siedzieli cicho i czekali, a mrok dżungli gęstniał wokół nich.

Bujne listowie tłumiło dźwięki dobiegające z obozu - odgłosy gotowania oraz krzyki porywaczy karmiących więźniów i odprowadzających ich z powrotem do baraków. Aileen nasłuchiwała uważnie, lecz nie usłyszała żadnych protestów dzieci. To dobrze, że dziewczynkę skuto razem z chłopcami, nie zaś osobno. Jeśli ten cały Dubois wykorzystywał do pracy dzieci, to przynajmniej dziewczynka przedstawiała dla handlarzy większą wartość cała i zdrowa.

Wreszcie nadeszła noc. Siedzieli w milczeniu, lecz nie jak zwykli znajomi ani nawet przyjaciele. Aileen czuła przy sobie ciepło ciała Roberta. Nie dziwiło jej, że to, co między nimi zaszło, zmieniło ich wzajemne relacje, choć nie spodziewała się, że to nastąpi tak... naturalnie. Jego bliskość, zamiast wprawiać ją w stan rozedrgania, była kojąca, jakby odnajdując Roberta Aileen znalazła wreszcie kluczowy - a brakujący dotąd - element jej życia. Czuła, że to właśnie ten mężczyzna, na którego tak długo czekała.

W obozie zrobiło się ciszej, choć wciąż słyszeli strzępy rozmów - widocznie porywacze siedzieli jeszcze wokół ogniska.

Robert postukał ją w ramię, po czym wstał, przeciągnął się, poprawił pas ze szpadą i podał Aileen rękę.

- Czas ruszać.

Dziewczyna wstała, wspierając się na jego dłoni...

I nagle coś na nią skoczyło i zaczęło szarpać.

Aileen wrzasnęła.

Zwierzę tak samo - był to krzyk, od którego aż uszy pękały.

Aileen zaczęła się szamotać, próbując strącić małpę, która wczepiła się w jej ramię i szarpała ją za włosy, aż wreszcie wyciągnęła z nich grzebyk.

Potem wyszczerzyła się do Roberta, skoczyła z powrotem na gałąź, z której zeszła, i uciekła.

Aileen zachwiała się i złapała Frobishera za ramię. Jej serce tłukło się niczym oszalałe. Kręciło jej się w głowie i ledwo mogła złapać oddech.

Robert chwycił ją... i nagle podniósł głowę. Zaklął z cicha.

Zakrył otwarte usta Aileen dłonią i spojrzał jej w oczy.

- Słyszeli cię. Idą tutaj. - Popatrzył do góry. - Mam nadzieję, że w dzieciństwie łąziłaś po drzewach. Podsadzę cię. Wspinaj się najciszej, jak to możliwe.

Aileen zdołała tylko pokiwać głową, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. Robert cofnął dłoń z jej ust, chwycił ją w pasie i podźwignął w górę.

Dziewczyna złapała najniższą gałąź, podciągnęła nogi i przez rzuciła je na drugą stronę. Potem stanęła na gałęzi, sięgnęła po kolejną i zaczęła się wspinać. Jej spódnica nie najlepiej się do tego nadawała, ale przynajmniej materiał chronił skórę przed otarciami, podobnie jak rękawiczki. Przystanęła na chwilę i spojrzała w dół. Robert podciągał się na gałęzi po drugiej stronie pnia.

Gdy tylko znalazła się pod osłoną gęstego listowia, przystanęła i przywarła do pnia. Serce waliło jej jak młotem, oddychała szybko i płytko. Robert dołączył do niej cicho niczym duch. Nachylił się i wyszeptał:

- Nie widzieli nas.

Aileen ledwo odważyła się pokiwać głową.

Robert nie powiedział, że są bezpieczni - bo nie byli.

- Mam nadzieję, że uznają to za kłótnię małp.

Aileen wydało się dziwne modlić się o to, by wzięto ją za małpę, niemniej to właśnie zaczęła robić.

Robert także się modlił. Decyzja o wspięciu się na drzewo i pozbawieniu możliwości ucieczki, podczas gdy w dole szukali ich handlarze niewolników, którzy nie wahali się użyć przemocy, była wbrew wszelkiej logice.

Ale gdyby próbowali uciekać, zostaliby złapani. Aileen zwyczajnie nie byłaby w stanie biec na tyle szybko, żeby umknąć pościgowi. I tak jak wczoraj Robert przedłożył kwestię jej bezpieczeństwa ponad wypełnienie misji, tak i teraz nie mógłby pozostawić jej samej – jego również by schwytali, a mówiąc dokładniej, sam by na to pozwolił.

Jego misja zakończyłaby się całkowitą klęską.

Jeśli jednak zdołają dostatecznie długo uniknąć wykrycia, handlarze dojdą do wniosku, że słyszeli tylko mały, i zrezygnują z pościgu. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Czekali więc w milczeniu, ledwo wążąc się oddychać.

Wreszcie usłyszeli ciężkie kroki zmierzające ku nim po ścieżce. Wstrzymali oddechy, lecz kroki zaczęły się oddalać w stronę obozu. Mężczyźni, którzy ruszyli na poszukiwania, zawracali, rzucając przekleństwa pod adresem wszystkich małych pod słońcem.

Zapadła cisza.

– Musimy jeszcze chwilę poczekać, aby się upewnić, że żaden z nich nie pozostał z tyłu – wyszeptał Robert.

Żałował, że nie może sprawdzić, ile czasu już upłynęło, ale w mroku nie widział tarczy zegarka. Nie chciał pochopnie opuścić kryjówek w gałęziach, ale zbyt długie oczekiwanie zwiększało ryzyko, że w drodze powrotnej wpadną na handlarzy zmierzających do obozu z kolonii.

Wreszcie uznał, że muszą zaryzykować.

– Poczekaj tutaj – szepnął. – Zejdę na dół i się rozejrzę. Jeśli droga jest wolna, stuknę dwa razy w pień. Nie ruszaj się stąd, dopóki tego nie zrobię. – Zobaczył, jak Aileen kiwa głową, lecz

zanim zdążył się ruszyć, wyciągnęła rękę i złapała go za krawatę, przyciągnęła do siebie i wycisnęła na jego ustach niemal desperacki pocałunek.

- Uważaj na siebie - szepnęła.

Robert uśmiechnął się i zaczął schodzić z gałęzi na gałąź. Na ostatniej zatrzymał się na chwilę, lecz nie wyczuł niczyjej obecności. Zeskoczył lekko na ziemię.

Obszedł drzewo dookoła, po czym sprawdził ścieżkę.

Miejsce, w którym powinni wyjść na drogę, znajdowało się co najmniej dwa zakręty od obozu, poza zasięgiem wzroku strażników.

Uspokojony, zastukał dwukrotnie w mocny pień.

Minutę później Aileen zeszła na najniższą gałąź.

Robert wyciągnął ręce i złapał ją, kiedy zeskoczyła, po czym płynnym ruchem postawił na ziemi.

Przedarli się przez zarośla z powrotem w kierunku ścieżki.

Ruszyli najszybciej, jak mogli. Aileen uniosła suknię, z trudem dotrzymując Robertowi kroku.

Przeszli już większość drogi do rzeki, zanim Robert wreszcie uznał, że ryzyko pościgu jest minimalne, i pozwolił sobie na lekkie rozluźnienie.

Wciąż nie mógł się nadziwić, że idąca u jego boku kobieta wykazuje się tak wielką odwagą i determinacją. Zdumiewał go jej rozsądek, oddanie sprawie i jej stanowczość. Większość znanych mu kobiet już dawno by się poddała, stając się dla niego ciężarem.

Lecz nie ona. Dorównywała mu na każdym etapie tej wyprawy.

To chyba żart losu, że tak bardzo go to pociągało...

Dotarli wreszcie do rzeki - Robert uznał, że zrobili to w niezłym tempie - i ruszyli prosto do miejsca, gdzie pozostawili zamaskowane czółno. Na szczęście nikt go nie zabrał. Aileen oparła się o drzewo, żeby wyrównać oddech, Robert zaś wyciągnął zegarek i nachylił tarczę, żeby spojrzeć na nią w odbijającym się od wody świetle księżyca.

- Która godzina? - spytała Aileen.

- Prawie ósma. - Robert wsunął zegarek do kieszeni i zaczął zgarniać ręką gałęzie i liście pokrywające czółno. - Jeśli chcemy mieć pewność, że nie natkniemy się na handlarzy nadchodzących od strony miasta, do ósmej trzydzieści musimy minąć miejsce, gdzie ścieżka z kolonii dochodzi do rzeki.

Aileen rzuciła się do pomocy przy oczyszczaniu czółna.

Potem Robert spuścił je na wodę i pomógł jej wsiąść.

Natychmiast odbili od brzegu. Nie rozmawiali, tylko wiosłowali ze wszystkich sił.

Robert prowadził czółno środkiem nurtu. Na tak odsłoniętym odcinku rzeki nie było sensu trzymać się brzegów. Zdradziłyby ich same ślady pozostawiane na wodzie przez łódkę. Tym razem przynajmniej nie płynęli pod prąd.

- To tu - usłyszał Robert ciche słowa Aileen i nad wąską linią piasku ujrzał ciemniejszą plamę na tle ciągnącego się w nieskończoność pasa zieleni.

Pięćdziesiąt jardów dalej mógł już ustawić czółno tak, żeby płynęli w niewielkiej odległości od brzegu.

Wreszcie zobaczyli wioskę i czółno zaryło dziobem w wąski pas plaży.

Po namyśle stwierdzili, że najlepiej będzie wyciągnąć je z wody i ułożyć razem z pozostałymi, żeby wyglądało to tak, jakby nikt poza mieszkańcami wioski nie korzystał z łódek.

Wspólnymi siłami wciągnęli czółno na szorstką trawę i ułożyli je dnem do góry.

Robert zsunął z ramienia pusty bukłak i schował go pod spodem.

Kiedy wyprostował się i odwrócił, Aileen podeszła, złapała go za poły kurtki i przyciągnęła do siebie jego głowę. Pocałowała go mocno.

- A to za co? - zapytał, mrugając.

Popatrzyła mu w oczy, nadal trzymając za ubranie. W świetle księżyca widział na jej twarzy zarówno radość, jak i wojowniczość - była niczym jego własna Boadicea.

- Za to, że doprowadziłeś nas tak daleko - oznajmiła. - A teraz wracajmy na „Trójzęb” i ruszajmy do domu.

Robert uśmiechnął się szeroko.

- To doprawdy niezwykle, jak często myślimy dokładnie w ten sam sposób - powiedział, ujmując jej dłoń.

Trzymając się za ręce, ruszyli drogą, która miała zaprowadzić ich nad zatokę.

Ale okazało się, że są zanadto wyczerpani. Dzień zaczęli przed świtem - a przecież i poprzednia noc nie upłynęła im spokojnie - no i cały czas towarzyszyło im napięcie z powodu stałego zagrożenia. Do tego doszły jeszcze ostatnie godziny panicznej ucieczki.

Nic dziwnego, że oboje lecieli z nóg.

Kiedy Aileen po raz trzeci się potknęła, Robert przystanął. Przed nimi, niedaleko od brzegu, znajdowała się kolejna wioska.

- Sprawdźmy, czy moglibyśmy tam odpocząć. Handlarze nie będą nas tu szukać, a „Trójzęb” zaczeka.

Aileen ledwie pokiwała głową. Coraz trudniej było jej przestawiać stopy grzęznące w piasku. Do tej pory nie wiedziała, co to znaczy być u kresu sił, lecz teraz poznała to uczucie.

Na szczęście Robert był w lepszym stanie. Niemal wniósł ją po łagodnym zboczu i pozwolił jej oprzeć się o siebie, kiedy rozmawiał z miejscowym wodzem, który wyszedł im na spotkanie. Na szczęście starzec rozumiał angielski, choć sam znał tylko kilka słów.

Idąc za nim do chaty na skraju wioski, Aileen ledwo była w stanie unieść powieki. Chałupa, stojąca na niskich palach, miała ściany ze słomianych mat i dach kryty strzechą. Za drzwi służył kawałek ciężkiej tkaniny.

Kilka monet przeszło z rąk do rąk, pobrzękując w mroku nocy, i starzec odsunął tkaninę, wprowadził ich do środka, po czym odszedł.

W nikłym świetle księżycy Aileen zobaczyła proste łóżko. Podeszła do niego i spróbowała usiąść.

Robert podtrzymał ją za ramię i pomógł ułożyć się na szorstkim kocu.

Zdołała jeszcze tylko zobaczyć, jak Frobisher odkłada pas ze szpadą na podłogę i podchodzi do wejścia. Przez sekundę

stał na tle czarnego aksamitnego nieba, a potem zasłona opadła i w chacie zapanowała ciemność. Aileen zasnęła, zanim Robert zdążył wrócić. Nie poczuła, jak kładzie się obok niej i łagodnie wsuwa ramię pod jej głowę.

W chacie panował nieznośny upał, mimo że przez szpary w matach napływało nieco chłodniejsze powietrze, ale bez względu na gorąco Robert chciał mieć Aileen przy sobie, żeby poczuć, jeśli się poruszy.

Przymknął oczy i zaczął rozmyślać.

Może udałoby się zebrać dostateczną siłę, żeby uderzyć na handlarzy niewolników, a potem zająć się bezpośrednio kopalnią...

Ale nie. Serce mogło doradzać takie działania, rozum jednak podpowiadał, że wiązałyby się one ze zbyt dużym niebezpieczeństwem – ceną porażki byłaby śmierć wszystkich porwanych.

W każdym razie osiągnęli swój cel – poznali położenie obozu Kale'a i przekonali się, że prawdopodobnie wszyscy zaginieni wciąż żyją.

Żyją i pracują dla kogoś o nazwisku Dubois.

Ta świadomość w połączeniu z dodatkowym nieoczekiwanym sukcesem, jakim było znalezienie jedynej kobiety, którą mógł sobie wyobrazić w roli swojej żony – jedynej, którą chciałby poślubić – w zupełności Robertowi wystarczała.

Na razie.

Mieli przynajmniej dość informacji, żeby zaplanować dalsze działania.

Nagle poczuł się tak wyczerpany, że nie potrafił dłużej

walczyć z ogarniającą go sennością. Westchnął i zapadł w głęboki sen.

Szesnaście

Obudził się w egipskich ciemnościach, czując na ustach dotyk miękkich palców.

Wyczuwając przy sobie znajome krągłości, powstrzymał się przed instynktowną obroną.

Przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

Zamrugał i otworzył oczy. W mroku majaczyła twarz Aileen. Robert uniósł lekko głowę, a wtedy dziewczyna nachyliła się i szepnęła:

- Ktoś jest na zewnątrz. Słuchaj!

Do ich uszu doszła prowadzona półgłosem rozmowa, która musiała zbudzić Aileen. Dobiegała z pewnej odległości - od strony rzeki.

Wódz, od którego najęli chatę, mówił coś pospiesznie, z oburzeniem.

- Słuchaj, starcze, w tym nie ma najmniejszego sensu. - Głęboki, nieco chrapliwy głos Kale'a był zbyt charakterystyczny, żeby go nie rozpoznać.

Wódz znowu zaprotestował.

- Nie, nie. - Głos mężczyzny, który oszukał dzieci, był jak zwykle kojący i łagodny. - Widzi pan, sprawa wygląda tak.

Robert wyciągnął rękę, namacał pas ze szpadą i zapiął go szybko na biodrach.

Aileen stanęła przy nim, ściskając w ręku swoją czarną

torebkę, ze spojrzeniem utkwionym w zasłonie drzwi.

- Wiemy, że gdzieś w tej okolicy kręcił się pewien dżentelmen wraz z damą. Jeden z naszych zwiadowców był na spacerze z kobietą z wioski położonej w górze strumienia i widzieli ich w czólnie zmierzającym w tę stronę.

Robert podszedł do tylnej ściany i zaczął ostrożnie sprawdzać ją palcami. Był pewien, że przed spuszczeniem zasłony w drzwiach, zanim w chacie zapadła całkowita ciemność, zauważył gdzieś w rogu zarys przesłoniętego matą okna.

- Nasz zwiadowca rozpytał się o nich i dowiedział się, że ten dżentelmen i dama wynajęli czółno w tamtej wiosce.

Wódz najwyraźniej z siebie tylko znanych pobudek nadal wypierał się, że kiedykolwiek widział Roberta i Aileen.

Robert czuł, że zaczyna go ogarniać niepokój - głównie ze względu na towarzyszącą mu Aileen - lecz dalej metodycznie sprawdzał ścianę. Wreszcie jego palce natrafiły na ledwo wyczuwalną krawędź okna.

- Tak samo jak wodzowie wiosek, i my nie zamierzamy tolerować ludzi, którzy wchodzą na nasze terytorium - odezwał się Kale.

Wydawał się zniecierpliwiony.

Modląc się, żeby zawiasy nie wydały żadnego dźwięku, Robert otworzył okno. W odległości zaledwie jarda widać było dżunglę.

- Nasz człowiek wyruszył po pomoc do miasta - mówił dalej mężczyzna o niezwykłym głosie. - Przypuszczał, że ta para zwróci czółno i uda się z powrotem do kolonii.

- Tak się jednak nie stało - warknął Kale.

Robert wychylił się przez okno. Mimo mroku zobaczył, że ziemia jest powyżej poziomu podłogi.

Wódz po raz kolejny zaczął coś mówić. Tym razem trwało to dłużej.

Robert zbliżył usta do ucha Aileen.

- Ty pierwsza - szepnął.

Uniosła rękę i zobaczył w niej pistolet.

- Będę cię kryła z zewnątrz - odpowiedziała.

Nie było czasu zastanawiać się nad tym pomysłem. Robert chwycił Aileen w pasie i ją podsadził.

- Ale ci ludzie muszą przecież gdzieś być, wodzu, a wygląda na to, że wasze puste chaty byłyby dobrą kryjówką. - Głos zaklinacza stał się nieco wyraźniejszy. - Nikt nie mógłby cię obwiniać, gdyby okazało się, że ukryli się w którejś z nich, prawda?

Wódz przemawiał dalej, lecz było jasne, że nie zdoła dłużej grać na zwłokę. Sądząc po głosach, wszyscy trzej szli już w ich kierunku.

Robert czuł, że zaczynają go ponosić nerwy, gdy suknia Aileen zahaczyła o okno i dziewczyna przez chwilę musiała się z nią szarpać, zanim się uwolniła. Zaraz potem Robert wyskoczył na zewnątrz.

Z sercem walącym jak młotem złapał Aileen za rękę i bezgłośnie wtopili się w gęsty mrok dżungli.

Szli w stronę przeciwną do rzeki. Kiedy od wioski dzieliło ich już ponad sto jardów, odwrócili się i zaczęli nasłuchiwać. Przez bujną roślinność dobiegały ich odgłosy kroków ciężko

obutych mężczyzn – przeszukiwali puste chaty.

Robert nachylił się do ucha Aileen i szepnął:

- Nocą w takim terenie nie zdołają nas wyśledzić. Ale pilnują ścieżki do kolonii, więc tamtędy nie zdołamy uciec.

- A co z naszym pierwotnym planem? – spytała. – Mielibyśmy ruszyć wzdłuż rzeki aż do delty i obejść ją do miejsca, gdzie będziemy mogli wezwać „Trójzab”.

- Tak byłoby najlepiej, ale... – skrzywił się – na ich miejscu... gdyby zależało mi na złapaniu kogoś tak bardzo, jak najwyraźniej zależy Kale'owi, poza zablokowaniem drogi do kolonii kazałbym też patrolować rzekę łodziami na całej długości. Musimy jak najszybciej znaleźć kolejne czółno i ruszyć przed nimi.

Aileen szła za Robertem niemal na ślepo. Jej wzrok przyzwyczajał się do ciemności, lecz zdała się na jego doświadczenie, instynkt i zdolności.

Zastanawiała się, co się wydarzy w wiosce – czy zostawili za sobą coś, co zdradzi handlarzom, że w ogóle tam byli. Wydawało jej się, że nie. Miała nadzieję, że Kale i jego ludzie zwyczajnie przeszukają chaty i odejdą, nie czyniąc krzywdy wodzowi i pozostałym mieszkańcom.

Znajdowali się już dobry kawałek drogi na północ od wioski, kiedy odległe odgłosy przekleństw zawiadomiły ich, że ich obecność w wiosce została odkryta i ktoś próbuje podążać ich śladem.

Robert nic nie powiedział, tylko przyspieszył kroku.

Aileen ruszyła za nim, unosząc spódnicę, żeby nie plątała jej się wokół nóg.

Wkrótce stało się jasne, że pościg oddalił się w głąb dżungli, mniej więcej w kierunku kolonii.

Robert obejrzał się, posłuchał przez chwilę, po czym jego zęby błysnęły w szerokim uśmiechu.

- Kupiliśmy sobie trochę czasu. Módlmy się tylko, aby w następnej wiosce mieli czółna.

Aileen jako pierwsza dostrzegła między palmami linię dachów pokrytych strzechą. Pociągnęła Roberta za rękę i pokazała palcem. Skierowali się w stronę śpiącej wioski.

Weszli do niej od tyłu. Minęli dwie chaty i - dzięki Bogu! - na trawie przy rzece ujrzeli rząd odwróconych do góry dnem czółen. Podbiegli do jednego z nich.

Robert złapał za jeden koniec, Aileen za drugi i łagodnie spuścili je na fale. Potem Robert odepchnął czółno od brzegu, wskoczył do środka i zaczęli wiosłować w kierunku odległej delty.

Robert wiedział, że powinni płynąć jak najszybciej, starał się jednak nie zużyć całej energii. Musieli wytrwać dostatecznie długo, żeby znaleźć w zatoce jakieś miejsce, gdzie będą na tyle bezpieczni przed pościgiem, aby zejść na ląd i puścić sygnały dymne. Jeśli im się nie uda, będą musieli płynąć aż do „Trójzębu”.

Obie opcje wymagały siły, wytrzymałości i szczęścia. I obie wiązały się z ryzykiem - ryzykiem, którego nie dało się z góry przewidzieć.

Awanturnicze serce Roberta cieszyło się jednak na myśl o walce oraz bezpośrednim zagrożeniu. Martwił go jedynie fakt, że była przy nim Aileen i że czekały ją te same

niebezpieczeństwa i trudy.

Jego spojrzenie spoczęło na miedzianowłosej upartej i ślicznej główce. Nie musiał pytać, aby wiedzieć, że Aileen żadną miarą nie zgodziłaby się na ograniczenie jej udziału w tej przygodzie.

Robert wiedział o tym i to doceniał, nawet jeśli musiał walczyć ze swoim instynktem opiekuńczym.

W głębi serca nawet to akceptował – rozumiał, że musi pozwolić Aileen pozostać sobą, podobnie jak ona pozwoliła mu wejść w tę zwariowaną przygodę, odkrywając w nim duszę awanturnika.

Przy niej mógł stać się mężczyzną, jakim był w głębi serca.

Nad wodą poniósł się okrzyk.

Robert zaklął w myślach i przyspieszył.

Aileen obejrzała się i natychmiast również zaczęła szybciej wiosłować.

Wkrótce stało się jasne, że Kale rzeczywiście, zgodnie z przypuszczeniami Roberta, wysłał zwiadowców, żeby patrolowali rzekę.

Na szczęście byli za nimi i jak dotąd ich nie zauważyli. Szybko zmniejszali dystans, lecz nie wszczęli jeszcze alarmu.

To miało się wkrótce zmienić. Na ostatnim odcinku rzeka rozlewała się szeroko – a dokładnie wtedy, gdy Robert i Aileen tam dotarli, zza chmur wyszedł księżyc.

Robert znowu przyspieszył i zaczął wołać do Aileen:

– I raz!... I dwa!

Pomknęli dalej.

Dwieście jardów.

Sto pięćdziesiąt.

Robert zaryzykował szybkie spojrzenie do tyłu.

Doganiały ich trzy czółna. W każdym siedziało po dwóch osiłków.

W czwartej, nieco większej łodzi Kale z kordelasem w ręce wykrzykiwał polecenia.

Robert zacisnął zęby.

Kale najwyraźniej przewidział ich ruchy. Robert poczuł nawet szacunek dla inteligencji przeciwnika - choćby dlatego, że i Kale najwyraźniej docenił jego spryt.

Przywódca szajki nie wziął jednak pod uwagę faktu, że siedząca przed Robertem kobieta potrafiła wiosłować wcale nie gorzej niż potężnie zbudowany mężczyzna.

Ludzie Kale'a nadal więc zbliżali się do nich, ale za wolno.

Oczywiście mogło się jeszcze okazać, że kiedy znajdą się u ujścia rzeki, gdzie prądy zrobią się silniejsze, a warunki o wiele bardziej przypominały otwarte morze, osiłki Kale'a będą potrafiły lepiej manewrować lekkimi rzecznyymi łódkami.

- Wiosłuj dalej! - krzyknął Robert. - Już prawie jesteśmy!

Aileen odchyliła lekko głowę.

- Ale gdzie?!

- Zaufaj mi! - Robert mimowolnie się uśmiechnął. - Przebijemy się prosto przez tę linię fal przed nami!

Aileen mruknęła coś w odpowiedzi, lecz wzmagający się wiatr zagłuszył jej słowa.

Dwadzieścia jardów. Dziesięć.

- Schowaj wiosło i trzymaj się mocno! - krzyknął nagle Robert.

Aileen natychmiast wykonała polecenie. Położyła wiosło pod nogami i złapała się obiema rękami za burty.

Czółno uderzyło dziobem w pierwszą spienioną falę i uniosło się do góry. Aileen pisnęła i odwróciła twarz.

Morska piana spryskała ją od stóp do głów, a potem dziób opadł i dziewczyna poczuła, że mkną równolegle do linii fal.

Nie czekając na polecenie, wyciągnęła wiosło i znowu desperacko zabrała się do wiosłowania.

Kiedy Robert przeprowadzał ich przez kolejną falę, obejrzała się szybko przez ramię, ale nikogo nie zobaczyła.

Słyszała jednak przekleństwa Kale'a, gdy wciąż poganiał swoich ludzi.

Widoczność na szerokich wodach zatoki była lepsza niż na rzece. Księżyc wzniósł się wyżej na niebie, oblewając wszystko srebrzystą poświatą.

Wspięli się na kolejną falę i tym razem Aileen rozejrzała się, lecz nie zobaczyła żadnego statku.

- Po prawej! - zawołał Robert, kiedy znowu opadli w dół.

Czółno mknęło do przodu po spokojniejszej tafli wody.

Rzeczywiście, na prawo od nich ujrzała piękny, zgrabny żaglowiec, którym zachwycała się przed kilkoma dniami, zwrócony rufą w ich stronę.

- Módlmy się, żeby nas szybko zauważyli! - krzyknął Robert.

Całe szczęście, że kazał wprowadzić „Trójzab” w głąb delty. Statek stał teraz bliżej ujścia rzeki niż poprzednio.

Robert jednak podejrzewał, że nadal dzieli ich od niego zbyt duża odległość.

Obejrzał się. Jak przypuszczają, większe fale na zatoce spowolniły nieco handlarzy, jednak żadne z czółen się nie wywróciło.

Robert zmełł w ustach przekleństwo. Jego grzbiet, ramiona i nogi płonęły bólem, a przecież wciąż mieli do przepłynięcia znaczny dystans.

I nagle z rufy „Trójzębu” strzeliła raca – sygnał, że dostrzeżono ich i rozpoznano.

Jego załoga spieszyła na ratunek – ale czy zdąży?

Szalupa czekała przecież dalej w delcie albo nawet w porcie. Robert wątpił, że wróci na tyle szybko, żeby się przydać. Drugą szalupę zaś trzeba by najpierw zwodować, a to wymagało czasu...

Do tej pory był pewien, że Kale będzie chciał pochwycić ich żywcem. Teraz jednak obawiał się, że skoro mogą wymknąć mu się z rąk, spróbuje ich zabić.

Rozpoczął się odpływ, który ściągał ich czółno w kierunku „Trójzębu”, przyspieszając nieco tempo wiosłowania, lecz zjawisko to tak samo pomagało przecież pościgowi. Dodatkowo fale zmaląły, odbierając im przewagę, jaką dawała bardziej wzburzona woda.

Robert nie musiał się oglądać, aby wiedzieć, że dwa z goniących ich czółen są już blisko.

– Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie, chłopaki – ryknął Kale – ale macie zatrzymać tych drani!

Robert podniósł wzrok. Od „Trójzębu” wciąż dzieliło ich ponad sto jardów. Zrozumiał, że nie zdołają dotrzeć do statku.

I wtedy nad ich głowami przemknęła salwa strzał, które

spadły jak deszcz na ścigające ich czółna.

Rozległy się przekleństwa i Robert uśmiechnął się ponuro.

- Nie przestawaj wiosłować! - krzyknął do Aileen.

Nie widziała strzał, usłyszała tylko wywołane przez nie zamieszanie.

Sam sięgnął do biodra i poluzował szpadę w pochwie - w samą porę. Jego palce nie puściły jeszcze rękojeści, kiedy jedno z czółen handlarzy przyspieszyło i zbliżyło się do nich z lewej strony.

Mężczyzna z przodu uniósł pałkę i się zamachnął.

Robert zareagował instynktownie. Odwrócił się i pałka ledwo musnęła go po ramieniu.

Napastnik stracił równowagę i przechylił się w jego stronę.

Robert zadał mu cios w odsłonięte miejsce między szyją a barkiem - było to śmiertelne pchnięcie.

Ta krótka walka sprawiła jednak, że ich czółno obróciło się dziobem w drugą stronę i nagle Aileen znalazła się w samym środku akcji, tyłem do „Trójzębu”, a przodem do czółna Kale'a. Był tak blisko, że widziała jego twarz wykrzywioną w okrutnym grymasie.

Dwa pozostałe czółna próbowały ich okrążyć, choć w obu było już tylko po jednym rannym mężczyźnie - salwa ze statku nie poszła na marne.

Z tyłu jednak goniły ich kolejne łódki wypełnione ludźmi Kale'a.

Znajdowali się teraz pięćdziesiąt jardów od „Trójzębu” i uderzały w nich odbite od statku fale. Wszystkie czółna tak się rozkołysały, że łucznicy nie mogli zaryzykować kolejnej

salwy.

Na dodatek akurat w tym momencie opadła morska mgła, która wisiała często nad ujściem delty.

Światło księżyca przygasło.

Korzystając z chwili zamętu, Robert znowu odwrócił czołno dziobem w stronę „Trójzębu”, lecz dryfująca obok nich łódka z martwym handlarzem przewieszonym przez burtę przeszkadzała nawet w tak prostym manewrze. Robert musiał złapać ją za dziób i odepchnąć, przez co sam niemal wylądował w wodzie.

Czołna kotłowały się i zbijały w coraz gęstszej masie, tak że mimo mgły wszyscy widzieli się nawzajem.

Kale utkwiał spojrzenie w Robercie i Aileen. Wygiął usta w okrutnym uśmiechu i z rykiem uniósł kordelas, a jego czołno naparło na ich łódkę.

Z morskiej mgły wychynęła nagle szalupa „Trójzębu”, taranując jedno z czołen. Napędzana siłą rąk sześciu doświadczonych wioślarzy, natarła na czołno Kale'a.

Obie łodzie zderzyły się burtami.

Mężczyzna z przodu czołna zerwał się nagle i zamachnął maczetą na kogoś siedzącego na dziobie szalupy. To był Benson.

Marynarz jednak – nabity i przysadzisty – zaparł się nogami i zablokował cios szpadą, po czym skontrolował go pchnięciem sztyletu. Napastnik wypadł przez burtę... lecz jego nagły upadek sprawił, że Benson poleciał do przodu, wychylając się poza krawędź szalupy.

Kale wyszczerzył zęby i wzniósł kordelas.

Robert wstrzymał oddech. Sięgnął po schowany w bucie sztylet do rzucania, choć wiedział, że nie zdąży uratować swojego człowieka...

Ostrze Kale'a zaczęło się zbliżać do odsłoniętej szyi Bensaona...

Rozległ się wystrzał. We mgle wydawał się wręcz ogłuszający. Podobnie jak poprzedniego wieczoru wszyscy na chwilę zamarli. Tym razem jednak Robert nawet nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, kto strzelał.

Kale krzyknął, złapał się za ramię i opadł na dno czółna.

Coleman z kordelasem w dłoni skoczył na pomoc Bensonowi, wciągając go z powrotem do łodzi.

Drugi z mężczyzn w czółnie Kale'a rzucił tylko spojrzenie na uzbrojoną grupkę marynarzy na dziobie szalupy i zaczął pospiesznie odwracać czółno do ucieczki.

Napastnik w ostatniej łódce, tej najbliższej Roberta i Aileen, podążył jego śladem.

Benson, teraz już znowu pewnie wyprostowany, popatrzył na swojego kapitana.

- Ruszać w pościg? - spytał.

Robert pokręcił głową.

- Jest ich tam więcej. Jeśli Kale nie jest skończonym głupcem, zbierze swoich ludzi, aby osaczyć szalupę, kiedy tylko wyłoni się z mgły.

Robert nachylił się i położył dłoń na ramieniu Aileen.

- Nic ci nie jest?

Aileen chowała właśnie pistolet do torebki. Nosila ze sobą ten ciężki czarny woreczek przez całą wyprawę - albo na

nadgarstku, albo w ręce - nie odkładając go ani na chwilę, nawet w momentach największego zagrożenia. Robert był jej za to niezwykle wdzięczny, choć nadal uważał, że gorszego szkaradzieństwa nie widział w całym swoim życiu.

Aileen wreszcie ściągnęła troczki torebki i spojrzała Robertowi w oczy. Była wściekła.

- Celowałam w głowę - rzekła.

Robert wiedział, że lepiej się teraz nie uśmiechać. Zaciśnął usta i pokiwał głową. Ścisnął współczująco ramię dziewczyny.

- Wątpię, czy Bersona będzie to obchodziło. Ocalaś mu życie.

Aileen prychnęła, zawiesiła torebkę na nadgarstku i sięgnęła po wiosło.

- Płyniemy do statku?

- Tak, Bogu niech będą dzięki.

Mgła się podnosiła i pierwsze promienie słońca zaczynały już malować niebo delikatnym różem, kiedy pod eskortą szalupy dotarli do burty „Trójzębu”.

Sznurowa drabinka już na nich czekała, lecz Aileen odkryła, że wspięcie się na nią z rozkołysanego czółna to o wiele bardziej skomplikowana sprawa, niż kiedy się siedzi w sporej szalupie. Wreszcie Robert przesunął się na środek czółna i podsadził ją na najniższy szczebel drabinki.

Na górze czekali już Hurley i Wilcox, którzy pomogli jej wejść na pokład. Aileen miała ochotę paść na kolana i ucałować deski pokładu, aby złożyć podziękowania niebiosom. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin doprawdy zbyt wiele razy jej życie wisiało na włosku.

- Słyszeliśmy wystrzał - powiedział Hurley i popatrzył ze zdziwieniem na Roberta. - Przecież kapitan nie miał przy sobie pistoletu.

Robert kiwnął głową w stronę Aileen.

- To była panna Hopkins. Dzięki niej...

Widać było, że rozsadza go duma, kiedy opowiadał swoim oficerom, co wydarzyło się na wodzie - z powodu mgły ze statku nie widać było ostatniego etapu potyczki.

Aileen, stojąc przy balustradzie i patrząc, jak załoga szalupy wraca na pokład, a sama łódź szykowana jest do wciągnięcia na górę, upajała się pochwałami Roberta. Kiedy przerwał na chwilę, odwróciła się do zebranych oficerów.

- Jesteśmy też bardzo wdzięczni temu, kto rozkazał strzelać z łuków. To także miało ogromny wpływ na ostateczny rezultat starcia - oznajmiła.

Robert przytaknął jej i podziękował Latimerowi, którego szybka reakcja stała za tymi działaniami.

- Przykro mi tylko, że nie mogliśmy uczynić nic więcej - powiedział Jordan, patrząc na Aileen z uśmiechem. - Proszę mi wierzyć, te kilka minut było dla nas udręką. Słyszeliśmy, że padł strzał, ale nie wiedzieliśmy, czy to dobry, czy zły znak.

- Kapitanie!

Wszyscy odwrócili się na widok biegnącego od strony rufy marynarza.

- Nie uwierzy pan, kapitanie, ale te pajace tu wracają - zameldował mężczyzna, pokazując za siebie.

Robert, Aileen i oficerowie pospieszyli na pokład rufowy i spojrzeli na morze.

Z resztek mgły wyłaniała się grupa czółen i łódek wiosłowych pełnych uzbrojonych ludzi.

Aileen zmrużyła oczy i przyjrzała się jednej z postaci.

- Do diaska - mruknęła i dodała głośniejszym wyraznym niezadowoleniem: - Kale przeżył.

Przywódca szajki miał obandażowane ramię. Pewnie obrażenie tylko spotęgowało jego wściekłość.

- Właściwie się z tego cieszę - stwierdził Robert. - Gdyby zginął, nie wiadomo, co stałoby się z jego obozem. A w tej chwili to jedyny ślad, który może nas doprowadzić do nieuchwytnego Dubois, jego przedsięwzięcia i wszystkich zaginionych.

Stojący z drugiej strony Aileen Latimer prychnął pogardliwie, patrząc na zbliżającą się flotyllę.

- Za kogo oni nas mają? Za jakiś nieuzbrojony kupiecki stateczek?

- W gruncie rzeczy - odpowiedział mu Robert - właśnie na to liczę. Zastanówcie się. W tej chwili Kale i Muldoon wiedzą tylko tyle, że panna Hopkins zaczęła węszyć w sprawie zaginionych dzieci. I że kiedy ją uprowadzili, została uratowana przez jakichś marynarzy, czyli przez nas. Potem panna Hopkins wraz ze mną - a pewnie mają mnie po prostu za jej obrońcę - zobaczyła ich koleżków, kiedy zabierali dzieci z plaży, i poszła za nimi aż do obozu, a jeszcze później umknęła na ten statek. Jeśli tak właśnie myślą i wydaje im się, że jesteśmy tylko zwykłymi kupczykami, oznacza to, że wykonaliśmy misję, nie narażając bezpieczeństwa zaginionych.

Spojrzał na Aileen, potem rozejrzał się po twarzach swoich oficerów i załogi i uśmiechnął się szeroko.

- Odegramy więc przed nimi rolę zwykłego kupieckiego stateczku, który - tak się składa - dysponuje dość znacznym otaklowaniem.

Popatrzył na Hurleya.

- Panie Hurley, czy wyznaczył pan kurs, o który prosiłem? Najszybszą drogę do domu?

Hurley zasalutował energicznie i jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

- Tak jest, panie kapitanie!

- Zatem wszystkie ręce na pokład, chłopcy! - Głos Roberta rozszedł się po całym statku. - Znajdźmy dobry wiatr... i wracajmy do domu!

Załoga wzniosła okrzyki radości. Zanim ucichły, Aileen usłyszała terkot i pobrzękiwanie kabestanów, kiedy marynarze rzucili się do podnoszenia ciężkich kotwic.

Inni pomknęli do masztów, a reszta biegła po pokładach, zamykając luki i ustawiając wszystko na miejscu, żeby przygotować statek do rejsu.

Robert klepnął Latimera po ramieniu.

- Ster jest w twoich rękach. Wyprowadź łajbę z delty i trzymaj się północnego brzegu. Ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba, to napatoczyć się na wracającego z oceanu Deckera. W razie czego udawaj, że go nie zauważyłeś. Może się wściekać, ale nie zacznie strzelać.

Latimer wyszczerzył się i nonszalancko zasalutował.

- Z przyjemnością.

Potem Robert zwrócił się do Bersona, Colemana, Harrisa i Fullera. Wszyscy czterej czekali na rozkazy kapitana.

- Bardzo się cieszę, że was widzę w komplecie - rzekł z uśmiechem. - Całych i zdrowych - dodał, rzucając znaczące spojrzenie w stronę Bersona.

Osilek przestąpił z nogi na nogę.

- Zgadza się, kapitanie. A wszystko to zasługa tej oto damy. - Skłonił się niezręcznie przed Aileen. - Tylko dzięki panience mam jeszcze głowę na karku. Nie zapomnę tego.

- Każdy na moim miejscu uczyniłby to samo - odpowiedziała, rumieniąc się.

- Każdy, kto przypadkiem zawsze zabiera ze sobą naładowany pistolet - dodał Robert, kręcąc głową.

Nie chciał nawet myśleć, do czego mogło dojść przy wystrzale z pistoletu tak długo naładowanego tym samym prochem.

- W imieniu swoim, panny Hopkins i samego Pierwszego Lorda Admiralicji dziękuję za waszą pomoc dzisiaj i podczas całego pobytu w kolonii - zwrócił się znowu do wiernej załogi.

- Wszyscy świetnie się spisaliście. Domyślam się, że zabraliście nasze rzeczy z gospody?

- Tak jest, kapitanie - potwierdził Coleman. - Kiedy tam dotarliśmy, przekazano nam pańską wiadomość. Poszliśmy pana śladem na plażę, ale nic nie znaleźliśmy. Widać upłynęło za dużo czasu. Wróciliśmy więc do gospody, zabraliśmy wszystko i przenieśliśmy na statek, zgodnie z rozkazami.

- A potem - wtrącił Harris - nie wiedzieliśmy, co mamy robić, więc dołączyliśmy do załogi szalupy, żeby na pana

czekać.

- Sądziłiśmy - dodał Fuller - że jeśli wróci pan do kolonii, to wezwie pan szalupę z tej samej zatoczki, w której wylądowaliśmy. Stanęliśmy więc u jej ujścia, ale tak, żeby mieć oko na statek, na wypadek gdyby przesłał pan sygnał bezpośrednio tutaj.

- Zobaczyliśmy racę i pędem wróciliśmy. - Benson wzruszył ramionami i dodał jakby z żalem: - Może tym razem się nie popisałem, ale przynajmniej zdążyliśmy dotrzeć do pana na tyle szybko, że dranie nie dostali tego, co chcieli.

- Niewątpliwie. - Robert powiódł wzrokiem po ich twarzach. Pracowali tak samo ciężko jak on i Aileen, a ostatniej nocy na pewno spali niewiele albo wcale. - Zwalniam was ze wszystkich obowiązków aż do psiej wachty. Idźcie coś zjeść. Prześpijcie się. Zasłużyliście na odpoczynek.

- Tak jest, panie kapitanie! - zawołali chórem, stając na baczność i salutując.

Robert patrzył, jak schodzą na główny pokład. Poczuł wsuwające się w jego dłoń palce Aileen. Uścisnął je, po czym podszedł do relingu i spojrział na malejące postacie Kale'a i jego ludzi, bezsilnie wygrażających im bronią. „Trójzęb” nabierał już prędkości i sunął gładko w dal.

Latimer znalazł wiatr. Natychmiast kazał wciągnąć marsle i bramsle.

Robert objął Aileen ramieniem. Czując u boku ciepło jej ciała, popatrzył na mijane właśnie Freetown, na mozaikę dachów stłoczonych wokół portu i pokrywających zbocza wznoszących się w oddali wzgórz. Byli zbyt daleko, żeby

dostrzec jakieś szczegóły. Z trudem widzieli nawet Keję Rządową.

Był zadowolony. Wykonał zadanie, z którym go tu przysłano. I odkrył o wiele więcej, niż planował.

Pokład zaczął kołysać się pod stopami. Latimer zarządził, żeby wciągnięto bombramsle. Po kilku minutach „Trójzab” szarpnęła i znowu przyspieszyła, tnąc fale jak strzała. Freetown zniknęło im z oczu. Jednak Robert czuł, że nie jest to ostateczne pożegnanie.

Przytulił Aileen mocniej. Kiedy uniosła ku niemu oczy, powiedział cicho:

- Czuję, że jeszcze tu wrócimy.

- Masz rację, to jeszcze nie koniec - potwierdziła. - Mamy tu jeszcze coś do zrobienia. Po tym wszystkim, co tu widzieliśmy, nie możemy zwyczajnie wrócić do domu i przekazać sprawy w cudze ręce.

Robert czuł się podbudowany tym, że tak dobrze go rozumiała.

- Będziemy musieli przekazać misję temu, kogo przyślą tu po nas - rzekł. - Ale to nie znaczy, że mamy całkowicie o niej zapomnieć.

- Nie możemy umyć od tego rąk - zgodziła się Aileen.

- I nie pozostawimy bez pomocy wszystkich tych mężczyzn, w tym twojego brata, kobiet i dzieci. - Robert uniósł jej dłoń i musnął ją ustami. - Jeszcze tu wrócimy.

Razem.

To słowo zawisło między nimi - nie musieli wypowiadać go na głos.

Ale oczywiście skierowało ono myśli Roberta ku przyszłości.

Objął Aileen, przyciągnął mocno do siebie i oparł się o burtę. Razem patrzyli na wschodzącą na niebie jutrzenkę. Wiał mocny wiatr, a fale potężnie uderzały o kadłub „Trójzębu”.

Serce Roberta było pełne radości. Nigdy jeszcze nie czuł w sobie tyle życia. Był wdzięczny losowi za to, że mogą tak stać razem, cali i zdrowi, ze świadomością, że zdobyli informacje, po które go tutaj przysłano.

Informacje, dzięki którym będzie można uwolnić brata Aileen, dzieci i całą resztę porwanych.

Kiedy „Trójzab” wypłynął na otwarty ocean, Robert ujął rękę Aileen i ruszył w stronę swojej kajuty.

Siedemnaście

Szedł coraz szybciej, tak że Aileen musiała niemal biec, żeby dotrzymać mu kroku.

Po drodze nie napotkali nikogo z załogi – i dobrze. Emocje, które Robert musiał powściągać przez ostatnią dobę ze względu na swoje obowiązki i grożące im niebezpieczeństwo, wreszcie wyrwały się spod kontroli.

Żądały rozładowania.

Dotarli do kajuty. Robert wciągnął Aileen do środka. Obrócił ją i przyparł plecami do drzwi, przechylił jej głowę i zaczął całować.

Jej słodkie, obfite wargi rozciągnęły się w uśmiechu i rozchyliły. Aileen wsunęła mu palce we włosy i przyciągnęła, jakby witała go w domu.

Smakował jej usta z rozkoszą, zachwycony bezsłowną zgodą i śmiałą zachętą.

Aileen przywarła do niego całą sobą.

Mieli tyle powodów do radości... Lecz przede wszystkim chcieli potwierdzić swoje wzajemne oddanie. To była ich deklaracja. Zamierzali cieszyć się swoją bliskością i wszystkim tym, co oznaczała.

Robert puścił jej talię i przesunął ręce w kierunku piersi. Chwytał je mocno, sprawiając jej przyjemność graniczącą z bólem.

Aileen wciągnęła gwałtownie powietrze, nie przerywając pocałunku. Przesunęła rękami po ramionach i piersi Roberta. Poczula jego napięte mięśnie, usłyszała przyspieszony oddech. Kontrolował się jeszcze, lecz buzowały w nim potężne pragnienia.

To wystarczyło, żeby Aileen także poczuła głód i tęsknotę – za nim, za ich zjednoczeniem.

Robert przyciągnął ją do siebie, przyciskając twarde ciało do jej krągłości.

Aileen wsunęła ręce pod jego ubranie i nie przerywając pocałunku, zaczęła rozpinąć mu guzik spodni. Robert jęknął, kiedy ujęła go w swoje drobne dłonie.

Choć coraz mniej znacząca część jego umysłu dziwiła się śmiałości Aileen, cała reszta rozkoszowała się jej otwartym pożądaniem, bezpośredniością.

Potrzebował jej. Tu i teraz.

Jego dłonie wsuwały się już pod jej spódnicę, podczas gdy zręczne ręce Aileen z większym entuzjazmem niż doświadczeniem, lecz mimo to skutecznie, pozbawiały go resztek samokontroli.

Robert odszukał pod warstwami materiału jej nagie biodra i zacisnął na nich ręce.

Aileen puściła go i przesunęła ręce do jego twarzy, przywierając mocno ustami do jego warg.

Robert oparł ją o drzwi, podsadził i wsunął się między jej uda. Aileen oplotła go długimi nogami i poruszyła się...

Przerwali pocałunek i zdyszani popatrzyli na siebie spod wpół przymkniętych powiek.

Robert chwycił ją mocniej za biodra i przyciągnął.

Aileen zamknęła oczy i z cichym jękiem wygięła się w łuk. Robert zaczął się rytmicznie poruszać, obserwując z zachwytem błogość na jej twarzy, kiedy oddawała mu się całą sobą.

Robert przytrzymał ją i przeniósł na pusty blat biurka.

Uchyliła powieki i popatrzyła na niego.

W jego oczach nie było żadnej miękkości, żadnej łagodności, tylko czysty głód i niepohamowana żądza.

Aileen zdała sobie sprawę, że wreszcie patrzy na prawdziwego Roberta Frobishera.

Mężczyznę, który sprawiał, że czuła się potrzebna – zaspokajała jego najbardziej pierwotne pragnienia.

Mężczyznę, który sprawiał, że czuła się pożądana – potrzebował jej tak samo mocno, jak ona potrzebowała jego.

A przede wszystkim patrzyła na mężczyznę, który dopełniał ją emocjonalnie, jakby przy nim wreszcie znalazła swoje miejsce na świecie.

Powód, dla którego istniała.

Jej powieki opadły i Aileen wydała z siebie cichy jęk rozkoszy.

Niezwykłej, upajającej, cudownej rozkoszy.

Robert od początku wiedział, że właśnie ta kobieta jest mu pisana. Pragnął pojąć ją za żonę. Nie przewidział jednak tej nieokiełznanej siły własnego pragnienia, aby doszczętnie oddać się temu związkowi.

Rozkoszował się odpowiedzią Aileen, która wiała się w ekstazie, zaciskając ręce na jego nadgarstkach, cicho jęcząc

i łkając.

Przyjmowała go w siebie i sama brała go w posiadanie.

Wciągnęła powietrze i znowu porwała ją rozkosz. Chwyła go mocno i Robert poczuł, jak doprowadza go do takiej ekstazy, że dosłownie zobaczył przed oczami gwiazdy.

Wreszcie zrozumiał, co to znaczy naprawdę kochać – szczerze, bez żadnych hamulców i ograniczeń.

W tym ostatnim momencie, gdy zawisł nad nią, wspierając się na ramionach, kiedy zupełnie opuściły go siły, a jednak wciąż unosił się w jakichś odległych wymiarach, wreszcie dotarło do niego, jak wielkie uczucie zaprosił do swojego życia.

Zdał sobie też sprawę, że tego pragnie – że będzie walczył do ostatniego tchu, aby zatrzymać i Aileen, i to wszystko, co jej obecność dla niego znaczyła.

Na zawsze.

Wreszcie padli zmęczeni na łóżko, objęci rękami i spleceni nogami.

Sami nie wiedzieli, jak długo spali. Po przebudzeniu znowu się kochali, tym razem powoli, spokojnie, odkrywając siebie nawzajem i zgłębiając tajniki wspólnej rozkoszy.

Wreszcie Robert przewrócił się na plecy, skrzyżował ręce za głową i wbił spojrzenie w baldachim nad łóżkiem.

Aileen leżała z głową na jego sercu i nogą przerzuconą przez jego biodra. Bawiła się leniwie włoskami na jego piersi.

Robert odetchnął i nie odrywając wzroku od baldachimu,

oświadczył:

- Żebyśmy się dobrze zrozumieli: zamierzam poprosić cię o rękę. Ale... - zmarszczył brwi, szukając odpowiednich słów dla wyrażenia myśli, która nie dawała mu spokoju - jestem kapitanem tego statku. Oświadczenie się teraz, kiedy przebywamy na pełnym morzu, równałoby się prośbie, abys związała ze mną swoje życie, kiedy jesteś całkowicie w mojej mocy.

Aileen uniosła głowę i popatrzyła na niego badawczo.

- Chyba wiesz, że się zgodzę - rzekła.

- Nie o oto chodzi - wyjaśnił. - Bóg wie, że chcę, abys się zgodziła, ale... musisz to powiedzieć wtedy, gdy mogłabyś odmówić, gdybyś chciała. Rozumiesz, co mam na myśli?

Aileen uśmiechnęła się i poklepała go uspokajająco po piersi.

- Tak. Rozumiem - rzekła. Patrzyła mu prosto w oczy. - Taktowny z ciebie człowiek, Robercie Frobisherze, i o głębokim umyśle. Z niecierpliwością czekam, kiedy będę mogła zgłębić jego tajemnice.

Robert nie był pewien, czy powinien cieszyć się na tę zapowiedź, czy też lękać. Grunt, że się zgadza...

- Pomyślałem - dodał z nieśmiałością - że moglibyśmy wykorzystać tę podróż, żeby lepiej się poznać. Znam twoją rodzinę, ale nie ciebie osobiście. - Aileen uniosła brew i Robert poprawił się z uśmiechem: - Zdążyłem poznać twój charakter na tyle, aby wiedzieć, że pragnę cię pojąć za żonę, ale nic nie wiem o twoim życiu.

- A ja o twoim - przyznała Aileen. - Czyż to nie dziwne, że znamy się zaledwie od kilku dni, a jednak oboje chcemy

spędzić ze sobą resztę życia?

- Od kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, wiedziałem, że jesteś kobietą, na którą zawsze czekałem. A pozwól sobie przypomnieć, że w tamtym momencie celowałaś do mnie z pistoletu.

Aileen uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Robert szturchnął ją.

- No i...? - zapytał. - Powinnaś powiedzieć mi coś podobnego.

- Teraz przemawia przez ciebie dyplomata... - roześmiała się. - Ale przyznam, że kiedy cię po raz pierwszy ujrzałam, choć było to tylko z daleka, kiedy poszedłeś z Sampsonem do kościoła Undoto, zwróciłam na ciebie uwagę. Coś mi mówiło, że to ty jesteś mężczyzną, którego pragnę.

Robert poczuł niewyobrażalną wręcz radość. Objął Aileen mocniej.

- Więc mam być twoją własnością?

Znowu wtuliła twarz w jego pierś.

- Jeśli się zgodzisz, odwdzięczę się tym samym.

Robert uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Na razie to wystarczy - rzekł, po czym, nie mogąc się oprzeć, dodał: - Choć chyba powinienem cię ostrzec, że Frobisherowie nigdy nie cieszyli się opinią... łatwych partnerów życiowych.

Aileen parsknęła śmiechem.

- Właśnie sprawiłeś, że zmieniłam zdanie w sprawie pozwolenia braciom, żeby rozmówili się z tobą przed ślubem.

Robert zachichotał. Nagle usłyszał szuranie i stuknięcie,

a potem odgłos oddalających się korytarzem kroków. Niemal w tej samej chwili zaczął też dzwonić okrętowy dzwon. Robert wyrwał przez okno na rufie.

- Cztery uderzenia, widać to już popołudniowa wachta. - Odsunął kołdrę i wstał. - A to szuranie i pukanie to pewnie Foxby z tacą.

Aileen usiadła na łóżku i zmarszczyła brwi.

- Cztery uderzenia... Czyli która to godzina? Druga?

Robert potwierdził. Wciągnął spodnie i podszedł do drzwi.

- No chodź. - Przystanął z ręką na zasuwce. - Pora brać się do pracy.

- Do pracy? - Aileen uniosła brwi i wysunęła spod kołdry nogę. - Co masz na myśli? Przecież wracamy już do domu.

Robert zagapił się przez chwilę na zgrabną łydkę. Wreszcie się uśmiechnął.

- Mam na myśli budowanie naszej przyszłości.

Aileen otworzyła szeroko oczy, ale natychmiast wstała.

Robert przez chwilę cieszył oczy widokiem jej nagiego ciała, po czym - upewniwszy się, że na zewnątrz nie czai się żaden członek załogi - otworzył drzwi i wziął z podłogi tacę zostawioną przez Foxby'ego. Zamknął drzwi nogą i zaniósł jedzenie na biurko.

Aileen dołączyła do niego owinięta w prześcieradło - gotowa, by rozpocząć ich kolejną wspólną przygodę.

Przez resztę popołudnia i cały wieczór Robert jak zwykle pełnił obowiązki kapitana „Trójzębu”. Wystarczyło jednak, że Aileen pojawiła się na pokładzie, aby stało się jasne, że ten aspekt jego życia uległ zmianie.

Jego ludzie, wszyscy co do jednego, poważali ją i cenili. Tym, że strzeliła, aby ratować kapitana, zdobyła ich szacunek. Ale strzałem w obronie Bensaona podbiła ich serca. Posyłali jej uśmiechy i oferowali pomoc, gdyby jej potrzebowała.

Czuwali nad nią, kiedy chodziła po pokładach, a Robert, choć bez wahania powierzyłby każdemu z nich swoje życie, z trudem zdołał pokonać niepokój i przyznał, że również ją może spokojnie oddać pod ich opiekę.

Zresztą Aileen nie była przecież słabą kobietką, która nie potrafi się sama obronić.

Wieczorem, po posiłku, który zjedli w jego kajucie wraz z pozostałymi oficerami, Robert znowu wyszedł na pokład na drugą część psiej wachty. Czuł spokój, większy być może niż kiedykolwiek przedtem, a także entuzjazm, którego od lat brakowało w jego życiu.

Z rozbawieniem odkrył, że Aileen potraktowała propozycję trwania u jego boku dosłownie. Zostawił ją w kajucie, aby się rozpakowała i ułożyła swoje rzeczy na półkach, które dla niej przeznaczył, lecz już po pięciu minutach wyłoniła się z zejściówki z głową i ramionami osłoniętymi ciepłym szalem. Stała i ogarnęła wzrokiem pokład - podobnie jak on sam często czynił - po czym weszła po drabince, żeby zająć miejsce obok niego.

Statek szedł w przechyle, nie niebezpiecznym, ale na tyle dużym, że fale przelewały się przez burtę.

- Zmokniesz, jeśli będziesz tu stała - rzekł Robert.

Aileen wzruszyła ramionami.

- Nie rozpląnę się przecież.

Przez długi czas nic do siebie nie mówili. Robert wyczuwał, że Aileen chłonie wszystkie szczegóły życia na statku, uważnie obserwuje krzątanię załogi, reakcje marynarzy na jego rozkazy. Przyglądała się żaglom, olinowaniu, zmianom wiatru i temu, jak Robert sobie z tym wszystkim radził.

Fascynował ją ten nieznaną jej wcześniej aspekt osobowości Roberta - kapitana dowodzącego swoim okrętem. Widok ukochanego stojącego na szeroko rozstawionych nogach, z rękami spoczywającymi lekko na ogromnym kole sterowym, ze wzrokiem utkwionym w żaglach i rejach, gdy rozpędzał statek do niesłychanej prędkości (która jednak, jak poinformowała ją załoga, nie była dla „Trójzębu” niczym nadzwyczajnym), pobudzał jej wyobraźnię. Patrzyła, jak wiatr rozwiewa mu ciemne włosy, odsłaniając szlachetne rysy twarzy.

Odetchnęła głęboko, z poczuciem, że jej ciekawość została chwilowo zaspokojona. Marynarze, którzy serdecznie ją powitali i byli tak usłużni, wyczerpująco odpowiadali na jej dociekliwe pytania. Mogła teraz rozkoszować się spokojnym wieczorem, bezmiarem niebieskoszarego oceanu, rytmicznym kołysaniem kadłuba, cichym szumem fal przelewających się przez burtę, łopotaniem żagla, skrzypem rei i krzykiem przelatujących mew.

Niebo robiło się szare, a po stronie bakburty zbierały się chmury.

- Nadchodzi sztorm - rzekł Robert.

- Sądysz, że nas dogoni?

Robert przez kilka sekund badał horyzont.

- Zahaczy nas od południa - rzekł. - Ale nie będziemy zwalniać. Lepiej czym prędzej przez niego przemknąć.

Aileen pokiwała głową.

- Słyszałam, że statki tego typu pływają zwykle na pełnych żaglach, dniem i nocą, bez względu na aurę. - Podniosła wzrok na reje i policzyła żagle. - Mamy teraz po siedem na każdym maszcie, ale to nie wszystko, prawda?

- Zostały jeszcze topsle, ale w taką pogodę zazwyczaj trzymam je w odwodzie - wyjaśnił Robert. - Widzę, że orientujesz się w żeglarskim rzemiośle. Dużo pływałaś czy to u ciebie rodzinne?

- Chyba po trochu jedno i drugie - roześmiała się.

I nie czekając na jego pytanie, opowiedziała mu o swoich podróżach i odwiedzinach u braci stacjonujących w dalekich stronach.

Robert nie zdziwił się, kiedy ona z kolei zaczęła wypytywać go o rodzinę. W końcu tak właśnie mieli spędzić tę podróż: na poznawaniu siebie nawzajem. Zdziwiły go natomiast emocje, jakie poczuł, mówiąc o swoich rodzicach, braciach i kuzynach. To właśnie ci ludzie, którym zazwyczaj nie poświęcał zbyt wielu myśli i których obecność w jego życiu była dla niego czymś oczywistym, uczynili go tym, kim był.

Przyznał, że matka Elaine bardzo często towarzyszyła ojcu na morzu - nie było sensu tego zatajać, gdyż na pewno i tak sama poinformuje o tym Aileen przy pierwszej sposobności. Przypomniał też sobie dawno zapomnianą rozmowę z matką. Było to jakieś dziesięć lat temu, gdy dopiero rozpoczynał karierę żeglarza i miał dość romantyczną wizję swojej

przyszłości.

Zapytał wtedy, po czym pozna, że spotkał kobietę, która jest mu pisana. Po tylu latach wciąż potrafił powtórzyć odpowiedź matki: „Od razu będziesz wiedział. Gdy na ciebie popatrzy, poczujesz się jak olbrzym, a jednocześnie będziesz jej tak wdzięczny, że akceptuje cię takiego, jakim jesteś, że zechcesz paść jej do stóp”.

Robert skierował spojrzenie na Aileen.

Poczuła na sobie jego wzrok i uniosła głowę. W jej oczach w kolorze brandy zobaczył własne odbicie i wiedział, że ta kobieta widzi go takiego, jakim naprawdę jest.

I że matka miała rację.

Uśmiechnął się.

Przyciągnął Aileen do siebie, drugą ręką nadal trzymając ster. Pochylił głowę i odnalazł jej usta.

Gdy wreszcie oderwali się od siebie, Aileen przechyliła głowę i popatrzyła na niego bystro.

- A to za co? - spytała.

Robert uśmiechnął się szeroko.

- Za to, że jesteś sobą.

Aileen odpowiedziała uśmiechem i przytuliła się do niego.

Razem spoglądali przed siebie, płynąc „Trójzębem” ku krańcowi tej podróży i początkowi następnej.

Dotrwali tak do końca wachty, przekazali ją kolejnej zmianie i wrócili do kajuty.

Rozebrali się i przygotowali do snu, powtarzając sobie w duchu, że są zbyt dojrzałymi ludźmi, żeby znowu ulec namiętności.

Przekonanie to przetrwało dokładnie do momentu, gdy ich nagie ciała zetknęły się pod kołdrą...

Godzinę później, kiedy leżeli zmęczeni, czekając, aż serca przestaną im walić jak młotem, Robert przypomniał sobie, z jaką niechęcią udawał się w tę misję. Zaśmiał się cicho z siebie.

- Co takiego? - spytała Aileen.

Nie patrząc na nią, odpowiedział:

- Opuszczając Londyn, chciałem jak najszybciej zakończyć misję, wrócić, złożyć raport i wreszcie rozejrzeć się za żoną. - Odwrócił głowę i napotkał zaciekawione spojrzenie Aileen. - Nawet przez myśl mi nie przeszło, że wywiązanie się z zadania zostanie nagrodzone znalezieniem właściwej kobiety.

Aileen roześmiała się - gardłowym, zmysłowym śmiechem, który zawsze chwycił go za serce.

- Przeznaczenie - rzekła - zabawiło się twoim kosztem, mój drogi.

Robert przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy.

- Co najdziwniejsze, chyba wcale mi to nie przeszkadza.

Aileen umościła się z głową na jego piersi, kładąc mu dłoń na sercu.

- I ze mnie los zakpił. Wyjeżdżałam z Londynu zdecydowana odnaleźć i uratować Willa, ale... kiedy poznałam cel twojej misji, musiałam zmienić zdanie.

- Na pewno nie było to łatwe - stwierdził cicho Robert.

Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, czego Aileen się wyrzekła, żeby mu pomóc.

Nie próbowała udawać, że to nieprawda.

- To było... trudne, ale wiedziałam, że tak trzeba. -
Odchyliła głowę, żeby na niego popatrzeć. - Musiałam
pogodzić się z tym, że dla uratowania Willa i całej reszty
powinnam dopilnować, aby twoja misja zakończyła się
sukcesem.

- I wspólnymi siłami nam się udało.

Robert ujął jej rękę, podniósł do ust i pocałował.

- Więc kiedy dopłyniemy do Londynu? - Aileen znowu
położyła mu głowę na piersi.

- Jeśli jutro dopisze nam pogoda, wciągniemy wszystkie
żagle, a wtedy powinniśmy się uwinąć w dwanaście dni. -
Potarł brodą o jej jedwabiste włosy. - Zawiniemy do
Southampton i stamtąd pojedziemy dylizansem.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, aż w końcu zapadli
w mocny sen.

Pięć dni później w tawernie na uboczu w pobliżu
zachodniego końca Water Street spotkało się trzech Anglików.

Jak zwykle pierwszy z nich po przybyciu kupił sobie piwo
i zaniósł je do stolika w kącie. Po kilku minutach dołączył do
niego drugi.

- Co tam słyhać w forcie? - spytał pierwszy, unosząc brew.
Tamten wzruszył ramionami.

- Wszystko po staremu, Bogu dziękować. - Zerknął na drzwi
i przeniósł wzrok na towarzysza. - A gdzie Muldoon?

- Nie mam pojęcia. Ale takie spóźnienie to nie w jego stylu.
Do jego głosu zakradło się napięcie.

Drugi mężczyzna poruszył się niespokojnie.

Drzwi otworzyły się i popatrzyli w ich kierunku, po czym westchnęli z ulgą, kiedy do środka wszedł Muldoon. Nie spoglądając nawet w stronę stolika, od razu podszedł do baru. Kupił kufel piwa, napił się i dopiero wtedy dołączył do pozostałych.

Opadł na ławkę, po czym rzekł:

- Mieliliśmy pewne problemy, ale jeśli nie zrobimy nic pochośnie, będzie dobrze.

Pierwszy mężczyzna nie wydawał się przekonany.

- A co się stało? - spytał i teraz w jego głosie zabrzmiała złowroga nuta.

Muldoon napił się i odstawił kufel.

- W mojej kancelarii pojawiła się niejaka panna Hopkins - rzekł.

- Hopkins? Jakaś krewna porucznika Hopkinsa?

- Jego siostra. Kiedy przyszła po raz pierwszy, nie było mnie w biurze. Podobno wypytywała moich pracowników, dlaczego jej brat w ogóle przebywał na łądzie, a nie na swojej jednostce. Oczywiście jej nie odpowiedzieli, bo sami nie wiedzą. - Muldoon popatrzył na pierwszego mężczyznę. - Mogłeś mnie ostrzec, że zaczęła tu węszyć.

- Niby jak? Nie miałem pojęcia, że jest w kolonii.

Muldoon zmarszczył brwi.

- Nie zarejestrowała się w kancelarii gubernatora?

Pierwszy pokręcił głową.

- Wierz mi, zwróciłbym uwagę na to nazwisko. Nie figuruje na żadnej z naszych list. Pierwszy raz o niej słyszę. Gdzie się zatrzymała?

- Mieszkała u pani Hoyt, ale dowiedziałem się, że ostatnio opuściła kolonię.

- Ach tak? - spytał trzeci mężczyzna, wpatrując się uważnie w Muldoona. - Nie miało to przypadkiem czegoś wspólnego z nami?

- Tak i nie - odpowiedział Muldoon z grymasem.

Pierwszy prychnął pogardliwie.

- No wyduś to z siebie, człowieku. Nie mamy całego dnia.

Muldoon popatrzył mu w oczy.

- Zajrzała znowu jakiś tydzień temu - rzekł ze zwykłą stanowczością. - Byłem u siebie i chciała ze mną rozmawiać. Założyłem, że znowu będzie wypytywać o brata, ale nie. Chciała wiedzieć, co robią władze w kwestii ginących dzieci i czy słyszeliśmy plotki o tym, że w kolonii działają handlarze niewolników. Wspomniała też przypadkiem, że wkrótce wraca do Londynu i zamierza pójść do admiralicji.

- Wielkie nieba - szepnął trzeci.

- Nie wpadaj w panikę - powiedział Muldoon. - Wątpię, aby to zrobiła, a nawet jeśli... - tu znowu skierował wzrok na pierwszego - to we dwóch zajmiemy się wszelkimi oficjalnymi dochodzeniami. Wszystko, co powie, można będzie złożyć na karb typowych histerycznych urojeń, do których skłonne są kobiece umysły w takiej dziczy.

Pierwszy uśmiechnął się chłodno i uniósł kufel.

- Właśnie. - I napiwszy się, rzekł: - Mów dalej.

- Oczywiście przesłałem Kale'owi wiadomość, żeby ją porwał - powiedział Muldoon. - Jak zwykle on i jego ludzie natychmiast wzięli się do dzieła. Zaczynają się nudzić,

niewiele mieli ostatnio do roboty. Naprawdę musimy coś wymyślić, żeby zapewnić im zajęcie.

- Rozumiem więc, że panna Hopkins jest w tej chwili w rękach Dubois - rzekł pierwszy.

- Otóż nie. - Muldoon znowu się skrzywił. - Uratowali ją jacyś marynarze. Nie wiemy dokładnie, skąd się wzięli, ale kimkolwiek byli, znali się na rzeczy. Potrafili walczyć i wydawali się dobrze znać kolonię. Uciekli przez slumsy na nabrzeże, gdzie czekała na nich łódź wiosłowa. Ludzie Kale'a ruszyli w pościg, ale zgubili ich wśród statków w porcie.

- Więc nie macie pojęcia, z której jednostki pochodzili? - spytał trzeci.

Muldoon pokręcił głową.

- Ale to jeszcze nie koniec - oznajmił. - Jak pamiętacie, kazałem Kale'owi dostarczyć Dubois więcej dzieci. Następnego ranka po niezwykłej ucieczce panny Hopkins ludzie Kale'a poszli na plażę i wybrali z biedoty pięcioro starszych dzieciaków. Zaprowadzili je do obozowiska, nie napotykając żadnych trudności. Wieczorem jednak w obozie dały się słyszeć jakieś krzyki i piski. Wszyscy byli przekonani, że głos należał do kobiety. Ruszyli na poszukiwania, ale nikogo nie znaleźli. Stwierdzili więc, że to pewnie jakieś małpie walki, i dali sobie spokój. Lecz w środku nocy Kale dostał informację od swoich ludzi w mieście, że jeden z nich, ten, który patroluje brzeg rzeki, widział wieczorem jakiegoś dżentelmena i damę w czólnie. Kierowali się w stronę obozowiska. Czółno zostało wynajęte w jednej z miejscowych wiosek. Bystry chłopak stwierdził, że będą musieli wrócić do wsi, aby je oddać,

a potem ruszą z powrotem do kolonii. Uznał, że skorzysta z pomocy grupy, która miała przyjść nocą z miasta, więc wyszedł jej na spotkanie. Zasadzili się na ścieżce prowadzącej od rzeki i wysłali wiadomość do Kale'a.

- I Kale ich złapał? - spytał trzeci z wyraźną nadzieją.

Muldoon pokręcił głową.

- Był u mnie wczoraj wieczorem. Nie wyglądał na uszczęśliwionego. I dżentelmen, i dama zdołali umknąć jego ludziom... Zostawili czółno, lecz zamiast wrócić do kolonii, poszli brzegiem rzeki na północ.

- Wielki Boże - odezwał się pierwszy, marszcząc brwi. - Czemuż to?

- To wyjaśniło się później - ciągnął ponuro Muldoon. - Kale prawie ich dogonił, ale znaleźli inne czółno i popłynęli w stronę delty. Kale i jego ludzie ruszyli w pościg, ale we wschodniej części zatoki na uciekinierów czekał jakiś statek. O ile rozumiem, był to cholerny pełnorejowiec. - Muldoon urwał, żeby napić się piwa.

- Więc udało im się uciec? - Pierwszy mężczyzna odsunął kufel i wbił wzrok w attaché.

- Kale niemal ich złapał, ale ta przeklęta kobieta... a musiała to być panna Hopkins... postrzeliła go. W ramię. - Muldoon prychnął. - Okazało się, że poprzedniego wieczoru zastrzeliła też jednego z jego ludzi. Tamten nie miał szczęścia. - Muldoon westchnął i przycisnął palce do czoła, jakby chcąc rozmasować ból. - Musiałem mu zapłacić, żeby nie kręcił nosem.

Pierwszy odchylił się do tyłu.

- Najważniejsze pytanie: kim, u licha, był człowiek, który towarzyszył pannie Hopkins? I drugie: kto ich uratował?

Muldoon zacisnął usta w cienką linię i pokręcił głową.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem. Kale nie był w tym względzie specjalnie pomocny. Człowiek wyglądał podobno jak pierwszy lepszy Anglik. Co do statku... przejrzałem rejestry za ten okres w kapitanacie, sprawdziłem też statki, które powinny były już wypłynąć. Kapitan tej jednostki nie zarejestrował jej w porcie.

- Co to oznacza? - spytał piskliwie trzeci.

Attaché wzruszył ramionami.

- Może to oznaczać bardzo wiele rzeczy, ale najprawdopodobniej kapitan zwyczajnie nie chciał, żeby wiadomo o jego obecności na tych wodach. Może to jakiś korsarz albo bukanier, który zatrzymał się tu, żeby uzupełnić zapasy wody lub żywności. Skoro nie miał potrzeby zawijać do portu, rejestrować się i uiszczać opłatę, po co miał to robić?

Pierwszy mężczyzna postukał paznokciem w blat stołu.

- Załóżmy, że panna Hopkins i jej towarzysz widzieli obóz Kale'a. Czy któreś z nich może nam narobić kłopotów? Czy to możliwe, że panna Hopkins poinformuje admiralicję, tak jak zamierzała?

- Gdybym miał iść o zakład, powiedziałbym, że tak. Należała do tych natrętnych kobiet, które szarogęszą się i nigdy nie rezygnują.

Pierwszy pokiwał głową.

- No dobrze. Jak mówiłeś, we dwóch rozprawimy się z wszelkimi oficjalnymi pytaniami. Czy Kale przekazał jakieś

informacje od Dubois?

- Owszem. - Muldoon napił się i otarł usta wierzchem dłoni.
- Dubois podobno był dość zadowolony ze starszych dzieciaków. Mówił, że na razie mu wystarczą. Powtórzył jednak, że jeśli prace w drugim korytarzu mają ruszyć pełną parą, gdy tylko Dixon go otworzy, to potrzeba mu więcej rąk do pracy. Zdaje się, że położył nacisk na to, aby byli to dorośli. Nie potrzebuje kolejnych kobiet ani dzieci, ale mężczyźni będą niezbędni, jeśli chcemy zwiększyć produkcję.

Pierwszy się skrzywił.

- Biorąc pod uwagę żądania naszych szacownych sponsorów, będziemy musieli znaleźć mu tych ludzi.

Trzeci mężczyzna poruszył się niespokojnie.

- W ostatnim liście, który mi pokazałeś... sprawiali wrażenie... zniecierpliwionych - rzekł.

Muldoon prychnął.

- Oni nie mają pojęcia, jak tu jest. Siedzą sobie bezpiecznie w swoich wygodnych londyńskich klubach. Gdybyśmy mieli to powtórzyć, nie wiem, czy zaprosiłbym ich do współpracy. Może i przydała nam się ich gotówka, ale to, że ciągle narzekają, na pewno w niczym nie pomaga. Jeśli popełnimy jakiś błąd i wpadniemy, to my zawiśniemy na stryczku. Oni mają pieniądze i takie koneksje, że najwyżej dostaną po łapach.

Po chwili pierwszy mężczyzna stwierdził:

- A gdybym ja miał zrobić coś inaczej, dopilnowałbym tylko, by nie poznali naszych nazwisk. Niestety nic już na to nie poradzimy, co oznacza, że nie mamy wyboru i musimy spełnić

ich żądania, choćby nawet niemądre.

Trzeci obrócił w rękach pusty kufel.

- Albo przynajmniej sprawiać wrażenie, jakbyśmy to robili - odparł.

Muldoon i pierwszy mężczyzna wbili w niego spojrzenia.

- No co? - spytał niepewnie.

Attaché pokręcił głową i uśmiechnął się cierpko.

- Wreszcie zaczynasz się rozkręcać, Winton... To pierwsza inteligentna uwaga, jaką poczyniłeś.

Osiemnaście

Rankiem dwunastego dnia po opuszczeniu Freetown Robert siedział przy biurku i pisał w dzienniku. Podczas tej wyprawy zwyczaj zapisywania wydarzeń dnia oraz spostrzeżeń i wniosków pomógł mu w planowaniu działań bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Podniósł wzrok na Aileen. Leżała wygodnie na łóżku i czytała jeden z wcześniejszych dzienników, opisujący niektóre jego przygody na Karaibach i w południowych koloniach Ameryki. Była zatopiona w lekturze. Robert patrzył, jak przewraca kartkę, po czym uśmiechnął się i wrócił do opisu obecnej wyprawy. Dotarł w swojej relacji mniej więcej do obecnej chwili.

Odłożył pióro i osuszał właśnie ostatnie linijki, kiedy w korytarzu rozbrzmiały pospieszne kroki. Aileen podniosła wzrok. Robert zatrzasnął dziennik i schował go do dolnej szuflady biurka. W tym samym momencie rozległo się pukanie.

- Proszę! - zawołał Robert.

Drzwi otworzyły się i do środka zajrzał Wilcox. Uśmiechnął się do Aileen i zasalutował dowódcy.

- Porucznik Latimer przesyła pozdrowienia, kapitanie. Sądzi, że powinien pan wiedzieć: chyba depczemy po piętach „Księciu”.

- Doprawdy? - W odpowiedzi na pytające spojrzenie Aileen,

Robert wyjaśnił: – To statek Caleba. – Podniósł się z fotela. –
Dziękuję, Wilcox. Zaraz przyjdziemy na pokład.

– Tak jest, kapitanie. – Wilcox wyszedł i zatrzasnął drzwi.

Aileen zaznaczyła miejsce w dzienniku i odłożyła go, po czym wstała z łóżka.

Wychodząc z kajuty, zapytała:

– Skąd ta ekscytacja faktem, że twój brat płynie przed nami?

– Stąd, że Caleb uwielbia się ścigać. I uwielbia wygrywać.

Tylko nie wie, że Declan, Royd i ja mu na to pozwalamy.

Wychodząc na główny pokład, Aileen z radością ujrzała na horyzoncie łagodnie falującą biało-zieloną linię angielskich klifów.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteśmy już tak blisko!

Pokład przechylił się pod ich stopami i Aileen uchwyciła się ramienia Roberta.

Przez cały Atlantyk ścigały ich sztormy, lecz idąc pod pełnymi żaglami, „Trójzab” zdołał im umknąć. Przemknęli wzdłuż wybrzeża w niemal rekordowym tempie i nocą statek wpłynął w kanał La Manche.

Robert pomógł Aileen wspiąć się po drabince na pokład rufowy. Po przywitaniu się z Latimerem, który pełnił wachtę przy sterze, dziewczyna zatrzymała się przy przedniej barierce i rozejrzała dookoła. Robert stanął za nią, z rękami na jej ramionach, osłaniając ją przed mocnym wiatrem.

Teraz, kiedy zbliżyli się do wybrzeża i zaczęli mijać kolejne porty, spotykali inne statki: ciężkie jednostki handlowe, lżejsze promy pasażerskie, obładowane barki, a nawet jachty, lecz najbardziej rzucały się w oczy wielkie oceaniczne żaglowce

połyskujące w porannym słońcu bielą i bladym złotem żagli.

- O, tam. - Robert wyciągnął ramię i pokazał rufę statku, który musiał znajdować się co najmniej pół mili przed nimi.

Aileen wydawało się, że wygląda on prawie tak samo jak „Trójzab”, lecz Robert wyjaśnił:

- „Księżę” jest nieco szerszy, nie tak opływowy. No i nie wprowadzono na nim jeszcze takich udoskonaleń jak na „Trójzębie”.

Po chwili namysłu Robert popatrzył na Latimera.

- Po tej stronie Solentu, zważywszy na jego dużą przewagę, już go nie dogonimy. Ale - dodał z łobuzerskim uśmiechem - możemy przynajmniej zmniejszyć dystans. Niech się trochę wysili.

Latimer roześmiał się.

- Spodziewałem się, że tak powiesz. - Kiwnął głową w stronę żagli. - Chcesz czynić honory? W końcu to twój brat.

Robert uśmiechnął się jeszcze szerzej i lekko ścisnął ramiona Aileen.

- Zostań tu i trzymaj się mocno - szepnął.

Widząc na głównym pokładzie bosmana, zawołał do niego:

- Panie Wilcox! Na pewno zauważył pan przed nami „Księcia”! Może trochę go pogonimy?!

Wilcox i inni, którzy usłyszeli te słowa, roześmiali się radośnie.

- Tak jest, kapitanie! - odkrzyknął bosman.

Robert spojrział na statek brata, potem na swoje żagle, po czym zaczął wydawać rozkazy. Załoga rzuciła się do działania. Niektórzy wspinali się na reje jak małpy. Inni biegli obsadzić

najróżniejsze kołowroty lub rzucali się do lin. Aileen próbowała się zorientować w całej tej bieganinie, lecz działo się zbyt wiele rzeczy naraz – a miało się dziać jeszcze więcej.

„Trójzęb” szarpnął naprzód.

Aileen uchwyciła się balustrady, pojmuąc nagle, dlaczego Robert kazał jej się mocno trzymać. Myślała, że już przedtem płynęli szybko, ale teraz... teraz miała wrażenie, jakby kadłub mknął ponad falami.

Ogarnęło ją uniesienie.

Czując nagłą zmianę tempa, pozostali członkowie załogi również zaczęli wychodzić spod pokładu. Rozpoznawszy „Księcia”, natychmiast pojęli, co się szykuje, i stanęli w gotowości, niecierpliwie czekając na rozkazy. Wkrótce i oni wspinali się na reje lub kręcili którymś z niezliczonych kołowrotów. O ile Aileen potrafiła się zorientować, chodziło o to, by w pełni wykorzystać siłę wiatru i prądy wodne, jednocześnie minimalizując opór.

„Trójzęb” stopniowo zmniejszał dystans. Załoga „Księcia” zauważyła zbliżający się statek i rozpoznała go. Dopiero wtedy rozpoczął się prawdziwy wyścig.

Caleb – Aileen nie miała wątpliwości, że to on stał za sterem – halsował, żeby zablokować drogę Robertowi.

Ten jednak przewidział ruch brata i w tym samym momencie, gdy „Księżę” zmienił kierunek, „Trójzęb” również zaczął halsować, aby otworzyć sobie nowy, nieprzesłonięty kurs.

Była to oczywiście tylko gra, lecz obydwu młodzieńcom zależało na zwycięstwie, ich załogi zaś całym sercem

zaangażowały się w te zawody. Towarzyszyły im śmiechy, dobroduszne żarty i kpiny, a także niewybredne epitety.

„Księżę” zdołał utrzymać przewagę aż po Solent, choć dziób „Trójzębu” był tuż za jego rufą.

Załoga Caleba zaczęła się śmiać i wiwatować, kiedy Robert – nadal z szerokim uśmiechem – uznał wreszcie porażkę i, przejmując ster, ustawił się za „Księciem”.

Bracia i ich załogi skupili się teraz na nawigacji po bardziej zatłoczonych szlakach wiodących do Southampton. Kolejno zwijano żagle i oba statki zaczęły wytracać prędkość. Należały do największych z wchodzących do portu jednostek i sprzyjała im fala. Inne statki usuwały im się z drogi, pozwalając gładko sunąć do przodu.

Wreszcie wpłynęli na spokojne wody Southampton. Aileen z uznaniem powiodła wzrokiem po masztach i żaglach, wyobrażając z sobie, jak oba klipry muszą się prezentować z klifów – dwie zgrabne piękności sunące swobodnie i majestatycznie po niemal lustrzanej powierzchni wody.

Robert zatrzymał się przy wejściu do portu, żeby „Księżę” mógł jako pierwszy rzucić kotwicę na firmowej kei. Kiedy „Trójzęb” także rzucił wreszcie cumy i spuścił trap, słońce stało już wysoko i dookoła słychać było zwykłą poranną krzątanicę.

Dziesięć minut później, gdy Robert ujął Aileen za rękę, żeby pomóc jej zejść ze statku, bez zdziwienia ujrzał Caleba czekającego już z beztroskim uśmiechem na urodziwym obliczu.

Beztroska i ciekawość były charakterystyczne dla

najmłodszego Frobishera.

Na widok Aileen młodzieniec rozpromienił się, a gdy doszła do końca trapu, podał jej rękę i pomógł zejść na keję.

- Dzień dobry - powitał ją.

Aileen uśmiechnęła się szeroko.

- Dzień dobry - odparła. - Jestem Aileen Hopkins.

- A ja Caleb Frobisher. - Młodzieniec uklonił się i spojrzał na Roberta. - Co słysząc, bracie mój?

- Witaj, Caleb - odpowiedział Robert z obojętnym wyrazem twarzy.

Młodszy brat powiódł wzrokiem od niego do jego towarzyszki i wreszcie spytał:

- Powiesz mi w końcu, co się tu dzieje?

Robert ujął Aileen pod łokieć i ruszyli wzdłuż nabrzeża. Obaj z Calebem musieli stawić się w biurze kompanii, żeby zarejestrować powrót statków i zlecić wypłatę pensji dla załóg.

Caleb szedł po drugiej stronie Aileen, lecz ciągle wpatrywał się w Roberta. Ten doskonale wiedział, że jeśli brat nie dostanie żadnej odpowiedzi, zacznie zamęczać jego towarzyszkę, oczywiście z typowym dla siebie wdziękiem. Ile jednak powinni mu zdradzić?

- Dlaczego w ogóle sądzisz, że coś się dzieje? - spytał wreszcie.

- Sam nie wiem. - Idący niedbałym krokiem Caleb włożył rękę do kieszeni. - Może dlatego, że „Trójzęb” wpłynął do kanału od południa, a nie od zachodu, choć zwykle pływasz do Ameryki Północnej.

Robert zaklął w duchu. A już miał nadzieję, że Caleb tego nie zauważy.

- A może dlatego - ciągnął młodzieniec - że jakiś miesiąc temu widziałem statek Declana idący na południe pod pełnymi żaglami, a teraz ty w podobnym pośpiechu wracasz z tego samego kierunku. Albo dlatego, że Declan udawał, że nawet nie zauważył „Księcia”, choć to oczywiście nieprawda. - Caleb popatrzył bratu w oczy ponad głową Aileen. - To jasne, że chodzi o... jakieś nietypowe przedsięwzięcie. Tylko jakie?

Robert wzruszył ramionami i popatrzył przed siebie.

- Niedługo się dowiesz.

- Chcę wiedzieć teraz.

Doszli do końca nabrzeża. Musieli przejść przez ruchliwą ulicę i Robert wykorzystał ten moment na zastanowienie. Idąc w kierunku mieszczących się przy ulicy biur kilku kompanii transportowych, pochwycił zaintrygowane spojrzenie Aileen. Popatrzył na Caleba i jego raczej niezadowoloną minę.

- Muszę dopilnować, żeby panna Hopkins jak najszybciej dostała się do Londynu. Dokąd dalej płyniesz?

Caleb wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Dopiero przywiozłem z Lizbony kilku kupców i dyplomatów. Zwykła misja handlowa. Zaraz się przekonamy, czy nie czeka na mnie jakieś nowe zlecenie.

Doszli do biura Kompanii Transportowej Frobisher i Synowie.

Pracownik za kontuarem, o nazwisku Higgins, powitał ich z uśmiechem.

- Kapitan Robert i kapitan Caleb. Cieszę się, że obaj

wróciliście.

Higgins pracował w spółce od czasów dziadka braci i traktował całą rodzinę bez zbędnych ceregieli. Po przywitaniu Frobisherów ukłonił się Aileen.

- Dzień dobry, panienko.

Wyciągnął spod kontuaru dwie wielkie księgi.

- Więc kto pierwszy?

Robert zerknął na brata.

- Mnie się raczej nie spieszy - rzekł Caleb, przepuszczając go ruchem ręki.

- Dzięki. - Robert oparł się o kontuar i rzekł do Higginsa: - Właściwie Caleb dotarł o sekundę przede mną, ale muszę jak najszybciej odstawić pannę Hopkins do Londynu.

- Rozumiem. - Higgins ukrył uśmiech. - A zatem...

Robert musiał się skupić na formalnościach, z konieczności pozostawiając Aileen i Caleba samym sobie. Z początku starał się słuchać jednym uchem, szybko jednak przekonał się, że Aileen już przejrzała Caleba i udziela wymijających odpowiedzi na jego liczne pytania. Sam mógł zatem spokojnie zająć się sprawami związanymi z zakończeniem rejsu.

Aileen musiała przyznać, że Caleb nawet nie próbował ukryć chęci wydobycia z niej prawdy. Uśmiechał się pogodnie i z wdziękiem, zasypując ją pytaniami.

Pod wieloma względami przypominał jej Willa. Był uciążliwy jak komar, ale miał w sobie tyle uroku, że trudno było mieć do niego pretensje.

Caleb był równie pociągający co Robert - prawie tego samego wzrostu, o podobnych, nieco surowych rysach

i szczupłej budowie ciała oraz szerokich barkach. Emanował taką samą męską siłą. Robert był jednak dojrzały, bardziej doświadczony. Caleb musiał dopiero się zmierzyć z różnymi próbami i wyzwaniem, życie jeszcze go nie zahartowało.

Kiedy młodzieniec przekonał się, że nie wydobędzie z niej żadnych informacji, westchnął z irytacją.

- Pani też nic mi nie powie - stwierdził.

Jego nieszczęśliwa mina wywołała jej uśmiech. Aileen położyła dłoń na ramieniu młodego kapitana.

- Sprawa jest naprawdę zbyt poważna, żeby rozpowiadać o niej wszem i wobec - rzekła. Popatrzyła na Roberta, który zjechał się właśnie z Higginsem i odwracał od kontuaru. - Jestem przekonana, że brat pański... wszyscy bracia... wyjawiają w końcu, o co chodzi.

Caleb w odpowiedzi tylko burknął coś pod nosem - zupełnie tak samo, jak uczyniłby to Will.

Robert podszedł, ujął rękę Aileen i zwrócił się do brata:

- Pojedziemy do Londynu najętym powozem. „Trójzab” ma tu na razie pozostać, więc najprawdopodobniej szybko wrócę. Jeśli jeszcze tu będziesz, powiem ci tyle, ile będę mógł.

- Caleb? - zawołał nagle z głębi Higgins.

Młodzieniec uniósł dłoń, kładąc mu poczekać.

- Jak niby - spytał cicho, z lekkim wyrzutem, nie odrywając wzroku od Roberta - mam dowiedzieć, że można mi powierzyć poważniejsze zadania niż przewożenie kupców, skoro Royd nie chce nawet dać mi szansy?

Robert popatrzył bratu w oczy i zacisnął usta.

- Musisz zapracować na jego zaufanie - mruknął wreszcie.

Jednak wiedział, że dla najmłodszego, najbardziej beztroskiego z potomków rodu Frobisherów nie będzie to łatwe.

I na pewno nie wtedy, gdy osobą, której zaufanie należało zdobyć, był Royd.

Wpatrując się w twarz Caleba i widząc malujący się na niej gniew, Robert pomyślał, że wraz z Roydem i Declanem powinni może zwrócić uwagę na fakt, że ich mały braciszek ma już dwadzieścia osiem lat i od pięciu lat dowodzi swoim statkiem.

W tym miał ochotę powiedzieć Calebowi prawdę, lecz szkoda mu było teraz czasu.

- Musimy już iść, ale jak wrócę, odpowiem na twoje pytania.

Caleb spojrział na niego z niedowierzaniem, potem uśmiechnął się do Aileen. Ujął jej dłoń i uklonił się.

- Miło mi było panią poznać, panno Hopkins.

Aileen, cudowna kobieta, uśmiechnęła się i odpowiedziała z figlarnym błyskiem w oku:

- Przypuszczam, że będziemy się jeszcze widywać w przyszłości.

Caleb otworzył szerzej oczy.

- Naprawdę?

Robert poklepał go po ramieniu.

- Na razie - powiedział i wyprowadził Aileen z biura.

Ruszyli w kierunku gospody z powozami do wynajęcia, z której usług zwykle korzystała jego rodzina.

- Dziękuję, że dałaś mi inny temat do myślenia - rzekł.

- Myślisz, że to podziała?

- Na jakieś trzy minuty.

Kwadrans później, po napiciu się herbaty, podczas gdy służba zajazdu karmiła i zaprzęgała konie, Robert i Aileen wsiedli do wynajętego powozu i ruszyli w drogę do Londynu.

Caleb zakończył sprawy z Higginsem, po czym ruszył z powrotem na nabrzeże. Szedł z rękami w kieszeniach, rozmyślając. A więc Robert znalazł sobie towarzyszkę w osobie intrygującej panny Hopkins - zdaniem Caleba miała ona w oczach wojowniczy błysk, który na pewno spodoba się matce.

I świetnie. Caleb szczerze życzył im szczęścia, nawet jeśli Robert nie chciał mu nic powiedzieć na temat misji, w którą zaangażował się razem z Declanem. Fakt, że trzymał to w tajemnicy, sugerował, że chodziło o jedno z przedsięwzięć, których rodzina podejmowała się na rzecz korony. Trzeba przyznać, że przynajmniej Robert nie próbował zaprzeczać, że on i Declan brali w tym udział.

Caleb doszedł do „Księcia”. Przystanął przy trapie. Nie wyjmując rąk z kieszeni i nie odrywając wzroku od desek kei, analizował spotkanie z bratem.

Czy misja została zakończona?

Czy też Robert wykonał tylko jej część, jak zapewne wcześniej Declan? Po chwili Caleb mruknął do siebie:

- To drugie.

Im dłużej myślał o pośpiechu, z jakim Robert pędził do Londynu, niewątpliwie po to, by złożyć raport, tym bardziej

był przekonany, że zadanie nie zostało w pełni wykonane. Ta misja - tajna, a zatem ekscytująca - wciąż nie została zakończona.

Przeniósł wzrok na statek Roberta, przycumowany za „Księciem”. Jego załoga świetnie znała najmłodszego Frobishera.

Caleb wiedział, że brat ma zwyczaj zapisywać wszystko w dzienniku. I orientował się, gdzie go trzyma.

Uśmiechnął się szeroko, wyciągnął ręce z kieszeni i podszedł do trapu „Trójzębu”. Na widok Latimera odezwał się:

- Proszę o pozwolenie na wejście na pokład, panie Latimer. Pierwszy oficer podszedł i uściskał mu rękę.

- Co u ciebie, łajdackie nasienie?

- Wszystko w jak najlepszym porządku, dziękuję. - Caleb zdobył się na niewinny uśmiech. - Robert wyruszył do Londynu. Zdaje się, że zapomniał jakiejś książki, na której mu zależy. Prosił, żebym wziął ją z jego kajuty i przesłał.

Niczego nie podejrzewając, Latimer wskazał mu zejściówkę.

- Wiesz, jak trafić. Tylko daj znać wachcie, kiedy będziesz odchodził.

- To potrwa jedynie chwilę - rzekł Caleb, idąc w kierunku rufy. - Muszę jak najszybciej uzupełnić zapasy. Zdaje się, że natychmiast znowu ruszam w drogę.

- Niegodziwi nie znają spoczynku! - roześmiał się Latimer.

- Bez dwóch zdań.

Młodzieniec zszedł po drabinie i ruszył do kajuty Roberta.

Powóz zatrzymał się przed elegancką kamienicą na

Stanhope Street.

Aileen zmierzyła wzrokiem ładną fasadę, zastanawiając się, czy nie powinna jeszcze raz podnieść kwestii zakwaterowania w hotelu. Robert jednak uparł się, że brat i bratowa nigdy by mu nie wybaczyli, gdyby jej na to pozwolił.

Stojąc pod wejściem, spojrzała na Roberta.

- Jesteś pewien, że... - zaczęła i urwała, gdyż drzwi natychmiast się otworzyły.

Wyniosły kamerdyner na ich widok uśmiechnął się serdecznie.

- Kapitan Frobisher! Jakże miło znowu pana widzieć. - Jego spojrzenie spoczęło na Aileen i sługa uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Proszę, proszę, zapraszamy do środka.

- Dziękuję, Humphrey. Czy zastaliśmy mojego brata i lady Edwinę?

- Owszem, proszę pana. - Kamerdyner obejrzał się. - Oto i oni. - Robert? - Podbiegła do nich podobna do elfa dama w niebieskiej sukni, z jasnymi włosami upiętymi wysoko na głowie. - Dzięki Bogu, że wróciłeś! - Przyciągnęła i objęła szwagra, przenosząc zaciekawione spojrzenie na Aileen.

Gdy tylko wypuściła Roberta z objęć, ten przedstawił swoją towarzyszkę:

- Oto panna Hopkins.

- Proszę mi mówić Aileen. To zaszczyt móc panią poznać, lady Edwino. - Aileen już miała dygnąć, lecz gospodyni ją powstrzymała.

- Ależ nie, nie. Nie przywiązujemy tu wagi do takich rzeczy. - Uścisnęła jej dłonie i przytrzymała je przez chwilę, po czym

uśmiechnęła się promiennie. - Och, wydaje mi się, że będziemy się doskonale dogadywać. Proszę, mów mi Edwina.

W holu pojawił się wysoki dżentelmen, w którym Aileen bez problemu rozpoznała kolejnego Frobishera, zapewne Declana. Uśmiechnął się szeroko. Pokleпали się z Robertem po plecach, po czym zwrócili ku damom.

- A oto Frobisher - przedstawiła go Edwina. - Och, nie, przecież jest was dwóch... Oto mój mąż Declan, a to jest Aileen. Ale przede wszystkim powiedzcie, czy jedliście już obiad. - Aileen nie zdążyła nawet odpowiedzieć, bo gospodyni trąkotała dalej: - O, już widzę, że nie. Na pewno umieracie z głodu. Humphrey?

- Oczywiście, jasnie pani. - Kamerdyner odwrócił się od lokajów, którzy wnosili bagaże gości na górę. - Proszę do jadalni. Powiem kucharce, żeby przygotowała poczęstunek na zimno.

- Jeśli wybaczycie mi na sekundę... - Declan wymienił spojrzenia z bratem - prześlę informację o twoim powrocie do Wolverstone'a i Melville'a.

- Wyśmienicie! - Edwina objęła Aileen w pasie i poprowadziła ją przez hol. - Chodźcie oboje. Usiądźmy. Wszystko nam opowiecie przy posiłku.

Aileen przypuszczała, że będzie skrępowana, lecz zanim poczęstunek - który okazał się wyśmienity i bardzo obfity - dobiegł końca, poczuła się całkowicie włączona do rodzinnego grona, w pełni zaakceptowana przez oboje gospodarzy.

Ale w końcu wystarczyło zaledwie kilka zdań, aby pokazać, że mają z Edwiną wiele wspólnych cech, podobnie jak Robert

i Declan. Edwina nie myliła się w swojej ocenie: na pewno połączy je przyjaźń.

Już połączyła.

Gospodarze doskonale wiedzieli, co się dzieje we Freetown, dlatego Robert i Aileen mogli swobodnie o wszystkim opowiedzieć. W najważniejszych momentach Edwina reagowała okrzykami, Declan zaś patrzył poważnie.

- A zatem twój nieszczęsny brat tkwi z całą resztą tam, gdzie ten Dubois prowadzi tę swoją kopalnię. - Edwina popatrzyła na Roberta, a potem na Declana. - Jaki więc będzie kolejny krok?

- Zapewne sama kopalnia, zgodzisz się? - spytał Declan, spoglądając na brata.

- Niewykluczone. Ale sprawa może być bardziej skomplikowana. Jedna rzecz nie daje mi spokoju: to nie jest byle spisek zaaranżowany naprędce pod wpływem chwili. Zbyt dobrze to zorganizowali.

Popatrzył Declanowi w oczy.

- Wiesz, jak działa większość szajek handlarzy niewolników: zwyczajnie porywają ludzi i sprzedają temu, kto ich potrzebuje. A w tym wypadku ofiary uprowadzane są według konkretnej listy dostarczanej porywaczom. Cała rzecz najwyraźniej jest koordynowana na miejscu, a przede wszystkim doskonale zorganizowana. Widać, że ktoś poświęcił wiele czasu i wysiłku, żeby ukryć i samo przedsięwzięcie, i tych, którzy za nim stoją. Trudno nie zadać sobie pytania dlaczego.

- Masz rację - stwierdziła Edwina po chwili namysłu. -

Łatwo myśleć o tym jak o zwykłej działalności przestępczej, gdzie wszystko jest oczywiste i można załatwić sprawę za jednym zamachem, wysyłając zbrojną siłę, ale... - Oparła się łokciem o mahoniowy stół i zmarszczyła brwi. - Nie licząc już pozostałych względów, jak zdecydować, ilu ludzi należy tam posłać i jakiego rodzaju ma to być siła? Przecież nic nie wiemy o tej kopalni.

- Gorzej. - Declan przygarbił się na krześle. - Nawet jeśli pójdziemy znalezionym przez was tropem i dotrzemy do Dubois, wciąż możemy być daleko od samej kopalni...

- A wtedy może stać się to, czego za wszelką cenę chcemy uniknąć - wtrącił Robert. - Nie możemy ryzykować, że złoczyńcy dowiedzą się wcześniej, iż wiemy o kopalni...

- Bo wszyscy porwani stracą życie - dokończyła Aileen. - Potrzebny będzie co najmniej jeszcze jeden... Jak wy na siebie mówicie podczas misji?

- Agent - rzekł Robert z nikłym uśmiechem. - Masz rację. Konieczna będzie jeszcze jedna wyprawa do Freetown, żeby dowiedzieć się, kim jest Dubois i czy atak na niego oznacza również atak na samą kopalnię. A jeśli tak, to jaka siła będzie potrzebna, aby zakończyć sprawę jednym ruchem. Tylko w ten sposób odzyskamy porwanych.

Później tego wieczoru, zamykając drzwi do sypialni wskazanej przez miłą ochmistrzynię, Aileen z niedowierzaniem myślała, jak bardzo czuje się tu zdomowiona i mile widziana. Przyjęto ją tak, jakby już była członkiem rodziny.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. W ogrodzie za

domem panowała ciemność. Aileen oparła się ramieniem o szybę i zaczęła błędzić myślami. Cieszyła się odświeżającym chłodem angielskiej wiosny, który przypominał jej, że nie przebywa już w obcym kraju, pełnym egzotycznych widoków i niewyobrażalnych zagrożeń.

Przed kolacją dostali odpowiedź od Wolverstone'a. Jego Książęca Mość pragnął jak najszybciej usłyszeć najnowsze wieści, lecz wraz z lordem Melville'em musieli wziąć udział w ważnym spotkaniu jakiegoś komitetu, więc należało to odłożyć jeszcze co najmniej o jeden dzień.

Po posiłku, w trakcie którego goście wysłuchali najnowszych plotek towarzyskich z Londynu, usiedli wokół kominka w przytulnym salonie. Declan i Edwina wyraźnie nadal byli zaangażowani w sprawę Freetown, co wzmocniło postanowienie Aileen, aby również interesować się nią na bieżąco. Być może jej i Roberta rola dobiegła już końca, lecz misja wciąż trwała.

Wszyscy czworo rozmawiali swobodnie. Zgadzała się w kwestii tragicznych warunków życia ludności kolonijnych slumsów, szczególnie dzieci.

Ta ostatnia kwestia wciąż leżała Aileen na sercu. Za każdym razem, gdy przypominała sobie dziewczynkę w obozie porywaczy, wyraz jej twarzy w chwili, gdy miała zdała sobie sprawę, że wraz z kolegami została oszukana, sama czuła się równie bezradna co nieszczęsna ofiara

A przecież nienawidziła bezradności.

W takiej sytuacji zdecydowanie wołała gniew.

Kiedy wraz z Edwiną oświadczyły, że udają się na

spoczynek, Robert postanowił pozostać jeszcze z bratem na dole. Przeszli do gabinetu Declana, żeby pomówić o interesach i statkach.

Aileen nie miała pojęcia, ile czasu stała, wpatrując się w mrok, gdy nagle usłyszała jakiś ruch w sąsiednim pokoju. Pokoju, w którym zakwaterowano Roberta.

Bez namysłu wyszła na korytarz.

Robert stał pośrodku sypialni, patrząc przed siebie. Najwyraźniej zastanawiał się nad problemami, które omawiali z Declanem w gabinecie.

Na dźwięk otwieranych drzwi uniósł głowę. Zamrugał i uśmiechnął się, widząc Aileen. Lampa na komodzie wciąż jeszcze się paliła. Dziewczyna zamknęła drzwi, oparła się o nie i przez chwilę patrzyła na niego, po czym podeszła śmiało.

Przystanęła tuż przed nim i otworzyła usta...

Robert położył na nich palec.

- Zanim zaczniesz, mam ci coś ogromnie ważnego do powiedzenia.

Aileen pocałowała go w palec i przechyliła pytająco głowę.

Robert popatrzył w jej błyszczące jasnobrązowe oczy.

- Kocham cię. A ty kochasz mnie. Tak więc - ujął jej dłonie i, nie odrywając od niej wzroku, ucałował po kolei palce - Aileen Hopkins, czy zostaniesz moją żoną i zwiążesz ze mną swoje życie?

Aileen uniosła brew.

- A czy pozwolisz mi pływać razem z tobą, tak jak twoja matka pływała z twoim ojcem?

Robert spodziewał się tego pytania.

- Dobrze. Pod warunkiem że zaakceptujesz fakt, iż na statku jest tylko jeden kapitan.

Aileen roześmiała się cicho.

- Oczywiście, kochany mój. - Stała na palcach i zbliżyła usta do jego ust. - O ile tylko będę mogła być kapitańską żoną.

Pocałowała go i Robert poczuł ulgę. Powoli, smakując jej wargi i cudowną słodycz, którą mu ofiarowała, zamknął Aileen w objęciach i przyciągnął do siebie, a ona wtuliła się w niego całym ciałem.

Zapadła noc i mrok pochłonał ich westchnienia, ciche jęki i wreszcie krzyk rozkoszy, którym ślubowali sobie miłość i wierność. I to, że zawsze będą razem.

Znaleźli miłość i milcząco przysięgli sobie, że nigdy, przenigdy nie wypuszczą jej z rąk.

Później, kiedy leżeli zaspokojeni i zmęczeni w łóżku Roberta, znowu zwrócili myśli ku przyszłości.

Należało się zastanowić nad weselem, pomyśleć o zawiadomieniu rodzin i o miejscu, w którym mogliby zamieszkać... kiedyś.

Lecz najpierw...

- Nie zdołamy spokojnie ułożyć sobie planów, dopóki ta nieszczęsna sprawa nie zostanie zakończona - westchnęła Aileen, spoglądając w mroku na twarz Roberta i przesuując palcem po jego brodzie.

- Masz rację - powiedział Robert. - Odnieśliśmy sukces

i wróciliśmy do domu z informacją, po którą mnie posłano. Ty zaś dowiedziałaś się, co się stało z twoim bratem i że najprawdopodobniej nadal żyje. Ale zabrnęliśmy w to zbyt daleko, żeby teraz zwyczajnie z czystym sumieniem wrócić do swojego życia.

Aileen kiwnęła głową.

- Declan i Edwina czują to samo.

- To prawda. Rozmawiałem z Declanem, kiedy poszłyście z Edwiną na górę. Zastanawialiśmy się, czy poczekać tutaj na rozwój wypadków. - Pochwycił jej pytające spojrzenie. - Możemy wycofać nasze statki na co najmniej miesiąc. „Kormoran” Declana stoi na kotwicy w Southampton. Myślę, że każę swojej załodze poczekać razem z nim. Kiedy dowiemy się więcej, zdecydujemy, co należy zrobić. W razie potrzeby możemy w ciągu dnia być gotowi do kolejnej wyprawy do Freetown.

- Myślisz, że dojdzie do... do dużego starcia?

- Myślę, że sprawa jest poważniejsza, niż się spodziewamy. I że potrzeba będzie wielu statków i ludzi.

Aileen patrzyła na niego długą chwilę.

- Popłynę z tobą.

Pierś Roberta uniosła się i opadła z westchnieniem.

- Tak przypuszczałem. - W jego głosie zabrzmiała rezygnacja. - Ale możemy zachować spory na później.

- Zgoda - odparła z uśmiechem.

Jak zwykle ułożyła głowę w zagłębieniu jego ramienia i wtuliła się w niego całym ciałem.

Na razie mieli siebie i to, co ich łączyło. Było to

nieskończenie więcej, niż każde z nich miało u początku niedawnej podróży. Aż do następnego dnia, kiedy znowu wezwą ich obowiązki, mogli cieszyć się chwilą oraz tym najcenniejszym ze wszystkich darów - nowo znaną miłością.

Dziewiętnaście

Minął jeszcze jeden dzień, zanim otrzymali wezwanie na spotkanie z Wolverstone'em i Melville'em.

Był późny ranek, kiedy w towarzystwie Declana i Edwiny wkroczyli do rezydencji księcia na Grosvenor Square.

- Ich Książęce Mości i pozostali czekają już na państwa - poinformował kamerdyner Wolverstone'a, prowadząc ich niezwłocznie do salonu.

Robert rzucił zdziwione spojrzenie Declanowi, który również zwrócił uwagę na ten szczegół: jacy „pozostali”? Skąd ta liczba mnoga?

Jako pierwsza powitała ich Minerva, księżna Wolverstone. Bezzwłocznie dokonała prezentacji i przedstawiła Aileen swojego męża, Royce'a - księcia Wolverstone, oraz wicehrabiego Melville'a, Pierwszego Lorda, którzy znani już byli reszcie towarzystwa.

Następnie zwróciła się do trzech dżentelmenów, którzy czekali na stojąco.

- Oto Lady Edwina Frobisher, kapitan Robert Frobisher, kapitan Declan Frobisher oraz panna Aileen Hopkins - rzekła.

- Pozwolą państwo, że przedstawię im majora Rafe'a Carstairsa. Pan major co prawda zrezygnował już z aktywnej służby, lecz jest kimś w rodzaju oficera kontaktowego dla armii w sprawach wymagających dyskrecji.

Wysoki, jasnowłosy dżentelmen o miłej twarzy, pełnym ciekawości spojrzeniu i prostej jak struna postawie zdradzającej oficera kawalerii przywitał się ze wszystkimi, po czym księżna kontynuowała:

- A to jest Jack, lord Hendon, który ostatnio pełni funkcję głowy Kompanii Transportowej Hendon. - Minerva spojrzała w kierunku obu braci Frobisherów. - Jak rozumiem, stanowi ona niejaką konkurencję dla waszej rodziny...

- Znamy się już - odparł Robert dość cierpko.

Księżna uśmiechnęła się z niewzruszonym spokojem.

- Podejrzewałam, że może tak być - stwierdziła.

Hendon również był wysokiego wzrostu i także miał za sobą służbę w armii, lecz w przeciwieństwie do Carstairsa zakończył ją przed dziesięciu laty. Nigdy też nie było to jego jedyne zajęcie.

Przywitał się z paniami, próbując je oczarować, po czym potrząsnął rękę Roberta i Declana.

Wreszcie Minerva zwróciła się do ostatniego z panów, który cierpliwie czekał na prezentację - wysokiego, postawnego, ciemnowłosego mężczyzny.

- A oto markiz Dearne. Jest on... - Księżna uniosła brew, jakby pytając markiza, kim właściwie jest, po czym z uśmiechem dokończyła: - No cóż, to po prostu Dearne.

Markiz wyciągnął rękę z rozbawionym uśmiechem.

- Wystarczy Christian.

Gdy zakończono powitania, Minerva zaprosiła Aileen i Edwinę na sofę stojącą naprzeciwko tej, którą sama zajmowała z Dearne'em, a reszta panów rozsiadła się na

fotelach i krzesłach.

- Myślę, że będzie nam łatwiej, jeśli zaczniemy sobie mówić po imieniu - zasugerowała.

Wszyscy się zgodzili, co - jak zauważyła Aileen - natychmiast rozluźniło atmosferę, zapewniając o wiele swobodniejsze warunki do rozmowy.

Wolverstone poprosił o sprawozdanie. Robert pospołu z Aileen opowiedział całą historię, a Declan i Edwina uzupełniali ją od czasu do czasu uwagami podkreślającymi znaczenie danego szczegółu.

- Znamy więc już położenie obozu porywaczy! - Melville (jedyne, który nie podał swojego imienia) klasnął uradowany. - I co teraz? - spytał, rozglądając się po pozostałych.

- Przede wszystkim wieszczę dobrze wykonanego zadania - rzekł Wolverstone, skłaniając głowę w stronę Roberta i Aileen.

Pozostali dołączyli do gratulacji, Melville co prawda bardzo zdawkowo, jakby nie do końca rozumiał, z czym Robert, jego załoga i ona sama musieli się borykać.

- Trzeba chyba zauważyć - ciągnął Wolverstone - że z każdym etapem dochodzenia sytuacja staje się coraz bardziej skomplikowana.

Christian, który siedział z łokciami opartymi na udach, pokiwał głową.

- Musimy o tym pamiętać, planując dalsze działania - stwierdził. - Każdy krok zbliżający nas do przeciwnika zwiększa ryzyko dekonspiracji.

- Dokładnie tak. Nie wolno nam zapominać, co się stanie,

jeśli wróg przedwcześnie odkryje, że się nim interesujemy.

- Zgadza się - potwierdził Jack. - I zgadzam się też z oceną Roberta, że ktokolwiek za tym stoi, ma wiele do stracenia w razie poznania jego tożsamości. A w takich sytuacjach „wiele do stracenia” oznacza zazwyczaj pieniądze, pozycję i władzę lub kombinację wszystkich tych trzech rzeczy.

- Ponadto - dodał Wolverstone - złoczyńcy tego pokroju w sytuacji zagrożenia nie cofną się przed niczym.

Melville zmarszczył brwi. Rozejrzył się kolejno po wszystkich twarzach.

- Ale przecież znamy już położenie obozu. Wiemy też, że porywacze pracują dla kogoś o nazwisku Dubois. To jasne, co musimy zrobić. Poślijmy do kolonii mały oddział. Niech zaopatrzy się na miejscu w niezbędne rzeczy i ruszy na obóz handlarzy. A potem na Dubois i kopalnię. I już. - Wykonał gest, jakby otrzepywał dłonie. - Sprawa załatwiona i zamknięta.

Na kilka sekund zapadła cisza.

Wreszcie przemówił Christian, pilnując, aby jego ton nie zdradzał żadnych emocji:

- Przede wszystkim musimy myśleć nie o samej kopalni, lecz o bezpieczeństwie porwanych osób. Po niedawnej sprawie Czarnej Kobry na pewno nawet sam premier pierwszy by to podkreślił.

Aileen zauważyła błysk zrozumienia w oczach Jej Księżęcej Mości.

- Zgadza się - stwierdziła Minerva, kierując na Melville'a spojrzenie swoich szarych oczu. - W tej sytuacji musimy

myśleć przede wszystkim o ludziach, a dopiero potem o zachowaniu twarzy przez rząd.

Pierwszy Lord Admiralicji zrobił minę, jakby chciał zaprotestować, lecz w takim towarzystwie zabrakło mu odwagi.

- Problem w tym - ciągnął Wolverstone, odchylając się na oparcie fotela - że nie mamy żadnej gwarancji, iż Dubois nie jest tylko kolejnym ogniwem całego przedsięwzięcia, tak jak to było z innymi. Każdy krok naprzód naraża nas na zaalarmowanie przeciwnika, a im bardziej zbliżamy się do celu, tym bardziej to ryzyko wzrasta. Jeśli porywacze zorientują się, że jesteśmy na ich tropie, kopalnia diamentów (zakładając, że faktycznie chodzi o kopalnię) zostanie natychmiast zamknięta, a siła robocza zmasakrowana. - Wzrok księcia spoczął na Melville'u. - Ostatnie, czego chcemy, to dotrzeć tam tylko po to, by znaleźć stertę zwłok i ani śladu po złoczyńcach.

Melville zbladł, zacisnął zęby i kiwnął głową.

- Dobrze więc. Co zatem proponujecie?

- Musimy posłać kogoś, żeby przejął obóz Kale'a, a potem zaczekał, aż Dubois pojawi się tam lub przynajmniej spróbuje nawiązać kontakt - powiedział Robert. - Trzeba się dowiedzieć, kim jest Dubois i jaka jest jego rola w tym przedsięwzięciu.

- Racja - przytaknęli jednym głosem Jack i Rafe.

- Nie ma innej drogi, która da nam jakąś gwarancję utrzymania przy życiu porwanych - dodał książę. - Na tym więc będzie polegać kolejny etap misji. Pozostaje zdecydować,

kogo pošlemy.

- Nadal musimy także się dowiedzieć - wtrącił Declan - kto w kolonii jest zamieszany w sprawę. Wiemy, że uwikłana w nią była lady Holbrook, ale wygląda na to, że jej mąż nie ma o niczym pojęcia. Mało jednak prawdopodobne, żeby nie był w to zaangażowany nikt z jego kancelarii. Utrzymanie Holbrooka w przekonaniu, że nic się nie dzieje, wymaga zbyt wielu nieustających zabiegów. Dzięki Aileen dowiedzieliśmy się o Muldoonie, attaché morskim. Nie mamy jednak pojęcia, co z Deckerem ani innymi dowódcami miejscowej eskadry. Jako pierwszy zniknął Dixon, bo jego umiejętności były niezbędne, żeby w ogóle otworzyć kopalnię. Wydaje się więc prawdopodobne, że jest w to zamieszany ktoś z fortu. Mogą też być inni w strukturach kolonijnej władzy. - Declan popatrzył na Wolverstone'a. - Ten, kogo pošlemy, musi nie tylko poradzić sobie bez wsparcia władz, ale wręcz obejść tamtejszy aparat urzędniczy.

Wszyscy przytaknęli, a Rafe stwierdził:

- Mógłbym wskazać kilku ludzi z armii, którzy by to potrafili, lecz żaden z nich nie przebywał ani w takim klimacie, ani w koloniach typu Freetown. Wolałbym więc nie proponować ich kandydatury... przynajmniej do tej misji.

- Mam ten sam problem - stwierdził Christian. - Żaden z moich ludzi nie działał w takich warunkach.

- Moim zdaniem - odezwał się Jack, patrząc na Roberta i Declana - to wy, Frobisherowie, macie najwięcej doświadczenia. Nie mówiąc już o kontaktach. Wszyscy znacie afrykańskie wybrzeże lepiej niż przeciętny marynarz. Declan

co prawda był tam jawnie, ale o wizycie Roberta nikt chyba nie wiedział... No, nikt poza Babingtonem, a on jest po naszej stronie. Tak więc nawet jeśli w pobliżu Freetown zauważą kolejny statek Frobisherów, po tylu tygodniach nie powinno to wzbudzić niczyich podejrzeń. Kto zatem jeszcze z waszej rodziny mógłby się tego podjąć? Może wasi bracia albo jakiś kuzyn?

- Royd by to zrobił - oznajmił Robert, patrząc na Wolverstone'a.

- I to z jedną ręką przywiązaną za plecami - dodał Declan, uśmiechając się z braterską czułością. - Żeby nie było za łatwo.

Wolverstone prychnął śmiechem. Dobrze znał Royda.

- W to nie wątpię - przyznał - chciałbym go jednak zachować na ostatni etap misji. Będziemy wtedy potrzebować człowieka formatu Royda i o jego zaletach. Wolałbym więc nie posyłać go jeszcze tym razem, skoro niemal na pewno nie będzie to koniec misji. Ponadto Royd zarówno wyglądem, jak i charakterem zwraca na siebie uwagę. Niełatwo byłoby mu się ukryć.

- Doskonale cię rozumiem - powiedział Jack z grymasem. On również znał Royda. - A może ten wasz kuzyn? Lachlan czy jak mu tam?

- To byłby dobry wybór - przyznał Declan - lecz Lachlan wypłynął trzy dni temu z Bristolu z grupą rządowych sekretarzy i całą zgrają inżynierów. Zmierzają do Quebecu. Wróci najwcześniej za kilka miesięcy.

- Zatem Lachlan odpada. - Christian zmarszczył brwi. -

Jednak wiem, że mamy na usługach jeszcze co najmniej jedną osobę z waszej rodziny. Niejaki Kit Frobisher?

Jack odkaszlnął, jakby się zakrztusił.

Declan rzucił mu wymowne spojrzenie.

- Kit podjąłby się tego zadania z największą ochotą i może nawet zdołałby je wykonać, ale mamy tu ten sam problem, co z Kitem z waszej rodziny. Jack na pewno się zgodzi, że tej kandydatury najlepiej w ogóle nie brać pod uwagę.

- Ach, rozumiem - wybąkał Christian.

Uśmiech Rafe'a świadczył o tym, że i on pojął, w czym kłopot.

Tylko Melville nadal nic nie rozumiał. Wodził wzrokiem po twarzach zgromadzonych z narastającym zdziwieniem. Zanim jednak zdążył zapytać, o co chodzi, Jack powstrzymał go, unosząc rękę.

- Nie pytaj - rzekł. - Uwierz mi, akurat ty na pewno nie chcesz tego wiedzieć.

Melville wydawał się zupełnie zbity z pantafyku.

- Co zatem mamy zrobić? - spytał ostro Wolverstone'a. - Kogo możemy posłać?

Książę znowu popatrzył na Roberta i Declana.

- Macie jeszcze jednego brata, Caleba. Jest od was młodszy, ale przecież pływa co najmniej od dziesięciu lat. Może on?

Robert i Declan spojrzeli po sobie.

- Caleb ma dwadzieścia osiem lat - odparł wreszcie Declan - ale...

Robert zrobił poważną minę, lecz po sekundzie wahania stwierdził:

- O ile wiem, Caleb jest w tej chwili w Southampton. Jego statek, „Księżę”, zawinął do portu dwa dni temu, tuż przed nami. Lecz zanim podejmiemy decyzję, musimy wam wyjaśnić sytuację. Pod pewnymi względami Caleb nie do końca jeszcze dorósł. Jest najmłodszy z całej rodziny, włączając w to kuzynów, i cechuje go... niezwykle i niezmiennie przekonanie o własnej niezwyciężoności. To częściowo nasza wina. Caleb zawsze rzucał się bez zastanowienia w sytuacje, w których każdy zdrowy na umyśle człowiek dwa razy by się zastanowił, lecz kiedy napotykał problemy, mógł liczyć na to, że jeden z nas... przeważnie Royd... pojawi się, żeby go wyratować. Nie zmieniło się to od czasu, gdy Caleb był chłopcem.

- Nawet Kit - mruknął Declan. - Zdarzyło się kilka razy uratować mu tyłek.

- Mówicie więc, że Caleb rzuca się bez wahania w największe niebezpieczeństwo, nie zważając na ryzyko, w zazwyczaj słusznym przekonaniu, że w razie potrzeby rodzina go wyratuje - podsumowała Minerva i spojrzała na Declana, unosząc brew. - W tych okolicznościach te cechy mogą się okazać przydatne.

- Caleb to narwaniec - stwierdził Robert; z jego głosu nie dało się wywnioskować, czy uważa to za wadę, czy zaletę. - Nie ma co owijać tego w bawełnę. Potrafi zrozumieć i ocenić sytuację tak samo dobrze jak każdy z nas, ale tam, gdzie my zdecydowalibyśmy się na ostrożność, Caleb postąpiłby wręcz odwrotnie. On kocha ryzyko, uwielbia kusić los i wygrywać.

- Im większe niebezpieczeństwo dla niego i wszystkich dookoła - dodał Declan - tym lepiej.

- To ryzykant do szpiku kości - mówił dalej Robert. - Nigdy nie wybiera bezpiecznego rozwiązania. Royd jest do niego najbardziej podobny pod względem temperamentu, ale wiek i obowiązki nauczyły go hamować popędliwość i kierować się rozważą.

- Choć fakt, Caleb potrafi wykonać misję. Może i zawsze pakuje się w kłopoty, ale nigdy jeszcze nie zawiódł - przyznał niechętnie Declan.

- A jego załoga? - spytał Rafe.

- Jest wyśmienita - odpowiedział Robert. - Większość pływa z nim od ponad pięciu lat, a niektórzy od początku jego kariery na morzu. Są tacy sami jak on. Mają podobne temperamenty i uwielbiają przygody. Im więcej się dzieje, tym lepiej.

Declan parsknął cicho.

- Nie spodziewajcie się więc, że załoga go przyhamuje - ostrzegł. - Pójdą za nim w ogień i jeszcze będą się cieszyć.

Rafe popatrzył na obu braci, przechylając głowę.

- Chyba rozumiecie, że w przypadku tej misji są to raczej dobre referencje?

Declan zamrugnął, zupełnie zbity z tropu. Co do Roberta, Aileen podejrzewała, że sam doszedł już do podobnego wniosku.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Wejść - powiedział Wolverstone.

Wszedł kamerdyner.

- Pilna wiadomość ze Stanhope Street, Wasza Książęca Mość - powiedział, stając przed Robertem i wyciągając do niego tacę.

Robert sięgnął po leżący na niej liścik, po czym wsunął palec pod woskową pieczęć i rozerwał ją, patrząc jednocześnie na Aileen. Natychmiast się domyśliła, kto jest autorem wiadomości.

Czytając zamasyście skreślony list, Robert usłyszał w głowie pytanie Caleba sprzed dwóch dni: jak ma zyskać zaufanie braci, skoro nikt nie chce dać mu szansy.

Otóż Caleb dojrzał swoją szansę i sam ją chwycił.

Robert zaś odkrył, że wcale nie ma o to pretensji.

Uniósł głowę i rozejrzał się po zaciekawionych twarzach.

- Wygląda na to, że nasza dyskusja jest bezcelowa - odezwał się.

- Bezcelowa? - powtórzył Melville.

Na widok miny Declana Robert podał mu list.

- Jak mówiłem, kiedy wyjeżdżałem z Southampton, Caleb był tam ze swoim statkiem - wyjaśnił. - Ale już go nie ma. - Popatrzył w oczy Wolverstone'a. - Caleb napisał, żeby poinformować mnie, że płynie „Księciem” do Freetown. Zamierza udać się prosto do obozu Kale'a.

Książę zmarszczył brwi.

- A skąd będzie wiedział... - Przerwał i, nie odrywając wzroku od Roberta, spytał: - Skąd on w ogóle wie o obozie?

Robert westchnął bezgłośnie.

- Zabrał ze sobą mój dziennik podróżny. Znalazł w nim pełną relację o misji, którą mi zlecono, oraz informacje zdobyte wcześniej przez Declana i Edwinę. Jest tam wszystko, co odkryłem ja, moja załoga oraz Aileen, a także mapka wskazująca drogę do obozu, opis Kale'a i kilku jego ludzi,

a nawet plan obozowiska. Dałbym wam kopię, żeby przekazać ją temu, kto tam pojedzie, ale... - Wzruszył ramionami, po czym spojrzał na Declana, który kończył właśnie czytać wiadomość... i nic nie mówił.

Z listu Caleba jasno przebijał żal, że bracia nigdy nie powierzają mu żadnych ważnych zadań.

Wszyscy milczeli, zastanawiając się, co ta wiadomość może oznaczać.

W końcu Melville zmarszczył gniewnie brwi i popatrzył na Wolverstone'a, a potem na obu Frobisherów.

- Wcale mi się nie podoba, że wasz brat wziął sprawy w swoje ręce. Nie miał do tego żadnego prawa. Obaj macie szybkie statki. Musicie popłynąć za nim i go powstrzymać.

Robert zamrugał. Nie musiał nawet patrzeć na Declana, żeby wyczuć jego sprzeciw. To byłby koniec kariery Caleba na stanowisku kapitana - praktycznie koniec jego życia.

- Nie - powiedział w końcu, nie zważając na wściekłą minę Melville'a. - Caleb miałby nad nami co najmniej dwa, nawet trzy dni przewagi. Nasze statki są może nieco szybsze, ale nie zdołalibyśmy go złapać, zanim dotrze do Freetown, a nie ma mowy, żeby dwa statki Frobisherów wpłynęły niezauważone do zatoki, zwłaszcza że Decker niemal na pewno wrócił już do kolonii.

- Zresztą - dodał Jack - po co w ogóle go zatrzymywać? Caleb zamierza zrobić dokładnie to, co trzeba, i wygląda na to, że doskonale się nadaje do tego zadania. Po co mu przeszkadzać?

Melville obruszył się, lecz najwyraźniej nieprzewidziany

postępek Caleba nie oburzył nikogo poza nim.

Wreszcie, wymieniwszy spojrzenia z Edwiną i Aileen, księżna Minerva stwierdziła:

- Po tym wszystkim, co tu powiedziano, nie mogę się powstrzymać przed wrażeniem, że być może tak właśnie miało być. Wasz Caleb zwyczajnie... pominął etap biurokracji, wszystkie te dyskusje oraz dywagacje, i przeszedł do sedna sprawy. Najwyraźniej zresztą taka już jego natura.

Wolverstone pokiwał głową powoli, jakby z namysłem.

- Rzeczywiście może się okazać, że tak będzie najlepiej. - Spojrzał na Christiana, Rafe'a i Jacka, a potem na Roberta i Declana. - Nie mamy pod ręką nikogo, kto nadawałby się choćby w połowie tak jak Caleb, a podzielim waszą opinię, że w pewnym momencie gra zacznie się toczyć na czas. Być może, jak przenikliwie zauważyła moja małżonka, podejmując takie działania, Caleb po prostu podarował nam kilka dodatkowych dni.

Melville dalej krzywił się niezadowolony.

- A co my mamy teraz robić? - warknął.

- W tej chwili? - Wolverstone rozsiadł się wygodniej i wzruszył ramionami, a potem na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. - Caleb przejął już pałeczkę z naszych rąk, więc nie pozostało nam nic innego, jak tylko siedzieć i czekać.

Tytuł oryginału: *A Buccaneer at Heart*
Pierwsze wydanie: MIRA Books, 2016
Opracowanie graficzne okładki: Madgrafik
Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda
Opracowanie redakcyjne: Sylwia Sandowska-Dobija
Korekta: Anita Rejch

© 2016 by Savdek Management Proprietary Limited
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa, 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-2953-1

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.